



**NIE OD
GAD
NIONA**

REMIGIUSZ

MRÓZ

FILIA

REMIGIUSZ
MRÓZ

**NIEOD
GAD
NIONA**

FILIA

Copyright © by Remigiusz Mróz, 2018
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © AlohaHawaii/Shutterstock

Redakcja i korekta:
Gabriela Niemiec

Skład i łamanie:
MELES-DESIGN

eISBN: 978-83-8075-624-3

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Dla Agi Dygant –
Twój telefon przesądził sprawę

Pragnienia są silniejsze od podejrzeń.
Wiesław Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*

ROZDZIAŁ 1

1

Straciłem w życiu tak naprawdę jedną bliską osobę, ale to w zupełności wystarczyło, bym zrozumiał, że prędzej czy później stracę wszystkie. Nie wiem, czy to było powodem, dla którego przez ostatni rok nie nawiązałem żadnej nowej znajomości – ale z pewnością okazało się świetną wymówką.

Odciałem się nie tylko od ludzi, ale także od samego siebie. Odsunąłem przeszłość, zapomniałem o wszystkim, co się wydarzyło. Żyłem z dnia na dzień, skupiając się jedynie na tym, o której wstać do pracy, w co zagrać po powrocie do domu, co zjeść i jakim piwem umilić sobie wieczór.

Zamknąłem na głucho poprzedni rozdział mojego życia, a ostatecznym potwierdzeniem miały być przenosiny do niewielkiego mieszkania na poddaszu przy placu Daszyńskiego. Stać mnie było na nie tylko dlatego, że niewielka klatka stanowiła właściwie zaadaptowany strych – a wspólnota mieszkaniowa nie oczekiwała wielkiego zwrotu z inwestycji.

Wziąłem kredyt, trochę pożyczyłem od rodziców i po krótkich negocjacjach w końcu miałem własne mieszkanie. Nie wynajmowane, nie tymczasowe. Moje. A przede wszystkim stanowiące dowód na to, że raz na zawsze pożegnałem się z przeszłością.

Tkwiłem w tym przekonaniu aż do momentu, kiedy wreszcie skończyłem gruntowny remont i wprowadziłem się do moich czterech kątów na poddaszu. Wszystkie bezpieczne rzeczy, które tu znalazłem, wrzuciłem do niewielkiego kartonu pozostawionego przez poprzedniego właściciela i całkiem o nich zapomniałem – pech jednak chciał, że już pierwszej nocy po przeprowadzce z nudów zacząłem je przeglądać.

I wyszperałem starą kasetę VHS. Zwyczajny grat, którego miejsce

było na śmietniku. A jednocześnie przedmiot, który sprawił, że całe moje życie się zmieniło.

Kaseta wyglądała niepozornie. Znajdowała się w białym tekturowym pudełku Panasonic, z charakterystycznymi czerwonymi i niebieskimi liniami. Etykieta była krzywo przyklejona, a napisy na niej kilkakrotnie zamazywane lub poprawiane.

Standard. Też to robiłem, kiedy na wcześniej zapisane odcinki Drużyny A lub MacGyvera nagrywałem Z Archiwum X i Ostry dyżur. Jakie czasy, taki Netflix. Problem polegał na tym, że w dzisiejszych nie miałem jak dobrać się do tego, co znajdowało się na kasecie.

Mój ostatni magnetowid rozłożył się już pewnie w piwnicy rodziców, a o żadnym samodzielnym adapterze do innego sprzętu nawet nie słyszałem. Spojrzałem na ostatni niezamazany napis na naklejce, zastanawiając się, co oznacza „xc97it”. Spodziewałbym się raczej mniej enigmatycznych opisów, jak „pierwsza komunია”, „bierzmowanie” albo „studniówka”.

Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, odłożyłem kasetę do pudełka i usiadłem przed komputerem. Planowałem spędzić wieczór w taki sam sposób jak przez ostatni rok – grając w Fortnite lub inną wieloosobową produkcję. Przerzucenie się z gier singleplayerowych na multiplayery uznawałem za swój największy sukces w kontaktach międzyludzkich. Może nie powinienem, biorąc pod uwagę, że celem całej tej rozgrywki było wyróżnienie kilkudziesięciu innych graczy i pozostanie na placu boju jako ostatni ocalały.

Grałem właściwie automatycznie, powtarzając nieświadomie to, co zawsze robiłem. Zbierałem przedmioty i zasoby, przygotowując się do starcia z innymi graczami, ale myślami cały czas byłem przy kasecie.

Odpadłem rekordowo szybko. Odwróciłem się na krześle i wbiłem oskarżycielskie spojrzenie w znalezione na poddaszu graty, jakby to one zawiniły. A konkretnie jeden z nich.

Znów zacząłem się zastanawiać, co oznacza „xc97it” i co może znajdować się na taśmie. Właściwie niespecjalnie rozumiałem,

dlaczego nie daje mi to spokoju. Ot, zwykła stara kasetka, jakich swego czasu na śmietnikach było wiele. Ludzie masowo je wyrzucali, nie myśląc nawet o tym, czego w istocie się pozbywają. Ta nie mogła różnić się od setek, może tysięcy innych.

Dlaczego więc wciąż nie mogłem przestać o niej myśleć?

Odpowiedź nadeszła w najmniej spodziewanym momencie, jak zawsze. Po kilku piwach po omacku trafiłem do łóżka, ułożyłem się wygodnie i zacząłem odpływać, kiedy nagle jedna myśl przecięła mi głowę jak błyskawica.

Natychmiast zerwałem się na równe nogi, włączyłem światło i dopadłem do pudła z gratami. Spojrzałem na kasetę jeszcze raz, by upewnić się, że umysł nie płata mi figli.

Nie, napis wciąż tam był. Dokładnie taki, jak mi się wydawało: „xc97it”.

Tymczasowy nick, który system RIC nadał Joli Klizie podczas naszej pierwszej rozmowy, tuż po tym, jak wynająłem Reimann Investigations do odnalezienia Ewy. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Wracałem do wszystkich tamtych wydarzeń niezliczoną ilość razy, odtwarzałem w głowie każde moje posunięcie i chcąc nie chcąc, znów uprawiałem myślenie kontrfaktyczne. Co by było, gdyby Blitz nie wskazał RI? Albo gdybym nie zgodził się na jego wybór?

Takich i innych pytań było mnóstwo, a im więcej czasu mijało od tamtych wydarzeń, tym trudniej było mi znaleźć odpowiedzi. Odnosiłem wrażenie, że z każdym dniem rozumiem coraz mniej.

Pamięć jednak mnie nie zawodziła. Kasetka, którą znalazłem na poddaszu, była podpisana nickiem Klizy.

Czym prędzej spróbowałem zalogować się na RIC, ale po wprowadzeniu adresu IP okazało się, że chat nie działa. Nic dziwnego. Podobnie jak inne przedsięwzięcia Roberta Reimanna, także RI zamieniło się w popioły. On sam nie żył, a jego żona uciekła z większą częścią fortuny, którą zgromadził.

I z moją godnością – choć akurat o tym nie każdy wiedział.

Spojrzałem na leżącą na biurku kasetę. Jakim cudem się tutaj

znalazła? Czy poprzedni właściciel poddasza mógł mieć z tym, co mnie spotkało, cokolwiek wspólnego? Nie, to absurd. Był to podstarzały mężczyzna, który po uchwale mieszkańców wykupił strych dla swojego wnuka. Wspólnota zbyła loft za bezcen, a kiedy młody z niego zrezygnował, starzec sprzedał go mnie za niewiele więcej.

Nie mógł mieć nic wspólnego ani z Klizą, ani z tą sprawą. A mimo to zostawił mi tę kasetę.

Nie musiałem długo zastanawiać się nad tym, co powinienem zrobić. Narzuciłem szybko koszulę, zapiąłem kilka guzików, a potem w spodniach od piżamy wyszedłem na klatkę i zbiegłem po schodach.

Dochodziła dwunasta, ale nie miało to żadnego znaczenia. Stałem przed drzwiami Stefana Bronowicza zdeterminowany, by uzyskać odpowiedzi. Nie miałem zamiaru pozwolić na to, by po raz kolejny ktoś sobie ze mną pogrywał.

Kiedy zaspany staruszek otworzył drzwi, wiedziałem już, że akurat on nie byłby do tego zdolny. Patrzył na mnie nie z pretensją, że budzę go o tej porze, ale z głęboką troską.

– Coś się stało? – zapytał. – Coś nie w porządku z mieszkaniem? Podniosłem taśmę, lekko skonfundowany.

– Skąd pan to ma? – zapytałem.

Stefan przyglądał się kasecie, jakby nie do końca rozumiał, o co pytam.

– Znalazłem to w pudle, które pan zostawił – dodałem.

– W pudle?

– Wrzucił tam pan trochę niepotrzebnych rzeczy.

– Ach... – mruknął, wciąż lekko zaspany. – Mogę?

Wyciągnął rękę, ale zawahałem się przed podaniem mu taśmy. Z jakiegoś powodu nie chciałem się z nią rozstawać, nawet na chwilę. Ostatecznie podałem ją Bronowiczowi, a ten przez moment jej się przyglądał.

– Niestety nie kojarzę, co może na niej być.

– Ale należy do pana?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł, a potem chrapliwie zakaszłał, nie fatygując

się, by zasłonić usta. – Miałem dużo panasoniców, trochę basfów, no i oczywiście maxelle, TDK-i...

– Znalazłem tylko tę – uciałem. – Dlaczego zostawił ją pan w pudle?

– Nie przypominam sobie, żebym to zrobił. Powinna być razem z pozostałymi w piwnicy.

– W piwnicy?

– Mojej – odparł i lekko się zmieszał. – Niestety do strychu żadna nie przynależy.

O tym wiedziałem doskonale, było to nawet zapisane w umowie. Jedyne, na co mogłem liczyć poza mieszkaniem, to miejsce parkingowe na niewielkim podwórku. I to tylko jeśli akurat miałem szczęście i któreś było wolne.

– Mogę zobaczyć te kasety? – spytałem.

– Oczywiście. Przyjdź rano, to...

– Nie mógłbym tego zrobić teraz?

Sądziłem, że da mi klucz, powie, która piwnica należy do niego, i po prostu się mnie pozbędzie. Zamiast tego jednak zszedł razem ze mną na dół, a chwilę później staliśmy nad kolejnym pudłem. To było zbutwiałe, zniszczone i pokryte grubą warstwą kurzu. Stefan upchnął do niego kilkadziesiąt kaset, ale bardziej niż one interesował mnie kabel, który pałętał się pośród nich.

Wskazałem mu go i pytająco uniosłem brwi.

– Od magnetowidu – oznajmił, a mi zaświeciły się oczy.

Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że sam odtwarzacz nic mi nie da. Miałem wprawdzie telewizor, ale przypuszczałem, że smart TV nie jest na tyle smart, by dało się do niego podłączyć tak archaiczny sprzęt.

– A telewizor? – zapytałem z nadzieją w głosie. – Najlepiej taki kineskopowy?

– Cóż...

Wskazał na stertę rupieci upchniętych obok starego piecyka, a ja wiedziałem już, że jeszcze tej nocy dowiem się, co jest na kasecie. O ile sprzęt przez ostatnią dekadę nie wyzionął ducha.

Z trudem wytargałem pudła na ostatnie piętro, dziękując po drodze Bronowiczowi i zapewniając, że nazajutrz zwrócę

wszystko w niepokorszonym stanie. Podłączyłem cinchami odtwarzacz Sanyo do telewizora bez większego problemu, czując, że serce bije mi coraz szybciej.

Było to niemal jak podróż w czasie. Brakowało mi jedynie chipsów Chio, gumy Turbo, mleczka w tubce i vibovitu. Oczywiście nie rozpuszczonego, tylko w proszku, do wyjadania poślinionym palcem prosto z saszetki.

Umieściłem kasetę w windzie, a ta łapczywie wciągnęła taśmę, jakby ją połykała. Zaraz po tym, jak opuściła ją na zabierakach szpul, rozległy się charakterystyczne trzaski. Obraz, który pojawił się na ekranie, był niewyraźny, przecięty w jednej trzeciej i przesunięty w dół, a dodatku mocno śnieżył. Miał znikomy kontrast i naznaczony był tyloma artefaktami, że trudno było cokolwiek dostrzec. Najwyraźniej nie bez powodu niektórzy rozwijali skrót VHS jako very horrible system.

Nawet te zakłócenia nie mogły jednak przeszkodzić mi w zrozumieniu, kto znajduje się na nagraniu.

Ewa. Moja zaginiona jedenaście lat temu narzeczona.

Patrzyła prosto w kamerę, a jej wzrok sprawił, że na moment zabrakło mi tchu. Płuca dopiero po chwili przypomniały sobie, że potrzebują tlenu. Niemal zachłystując się powietrzem, potrząsnąłem głową.

Dotarło do mnie, że Ewa porusza ustami, ale z telewizora nie wydobywa się żaden dźwięk. Czym prędzej dopadłem do cinchów i sprawdziłem, czy dobrze je podłączyłem. Kiedy dotknąłem jednego z kabli, w końcu usłyszałem głos narzeczonej. Zaraz jednak dźwięk z powrotem znikł.

Brak styku. Poprawiłem wtyczkę, niepewny, czy to cokolwiek da.

Wystarczyło w zupełności. Głos był zniekształcony, część zdań urwana, a mimo to bez trudu mogłem wszystko zrozumieć. Nie tylko to, co mówiła Ewa, ale także kontekst, w jakim to robiła.

Siedziała z podkulonymi nogami pod obskurną ścianą, na suficie wisiała pojedyncza żarówka, a pomieszczenie przywodziło na myśl piwnicę, z której przed momentem wygrzebałem sprzęt Bronowicza.

Uświadomiłem sobie, że magnetowid nie odtwarza nagrania od początku. Natychmiast zatrzymałem kasetę, a potem przewinąłem do początku. Rozległ się trzask, jakby szpula urwała taśmę, ale po chwili przewijanie znów ruszyło.

Kiedy wreszcie dobiegło końca, położyłem palec na przycisku „play”, ale się zawahałem.

Tylko na moment.

Zaraz potem z głośnika dobiegł głos Ewy.

„Nagrywam to z nadzieją, że ktoś kiedyś to odnajdzie” – zaczęła.

Z sercem walącym jak młotem wpatrywałem się w niewyraźny obraz osoby, której już nigdy nie spodziewałem się zobaczyć. Słuchałem głosu, którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie miałem prawa usłyszeć. I poznawałem historię, która miała na zawsze pozostać nieopowiedziana.

Skończyłem po drugiej w nocy. Zupełnie zdezorientowany, pogrążony w szoku i marazmie.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, podniosłem się z podłogi automatycznie, ledwo odnotowując, że przez długie siedzenie po turecku zdrętwiały mi nogi.

Zbliżałem się do drzwi jak w transie. I przebudziłem się z niego, dopiero kiedy zobaczyłem, kto stoi w progu.

Kolejna osoba, której miałem już nigdy nie zobaczyć.

Kobieta, która zniszczyła moje życie.

2

Byłam przygotowana na każdą reakcję Werna. Wciąż miałam w pamięci wszystkie jego słowa, jakie padły podczas naszej ostatniej rozmowy. Siedziałam wtedy w McDonaldzie, korzystając z darmowego wi-fi, a on zalogował się na RIC.

Obiecał mi, że poniosę odpowiedzialność za to, co zrobiłam. I że nie odpuści, dopóki mnie nie znajdzie.

Nie wątpiłam, że przez ostatni rok próbował to zrobić. Razem z Glazurem zaplanowaliśmy jednak wszystko zbyt starannie, ukryliśmy się zbyt dobrze, by Damian lub ktokolwiek inny mógł

nas odnaleźć.

Do czasu.

Dwa tygodnie temu ktoś trafił na mój trop.

Wojtek miał spędzić wieczór na urodzinach kolegi, nigdy jednak tam nie dotarł. Miał przejść raptem dwie przecznice. W niewielkim, bezpiecznym miasteczku pod Norymbergą, gdzie każdy znał każdego i nic złego nie mogło spotkać żadnego dziecka, wydawało się to rzut beretem od naszego domu.

Czuliśmy się tam jak dwoje rozbitków, którzy po sztormie zacumowali w bezpiecznej przystani. Ja zaangażowałam się w sprawy lokalnej społeczności, Wojtek coraz lepiej odnajdywał się w nowej szkole i wśród nowych znajomych. Radził sobie z barierą językową dość dobrze, nie tylko dzięki temu, że od najmłodszych lat miał korepetycje. Chciał się uczyć. Chciał rozpocząć nowe życie.

Dopiero kiedy zobaczyłam w nim tę gotowość, tak naprawdę zrozumiałam, że poprzednie dało w kość nie tylko mnie, ale także jemu. Staralam się odgrodzić go od wszystkiego, czego dopuszczał się Robert, ale powinnam wiedzieć, że dziecko widzi więcej, niż rodzic by chciał.

Ostatecznie jednak dane nam było zacząć wszystko od nowa. Byliśmy spokojni, bezpieczni i ukryci przed całym światem.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

Teraz, kiedy znów patrzyłam w oczy Wernera, wiedziałam, jak iluzoryczne było to przekonanie.

– Co ty... – zdołał wydukać, zanim podniosłam broń.

Wymierzyłam prosto w niego, nie zastanawiając się ani przez chwilę.

Spojrzał na pistolet, jakby pojawił się znikąd, jakby stanowił obcy element, z nieznanego, nierzeczywistego świata. Cofnął się o krok, otworzył usta, ale nie potrafił dobyć głosu. Nie dziwiłam się. Do poczucia dezorientacji z pewnością wystarczyłby sam widok mnie w jego nowym mieszkaniu. Broń musiała wprawić go w całkowite osłupienie.

Dla mnie od roku była czymś zupełnie naturalnym. Jak wiele innych ofiar długoletniej przemocy domowej potrzebowałam

czegoś więcej niż abstrakcyjnego poczucia bezpieczeństwa. Czegoś namacalnego. Czegoś, co stanowiłoby ostateczny dowód na to, że nie muszę się już bać.

W moim przypadku był to ruger LC9, model najczęściej używany właśnie przez kobiety do samoobrony. Niewielki i lekki, bo bez magazynka ważący jedynie niecałe pięćset gramów, doskonale nadawał się do torebki.

A jednocześnie spełniał swoje zadanie, co widziałam teraz nader wyraźnie.

– Gdzie jest mój syn? – zapytałam.

Od razu wykorzystałam fakt, że Wern się wycofał, i weszłam do środka. Nie spuszczając go z oka, zamknęłam za sobą drzwi.

– Co ty robisz? – wydusił.

– Gdzie jest Wojtek?

Damian zamrugał nerwowo i wycofał się jeszcze kawałek. Z jego oczu znikła jednak obawa, zdawał się też powoli opanowywać inne emocje. Wiedziałam doskonale, co mu na to pozwoliło. Nienawiść. Czysta, wyraźna i dobitna.

Stała przed nim osoba, która wykorzystała go w najgorszy możliwy sposób. Która podszyła się pod jego zaginioną narzeczoną, naraziła go na śmiertelne niebezpieczeństwo i właściwie przekreśliła całą jego przyszłość.

Dzięki temu zebrał się w sobie. Ale ja także.

– Nie będę pytać trzeci raz – powiedziałam. – Odpowiadaj.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Zbliżyłam się do niego, w każdej chwili gotowa pociągnąć za spust. Wiedziałam, o czym świadczą wstręt i determinacja w jego oczach. Za moment spróbuje mnie zaatakować. Nie będzie kalkulował, zastanawiał się ani wahał. Zrobi wszystko, żeby zrobić to, na co tak długo czekał – wymierzyć sprawiedliwość.

Czy mogłam mu się dziwić? Nie, z pewnością nie. Nie dość, że go wykorzystałam, to jeszcze z jego punktu widzenia byłam osobą, która doprowadziła do śmierci Ewy. To ja miałam ściągnąć na nią uwagę ludzi Kajmana, którzy odebrali jej życie i porzucili ciało na wyspie Bolko.

– Ostatnim razem widziałem twój syna w samochodzie,

kiedy jechaliśmy w stronę granicy. Na moment przed tym, jak mnie zaatakowaliście i...

– Skończ z tymi wykrętami, Werner – przerwałam mu. – I mów! Unikał mojego wzroku, wbijał spojrzenie prosto w lufę pistoletu.

– Bo inaczej strzelisz?

– Tak.

– Nie sądzę.

– W takim razie nie wiesz, do czego zdolna jest matka, która chce chronić swoje dziecko.

– Wydaje mi się, że jednak wiem – odparł i w końcu na mnie popatrzył.

Jego wzrok był jak cios między oczy. Mimowolnie wstrzymałam oddech, a ślina zdawała się zgęstnieć mi w ustach. Naszły mnie sprzeczne, absurdalne myśli. O nim i o mnie, niewłaściwe i niepasujące do sytuacji. Zderzały się ze sobą, tworzyły niezrozumiały chaos i sprawiały, że nie wiedziałam, co tak naprawdę robię. Wyłaniał się z nich jednak dość jasny, czytelny wniosek.

Boże, jak mi go brakowało.

Czułam to od dawna. Wprawdzie nie potrafiłam przyznać się do tego przed sobą przez długie miesiące, ale w końcu musiałam to zrobić, by ruszyć naprzód.

Zżyłam się z nim bardziej, niż się spodziewałam. Uzależniłam się nie tylko od wieczornych rozmów na RIC, których całymi dniami wyczekiwałam, ale także od poczucia bezpieczeństwa, jakie się z nimi wiązało.

Tęskniłam za Wernem. Mimo że był to człowiek, który poprzysiągł na mnie zemstę. I który mógł porwać mojego syna, by ściągnąć mnie do Opola.

W tej chwili musiałam skupić się wyłącznie na tym. I zagrać tak, jak wymagała tego sytuacja – przyjmując rolę bezwzględnej, zimnej i gotowej na wszystko suki.

– Ostatnia szansa, Tygrysie – rzuciłam, przesuwając palec na spust rugera.

Na dźwięk tego określenia Wern drgnął nerwowo. W jego

oczach pojawiła się furia, którą znałam aż za dobrze. Widywałam ją niemal co noc, tuż przed tym, jak Robert zaczynał mnie bić.

Ścisnęłam mocniej pistolet. Byłam bezpieczna, kontrolowałam sytuację. Musiałam tylko zachować spokój.

– Albo powiesz mi, gdzie on jest, albo...

– W porządku.

Beznamiętny, chłodny głos podziałał na mnie jak kubeł zimnej wody.

– Jest w bezpiecznym miejscu – dodał Damian.

A więc się nie myliłam. To on porwał moje dziecko.

– Ty skurwysynu... – jęknęłam.

– Nie mam zamiaru go krzywdzić. Nic mu się nie stanie, o ile zrobisz wszystko, co powiem.

Zwalczyłam w sobie potrzebę pociągnięcia za spust. Damian nie był w ciemni bity, musiał odpowiednio zabezpieczyć się na taki wypadek. Może zresztą spodziewał się, że zjawię się u niego prędzej czy później. Może właśnie na to liczył.

Ale nawet gdybym miała pewność, że strzelając, nie sprowadzę nieszczęścia na mojego syna, czy byłabym w stanie to zrobić? Zabić człowieka, który mnie uratował? I za którym tak bardzo tęskniłam?

Tak. Bo dla matki z momentem wprowadzenia dziecka na ten świat zawęza się on tylko do jednej osoby. Kiedy urodził się Wojtek, ja także na nowo się narodziłam. Osoba, którą byłam przed tym, być może nie byłaby zdolna pociągnąć za spust. Nie bez powodu mawiało się jednak, że nie ma na świecie bardziej niebezpiecznego szaleńca niż matka gotowa bronić swego dziecka.

– Rozumiesz? – zapytał Wern.

– Skurwielu... – syknęłam mimowolnie. – Co mu zrobisz?

– Nic – zapewnił oschle. – I nic mu się nie stanie, jeśli zachowasz spokój.

Powinłam była się tego spodziewać. Czego oczekiwałam, przychodząc do jego mieszkania? Że na widok rugera nagle spotulnieje i po prostu odda mi syna?

– Wiesz dobrze, że nie masz wyjścia – ponaglił mnie. – Oddaj

broń.

Wyciągnął dłoń w moim kierunku, a ja dostrzegłam, że cały się trzęsie. Robił wszystko, by sprawiać wrażenie opanowanego i pewnego siebie, ale w rzeczywistości musiał ledwo radzić sobie z paniką.

Być może mogłam to jakoś wykorzystać.

Ale jak? Strzelić w kolano, a potem sypać na ranę sól dopóty, dopóki nie wyjawi mi, gdzie trzyma Wojtka?

Byłam zdolna do wielu rzeczy, ale nie do tego.

Znacznie łatwiej przyszło mi podjęcie decyzji o poświęceniu samej siebie. Do tego bowiem wszystko się sprowadzało. Wiedziałam, że jeśli oddam Wernowi broń i poddam się, osiągnie to, co zamierzał przez uprowadzenie Wojtka.

Nie było innego wyjścia.

– Przyznam się do wszystkiego – odezwałam się. – Pójdę na policję z samego rana, tylko...

– Wszystko po kolei – uciął. – Najpierw daj mi ten pistolet.

Spojrzałam na jego trzęsącą się rękę. Potrzebowałam solidniejszych zapewnień, jeśli miałam zrobić to, czego Damian ode mnie oczekiwał.

– Złożę zeznania – powiedziałam. – I opiszę, co się stało w Rewalu. Tego chcesz, prawda? Żebym poszła siedzieć za zabójstwo Roberta?

– Nie. Nie za to.

Nie musiał dodawać nic więcej. A jednak zdecydował się to zrobić.

– Nie obchodzi mnie, za co cię skażą – dorzucił. – Liczy się dla mnie to, że trafisz tam, gdzie powinnaś.

Patrząc w jego oczy, odniosłam wrażenie, że zależy mu nie na zemście, ale na sprawiedliwości. I być może dlatego jego słowa sprawiły mi więcej bólu, niż się spodziewałam.

– Muszę mieć gwarancję, że go nie skrzywdzisz, Wern.

– Masz ją.

– I że wróci do domu.

Damian skinął głową, a potem znacząco spojrzał na wyciągniętą dłoń. W końcu podjęłam jedyną możliwą decyzję i ostrożnie

podałam mu pistolet. Natychmiast wyszarpał mi go z ręki, głośno wypuszczając powietrze z płuc. Sprawiał wrażenie, jakby nogi miały się pod nim ugiąć.

Cofnął się, a raczej zatoczył o kilka kroków w tył, po czym opadł ciężko na fotel.

Nie mierzył do mnie, nie groził mi, nie wyglądał nawet, jakby źle mi życzył. Uniósł wzrok z wdzięcznością, a potem wbił go we mnie. Stałam na środku poddasza jak sparaliżowana.

– Zwariowałaś? – odezwał się Damian.

Uniosłam brwi, bo było to ostatnie, co spodziewałam się od niego usłyszeć.

– Naprawdę sądzisz, że mógłbym porwać Wojtkę? – dodał, kręcąc głową. – Za kogo ty mnie masz?

– Ale...

– Nie mam z tym nic wspólnego.

Jakby na potwierdzenie tych słów zaczął siłować się z magazynkiem. W końcu udało mu się go wysunąć.

– I nie miałem pojęcia o żadnym uprowadzeniu, dopóki mi o tym nie powiedziałaś.

– Ale... – powtórzyłam.

– Mierzyłaś do mnie z pistoletu – rzucił. – Dziwisz się, że skorzystałem z okazji?

Nie tylko się nie dziwiłam, ale zrugłam się w duchu za to, że tak łatwo mu uwierzyłam. Dopiero teraz zrozumiałam, jak roztrzęsiona byłam przez ostatnie dwa tygodnie. Zbyt dużo nieprzespanych nocy, zbyt wiele zszarganych nerwów. Umierałam z obawy o los syna, nie mając żadnych wieści na jego temat.

Nie wiedziałam, co się z nim dzieje, nie dotarłam do żadnych poszlak. Aż do momentu, kiedy pojawił się ślad prowadzący do Opolu. Najlogiczniejszy wniosek był taki, że to Werner za tym wszystkim stoi.

Ale Einstein miał rację, gdy powiedział, że logika jest tylko narzędziem, które pozwala nam dotrzeć z punktu A do punktu B. Wyobraźnia zabiera nas w każde inne miejsce. I to jej powinienam użyć, żeby zrozumieć, jak wiele możliwych scenariuszy istniało.

– Usiądź – odezwał się Damian, wskazując stojącą pod skosem dachowym kanapę.

Udało mi się zebrać myśli na tyle, by zrozumieć, w jak niewygodnej sytuacji się znalazłam.

– Żebyś miał czas zadzwonić po policję? Nie, dziękuję, Wern.

Odwróciłam się, gotowa wyjść. Przez myśl nie przeszło mi nawet, żeby próbować odzyskać broń.

– Poczekaj.

– Nie ma na co. Doskonale pamiętam, co mi obiecałeś, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

Ruszyłam do wyjścia, a on natychmiast poderwał się z fotela. Nie obawiałam się, że skorzysta z broni, znałam go zbyt dobrze. Może nawet bardziej od Ewy, a z pewnością lepiej, niż on znał samego siebie.

Mimo to usłyszałam charakterystyczny, metaliczny trzask, kiedy włożył magazynek do rugera.

Ostrożnie się odwróciłam, a on spojrział na broń i skierował ją ręką w moją stronę.

– Będziesz tego potrzebowała – powiedział. – I przypuszczam, że nie tylko tego, bo jeśli Wojtek faktycznie gdzieś tutaj jest, to znaczy, że znaleźli was ludzie Roberta.

Zabrałam pistolet i schowałam go do torebki. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie jak dwoje nieznanym, niepewnych, z kim mają do czynienia.

– Będziesz potrzebowała każdej pomocy.

– Poradzę sobie.

– Jak? – odparł szorstko. – Na policję nie pójdziesz, bo nadal ciężą na tobie zarzuty. Sytuacja w Rewalu była dla śledczych jasna jak słońce. Zostawiłaś odciski palców na kawałku szkła i...

– Wiem doskonale, co zrobiłam.

– W takim razie powinnaś też zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli ktoś zobaczy cię na mieście, możesz pójść siedzieć.

Obejrzałam się przez ramię, coraz mniej przekonana, że powinnam czym prędzej opuścić loft.

– I ty mnie przed tym przestrzegasz? – spytałam. – Będziesz pierwszym, który pogratuluje policji.

Nie odzywał się, a ja przyglądałam mu się uważnie, jakbym dzięki długiemu spojrzeniu mogła dotrzeć do jego myśli. Coś więcej było na rzeczy. Nie rozumiałam jednak co.

– Daj mi chwilę – odezwał się w końcu.

– Na co?

– Na pokazanie ci, że... cóż, może jest coś, w czym mogłabyś mi pomóc.

– Ja tobie?

– Tak mi się wydaje – odparł i westchnął. – I niewykluczone, że to ma jakiś związek z zaginięciem Wojtka.

– Jaki?

– Sam nie wiem, ale... timing wydaje się zastanawiający.

Podszedł do stojącego na podłodze starego, kineskopowego telewizora, a potem pochylił się nad magnetowidem. Wcisnął przycisk „eject”, a zaraz potem rozległ się charakterystyczny chrzęst, kiedy urządzenie wypluło kasetę.

Zamknęłam oczy i zupełnie znieruchomiałam. Jeden pozornie nic nieznaczący odgłos przypomniał mi o wieczorach spędzanych z Robertem lata temu. Wypożyczaliśmy filmy z sieci Beverly Hills Video, a potem urządzaliśmy sobie kino w domu, popijając drinki i zjadając się popcornem z mikrofalówki.

Każdy wieczór kończył się tak samo. Festiwalem agresji, brutalności i poniżania.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Wern podaje mi kasetę.

– Mówi ci coś xc97it? – spytał.

Zerknęłam na naklejkę.

– Nie. A powinno?

– To nick Klizy z naszej pierwszej rozmowy na RIC.

– Klizy? – spytałam niepewnie. – To ona dała ci tę kasetę?

Zaprzeczył ruchem głowy, a potem opowiedział mi, jak znalazł taśmę w gratach po poprzednim właścicielu. Potem znów usiadł na fotelu, jakby uznał, że to wszystko wystarczy, by mnie tutaj zatrzymać.

Miał rację.

Wprawdzie mogło to nie mieć związku z Wojtkiem, ale fakt, że stało się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy trafiłam na trop

mojego syna w Opolu, był zastanawiający.

– To nie ma sensu – powiedziałam. – Jakim cudem ten człowiek miałby mieć kasetę od Klizy?

– Nie wiem, ale przypuszczam, że ty możesz mi to wyjaśnić.

– Ja?

– Szczególnie biorąc pod uwagę, co jest na tej taśmie.

– A co jest?

– Sama się przekonaj.

Obróciłam ją w rękach, a potem zbliżyłam się ostrożnie do telewizora, jakby był bombą z opóźnionym zapłonem.

Usiadłam na podłodze, włożyłam kasetę do odtwarzacza i czekałam. Kiedy zniekształcony obraz pojawił się na ekranie, a z głośników rozbrzmiał niewyraźny głos, poczułam na sobie oskarżycielskie spojrzenie Werna.

– Doskonale wiesz, co jest na kasecie, prawda? – zapytał.

Nie odpowiedziałam.

– Przypuszczam, że możesz wyrecytować z pamięci wszystko, co jest na tym nagraniu – dodał, nie podnosząc się z fotela.

Wcisnęłam pauzę i odwróciłam się do niego.

– Nie tylko na tym – potwierdziłam w końcu. – Ale też na pozostałych.

3

Sprawa była dla mnie jasna. Wszystko to, co Ewa utrwaliła na taśmie, słyszałem już wcześniej. Niektóre rzeczy były inaczej ujęte, ale większość pokrywała się niemal w stu procentach z tym, co już znałem.

Wszystko było na nagraniach, które Kasandra dostarczała mi na pendrive'ach, przeganiając mnie po całym kraju i robiąc, co tylko się da, by mnie omamić i zmanipulować.

Skopiowała materiał niemal co do joty. Historię o rodzicach Ewy, o foliowych torebkach pod zlewozmywakiem. O lodach w upalny dzień. O zeznaniach przeciwko Kajmanowi, statusie świadka incognito i o tym, że gwałt na Łoży Szyderców miał być

ostrzeżeniem. A w końcu także o naszym wypadzie do Jarocina. Nagrała swoją wersję wspomnień Ewy.

I przypuszczałem, że na oryginalnych kasetach jest tego jeszcze więcej. Cała historia naszego życia.

Zrozumiałem, że wszystko, czego dowiedziałem się dzięki materiałom Kasandry, było prawdziwą historią mojej narzeczonej. Tyle że opowiadaną nie przez Ewę, ale przez kogoś innego.

– Możesz mi to wytłumaczyć? – odezwałem się, wymierzając palcem w telewizor.

Kasandra niepewnie skinęła głową.

– Większości z pewnością sam się domyślasz – odparła.

– W tej chwili mam w głowie taki mętlik, że nie. Raczej nie. A nawet jeśli, chcę to usłyszeć od ciebie.

Sprawiała wrażenie, jakby sama czuła, że jest mi to winna. Jeśli jednak czegokolwiek nauczyłem się po naszym spotkaniu rok temu, to wyłącznie tego, by nie ufać Kasandrze Reimann pod żadnym pozorem.

Wcisnęła „stop” i obraz znikł ze starego telewizora.

– Myślałeś, że skąd czerpałam wiedzę o waszym życiu? – zapytała.

Nie odpowiadałem.

– Musiałeś zastanawiać się, skąd wiedziałam o tym, że mówiła do ciebie „Tygrysie”, o wypadach na koncerty, upodobaniach, dzieciństwie i...

– Założyłem, że wykorzystałaś RI – uciałem. – W końcu miałaś pod ręką wszystkie zasoby biura detektywistycznego. A w szczególności mogłaś liczyć na jednego pracownika, który zrobiłby dla ciebie wszystko.

Tryb warunkowy był niepotrzebny. Glazur w istocie zrobił dla niej wszystko.

– Przypuszczałem, że inwigilowaliście mnie od jakiegoś czasu elektronicznie, może włamaliście się do mojego laptopa, na konta internetowe... zyskaliście dostęp do chmury, poznaliście wszystkie backupy i tak dalej.

W dobie, kiedy wszystko było online, wydawało mi się to

logicznym założeniem. Kasandra długo przygotowywała się do przejścia tożsamości Ewy, a Glazur musiał z nie mniejszą determinacją badać całe moje życie.

Kopie moich starych pamiętników wciąż znajdowały się na twardym dysku laptopa, podobnie stare zdjęcia i kontakty. A szperanie w przeszłości nie musiało przecież ograniczać się do mnie.

– Nie – odezwała się w końcu Kasandra. – A przynajmniej niezupełnie. Nie musieliśmy tego robić, Wern.

Znów zamilkłem.

– To potrzebowałeś ode mnie usłyszeć?

– Potrzebuję usłyszeć o wiele więcej.

– Więc pytaj – odparła cicho, uciekając wzrokiem.

Nie miałem wątpliwości, że jej gotowość do rozmowy jest podszyta partykularnym interesem. Chciała dać mi to, czego tak bardzo pragnąłem – odpowiedzi – tylko dlatego, bym pomógł jej odnaleźć Wojtkę.

Akurat o to nie mogłem mieć do niej pretensji. Było jednak wiele rzeczy, za które powinienem.

– Na pozostałych kasetach jest to, co usłyszałem od ciebie na nagraniach?

– Tak.

– I tylko dzięki nim wiedziałas o... o całym naszym życiu?

– To nie żadne „tylko”, Wern – odparła i westchnęła głęboko. – Na nagraniach Ewa godzinami opowiada o wszystkim, co związane z nią, z tobą, z jej rodzicami i z Kajmanem. Cały ten materiał to coś więcej niż krótką opowieść o przeszłości.

Miałem ochotę wyciągnąć z lodówki jakiś alkohol i czym prędzej się znieczulić. Nie ruszyłem się jednak z kanapy. Nie chciałem uronić choćby słowa z tego, co Kasandra miała mi do powiedzenia.

– Nie rozumiem – odezwałem się. – Skąd te kasety? Po co je nagrała? I kiedy? Gdzie?

Nawałnica pytań sprawiała, że nie mogłem zebrać myśli. Wszystko płątało mi się coraz bardziej.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – syknąłem. – Więc skąd je miałaś? Jak do nich dotarłaś? I kto w ogóle...

– Pozwól mi powiedzieć.

Uderzyłem dłońmi o siedzisko i zakląłem pod nosem. Poniewczasie zorientowałem się, że przez moją nerwową reakcję Kas cała się spięła. Najwyraźniej tyle wystarczyło, by usłyszała wołanie demonów przeszłości.

– Miałaś rację, że razem z Glazurem od jakiegoś czasu staraliśmy się dowiedzieć o tobie jak najwięcej – podjęła. – O tobie i o Ewie oczywiście. Robiliśmy wszystko, by odnaleźć jej trop. I w końcu na coś trafiliśmy.

– Na co?

– Glazur dokładnie prześledził, co dekadę temu robił Prokocki. Jak wiesz, to on namówił Ewę do zeznawania przeciwko Kajmanowi. To on ją ukrył i robił wszystko, by ją chronić.

– Twierdzi, że nic takiego nie miało miejsca.

Jego słowa sprzed roku wciąż odbijały mi się echem w głowie. Według podkomisarza Ewa nigdy nie poszła na współpracę z wymiarem sprawiedliwości, bo nie miała ku temu powodu. Cała sprawa z Kajmanem była wymysłem Kasandry, a gwałt i porwanie nad Młynówką nie miały nic wspólnego ze zorganizowaną przestępczością.

Ewa miała być ofiarą przypadkowych zwyrodnialców.

Prokocki nie potrafił jednak wytłumaczyć, dlaczego jej ciało pojawiło się na wyspie Bolko tuż po tym, jak zacząłem grzebać w tej sprawie. Zapewniał, że to ona, że jej tożsamość została potwierdzona badaniami DNA. Ale czy mogłem mu wierzyć? Z pewnością nie chciałem. Wolałem trzymać się myśli, że Ewa żyje. Wciąż się gdzieś ukrywa, a wersja Kasandry jest prawdziwa.

Teraz otrzymałem potwierdzenie. Nagrania dowodziły, że Kajman rzeczywiście polował na moją narzeczoną. A skoro tak, to być może ciało na wyspie wcale nie należało do Ewy. Może Prokocki wciąż próbował ją chronić.

Nie, to niemożliwe. Popadałem w zupełną paranoję.

Wmawiałem sobie tę wersję, od kiedy wróciłem do Opola. Podkomisarz jednak pokazał mi zdjęcia z sekcji. Sam im się

przyglądałem i bez trudu poznałem Ewę.

Były prawdziwe. Nawet największy magik w Photoshopie nie zdołałby przygotować czegoś takiego.

A w takim razie Kasandra z jakiegoś powodu musiała kłamać, przynajmniej w tej kwestii.

– I co dalej? – zapytałem. – Glazur wpadł na jakiś ślad?

– Niewiele znaczący, ale wystarczający. Prowadził do Obic.

– Obic?

– Niewielkiej wsi niedaleko Kielc. Prokocki dwa razy płacił w okolicy za paliwo i nie trzeba było długo rozpytywać wśród mieszkańców, żeby się dowiedzieć, że ktoś wprowadził się do jednego z domów na sprzedaż.

To tam trafiła Ewa? Zaszyła się w jakiejś wiosce w Świętokrzyskiem, samotna, wciąż obawiająca się o swoje życie i niepewna przyszłości?

– Glazur ją odnalazł? – zapytałem.

– Nie. Kiedy zjawił się na miejscu, Ewy już tam nie było. Prokocki musiał przenieść ją gdzie indziej. Znaleźliśmy jedynie kasety.

Potarłem nerwowo czoło.

– Przykro mi, Wern – dodała Kasandra. – Tam ślad się po niej urwał.

– Albo wy tak uznaliście, bo mieliście wszystko, co było wam potrzebne. Całą jej historię na kasetach.

Nie odpowiedziała, ale nie musiała tego robić. Kiedy dotarli do Obic, zdali sobie sprawę, że trafili na żyłę złota. Być może wcześniej przygotowywali odpowiednią narrację, którą zamierzali mi przedstawić, ale taśmy zupełnie zmieniały postać rzeczy. Zyskali dzięki temu pewność, że zamydlą mi oczy.

– Staraliśmy się ją odnaleźć.

– Jasne.

– Tak było – podkreśliła Kas. – Robiliśmy wszystko, by ustalić, gdzie jest. Musisz zrozumieć, że stanowiła dla nas...

– Zagrożenie?

Kasandra potwierdziła ruchem głowy.

– No tak – mruknąłem. – Gdyby nagle się pojawiła, kiedy ty ją

udawałaś, cały twój plan poszedłby w cholerę.

Znów nie musiała odpowiadać.

– Nie rozumiesz, co było na szali...

Rozumiałem doskonale, bo wciąż pamiętałem o mrozących krew w żyłach statystykach. Nie wiedziałem, czy są aktualne, ale wedle mojej najlepszej wiedzy rocznie w Polsce około pięciuset kobiet ginęło z powodu przemocy domowej. Niemal dziesięć tygodniowo.

A Kasandra musiała myśleć nie tylko o sobie, ale także o dziecku.

– Wydaje mi się, że rozumiem całkiem sporo – odparłem półszepem. – Ale jest wiele rzeczy, których nie jestem w stanie pojąć.

Czekała na dalszy ciąg, nie zabierając głosu.

– Założyliście, że Blitz wybierze akurat wasze biuro – dodałem.

– Dlaczego?

– Wystarczyło kilka lokalizowanych reklam na Google.

Tak przypuszczałem, choć nigdy nie miałem pewności. Niemal całe Reimann Investigations składało się z informatyków, głównym polem ich działania był internet. Niewiele było trzeba, by przez parę tygodni dla zapytań o „biuro detektywistyczne” kierowanych z Opola wyszukiwarka kierowała na stronę RI. Właściwie nie wiązałoby się to nawet z wielkim kosztem.

– A gdyby to nie zadziało? – zapytałem. – Gdyby Blitzer wybrał jednak kogoś innego?

– Byliśmy gotowi włączyć się pro publico bono.

Jak Rutkowski w kilka głośnych spraw związanych z niewyjaśnionymi zgonami za granicą czy tajemniczymi zaginięciami. Oczywiście.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć, Wern?

– Tylko dwie rzeczy.

– Pytaj...

A potem pomóż mi odnaleźć mojego syna? Tak, z pewnością właśnie to miała na końcu języka. A im więcej mówiła, im dłużej patrzyła mi w oczy, tym bardziej byłem gotowy zrobić to, na co liczyła.

- Dlaczego Blitz zginął? – zapytałem. – I kto go zabił?
Spuściła wzrok, a na jej czole pojawiła się podłużna zmarszczka.
- Nigdy nie chciałam, żeby ktokolwiek...
- Nie interesuje mnie to, co chciałaś, a czego nie – uciałem. –
Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mój przyjaciel zginął.
Nabrała głęboko tchu.
- Ktoś w policji zorientował się, że na profilu spotted pojawiły
się zdjęcia Ewy.
- Nie Ewy, tylko twoje.
- Owszem, ale o tym nie wiedzieli – odparła cicho, jakby
zawstydzona. – Doskonale za to zdawali sobie sprawę z tego, że
ktoś zostawia komentarze i wypytuje o Ewę. Twój przyjaciel.
Czekała na jakąkolwiek reakcję, ale trwałem w bezruchu.
- Wiesz, że w opolskiej policji działa człowiek Kajmana –
dodała.
- J. Falkow.
- Tak – potwierdziła. – Nie wiem dokładnie, co się stało, ale
przypuszczam, że dowiedział się o tym, że ktoś wpadł na ślad
Ewy. Może próbował coś wyciągnąć od Blitz, zmusić go do
mówienia, może doszło do przepychanki, a potem...
- Nie musiała kończyć, jako że miała przed sobą osobę, która
znalazła rankiem ciało.
- Przez chwilę oboje milczeliśmy. Ja wodziłem wzrokiem po
pokoju, ona wciąż siedziała z lekko spuszczoną głową. Czy miała
wyrzuty sumienia przez wszystko, co zrobiła? Czy może
usprawiedliwiała to tym, że Wojtek był bezpieczny, a jej mąż już
nikdy nikomu nie mógł wyrządzić żadnej krzywdy?
- Mówiłeś, że chcesz wiedzieć jeszcze o czymś – odezwała się.
- Potrząsnąłem głową i potrzebowałem chwili, by przypomnieć
sobie, jaki ostatni znak zapytania pozostał.
- Zdjęcie, które zrobiłem Ewie pod Babą na Byku –
powiedziałem. – Trafiło do internetu, a tylko ja miałem do niego
dostęp.
- Właściwie tych zdjęć było kilka.
- To znaczy?
- Oryginał plus jedna kopia w chmurze. I jedna na twoim

komputerze, po backupie, który kiedyś robiłeś.

Zamknąłem oczy i przekląłem się w duchu. Było to tak oczywiste, że nawet moje niewyspanie i ogólne zmieszanie mnie nie usprawiedliwiało.

– A więc jednak włamaliście się na moje konto – powiedziałem.

– Tak, ale...

Machnąłem ręką i gwałtownie się podniosłem. Jakie to miało znaczenie? Ingerencja w prywatność była niczym w porównaniu z tym, co tych dwoje mi zrobiło.

A wszystko dzięki kasetom, które znaleźli. Kasetom, bez których być może zorientowałbym się, że padłem ofiarą manipulacji.

Ale dlaczego Ewa je nagrała? W jakich okolicznościach? Jeśli miała zamiar opowiedzieć kiedyś swoją historię, mogła zrobić to na wiele innych sposobów. Spisać wspomnienia, nagrać je na dyktafon czy choćby nakręcić kilka filmików komórką.

Używanie tradycyjnej kasetowej kamery, a potem przerzucenie wszystkiego na VHS wydawało się niepotrzebnym wysiłkiem. Tym bardziej że ukrywała się na podkieleckiej wsi i robiła wszystko, by nie ściągnąć na siebie uwagi.

Odsunąłem od siebie te myśli. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał się z nimi zmierzyć i poszukać odpowiedzi, ale w tej chwili było jeszcze kilka spraw, które musiałem poruszyć.

– Gdzie jest Glazur? – zapytałem.

Kas również się podniosła i przeszła za mną do kuchni. Nie skończyłem jeszcze wypakowywać wszystkich rzeczy, część znajdowała się w kartonach pod szafkami. Właściwie nie zdążyłem nawet zawiesić zegara na ścianie.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukała.

– Nie wiem – odparła.

– Nie wiesz, gdzie jest twój...

Kto? „Partner” to chyba za mało powiedziane, ale nie przypuszczałem, żeby sformalizowali związek.

– Rozstaliśmy się.

– Żartujesz sobie?

– Cztery miesiące temu – odparła, jakby nie słyszała pytania. –

Ale biorąc pod uwagę, jak wyglądało nasze życie razem, to i tak długo...

– To znaczy?

– Nie chcę o tym rozmawiać, Wern – ucięła, a potem zagładnęła do kilku pustych szafek.

Nie wiedziałem, czego szuka, ale nie miałem zamiaru o to pytać. Ani tym bardziej niczego proponować. Dowiedziałem się już wszystkiego, co potrzebowałem wiedzieć.

Przynajmniej na temat przeszłości. Teraz interesowała mnie tylko teraźniejszość. I los niewinnego dziecka, które wplątaliśmy w całe to gówno, które się z nami wiązało.

Nie znałem dobrze Wojtka, nie miałem czasu, by się z nim zaprzyjaźnić. Wiedziałem jednak doskonale, co chłopiec przeszedł. I to wystarczało, by zainteresować się jego losem.

– Skąd w ogóle wiesz, że twój syn jest w Opolu? – zapytałem.

Zawahała się, choć nie miała ku temu powodu. Jeśli ja byłem gotów dać jej niewielki kredyt zaufania, to ona powinna zrobić to tym bardziej.

– Jego telefon się uaktywnił – powiedziała w końcu. – I lokalizacja pokazała, że jest gdzieś tutaj.

– Myślałem, że pozbyłaś się komórek po tym, jak wyjechaliśmy z Rewala.

– Nie tyle się pozbyłam, ile je tam zostawiłam.

– No tak...

Spojrzałem na magnetowid i nagle wszystko stało się jasne.

– Te kasety też trzymałaś w domu, prawda? W Rewalu?

– Tak. Schowane na poddaszu.

– I tam je zostawiłaś?

Skinęła głową, a ja dostrzegłem, że ona także poskładała już wszystko w logiczną całość. Być może zrobiła to już dawno, znacznie szybciej ode mnie. Może nawet w momencie gdy zobaczyła, jak podpisana jest taśma.

Jola Kliza.

Skoro ona przysłała mi tę kasetę, musiała w jakiś sposób dostać się do domu Reimannów, zanim trafiła tam policja. Zabrała stamtąd taśmy i komórkę młodego. A teraz zarówno jedno, jak

i drugie pojawiło się w Opolu.

Spojrzałem na Kas, starając się przesądzić, czy wie więcej niż ja. Przez chwilę o tym rozmawialiśmy i szybko stało się jasne, że oboje przyjęliśmy taką samą wersję. Jedyłą logiczną.

– Ale co ona chce w ten sposób osiągnąć? – zapytałem.

– Nie wiem.

– I myślisz, że naprawdę mogłaby porwać twój syna?

Kasandra bezradnie rozłożyła ręce.

– Aż tak dobrze jej nie znałam. Dogadywałyśmy się, ale na stopie zawodowej.

– Dopóki jej nie wyrzuciłaś – zauważyłem. – Może o to chodzi?

– Nie ja, tylko Robert. Robiłam wszystko, żeby ją ochronić.

Chciałem odparować, że najwyraźniej nie wszystko, ale w porę ugryzłem się w język. Kas żyła nie tyle w toksycznym, ile w radioaktywnym związku. Właściwie cudem było, że przetrwała tak długo i zdołała się z niego wyrwać.

Być może nie powinno mnie dziwić, że z Glazurem jej nie wyszło. Trauma nie zniknęła, nawet jeśli usilnie oddalaliśmy się od przeszłości. Coś o tym wiedziałem.

– Tak czy inaczej, czymś jej podpadłaś – zauważyłem. – Bo ta kasetka z pewnością miała naprowadzić mnie na trop tego, co się naprawdę stało.

– Ale jak ją tutaj zostawiła?

– Tego nie wiem. Wydźwięk jednak jest jasny.

– I niepotrzebny, bo nawet bez niego miałabym świadomość, że to atak na mnie. W końcu uprowadziła moje dziecko, Wern.

– O ile to ona.

– Sam mówisz, że nie ma innej opcji.

– Opcje są – odparłem. – Tyle że ta jest najbardziej prawdopodobna.

Mściła się na niej? Jeśli tak, to być może powinienem podejmować u siebie nie Kasandrę, ale Klizę. I to wspólnie z nią zrobić wszystko, by osoba, która ukradła tożsamość mojej narzeczonej, poniosła tego konsekwencje.

Nie miałem siły się nad tym zastanawiać. Nie tej nocy. Potrzebowałem trochę odpoczynku, Kasandra z pewnością też.

Zaproponowałem, żeby zajęła pokój, który naprędce uczyniłem gościnnym. W rzeczywistości była to moja jedyna sypialnia, ale nie miałem nic przeciwko przespaniu się na kanapie.

Nie sądziłem, że Kas skorzysta z propozycji, ale od razu się zgodziła. Być może wolała ryzykować spędzenie reszty nocy tutaj niż rozpoznanie na ulicy. W Opolu było trochę osób, które pamiętały Ewę – i gdyby ktoś przypadkiem zobaczył tak podobną do niej osobę, z pewnością szybko by zareagował.

Nie mogąc zasnąć, przewracałem się z jednego boku na drugi jak ryba wyrzucona z wody. Początkowo łudziłem się, że to tylko chwilowe. Że myśli nagle zwolnią i zaniechają uporczywej gonitwy za własnym ogonem. Po godzinie czy dwóch wiedziałem już, że próba zapadnięcia w sen nie ma sensu.

Wyciągnąłem piwo z lodówki, usiadłem przed telewizorem i uruchomiłem sprzęt tylko po to, by wyjąć kasetę. Przyglądałem się jej jak relikwii. W pewnym momencie musiała znajdować się w rękach Ewy. Próbowałem wyłowić z pamięci widok jej dłoni, które tak dobrze znałem, ale bez powodzenia. Jedenaście lat to szmat czasu.

Przyjrzałem się zamazanej części etykiety, przekonany, że to moja narzeczona musiała opisać kasetę. Ale kto w takim razie zakrył wszystko czarnym markerem? Kliza? W jakim celu miałyby to robić?

Podniosłem taśmę tak, by zmienił się kąt padania światła. Zacząłem przyglądać się jego refleksom, próbując znaleźć ułożenie, dzięki któremu mógłbym coś zobaczyć.

W końcu mi się udało. Dostrzegłem napis znajdujący się pod ciemnym flamastrem.

„3/15”.

Zbliżyłem kasetę jeszcze bardziej, niepewny, czy mi się nie przywidziało.

Nie, rozpoznałem trójkę i piętnastkę. Ale co to oznaczało? Że taśma jest trzecią z piętnastu? Wydawało się to wątpliwe, bo na nagraniu Ewa opowiadała naszą historię od samego początku. Co miałyby znajdować się na dwóch wcześniejszych?

Spojrzałem w kierunku sypialni. Kas oczywiście twierdziła, że

jest więcej kaset, ale aż piętnaście? Ewa przekazała na tej niemal wszystko. Musiałem także założyć, że Kasandra celowo wprowadza mnie w błąd, mimo że w tej chwili nie potrafiłem sobie wyobrazić, po co miałyby to robić.

Niedających mi spokoju pytań było zbyt wiele, a ja w końcu uznałem, że pora uzyskać choćby częściowe odpowiedzi. Podniosłem się i ruszyłem w stronę zamkniętych drzwi, by porozmawiać z Kas.

Nie zdążyłem. Wybiegła z pokoju roztrzęsiona, posyłając mi przestraszone, zdezorientowane spojrzenie.

– Co się stało? – zapytałem mimo woli.

– Wiem, gdzie... – Odchrząknęła niepewnie. – Wiem, gdzie jest Wojtek – dodała, a potem wyciągnęła w moją stronę komórkę.

Zerknąłem na wyświetlacz z niedowierzaniem.

– Musisz mi pomóc, Wern – powiedziała.

Byłem gotów to zrobić. Mimo niepokojącego poczucia, że znów jestem rozgrywany. I że łąduję się w coś, czego do końca życia będę żałował.

4

Nie miałam większych nadziei, że sprawdzanie lokalnych mediów podsunie mi jakikolwiek trop w sprawie Wojtka. Mimo to przeglądałam dobrze znane mi strony, dzięki którym swojego czasu dowiadywałam się wszystkiego, czego mogłam, na temat Opola.

Lokalna Wyborcza. Opole24.pl. Nowa Trybuna Opolska. Magazyn Opolski. Wszystko to znałam aż za dobrze i wiedziałam, gdzie szukać najświeższych doniesień. I to właśnie w jednym z tych serwisów znalazłam informację, która sprawiła, że zupełnie zamarłam.

Szok był krótkotrwały. Zaraz potem wybiegłam z sypialni i zobaczyłam stojącego przed progiem Wenera. Po tym, jak podałam mu komórkę i poprosiłam o pomoc, widziałam już, że mi jej udzieli.

– Możesz mnie tam zabrać? – zapytałam trzęsącym się głosem.
Od razu skinął głową, a potem chwycił za kurtkę.

Chwilę później jechaliśmy już starą felicią w kierunku Witosa, a ja nerwowo sprawdzałam kolejne portale i odświeżałam Opole24, licząc na to, że pojawią się nowe wieści.

– Jest coś? – spytał Wern.

– Nie.

Wciąż tylko tyle, że odnaleziono chłopca o nieustalonej tożsamości, z którym nie ma żadnego kontaktu. Nie było przy nim żadnych dokumentów, telefonu ani jakichkolwiek innych przedmiotów.

Dziennikarze podawali, że trafił na OIOM w szpitalu przy Witosa. Miał obrażenia głowy, ale niezagrażające życiu. Znajdował się jednak w stanie śpiączki, o czym boleśnie przekonywały nie tylko treść artykułu, ale także zdjęcie pod nim.

Ktoś najwyraźniej uznał, że identyfikacja dziecka jest w tej chwili najważniejsza. Zamieszczono fotografię leżącego na szpitalnym łóżku Wojtka, z otwartymi oczami i ustami. Miał na twarzy grymas, który sprawił, że pękło mi serce. Wydawało mi się, że wyrażał dotkliwy ból połączony z głębokim niedowierzaniem.

Nie mogłam na niego patrzeć, a jednak robiłam to bez przerwy. Miałam wrażenie, że widzę nie swojego syna, ale inne, obce dziecko, które od lat żyje tylko dzięki podłączeniu do specjalistycznej aparatury. Świadome wszystkiego, co dzieje się wokół, ale niepotrafiące samodzielnie funkcjonować.

Zamknęłam oczy i oparłam głowę o szybę samochodu. To nie mogło dziać się naprawdę.

– Kas?

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że Damian coś do mnie mówił. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Na moment oderwał wzrok od drogi i zobaczyłam w jego oczach realną troskę.

– Mówiłeś coś?

– Pytałem tylko, czy podano, gdzie go znaleźli.

Jeszcze raz sprawdziłam komórkę.

– Nie – odpowiedziałam. – Nie ma nic na ten temat. Tylko informacja o urazie głowy.

Niewiedza sprawiała, że wyobrażałam sobie już najgorsze scenariusze.

– Boże... – jęknęłam, a potem przesunęłam ręką po włosach. – Jak mogło do tego dojść? Kto mógł coś takiego zrobić?

– Wszystkiego się dowiemy.

W jego głosie nie brakowało pewności, co dodało mi nieco otuchy.

– Jak? – spytałam.

– Pójdę do szpitala i powiem, że rozpoznałem dziecko.

– Ty?

Znów przelotnie na mnie popatrzył.

– A kto inny? – spytał. – Chyba nie zamierzasz sama tam wchodzić?

– Oczywiście, że zamierzam. To mój syn, Wern. W tej chwili nic innego się nie liczy.

– A powinno.

Słyszałam jego słowa, ale ich sens docierał do mnie tylko połowicznie. Wciąż nie potrafiłam zebrać myśli i czułam się, jakbym ocknęła się po wyjątkowo długim napadzie szału Roberta.

– Ktokolwiek uprowadził Wojtka, będzie tam na ciebie czekał – dodał Werner. – Może właśnie o to im chodzi.

– Nie interesuje mnie to.

Światło przed nami zmieniło się na czerwone, a Damian zatrzymał się na skrzyżowaniu Ozimskiej z Plebiscytową. Doskonale znałam topografię miasta i wiedziałam, że od szpitala dzieli nas jeszcze nie więcej niż pięć minut.

– Jeśli z jakiegoś powodu polują na ciebie ludzie Roberta, będą tam czekać – odezwał się Wern. – Zgarną cię, jak tylko wysiądziesz z auta.

– To nie ma znaczenia.

Damian obrócił się do mnie.

– Słyszysz w ogóle, co mówisz?

– Nie rozumiesz, Wern.

Słowa właściwie same opuszczały moje usta. Nawet nie zastanawiałam się nad tym, czy mają jakikolwiek sens. Liczyło się tylko to, by jak najszybciej znaleźć się na Witosa i spróbować dostać się do Wojtka.

– Rozumiem, że nie myślisz teraz logicznie.

Spojrzałam na niego z wyrzutem, jakby nie stwierdzał oczywistego faktu, tylko mnie obrażał.

– Gdybyś to robiła, wiedziałabyś, że to nic innego jak pułapka.

– Mój syn jest w śpiączce – odparłam stanowczo. – Nie mogę tak po prostu...

– Pozwól mi to załatwić – uciął, a potem wbił jedynekę i ruszył przed siebie. – Ciebie będą wypatrywać, mnie nie. Dowiem się wszystkiego, a potem razem zastanowimy się nad tym, co dalej robić.

Tylko chwilę zajęło mi przyznanie przed sobą, że to jedyne rozsądne rozwiązanie. Damian nie musiał długo mnie przekonywać – mimo że w pierwszym momencie byłam zdezorientowana, wszystkie moje przejścia nauczyły mnie, jak ostatecznie zachować zimną krew w kryzysowej sytuacji.

Zatrzymał się na niewielkim parkingu przy blokach nieopodal szpitala, twierdząc, że tak będzie bezpieczniej. Wsiadł z auta, podszedł do niego od strony pasażera i poczekał, aż odkręcę korbką szybę.

– Kluczyki są w stacyjce – powiedział, a potem odwrócił się i nie dając mi szansy na odpowiedź, ruszył w kierunku szpitala.

Nie musiał mówić więcej, żebym wiedziała, co starał się mi przekazać. I miał rację. Gdyby nie wrócił za jakiś czas, powinnam odjechać. Wycofać się, przegrupować siły i zastanowić się, jak wyciągnąć Wojtka ze szpitala.

Ale nawet gdyby mi się udało, co miałabym zrobić potem? Boże, mój syn naprawdę był w śpiączce. To nie był żaden wybieg ze strony porywaczy, żadna sprawna manipulacja.

Zimne poranne powietrze wpadało przez uchyloną szybę do samochodu, ale nie pomagało mi w zebraniu myśli. Wypatrywałam Wernera, nerwowo wierząc się na fotelu i odnosząc wrażenie, że minęło już dobre pół godziny, od kiedy

wszedł do szpitala.

W rzeczywistości upłynęło jedynie kilka minut. Tyle jednak wystarczyło, bym znów zaczęła odchodzić od zmysłów.

Kiedy w końcu go wypatrzyłam, natychmiast spojrzałam na zegarek. Nie było go dwadzieścia minut. Co to mogło znaczyć? Czy wystarczyło mu czasu, żeby dowiedzieć się, co spotkało Wojtkę i w jakim jest stanie? A może odprawiono Damiana z kwitkiem?

Miałam ochotę wyjść z auta i wybiec mu na spotkanie, kiedy przecinał długi przyszpitalny parking. Szedł stanowczo zbyt wolnym krokiem, jakby starał się odwlec moment rozmowy ze mną.

Skarciłam się w duchu za pesymizm. Był teraz ostatnim, czego potrzebowałam, a Wern z pewnością po prostu zachowywał się tak, by nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.

W końcu wszedł do auta i zatrzasnął drzwi.

Jego wyraz twarzy świadczył o tym, że mój sceptycyzm okazał się jednak uzasadniony.

– Co się stało? – zapytałam. – Nie dowiedziałeś się niczego?

Damian z trudem przełknął ślinę.

– Wern?

Rozejrzał się uważnie, jakby spodziewał się, że ktoś na nas dybie.

– Nie ma go – powiedział cicho.

– Co takiego?

– Szukałem go w całym szpitalu. W końcu oddziałowa powiedziała mi, że ktoś się po niego zgłosił kilka godzin temu.

Miałam wrażenie, jakbym znalazła się na szczycie wysokiej góry w środku burzy i potężny grzmot właśnie zatrząsł ziemią pod moimi stopami.

– Ale... – zdołałam tylko wydusić.

– Ten artykuł być może pojawił się teraz, ale najwyraźniej Wojtkę przyjęto do szpitala jeszcze wczoraj – zaznaczył. – Pielęgniarka powiedziała tylko tyle, że nie było reakcji źrenic na światło ani żadnego kontaktu. Twój syn był jednak przytomny, a jedyne obrażenia, jakie miał, to rana na głowie.

Zrobiło mi się słabo.

– Jakiś mężczyzna zgłosił się po niego kilka godzin temu – kontynuował Werner. – Miał ze sobą paszport Wojtka, zdjęcie się zgadzało. Nie było powodu, żeby mieć jakiegokolwiek podejrzenia.

Chciałam zapytać, jak to możliwe, że administracja szpitala wydała komukolwiek pacjenta w śpiączce, ale nie potrafiłam dobyć głosu.

– To... to niemożliwe...

Powiedziałam to tak cicho, że Damian nie usłyszał.

– Oddziałowa nie była w stanie powiedzieć mi nic więcej – ciągnął. – Wypytywałem ją o mężczyznę, ale dowiedziałem się tylko tyle, że był wysokim brunetem. Nic szczególnego nie zapamiętała.

Uświadomiłam sobie, że trzęsą mi się ręce, a zimne krople potu spływają po karku. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Czułam się znacznie gorzej niż podczas ataków Roberta.

– Jak? – wydusiłam. – Jakim cudem go... wypisali?

Słowa nie chciały się kleić, głos nie chciał przestać drżeć.

– Musiał być w stanie, który na to pozwalał – odparł cicho Damian. – Musiał samodzielnie oddychać i nie potrzebować aparatury. Inaczej na pewno by go nie wypuścili, Kas.

Uczepiłam się tej myśli, powtarzając sobie w duchu, że to w tej chwili najważniejsze. Wojtek żyje, nie jest w stanie krytycznym. Odnajdę go, a potem wszystko będzie dobrze.

– Ten mężczyzna, który go zabrał...

– Nie miał żadnej blizny – dokończył szybko Werner.

Na chwilę zamilkłam.

– O to chciałaś zapytać, prawda? Upewnić się, że to nie Glazur?

– Niezupełnie...

– Do czego między wami doszło?

– To teraz nieistotne, Wern – odparłam i ciężko nabrałam tchu.

– I brak blizny o niczym nie świadczy. Glazur przeszedł zabieg krótko po tym, jak zamieszkaliśmy pod Norymbergą. Zależało nam, żeby... nie miał żadnych znaków rozpoznawczych, sam rozumiesz.

Damian zmarszczył czoło i skinął głową.

– Więc to mógł być on? – spytał.

– Oby.

– Oby? – spytał z rezerwą. – Naprawdę chciałybyś, żeby twój syn trafił w ręce tego człowieka?

Powinłam była spodziewać się takiego pytania. Z punktu widzenia Damiana Glazur był właściwie złem wcielonym. Z mojego wręcz przeciwnie – i fakt naszego rozstania nie mógł tego zmienić.

– Rozeszliśmy się na dobrych warunkach – powiedziałam.

– To tak można?

– Nigdy nie doszło do żadnego konfliktu, po prostu...

Zawiesiłam głos z nadzieją, że Damian nie będzie drażył.

– Co? – dopytał jednak.

– Najwyraźniej nie potrafię być z kimkolwiek – odparłam i od razu pożałowałam, że się odkrywam. Szczególnie w takim momencie, kiedy i tak czułam się bezbronna. – Zresztą to w tej chwili naprawdę nieważne.

Przez chwilę oboje zastanawialiśmy się, co powinniśmy zrobić. Gdzie szukać mojego syna? Jak ustalić, kto go porwał? I czy to ta sama osoba zabrała go ze szpitala? Nie, ta ostatnia możliwość wydawała się bez sensu.

Ostatecznie zgodnie uznaliśmy, że w szpitalu do niczego nie dojdziemy. Może gdybym sama poszła do dyżurki, ktoś z personelu byłby gotów ze mną porozmawiać. To jednak nie wchodziło w grę.

Na ulicy mogłam mieć nadzieję, że nie ściągnę niczyjej uwagi i nie zostanę rozpoznana. W szpitalu z pewnością byłoby inaczej – matka szukająca zaginionego dziecka nie uszłaby niczyjej uwagi.

Wróciliśmy na Daszyńskiego, a Wern zaparkował auto na jedynym wolnym miejscu na podwórku. Pograżeni w ciężkim milczeniu weszliśmy po schodach na samą górę, a potem tuż przed drzwiami loftu zamarliśmy.

– Co to jest? – zapytałam, wbijając wzrok w kartkę zatkniętą w szczelinie futryny.

Damian sięgnął po nią ostrożnie i rozłożył.

– Wiadomość dla ciebie.

– Dla mnie?

Podał mi ją, zanim zdążyłam zadać kolejne głupie pytanie. Przeczytałam wszystko, co się na niej znajdowało, niemal od razu. Były to dwa krótkie, napisane odręcznie zdania.

„Syn będzie na ciebie czekał na placu Wolności w południe. Przyjdź sama”.

– Poznajesz styl pisma? – zapytał Wern, zanim w ogóle przetrzymałam tę wiadomość. – To Glazur?

– Nie wiem. Nigdy nie przyglądałam się, jak pisze...

– To musi być on – rzucił bez wahania Damian, otwierając drzwi.

Wszedł ostrożnie do środka i rozejrzał się, jakby się spodziewał, że kartka z wiadomością to niejedyna rzecz, jaką nam zostawiono.

– Nie mamy pewności – powiedziałam. – Równie dobrze mogli to być porywacze.

– I ot tak zaproponowaliby, że zwrócą ci dziecko?

– Nie, oczywiście, że nie. Urządzili na mnie zasadzkę.

– Mało zawołowaną.

Nie chciałam tego rozważać. Nie liczyło się dla mnie nic poza tym, że niebawem zobaczę syna.

– To jakaś bzdura – zauważył Werner. – Po co mieliby tak postępować? Co mieliby osiągnąć? Gdyby chcieli cię dopaść, równie dobrze mogliby to zrobić w tej wiosce pod Norymbergą.

Miał stuprocentową rację. Coś tu było nie w porządku, ale nie rozumiałam co.

– Może – przyznałam. – Ale jakie to ma znaczenie?

– Powiedziałbym, że dosyć duże.

– Nie dla mnie. I nie teraz.

Oparł się plecami o ścianę w przedpokoju i popatrzył na mnie spoje łba. Starął się ocenić, czy wciąż jestem tą samą opanowaną i kalkulującą na chłodno osobą, którą znał.

– Nie powinnaś tam iść – rzucił.

– Wielu rzeczy nie powinnam robić.

Nie byłam pewna, ile wyczyta między wierszami, ale

przypuszczałam, że całkiem sporo. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a ja po raz kolejny poczułam, jak mi go brakowało.

Było to niedorzeczne. Nie zdążyliśmy nawet dobrze się poznać. Wiedziałam wprawdzie, jakie filmy i seriale lubi, jakiej muzyki słucha, w jakich lokalach lubi jeść i co poprawia mu humor, ale on tak naprawdę nie wiedział o mnie nic. Znał jedynie wydmuszkę, którą dla niego stworzyłam. I która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością.

Skąd mój pociąg do niego? Nie był fizyczny, a przynajmniej nie tylko. Było w nim coś znacznie głębszego. Może stąd, że był jedyną osobą, która tak naprawdę wiedziała, jaki horror przeżywałam w domu. Jedyną, która w krytycznym momencie przysłała mi na ratunek, ryzykując własne życie.

Nie powinnam jednak zapominać, że próbował pomóc nie mnie, ale osobie, którą w jego oczach byłam.

– Ale akurat tej szczególnie – odezwał się.

– Co?

Wpadłam tak głęboko w wir myśli, że nie wiedziałam, na czym skończyliśmy.

– Mówię, że akurat tego szczególnie nie powinnaś robić – wyjaśnił. – Jeśli tam pójdziesz, zapewniam cię, że już nie wrócisz.

– Więc co proponujesz?

Widziałam, że nie ma dla mnie gotowej odpowiedzi.

– I dlaczego cię to w ogóle obchodzi? – dodałam. – Jeśli porywacze chcą mnie dopaść, powinieneś raczej działać z nimi niż przeciwko nim.

Uniósł brwi.

– Zarzucasz mi coś?

– Nie, nie o to chodzi... Po prostu...

Po prostu miałam wrażenie, że wszystko i wszyscy są przeciwko mnie. Nie od dzisiaj. I nie od wczoraj. Zachowałam jednak tę myśl dla siebie.

– Muszę to zrobić, Wern – odezwałam się. – Nie mogę teraz ryzykować.

W końcu to zrozumiał. A może po prostu uszanował moją decyzję i odpuścił, uznając, że ostatecznie podjęcie jej należy

tylko do mnie.

Tuż przed południem wyszliśmy z mieszkania razem, ale rozdzieliliśmy się tuż przed placem Wolności. Wern został przy lokalu serwującym sushi, ja poszłam dalej w kierunku miejsca, gdzie miał czekać na mnie Wojtek.

Dostrzegłam go już z daleka. Siedział razem z jakimś mężczyzną na jednej z ławek nieopodal fontanny. Byli odwróceny tyłem, nie widziałam ich twarzy. Nieznajomy obejmował mojego syna, a głowa Wojtka spoczywała spokojnie na jego ramieniu.

Dopiero gdy podeszłam bliżej, uświadomiłam sobie, że spokój jest pozorny.

Mój syn miał na twarzy upiorny grymas, który widziałam na zdjęciu w internecie. Wpatrywał się pustym wzrokiem w niebo, a ciało miał zwiotczałe jak szmaciana lalka. Przyspieszyłam kroku, czując, że serce podchodzi mi do gardła.

Kiedy znalazłam się o kilka kroków od nich, rozpoznałam Glazura.

A więc to jednak on znalazł Wojtka i wyciągnął go ze szpitala. Z pewnością trafił na trop w taki sam sposób jak ja. Oczywiście. Przecież to on swego czasu zamontował w jego komórce tracker GPS, dzięki któremu mogłam go śledzić. Powinnam pomyśleć o tym od razu.

Odetchnęłam z ulgą, bo do czegokolwiek by między nami doszło, nic nie mogło sprawić, by Glazur chciał skrzywdzić mojego syna. Zjawił się tutaj, żeby mi pomóc. Nie mógł się skontaktować, bo pozbyłam się komórki, ale musiał założyć, że zwrócę się o pomoc do jedynej osoby, która mogłaby mi jej udzielić w Opolu. Stąd wiadomość w drzwiach Wenera.

Przyspieszyłam jeszcze bardziej, nie myśląc teraz o niczym poza tym, że odzyskałam syna.

Zatrzymałam się jak rażona piorunem raptem o krok od nich, kiedy rozległ się głośny, zdecydowany okrzyk.

– Stój, policja!

Jak na zawołanie z okolicznych ławek poderwało się kilka osób. Wszystkie natychmiast sięgnęły po broń i wymierzyły prosto we mnie.

Przypatrywałem się wszystkiemu z oddali, nie wiedząc, jak zareagować. Najpierw dwóch funkcjonariuszy unieruchomiło wyrywającą się Kasandrę, a potem pozostali dopadli do Glazura i Wojtka.

Mężczyznę sprowadzili bez ogródek na ziemię i natychmiast skuli kajdankami. Jeden z nich wziął chłopca na ręce i szybko ruszył w kierunku zaparkowanego nieopodal radiowożu.

Zasadzka niewątpliwie była dobrze przygotowana. Ale nie odpowiadał za nią Glazur. Policjanci potraktowali go znacznie ostrzej niż Kasandrę i nie ulegało wątpliwości, że ma nie mniejsze problemy niż ona.

Ale w takim razie kto tym wszystkim sterował? I co chciał w ten sposób osiągnąć?

Zanim się zorientowałem, wokół zebrała się cizba ludzi i ruszyła w kierunku placu Wolności. Byłem zbyt zdezorientowany, żeby podjąć świadomą decyzję, ale uległem presji tłumu i razem z innymi popędziłem ku centrum zdarzeń.

Kasandra wyrywała się, starając się dostać do Wojtka. Kiedy zrozumiała, że jej się to nie uda, zaczęła nerwowo się rozglądać. Nie miałem wątpliwości, że pośród zbieraniny gapiów szuka właśnie mnie, więc odepchnąłem jakiegoś mężczyznę i ruszyłem przed siebie.

– Wern! – krzyknęła, kiedy mnie zobaczyła.

Próbowałem się do niej przebić, ale ludzi było zbyt wiele, a policjanci już ciągnęli Kas w kierunku radiowożu.

– Zaopiekuj się nim! – dodała. – Jest więcej kaset! Znajdź je!

Nie zdążyła dodać nic więcej. Po chwili zniknęła mi z oczu, a jeden z funkcjonariuszy trzasnął za nią drzwiami auta. Poruszenie tłumu nagle opadło, zupełnie jak podczas zbiorowego oglądania meczu, kiedy strona przeciwna zdobywa gola w ostatniej chwili i nie ma już czym się emocjonować.

Gdyby ci ludzie wiedzieli, do kogo Kasandra kierowała ostatnie

słowa, z pewnością skupiliby się teraz na mnie. W całym tym zamieszaniu nie sposób było jednak zidentyfikować konkretnej osoby.

Wycofałem się, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Odszedłem kawałek w kierunku Krakowskiej, głównego opolskiego deptaka, a potem usiadłem na ławce nieopodal filharmonii.

Zwiesiłem głowę, wciąż słysząc rwetes, który tak naprawdę dawno wybrzmiał. Nadal nie mogłem zrozumieć, co się stało. Ani dlaczego Kas miałaby mówić to, co powiedziała.

Oczywiście o zaopiekowanie się jej synem w tej sytuacji poprosiłaby każdego. Ale co z tą drugą częścią? Wcześniej mogłem łudzić się, że napis „3/15” wcale nie oznacza trzeciej taśmy z piętnastu. I że Kasandra kłamie na temat pozostałych. Skoro jednak w ostatniej chwili do tego wróciła, musiałem przyjąć, że kasety rzeczywiście istnieją. Tylko dlaczego tak zależało jej na tym, żebym je znalazł?

Co tu się działo, do kurwy nędzy?

Trwałem w bezruchu jak sparaliżowany. Miałem wrażenie, że niemoc, którą czułem od jakiegoś czasu, przekształciła się w fizyczną, oplatając mnie szczelnie błoną.

Nie wiem, jak długo siedziałem pod filharmonią. Kiedy jednak w końcu się podniosłem, byłem zdeterminowany, by wreszcie poznać odpowiedzi.

Ruszyłem szybkim krokiem przed siebie, nie mając zamiaru zatrzymać się, dopóki nie wrócę do mieszkania. Stało się jednak inaczej. Niemal wrosłem w ziemię, kiedy mijałem lokal z sushi.

Zerknąłem do środka mimowolnie, sam nie wiedziałem dlaczego. Wystarczyło jednak, że moje spojrzenie padło na siedzącą przy oknie kobietę, a poczułem się, jakby trafił mnie piorun.

Stałem przed witryną z napisem „Kaiseki”, wlepiając wzrok w ostatnią osobę, jaką spodziewałem się zobaczyć w Opolu.

Potrzebowałem chwili, żeby się otrząsnąć. W końcu jednak wziąłem się w garść, chwyciłem za klamkę i wszedłem

do środka. Kobieta siedząca przy pierwszym ze stolików nie zwróciła na mnie uwagi.

Skupiała się na jedzeniu, głowę miała spuszczoną, a ciemne włosy luźno opadały jej na policzki.

Nigdy nie widziałem jej na żywo, ale swojego czasu przejrzałem w internecie wszystko, co udało mi się na jej temat znaleźć. Nie mogłem się mylić, to musiała być Jola Kliza.

Kiedy zrobiłem krok w jej kierunku, w końcu podniosła wzrok. Na moment zamarła, trzymając w pałeczkach rolkę sushi, a ja pomyślałem, że jest tak samo zszokowana moim widokiem jak ja jej.

Zaraz potem włożyła jednak hosomaka do ust i zaczęła przeżuwać.

– Hej, Wern – wymamrotała.

Przyglądałem jej się z niedowierzaniem, podczas gdy ona spokojnym ruchem wskazała mi krzesło naprzeciwko niej.

– Usiądziesz?

Potrząsnąłem głową, starając się uporać z wrażeniem całkowitego surrealizmu sytuacji.

– Co ty tu robisz? – wydusiłem, zajmując miejsce.

– Wcinam hosomaki z tamago i futomaki z łososiem. I właściwie czekam na ciebie.

– Zaraz...

– No dobra, raczej na okazję do rozmowy z tobą. Ale to nie brzmiałoby tak dobrze, prawda?

Jedna z kelnerek podeszła i podała menu, ale szybko zapewniłem, że niczego mi nie potrzeba. I rzeczywiście tak było. Jedyne, czego chciałem, to odpowiedzi – tymczasem dostawałem wyłącznie kolejne znaki zapytania.

Popatrzyłem na Klizę, uznając, że mogę odpuścić sobie wszystkie zwyczajowe formułki.

– To ty zostawiłaś mi tę kasetę? – spytałem.

– Jaką kasetę?

– Podpisaną twoim nickiem z RIC.

Jola nałożyła trochę wasabi na futomaka, a potem sprawnie złapała go między pałeczki.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– A mnie się wydaje, że doskonale wiesz.

Uniosła błagalnie spojrzenie i zaczęła przeżuwać. Sprawiała wrażenie, jakby egzystowała w jakiejś innej rzeczywistości, w której Kasandra i Glazur nie zostali właśnie ujęci przez policję.

Nawet nie chciałem myśleć o tym, co to oznaczało dla Kas. Owszem, należała jej się kara za to, co zrobiła – ale nie za wszystko. Zabójstwo Roberta Reimanna sprawiło, że sprawiedliwości stało się zadość.

Kasandra trafi za to za kratki, nie było innej możliwości. Śledczy zebrali aż nadto materiału dowodowego, co więcej, mieli moje zeznania. Złożyłem je zaraz po tym, jak Kas mnie okpiła. Byłem wściekły, nie myślałem racjonalnie. I przedstawiłem wszystko tak, by poniosła jak najdotkliwszą karę.

Wtedy wydawało się to uzasadnione, bo manipulowała mną, jak jej się żywnie podobało. I odnosiłem wrażenie, że teraz to samo starała się robić Kliza.

– Naprawdę masz zamiar się wypierać? – zapytałem, rozkładając ręce. – Zjawiasz się tutaj akurat w momencie, kiedy Kasandra i Glazur trafiają do aresztu, i chcesz powiedzieć, że...

– Co takiego? – przerwała mi, odkładając pałeczki. – Jakiego aresztu?

– Nie słyszałaś?

Powiodła wzrokiem dookoła, a ja przekonałem się, że jej pewność siebie była jedynie pozorna. Pod tą twardą zewnętrzną skorupą była raczej nieśmiałą dziewczyną, która jakiś czas temu musiała nauczyć się to ukrywać.

Zerknąłem na zegarek i przekonałem się, że od akcji na placu Wolności minęły dopiero dwa kwadransy.

– Jak długo tu siedzisz? – zapytałem.

– Trochę ponad pół godziny – odparła szybko dla porządku, a potem odrzuciła włosy na bok. – Może byś mi wyjaśnił, co się stało?

– Mógłbym. Ale nie wiem, czy powinienem.

Spojrzała na mnie z wyrzutem, ale szybko uciekła wzrokiem. Uświadomiłem sobie, że od kiedy wszedłem, za każdym razem

patrzyła na mnie tylko przelotnie.

Oprócz tego uzmysłowiłem sobie jeszcze coś. W gruncie rzeczy Kliza samodzielnie wyciągnęła mnie z kłopotów po zabójstwie Blitza. To ona wyprowadziła mnie za rękę z Opola i sprawiła, że policja nie trafiła na mój trop, w momencie gdy byłoby to dla mnie najbardziej kłopotliwe.

Tyle że to nie wystarczało, bym jej zaufał. Szczególnie po tym, jak boleśnie utwierdziłem się w przekonaniu, że istnieją tylko dwa powody, dla których nie powinniśmy ufać ludziom. Pierwszy: bo ich nie znamy. Drugi, może ważniejszy: ponieważ ich znamy.

– Jak do tego doszło? – spytała Kliza. – I kiedy?

Nie odpowiadałem, wciąż nie potrafiąc podjąć decyzji.

– Wern?

Wstałem z krzesła i uniosłem otwarte dłonie.

– Nie mam pojęcia, co tu się dzieje – powiedziałem. – Ale wiem, że to nie moja sprawa.

– Poczekaj...

Chciałem ruszyć w kierunku wyjścia, ale Kliza złapała mnie za rękę. Wyglądała na nieco zażenowaną, ale trzymała mocno. Odniosłem wrażenie, że to zachowanie w jakiś sposób oddaje cały jej charakter.

– Mówiłeś, że dostałeś kasetę podpisaną moim nickiem?

– Raczej znalazłem.

– I myślisz, że to ja ci ją przysłałam?

Skinąłem niepewnie głową.

– A nie wpadłeś na to, że ktoś mógł po prostu dać ci wskazówkę, do kogo się zwrócić?

– To znaczy? – spytałem, kręcąc głową. – Po jaką cholerę ktoś miałby to robić?

– Nie wiem, bo na razie właściwie nic mi nie wyjaśniłeś. – W końcu puściła moją rękę. – Ale może nadawca podpisał ją moim nickiem, żebyś się ze mną skontaktował?

Jeszcze przez chwilę zapewniała mnie, że nie wie nic o żadnej taśmie, a ja starałem się przesądzić, czy tak dobrze potrafi grać, czy może jednak mówi prawdę. Jeśli intuicja mnie nie myliła,

aktorka z niej żadna. Uznałem, że na razie tyle wystarczy, bym chociaż jej wysłuchał.

– Okej – odparłem, na powrót zajmując miejsce. – W takim razie wytłumacz mi, co tutaj robisz.

– Przyjechałam na prośbę Glazura.

– Co?

Podniosła pałeczki, obróciła je w dłoni, a potem zmarszczyła czoło.

– Ty naprawdę o niczym nie wiesz – zauważyła.

– Nie, najwyraźniej nie.

Przyjrzała mi się, a ja przez moment obawiałem się, że zanim mi cokolwiek wyjaśni, postawi warunek, bym ja jako pierwszy powiedział, co stało się z Kasandrą i Glazurem. Szczęśliwie musiała uznać, że taka przepychanka nie ma sensu.

– Syn Kasandry zaginął – podjęła.

– Tak, wiem.

– A więc jednak o czymś masz pojęcie.

– Tylko o tym. I o tym, że mieszkali gdzieś pod Norymbergą.

– W Winkelhaid – odparła Jola, podnosząc hosomaka. – Przez jakiś czas układało im się dobrze, przynajmniej z tego, co mówił Glazur.

– Utrzymywałaś z nimi kontakt?

– Przed wszystkim z nim, choć raz ich odwiedziłam.

Przypomniałem sobie informacje, do których dotarliśmy z Blitzem przed zatrudnieniem Reimann Investigations. Kliza mieszkała kiedyś w Niemczech, studiowała tam. Być może po tym, jak Robert wyrzucił ją z firmy, wróciła na stare śmieci.

– Nie pociągnęli długo jako para – dodała. – Kasandra nie potrafiła się w tym odnaleźć. I trudno się jej dziwić.

– Wiedziałaś o tym, co przechodziła?

– Glazur powiedział mi dopiero po fakcie. I już po tym, jak się rozstali.

Z pewnością nie powinien był tego robić, ale najwyraźniej tych dwoje utrzymywało bardziej zażyłe relacje, niż przypuszczałem.

– W każdym razie zaczynała układać sobie życie w Winkelhaid, razem z Wojtkiem – ciągnęła Jola. – Do momentu, aż ten znikł. Od

razu założyła, że to ma jakiś związek z Robertem, więc zaczęła odchodzić od zmysłów.

– Skąd wiesz?

– Od Glazura.

– A on skąd o tym wiedział, skoro się rozstali?

Dałem jej chwilę na to, by przeżuła. Potem znów złożyła pałeczki na czarnym podłużnym talerzu.

– Nawiązał trochę znajomości, kiedy był w Winkelhaid – wyjaśniła. – Przypuszczam, że reszta to jego gdybania. Ale zna Kasandrę dość dobrze i wie, o czym mówi.

– Z pewnością – mruknąłem i mimo woli przypomniałem sobie, jak mnie znokautowali i zostawili na poboczu.

– Co stało się potem? – zapytałem.

– Glazur wykorzystał tracker GPS, który lata temu umieścił w telefonie młodego.

– Telefonie, który został w Rewalu – zauważyłem.

– Tak – przyznała Jola. – Ale sygnał pojawił się w Opolu. I byliśmy pewni, że Kasandra także go namierzyła.

Brzmiało to, jakby Kliza i Glazur się nie rozstawali, ale może przesadzałem. Moja wyobraźnia właściwie wszędzie upatrywała spisków i machinacji. Być może nie bez powodu.

– Wystarczyły login i hasło – kontynuowała. – I bez trudu można było sprawdzić, gdzie jest telefon.

– Więc ktoś zabrał go z Rewala i włączył w Opolu – powiedziałem. – Po co?

– Nie mam pojęcia.

Potarłem nerwowo czoło, jakby łąpała mnie migrena.

– Więc od razu przyjechaliście tutaj? – spytałem.

– Chcieliśmy pomóc.

– Bo?

– Glazura chyba nie muszę tłumaczyć – odparła z pewną niechęcią w głosie. – A jeśli o mnie chodzi, cóż...

– Zrobiłaś to dla niego?

– Nie. Boże, w żadnym wypadku – zastrzegła. – Powiedzmy, że Kasandra to jedyna osoba, jaka kiedykolwiek o mnie zawalczyła.

Nabrałem głęboko tchu, zastanawiając się, w co powinienem

wierzyć. Historia Klizy jak na razie brzmiała dość wiarygodnie, ale równie dobrze mogła być zgrabną zasłoną dymną.

– Na miejscu trafiliśmy na ślad po Wojtku – dodała. – Glazur natychmiast odebrał go ze szpitala i...

– Więc nie wiecie, co mu się stało?

Jola pokręciła głową.

– Ani kto go porwał? I dlaczego?

– Nie. Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć, ale... Jezu, widziałeś tego chłopaka? To warzywo.

Skrzywiłem się, słysząc to określenie. Kliza zresztą sama się wzdrygnęła, zorientowawszy się poniewczasie, że niepotrzebnie go użyła.

– Dlatego też nie udało nam się ustalić, kto za tym wszystkim stoi – ciągnęła. – Ciebie też braliśmy pod uwagę.

– Mnie?

– A kto miałby lepszy powód, żeby mścić się na Kasandrze? – spytała, a ja nie odpowiedziałem. – Wiedzieliśmy, że się u ciebie zatrzymała, i na wszelki wypadek zostawiliśmy list z informacją, żeby zjawiła się na placu Wolności sama.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Wczoraj uznawałaś mnie za podejrzanego, a dzisiaj ze mną rozmawiasz jakby nigdy nic? – spytałem.

– Jak dla mnie, od początku byłeś słabym kandydatem na porywacza – odparła i wzruszyła ramionami. – Ale Glazur był innego zdania.

Kelnerka znów się do nas zbliżyła i upewniła, czy nie chciałbym czegoś zamówić. Zerknąłem na menu i wybrałem pierwsze lepsze nigiri.

– Dlaczego nie poszłaś z nim na plac Wolności? – zapytałem. – Siedziałaś tutaj spokojnie, podczas gdy on...

– To oskarżenie?

– Nie. Po prostu stwierdzenie oczywistego faktu, że to trochę podejrzan.

– Brzmisz, jakbyś miał paranoję, Wern.

– Może powinienem mieć – odparowałem. – A ty może powinnaś wyjaśnić mi, dlaczego nie czekałaś tam z Glazurem.

– Uznaliśmy, że moja niespodziewana obecność mogłaby wywołać niepokój Kasandry. I że lepiej, żeby wszystko załatwił sam.

Właściwie miało to sens. Im mniej osób, tym mniejsze zamieszanie i mniejsza konieczność tłumaczenia wszystkiego. Z pewnością zależało im na tym, żeby Kas zrozumiała wszystko jak najszybciej i nie zadawała zbędnych pytań. Przypuszczałem, że planowali zmyć się stamtąd zaraz po spotkaniu.

A jednak nie zdążyli.

– To wszystko, Wern – rzuciła Jola. – I zapewniam cię, że nie mam pojęcia o żadnych kasetach. Przyjechałam tu, żeby pomóc Wojtkowi.

Naprawdę łatwo byłoby w to wszystko uwierzyć. To, co mówiła Kliza, brzmiało dość wiarygodnie i jawiło się jako spójna, logiczna całość. Nauczony doświadczeniem, nie miałem jednak zamiaru pochopnie podejmować decyzji.

Tyle że Kliza nie musiała o tym wiedzieć.

– W porządku – powiedziałem.

– Twoja kolej – odparła szybko. – Mów, co tam się stało?

Opisałem jej policyjną zasadzkę, a ona ani przez moment nie sprawiała wrażenia, jakby się tego spodziewała. Nie, więcej. Wyglądała na coraz bardziej zszokowaną.

Kiedy skończyłem, potrzebowała chwili, by wszystko przyswoić. Skorzystałem z okazji i zjadłem nigiri z łososiem, wcześniej zanurzywszy końcówkę ryby w sosie sojowym. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ostatnio karmiłem się wyłącznie trzema rzeczami: wodą, chmielem i słodem jęczmiennym. Z lekką domieszką procentów.

– I jesteś pewien, że to powiedziała?

– Co?

– Że są inne kasety? I że musisz je znaleźć?

– Raczej się nie przesłyszałem.

Znów zamilkła i przez jakiś czas się namyślała.

– Ale co na nich jest? – zapytała. – I gdzie one są?

– Nie wiem.

Wbiła wzrok prosto w moje oczy. Tym razem wytrzymała

o wiele dłużej.

– W takim razie najwyższa pora się dowiedzieć – stwierdziła.

6

W celi przejściowej byłam sama, ale nie był to główny powód, dla którego czułam się samotna. Ktoś kiedyś powiedział, że najbardziej osamotnieni jesteśmy, gdy obserwujemy, jak cały świat upada, a my nie możemy nic z tym zrobić. I miał rację.

Po tym, jak policja zatrzymała mnie i Glazura na placu Wolności, trafiłam prosto do aresztu śledczego. Zostaliśmy rozdzieleni, a ja nie miałam okazji, by cokolwiek się dowiedzieć.

Wiedziałam jedno – to nie Glazur przygotował zasadzkę. Ktokolwiek to zrobił, chciał pozbyć się nas obojga.

Miałam kilka typów. Zaczynając od Werna, przez Klizę, a kończąc na ludziach Roberta szukających zemsty. Zemsty lub pieniędzy zabranych przeze mnie do Niemiec. Były to gigantyczne środki, które systematycznie przelewałam na szereg kont, przygotowując się do ucieczki od męża.

Motywacji było aż nadto. Zarówno jeśli chodziło o tych, jak i innych kandydatów. Każdemu potrafiłam przypisać jakiś powód, dla którego mógłby chcieć mnie zniszczyć.

Ale który z nich byłby gotów poświęcić dziecko?

Wciąż miałam przed oczami wyraz twarzy Wojtka, a w myślach świadomość tego, że potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Poza mną nie miał nikogo, w tej chwili musieli otaczać go całkiem obcy ludzie.

Kto zgotował mu ten los?

Pora spojrzeć prawdzie w oczy, uznałam. Przecież doskonale znałam odpowiedź na to pytanie.

Kogo chciałam oszukać? Siebie? Tak jak oszukałam Wernera?

Wiedziałam aż za dobrze, kto i dlaczego wziął mnie na celownik. I przecież właśnie z tego powodu w ostatniej chwili krzyknęłam do Damiana, by szukał pozostałych kaset.

Czy to mogło cokolwiek zmienić? I sprawić, że jakimś cudem uniknę więzienia?

Tocząc wzrokiem po pustej celi, łudziłam się jeszcze, że tak. Kiedy jednak drzwi się otworzyły i w progu zjawiała się dziewczyna, z którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miałam spędzić następne kilka godzin, cała nadzieja prysła.

Współwięźniarka usiadła na prycy naprzeciwko, a potem pochyliła się i oparła ręce na kolanach. Wpatrywała się we mnie wyzywająco, choć nie odzywała się słowem. Liczne tatuaże na rękach nie były żadnymi dziełami sztuki, ale zwyczajnymi dziarami, o jakie można wzbogacić się jedynie w więzieniu.

Była obcięta na zero, rysy twarzy miała mocno ciosane, niemal męskie. Podkrążone oczy i zaczerwienione spojówki kazały mi sądzić, że dziewczyna potrafi załatwić sobie za kratkami rzeczy, które przynajmniej na jakiś czas przenoszą ją do innego świata.

– Migota – odezwała się.

Uniosłam wzrok, ale nie odniosłam wrażenia, żeby którakolwiek z lamp mrugała.

– A ty? – dodała.

Dopiero teraz zrozumiałam, że mi się przedstawiła.

– Kasandra.

Migota uśmiechnęła się szeroko, a ja zauważyłam ciemny nalot przy nasadzie jej zębów.

– Czyli dobrze trafiłam – skwitowała.

Od momentu gdy weszła do celi, nie miałam wątpliwości, że to nieprzypadkowe spotkanie. Teraz otrzymałam wyraźne potwierdzenie.

– Nie wyglądasz na zdziwioną – zauważyła.

– Powinnam być?

– No chyba, kurwa, nie.

Podniosła się, jakby miała zamiar mnie zaatakować, ale ja nie ruszyłam się ani o centymetr. Nie miałam zamiaru jej prowokować i liczyłam jeszcze na to, że uda mi się wyjść z opresji obronną ręką.

Stała przede mną i spojrzała na mnie z góry.

Dziwne. Nie czułam zagrożenia, nie wystąpiło to znajome

uczucie, które nadchodziło, ilekroć Robert podnosił na mnie rękę. Mimo to wiedziałam, że niewiele trzeba, by w tej sytuacji pięści poszły w ruch.

– Strasznie chujowa sprawa z twoim dzieckiem – rzuciła Migota.

Skinęłam głową.

– A jeszcze słabiej, że nie możesz się nim zaopiekować.

– To prawda.

– No i że to twoja wina.

Skierowałam na nią wzrok, a potem powoli się podniosłam. Nie cofnęła się ani o krok, przez co znalazłyśmy się w odległości kilku centymetrów od siebie. Spojrzałyśmy sobie w oczy.

– Zjebałaś mu całe życie, dziewczyno.

Była o kilka lat młodsza ode mnie, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało.

– Mógł rwać laski, walić driny z kumplami i korzystać z życia, a zamiast tego będzie pierdolonym warzywem.

Starłam się jej nie słuchać. Robiłam wszystko, by jej słowa trafiały gdzieś obok mnie. Powtarzałam sobie w duchu, że skoro do tej pory nie zaatakowała, to nie ma zamiaru robić tego jako pierwsza. Prowokuje mnie, licząc na to, że ja zacznę.

– Naprawdę masz to w dupie? – spytała. – Co z ciebie za matka? Nie czaisz, że twój syn będzie cię teraz potrzebował bardziej niż wcześniej?

Nie odpowiadałam.

Myślałam o tym bez przerwy. Miałam wrażenie, że częściej, niż brałam oddech. W dodatku przypominały mi się te wszystkie momenty, kiedy musiałam zostawić Wojtka. Pierwsze odwiezienie do przedszkola, pierwszy dzień w podstawówce, pierwszy wyjazd na obóz.

Za każdym razem serce pękało mi na nowo, kiedy posyłał mi długie spojrzenie, a ja widziałam, jak szkliste miał oczy. Większość jego rówieśników cieszyła się na wyjazdy, on nigdy. Za każdym razem wydawało mi się, że to dla niego najgorsza kara.

Ale to Robert decydował. A ja czasem bez obiekcji na to

przystawałam, świadoma, że każdy dzień Wojtka poza domem to dzień bez narażania go na to, że zobaczy, co robi jego ojciec.

– Ja jebię – skwitowała Migota. – Słyszałam, że masz nasrane, ale...

Pokręciła głową, syknęła z wyższością, a potem wróciła na swoją pryczę. Znow usiadła z rękoma opartymi o kolana.

– Klapnij se – poradziła. – Trochę nam zejdzie.

– Na czym?

– Na ustaleniu, co będziesz teraz robić.

Zajęłam swoje miejsce, czekając na dalszy ciąg.

– Ogarniasz sytuację? – odezwała się Migota. – Wiesz, kto mnie przysłał?

– Tak.

Nie miałam stuprocentowej pewności, ale prawdopodobieństwo, że się mylę, było znikome.

– Zajebicie – dodała współosadzona. – Odpadło nam trochę tłumaczeń.

– Mhm.

Nachyliła się w moją stronę.

– A teraz wyjaśnij mi, co jest z tymi, kurwa, kasetami – rzuciła stanowczo.

Otworzyłam usta, ale nie zdążyłam się odezwać, gdyż rozległ się dźwięk otwieranej zasuwki. Drzwi uchyliły się z nieprzyjemnym, metalicznym skrzypieniem, a do środka wszedł mężczyzna w szarym swetrze z granatową kieszenią na piersi.

Strażnik więzienny spojrzał najpierw na mnie, a potem na Migotę. Westchnął i wskazał jej korytarz.

– Wywalaj stąd – rzucił.

– Ale...

– No już, wypad – uciął funkcjonariusz, chowając ręce do kieszeni. – Co ty tu w ogóle robisz? Kto cię wpuścił?

– Nikt.

Migota wstała i posłusznie opuściła celę, jakby w okamgnieniu stała się zupełnie inną osobą. Na odchodnym posłała jeszcze strażnikowi krzywy uśmiech, który zdawał się świadczyć o tym, że żyją w dobrej komitywie.

Potem funkcjonariusz zamknął drzwi i spojrzał na mnie z góry.

– Komuś się coś popierdoliło – oznajmił, wskazując na drzwi. – Nie powinno jej tu być.

– Nic się nie stało.

– Nie groziła ci? Nie odstawiała niczego?

– Nie.

– To dobrze – odparł, jakby nieco zmieszany. Podrapał się po głowie. – Miałaś już pogadankę?

– Pogadankę?

– O zagrożeniach dla twojego bezpieczeństwa osobistego oraz zetknięciu się z przejawami negatywnych zachowań charakterystycznych dla środowisk przestępczych? – wyrecytował ustawową formułkę, którą musiał posługiwać się już niezliczoną ilość razy.

– Tak.

– I wiesz, że powinnaś powiadamiać przełożonych o zagrożeniach bezpieczeństwa osobistego swojego i innych tymczasowo aresztowanych?

– Tak – potwierdziłam.

– Nie chcesz teraz mnie o niczym powiadomić?

– Nie.

Wszystko to, o czym mówił klawisz, przedstawił mi już wychowawca. Zjawił się w celi przejściowej tuż po tym, jak oddałam wszystkie moje rzeczy do depozytu i odebrałam więzienny przydział. Mówił długo i jednostajnie, jakby automatycznie klepał mantrę i nie był świadomy, że jego słowa w istocie potwierdzają, iż powinnam zapomnieć o życiu, jakie dotychczas prowadziłam.

– Dobra – rzucił strażnik. – Za dwa dni będzie rozmowa wstępna, dowiesz się szczegółów. Jasne?

– Tak – powiedziałam po raz kolejny.

Zdawał się zadowolony, że udzielał krótkich, zdecydowanych odpowiedzi. Korzystając z kredytu dobrej woli, jakiego najwyraźniej mi udzielił, postanowiłam upomnieć się o swoje.

– Muszę powiadomić kogoś, gdzie jestem – odezwałam się.

– Później.

– Wychowawca mówił, że mam prawo do...

– Masz prawo do zamknięcia ryja – uciął. – I skorzystaj z niego, zanim mnie porządnie wkurwisz.

Zamarłam z otwartymi ustami. Może nie powinna dziwić mnie jego obcesowość. Był młody, może dopiero zaczynał pracę w tym miejscu, a to oznaczało, że za ścieranie się z więźniami, bycie obiektem kpin i szykan, częste poniżanie i pracę w ekstremalnie trudnych warunkach dostawał najwyżej tysiąc trzysta na rękę.

Z pewnością był sfrustrowany. W dodatku niejednokrotnie musiał odnosić wrażenie, że osadzeni mają znacznie więcej praw i przywilejów niż ci, którzy ich pilnują. Jakoś musiał to sobie odbić.

– Rozumiesz? – spytał funkcjonariusz.

– Tak.

Nie było sensu protestować. Zasady zasadami, szczególnie te pisane, ale tu i teraz liczyło się tylko prawo zwyczajowe. A ja jeszcze go nie znałam.

– Wiesz w ogóle, gdzie jesteś? – spytał.

Pytanie było retoryczne, więc tylko skinęłam głową.

– Słyszałaś o tym miejscu?

Właściwie wiedziałam jedynie tyle, że ten konkretny areszt śledczy mieści się pod Opolem i ma oddział dla kobiet. I to wyłącznie dzięki temu, że swojego czasu stałam się specjalistką od tej okolicy.

– Chyba niewiele, skoro siedzisz sobie tak spokojnie – dodał funkcjonariusz. – To Zamtuz.

Słowo jakiś czas temu obiło mi się o uszy – i bynajmniej nie jako staropolskie określenie domu rozpusty. Czytałam o Zamtuzie nawet kilka artykułów, podobnie jak o Babińcu pod Wrocławiem. Obydwa miejsca były kobiecymi oddziałami więziennymi niecieszącymi się dobrą sławą.

Jeśli wierzyć doniesieniom medialnym, prostytutka miała być tu na porządku dziennym, do gwałtów dochodziło tylko trochę rzadziej, a kobiety za wszystko płaciły strażnikom więziennym swoimi ciałami.

– Oho – rzucił funkcjonariusz. – Chyba coś jednak kojarzysz.
– Tak, ale...
– Spokojnie. Większość to brednie. Jak będziesz się pilnować i trzymać sztamę z właściwymi ludźmi, nic ci nie będzie.
– A ci właściwi ludzie to...
– My – odparł bez wahania. – Im lepiej będziesz z nami żyła, tym mniej problemów sobie narobisz.

Oparł się plecami o drzwi, wciąż nie wyciągając ręk z kieszeni. Przyglądał mi się uważnie, jakby starał się ustalić, czy będę sprawiała kłopoty, czy nie.

Naprawdę wylądowałam w Zamtuzie? Nie kojarzyłam wprawdzie, który konkretnie oddział nazywano w ten sposób, ale wiedziałam, że znajduje się gdzieś w okolicach Opolą.

Nie mogłam gorzej trafić. Przepustki dostawały tutaj tylko te więźniarki, które płaciły jedyną posiadaną walutą. Podobnie sprawa miała się z dostępem do karty telefonicznej, która stanowiła towar równie cenny jak zwyczajski kupon lotto na wolności.

O ile mnie pamięć nie myliła, pisano też o pieniądzach za seks. Stawki miały być różne, od pięćdziesięciu do dwustu złotych. Tylko tyle był tutaj wart honor. A jeśli raz się go pozbyło, nie sposób było go odbudować. Te, które po jakimś czasie przestały godzić się na świadczenie seksualnych usług strażnikom, były do tego zmuszane. O sprawie zrobiło się głośno, kiedy jedna z osadzonych zaszła w ciążę.

Ale może strażnik miał rację, może media wyolbrzymiały sprawę. Nie byłby to ani pierwszy, ani ostatni raz.

– Rozumiesz, o czym mówię? – spytał, wyrывая mnie z zamyślenia.

– Tak.

– To świetnie.

Wyglądał, jakby miał zamiar jeszcze coś dodać, ale milczał.

Po chwili zobaczyłam, że porusza jedną dłońią w kieszeni. Od razu przyszły mi na myśl najgorsze możliwe powody, ale strażnik wysunął nieco rękę i zobaczyłam, że trzyma w niej telefon komórkowy. Model sprzed kilku lat, dotykowy, ale żaden

flagowiec.

– Potraktuj to jako sugestię, że opłaca się z nami dobrze żyć – odezwał się.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jeśli rację mieli dziennikarze publikujący wszystkie te mrożące krew w żyłach historie, mogłam popełnić karygodny błąd. Jeśli nie – przegapić niepowtarzalną okazję.

Mogłam wyjść z tej sytuacji obronną ręką, jeśli Wern zrobi to, czego od niego wymagałam. Tyle że on sam nie miał pojęcia, do czego się to sprowadzało. Moja niewiele mówiąca prośba, by znalazł kasety, mogła być niewystarczająca.

Do cholery, pewnie taka się okazała. Łudziłam się tylko, że tyle wystarczy. W rzeczywistości potrzebował nieco więcej wskazówek.

– Nie skorzystasz? – zapytał klawisz.

– Cóż...

– Nie potrzebujesz nigdzie zadzwonić? Przed chwilą chciałaś dać komuś znać.

Milczałam, wciąż się namyślając.

– Jeśli zastanawiasz się, co musisz zrobić w zamian, to mogę od razu ci powiedzieć: nic.

Nawet jeśli rzeczywiście tak było, nie chciałam zaciągać kredytu w banku przysług funkcjonariuszy. Różnie mogło się to skończyć, szczególnie na początku mojego pobytu w tym miejscu.

Musiałam jednak dać Wernerowi znać, w jaki sposób może mnie stąd wyciągnąć.

– W porządku – powiedziałam. – Dziękuję.

Uśmiechnął się, ale nie podał mi komórki. Zamiast tego schował ją do kieszeni.

Zauważyłam, że zaczyna ruszać drugą ręką.

– Nie musisz nic robić... – powiedział cicho. – Wystarczy, że będziesz tam siedzieć.

Wlepiął we mnie wzrok, coraz szybciej ruszając dłonią. Kiedy zaczął głośno sapać, odwróciłam wzrok.

– Hej! – krzyknął. – Patrz na mnie!

Nie miałam zamiaru tego robić.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

Odwróciłam się od niego. Miałam świadomość, że jeśli zgodzę się na ten pierwszy krok, potem nie będzie odwrotu.

Strażnik przerwał, a potem zaklął pod nosem.

– Jak sobie chcesz, suko – rzucił i otworzył drzwi. – Ale zapewniam cię, że będziesz robić mi gałę jak szalona, jak tylko zatęsknisz za synkiem. A ja nie będę wtedy taki, kurwa, uprzejmy.

Wyszedł, a ja uświadomiłam sobie, że trafiłam do piekła.

7

Jasne było dla mnie, że nic nigdy nie dzieje się bez powodu – chciałbym jednak częściej go znać. Tak jak teraz, kiedy przyglądałam się kasecie i zastanawiałem, co sprawiło, że znalazła się w moim mieszkaniu. Kto ją przysłał? I dlaczego?

Oglądałam ją bez końca, Kliza także. I tak jak ja nie miała błędnego pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

Zaproponowałam, że może się u mnie przespać, ale nawet przez chwilę nie zakładała takiej możliwości. Wróciła na noc do hotelu Kamienica przy Solarisie, twierdząc, że ma tam wszystko, czego potrzebuje. Zjawiała się następnego dnia z samego rana i wystarczył rzut oka, bym zrozumiał, że niewiele spała. Ze mną było podobnie.

– Jedna rzecz jest dla mnie oczywista – zaczęła, wchodząc do loftu. – Ewa nie nagrała tego wszystkiego bez powodu.

Uznałam, że to najwyraźniej było powitanie.

– W porządku – mruknąłem, jeszcze nie do końca rozbudzony.

– Dlaczego więc to zrobiła?

– Chciała opowiedzieć swoją historię.

– Komu?

– Temu, kto znajdzie kasetę... – wymamrotałem. – To znaczy kasety, jeśli wierzyć Kasandrze.

– Wierzyć jej? Wern, jeszcze do końca nie wypłukałeś z żołądka trucizny, którą ci podała, mówiąc, że to eliksir życia.

Zamilkłem, zastanawiając się nad tym, czy dobrze robię, snując te rozważania właśnie z Klizą. Wciąż nie byłem pewien, komu mogę ufać, a komu nie.

– W tym wypadku wydaje się wiarygodna – odparłem, przechodząc do kuchni. Nalałem wody do czajnika, a potem wrzuciłem torebki herbaty do dwóch czerwonych kubków nescafé. – I tak sugeruje podpis na kasecie: trzy-piętnaście.

Jola stanęła obok i spojrzała z rezerwą na kubki.

– Nie masz ekspresu do kawy? – spytała, rozglądając się.

– Nie za bardzo.

– Samej kawy też nie? Sypanej? Rozpuszczalnej?

Pokręciłem głową, uzmysławiając sobie, jak marne zapasy miałem w domu. Wszystko wynikało z tego, że do przeżycia właściwie wystarczała mi dobra gra z trybem online, kilka puszek piwa i cokolwiek przypominającego jedzenie.

– Mniejsza z tym – powiedziała. – I mniejsza z Kasandrą. Skupmy się na Ewie.

– Jestem za.

– Więc zastanówmy się, po co te nagrania?

– Z wewnętrznej potrzeby, żeby opowiedzieć komuś o tym, co jej się przydarzyło? Może to był jakiś zawór bezpieczeństwa, dzięki któremu nie odeszła od zmysłów po tym, jak zniknęła.

Kliza zaczęła przeszukiwać puste szafki.

– Zakładasz, że została porwana? Czy że sama uciekła?

– Nie wiem już, co zakładać – odparłem cicho. – Równie dobrze może się okazać, że to Prokocki za tym stoi.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie. I nie mam zamiaru.

– Może powinienes.

Prychnąłem, a potem położyłem rękę na drzwiczkach szafki, którą miała zamiar przejrzeć. Szybko odebrała niewypowiedziany sygnał, że jej poszukiwania pójdą na marne.

– Ten facet pokazał mi zdjęcie zwłok i wmawiał, że należą do niej – odparłem. – Ewidentnie zrobi wszystko, żeby nikt nie trafił na jej trop. Nawet ja... albo szczególnie ja.

– A nie przeszło ci przez myśl, że to naprawdę mogła być ona?

– Nie.

– Bo?

– Bo Kas twierdzi, że ona żyje. I że cała sprawa z zeznaniami przeciwko Kajmanowi była prawdą.

– Ale Prokocki zaprzecza.

– Tak – przyznałem. – I dlatego nie mam zamiaru z nim rozmawiać.

Kliza poczekała, aż zaleję herbatę, a potem usiadła z kubkiem przy niewielkim stoliku. Kupiłem go za bezcen na OLX, podobnie jak dwa stare krzesła, które stały obok. Właściwie całe wyposażenie loftu skompletowałem w ten sposób, dzięki czemu wnętrze sprawiało wrażenie, jakby celowo zostało utrzymane w stylu retro.

– Może w takim razie powinieneś porozmawiać z kimś innym? – odezwała się Kliza.

– Z kim?

– Z Kajmanem.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem, czekając, aż oświadczy mi, że to tylko bezrefleksyjna, niemal przypadkowo rzucona sugestia. Jola jednak trwała z niezmienionym wyrazem twarzy.

– To nie jest zły pomysł, Wern.

– Chyba żartujesz...

– Szczerze mówiąc, nie bardzo umiem. Spalam każdy dowcip.

– Tego nie spaliłaś.

– Bo to nie był żart – odparła, a potem objęła kubek dłońmi. – Ten facet może wiedzieć dokładnie to, co cię interesuje.

– Fakt – przyznałem. – Tyle że jest gangsterem, który kierował zorganizowaną grupą przestępczą. Przekręty Roberta Reimanna to przy jego działalności nic.

– Boisz się go, Wern? – spytała z przekąsem.

Usiadłem naprzeciwko niej i posłałem jej długie spojrzenie.

– Jeśli tak, to szkoda.

– Szkoda?

– Bo złożyłam wniosek o widzenie.

– Co takiego?

– Uznałam, że najlepiej będzie...

– Spotkać się z człowiekiem, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wciąż poluje na moją narzeczoną?

To prawdopodobieństwo istniało tylko przy założeniu, że Kasandra mówiła prawdę. Byłem jednak przekonany, że tak jest, nawet jeśli Kliza w to wątpiła.

– O czym ty myślałaś? – wypaliłem. – Przecież nic z niego nie wyciągnę. On tymczasem zrobi wszystko, żeby wyciągnąć coś ze mnie.

– Tyle że ty nic nie wiesz.

– On tym bardziej nie.

– Jesteś pewien?

Nie, nie byłem. W tej sprawie było zbyt wiele krętych i ślepych uliczek, żebym mógł wytyczyć drogę do celu. Czułem się, jakby ktoś zamknął mnie w tym labiryncie i za punkt honoru postawił sobie, bym na próżno szukał wyjścia aż do końca życia.

Ale do czego ono właściwie się sprowadzało? Do szukania Ewy? Gonitwy za powidokiem osoby, która kiedyś znaczyła dla mnie wszystko, a teraz mogła zmienić się właściwie nie do poznania?

– Musisz się z nim spotkać – dodała po chwili Jola. – Nawet jeśli Kajman nic nie wie, przynajmniej skreślimy go z listy.

– Żeby go skreślić, musielibyśmy mieć pewność, że powie mi prawdę – odparłem. – A jestem przekonany, że usłyszę od niego same kłamstwa. O ile w ogóle zechce się spotkać.

– Skorzysta z okazji, żeby zobaczyć nową twarz i wyrwać się z celi. Jak każdy więzień.

Upiłem łyk herbaty i syknąłem, czując, że poparzyłem sobie język i podniebienie. To ewidentnie nie była dobra pora na gorące napoje, uznałem w duchu, po czym poszedłem do lodówki po coś innego. Wyjąłem butelkę prosecco.

– Nie wiedziałam, że w tym gustujesz.

– Nie gustuję.

– Więc kupiłeś dla Kasandry? Uznałeś, że coś jej się od życia należy?

Wzruszyłem ramionami i wyjąłem z szafki szklanę. Kieliszków jeszcze nie zdążyłem kupić. Może zresztą nie były mi potrzebne.

– Odstawiła prosecco – dodała Jola. – Źle jej się kojarzyło.

Zignorowałem uwagę, otwierając butelkę. Pociągnąłem łyk i od razu zrobiło mi się lepiej. Nie na tyle, by przejść do porządku nad faktem, że Kliza starała się doprowadzić do konfrontacji z mafiosem, ale przynajmniej trochę.

– Spotkanie z Kajmanem to dobry krok, Wern – zapewniła Jola.
– Już dawno powinienesz go zrobić.

– Jakoś nie po drodze mi było spotykać się z człowiekiem, który mógł zlecić gwałt i pobicie mojej narzeczonej. I który był powodem jej zniknięcia.

– Przynajmniej wedle obowiązującej obecnie wersji – zauważyła.

Niepotrzebnie wciąż podawała ją w wątpliwość. Wydawała się przecież najbardziej logiczna.

Ewa zeznaje przeciwko Kajmanowi, ten najmuje zbirów, by nas zaatakowali. Prokocki nie może zapewnić Ewie państwowej ochrony, więc ukrywa ją na własną rękę.

Ale co stało się potem? Dlaczego nigdy do mnie nie wróciła? Nie dała żadnego znaku życia?

Na fundamencie tych pytań Kasandra stworzyła swoją wersję, którą wykorzystała do omotania mnie. Ale stanowiła wyłącznie jej wymysł. To, co naprawdę działo się z Ewą, było jedną wielką niewiadomą.

Odpowiedzi jednak gdzieś były. Na czternastu pozostałych kasetach.

– Sprawdziłam trop, który podsunęła Kasandra – odezwała się po chwili Kliza, jakby chciała usprawiedliwić swoją powściągliwość.

Zmarszczyłem czoło, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

– Mam na myśli tę wioskę pod Kielcami, gdzie Ewa miała się zaszyć. I gdzie Kas miała znaleźć taśmy.

– Obice.

Kliza potwierdziła ruchem głowy.

– Wygląda na to, że to martwy trop. Nie ma nawet żadnych dowodów na to, że Ewa kiedykolwiek tam była.

– A jednak Prokocki tam jeździł. Tankował w okolicy.

– Według Kasandry.

Nabrałem głęboko tchu i znów pociągnąłem łyk prosecco. Picie o tej porze znaczyło tyle, że przez cały dzień będę się czuł jak przeżuty i wypluty, ale niespecjalnie mnie to teraz obchodziło.

– Według Kasandry moja narzeczona żyje – odparowałem stanowczym tonem. – I zamierzam się tego trzymać.

– Więc dlaczego się z tobą nie skontaktowała przez te wszystkie lata?

– Może była przetrzymywana wbrew własnej woli.

– Przez kogo?

– Ludzi Kajmana.

– Więc nie zabili jej, tylko ją uwięzili?

Wzruszyłem ramionami. Kliza irytowała mnie swoimi pytaniami, choć wiedziałem, że są całkowicie zasadne.

– I pozwolili jej zrobić te nagrania?

– Może uznali, że będą niegroźne. A może nie wiedzieli, że je robi. Może była zamknięta w jakiejś piwnicy, znalazła stary sprzęt VHS, kamerę i nagrała to wszystko. Może schowała gdzieś taśmę z nadzieją, że ktoś je znajdzie.

– Aha. Brzmi bardzo prawdopodobnie.

– Nie możesz tego wykluczyć.

Przez chwilę mi się przyglądała, jakby starała się stwierdzić, na jak dużą rezerwę może sobie pozwolić.

– Założmy, że masz rację – powiedziała w końcu. – W takim razie Ewa wykorzystałaby tę okazję, nie sądzisz?

– Do czego?

– Żeby w nagraniach przekazać coś między wierszami.

Potarłem się po karku i rozprostowałem plecy.

– Jak Juan Carlos Ortiz... – zauważyłem.

– Kto?

Nie dowierzałem, że może go nie pamiętać. W końcu to właśnie ona przedstawiła mi jakiś czas temu historię tego człowieka i odbicia pewnych zakładników.

– Facet, który wpadł na to, by wojsko przechytrzyło FARC dzięki zakodowaniu w pewnej piosence wiadomości alfabetem Morse'a.

Widziałem, że już załapała.

– Ach... – odparła. – Natalia Gutierrez Y Angelo. Better days.

Czy Kas wykorzystała w swojej manipulacji ten motyw dlatego, że po znalezieniu kaset doszła do takiego samego wniosku jak teraz ja i Kliza? Musiałem przynajmniej przyjąć, że to możliwe.

Owszem, wszystkie wskazówki, jakie podsuwała mi Kasandra, były wyłącznie jej wymysłem. Ale przecież mogło zainspirować ją to, co znalazła na kasetach.

Zerknąłem na magnetowid, jakbym rzucał mu wyzwanie.

– Nie ma tam nic? – spytała Jola. – Żadnego ukrytego przesłania?

Pokręciłem głową.

– Oglądałem to kilkadziesiąt razy – powiedziałem pod nosem. – Wyłapałbym, gdyby coś się pojawiło.

– Może nie było tak wyeksponowane jak tropy, które podsuwała ci Kasandra. Ona nie musiała być ekstremalnie uważna, ale Ewa tak.

Kliza miała rację. Gdyby moja narzeczona naprawdę chciała przemycić coś między wierszami, musiałyby zachować znacznie większą ostrożność. Porywacze mogli zbagatelizować sam fakt nagrań, ale tylko dopóty, dopóki uznawali, że są niegroźne.

Zamknąłem na moment oczy, przypominając sobie wszystko, co znajdowało się na taśmach.

– Chcesz obejrzyć jeszcze raz?

– Nie – odparłem bez wahania. – Pamiętam wszystko. I nic tam nie ma.

– Jesteś...

– Jestem absolutnie pewien – uciąłem, bo nie było sensu dłużej tego rozważać. – Może zresztą nie chodzi o słowa, ale o obrazy. Może przekazała mi coś gestem, grymasem lub choćby wzrokiem. Przy tak gównianym nagraniu niczego jednak nie zobaczymy.

Miałem nawet trudności z rozpoznaniem, co Ewa miała na sobie, co dopiero mówić o wyłapaniu jakichś niuansów, które mogłaby zakodować w nagraniu.

– Musiała wiedzieć o tym, że materiał nie będzie najwyższej jakości – odezwała się po chwili Jola.

– Może.

– A skoro tak, to postawiłaby raczej na słowa – uparła się. – Zobaczmy to jeszcze raz.

Chciałem zaprotestować, bo znałem to wszystko na pamięć, a kiedy zasypiałem, zniekształcone szumem słowa narzeczonej odbijały się echem w mojej głowie. Jola jednak nie czekała, aż zdążę zaoponować.

– Siadaj – powiedziała, wskazując miejsce na podłodze przed telewizorem. – I słuchaj.

– Słuchałem już wystarczająco wiele razy.

– Ale może skupiałeś się nie na tym, na czym powinienesz.

– To znaczy?

Zabrałem szklanke i podszedłem do niej. Zrezygnowany, zająłem miejsce przed ekranem, czując się jak dziecko, które nie zdołało przeforsować u rodziców tego, co chciało.

– Pamiętasz wersję Kasandry? – spytała Kliza.

– Słowo w słowo. Nie gorzej od nagrań Ewy.

Łypnęła na mnie, jakby to znaczyło więcej, niż sądziłem. Jakbym co najmniej przyznawał się do uczuć wobec obydwu tych kobiet.

– Jak bardzo się różnią? – spytała.

– Nieznacznie. Jakimiś drobiazgami, które właściwie...

– Co?

– Nic nie znaczą – dodałem, ściągając brwi.

Kliza uśmiechnęła się, jakbyśmy właśnie wspólnymi siłami dotarli do czegoś przełomowego. Położyła palec na przycisku „play”, a potem popatrzyła na mnie pytająco.

– To jak? – spytała. – Jesteś gotowy skupić się na tym, co według ciebie nie ma znaczenia?

Skinąłem głową, a potem wbiłem wzrok w kineskopowy telewizor.

Po raz kolejny słuchałem tych samych słów, ale tym razem zignorowałem wszystko to, co powtarzało się w obydwu przekazach. Wszystko to, co powieliła Kasandra.

Zwracałem uwagę jedynie na to, co pominęła, bo najpewniej wydało jej się to niepotrzebne i nic nieznaczące.

Szybko przekonałem się, że Kas się myliła. Każde słowo miało znaczenie.

W celi, do której trafiłam, panowała niepodzielnie zieleń. Ściany były seledynowe, a dwa dwupiętrowe łóżka, stół i krzesła – szmaragdowe. Nawet suszące się między szybą a kratami gąbki do mycia były w tej samej kolorystyce. Spokoju ani komfortu temu miejscu wszędobyłska zieleń jednak nie dodawała. Farba odchodziła właściwie od wszystkiego, przez co całość sprawiała raczej przygnębiające wrażenie.

Pomiędzy pryczami więźniarki rozwiesiły sznurki, na których schły bluzki i ręczniki. Na stoliku pod oknem leżało kilka książek, krzyżówki, przybory do pisania, talia zużytych kart i trochę artykułów spożywczych.

Od razu poczułam się klaustrofobicznie, bo na jedną osobę przypadało tutaj nie więcej niż trzy metry kwadratowe powierzchni. W dodatku niemal fizycznie czułam przygnębiającą atmosferę tego miejsca.

Dwie z kobiet nie zwróciły na mnie uwagi. Leżały na pryczach, odwrócone tyłem do drzwi. Trzecia jednak natychmiast zeskoczyła ze swojej.

– O w chuj – odezwała się. – Ale niespodziewajka.

Spojrzałam prosto w oczy Migocie, ani przez moment nie mając wątpliwości, że się mnie tutaj spodziewała. Przypuszczałam, że dwie pozostałe osadzone również nie muszą się odwracać, by wiedzieć, kto został do nich dokooptowany.

Migota wskazała pryczę nad jedną z nich.

– Twoje – rzuciła.

Myślałam, że usłyszę słowo „kojo” i szereg innych, które budowały więzienną nomenklaturę. Po prawdzie nie wiedziałam jednak, czy w kobiecych więzieniach też funkcjonuje.

Jedno było pewne, równouprawnienie w systemie penitencjarnym wyraźnie działało bez zarzutu. Cella nie różniła się od tych, które widywałam w reportażach z męskich więzień.

Toaleta była oddzielona od reszty jedynie lichą zastoną, jaką na

wolności znaleźć można było w starych łazienkach w peryferyjnych slumsach dużych miast. W pomieszczeniu unosił się nieprzyjemny zapach, właściwym takim miejscom, ale pomieszany z tanimi perfumami przywodzącymi na myśl raczej męskie niż damskie.

– No – odezwała się Migota. – Nie stój tak, rozgość się. I mów, jaki zarzut.

Złożyłam swoje rzeczy na łóżku, raz po raz zerkając na odwróconą plecami kobietę, nad którą miałam spać. Była starsza i wyraźnie przy ciele, a pośród przeredzonych

włosów widać było łyse placki. Ostatnia z więźniarek była w wieku Migoty.

– Pytałam, jaki zarzut?

– Zabójstwo.

Obydwie osadzone w końcu się odwróciły, ale żadna się nie odezwała.

– Kogo zajebałaś? – spytała Migota.

– Męża.

Wszystkie trzy przypatrywały mi się przez moment, a ja miałam wrażenie, jakbym uczestniczyła nie w swoim życiowym dramacie, ale w komedii. Atmosfera jednak szybko się zmieniła.

– I po co ją wypytujesz? – odezwała się ta starsza.

– Tak o, Ciotka.

– Wiesz wszystko, co masz wiedzieć.

– No, ale...

– Zresztą nie posiedzi w tej sali długo.

Poczułam dotkliwy niepokój. Te trzy kobiety tutaj na mnie czekały. Nie znalazłam się tu przypadkiem, podobnie jak przypadkowe nie było spotkanie z Migotą w celi przejściowej. Ci, którzy wpędzili mnie za kratki, zadbali o to, by wszystko poszło po ich myśli.

– Pytanie, czy ona wie, o co kaman – rzuciła Migota, patrząc na mnie. – Chciałam tylko się upewnić, nie?

– Daj jej, kurwa, spokój – odezwała się trzecia.

– Bo co?

– Bo wstanę. I przypierdolę ci tak, że zesrasz się własnymi

zębami.

Migota zaśmiała się pod nosem.

– Tipsy w górę i szal – skwitowała. – Dajesz radę, Kamikaze.

Stałam przy swojej pryczy, niepewna, jak się zachować. Jedynym plusem całej tej wymiany zdań było to, że wiedziałam już, z kim siedzę. Migota, Ciotka i Kamikaze. Ta ostatnia sprawiała wrażenie... cóż, najmniej nieprzychylniej – choć ksywa mogła świadczyć o tym, że jest zdolna do wszystkiego.

Usiadła na pryczy, a potem mi się przyjrzała.

– Wiesz, że nie jesteś tu przez przypadek? – spytała.

– Wiem.

– I zdajesz se sprawę, co musimy zrobić?

Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli nie odpowiem. Nie spodziewałam się niczego dobrego, ale wolałam nie gdybać. Przynajmniej nie na głos.

– Nic do ciebie nie mamy – kontynuowała Kamikaze. – Czaisz? Nie chodzi o to, że czymś podpadłaś. Zajebałaś swojego fagasa, bo pewnie miałaś powód, nie nam oceniać. Ale musimy zrobić to, co musimy. Jasne?

– Posłuchajcie...

– Nie ma innej opcji – ucięła Kamikaze, a potem wskazała zabrudzoną zastonę prysznicową. – Tam jest kibel. Nie bawimy się w żadne bzdury, które znasz z telewizji. Wchodzisz, robisz swoje z odkręconą wodą, a potem wyłazisz. Bez syfu, bez jęczenia. Jasne?

Skinęłam lekko głową.

– Byłaś już w ambulatorium?

– Nie.

– To niedługo wezmą cię na badanie zębów i cipy.

– Co?

– Stomatolog i ginekolog zrobią ci przeglądy, czaisz?

Z trudem przełknęłam ślinę, wyobrażając sobie, że jeden i drugi gabinet wyglądają mniej więcej tak samo jak cela.

Kamikaze westchnęła.

– Budzenie jest o szóstej. Faza od ósmej do dziewiątej, potem wraca dopiero na wieczór – dodała i chyba zobaczyła, że nie

bardzo rozumiem. – Wyłączają prąd po dziewiątej, łapiesz?

– Dlaczego?

– Oszczędność.

– Tak mówią – włączyła się Migota. – Ale naprawdę chodzi o to, żeby nam dowalić.

– Przyzwyczajaj się do chujozy – poradziła Kamikaze. – Posiedzisz tu z nami, dopóki nie zrobisz tego, co od ciebie chcą, a potem pójdziesz do zamkniętego, jak inni kiblujący za zabójstwo.

Nie sprecyzowała, kim są oni, ale nie musiała. Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

Podobnie jak z tego, czego ode mnie wymagali.

– Tam będziesz miała jeszcze bardziej przesrane. Ale przynajmniej będą ci przysługiwały dwa widzenia w miesiącu. Każde po godzinę.

– Miałabyś trzecie na dziecko – włączyła się Migota. – Ale że jest warzywem, to zobaczysz je co najwyżej na stołówce.

Roześmiała się, a potem w celi zaległa ciężka cisza. Ciotka i Kamikaze posłały dziewczynie długie spojrzenia.

– Odjebało ci? – rzuciła Kamikaze.

Migota się nie odezwała i spuściła wzrok. Najwyraźniej nawet w tym miejscu wszelkie żarty kończyły się, gdy zbliżano się do tematu macierzyństwa.

Ciotka podniosła się, podeszła do niej i przez moment jej się przyglądała, jakby spodziewała się, że dziewczyna przeprosi. Ta jednak wciąż unikała nawet kontaktu wzrokowego.

Napięcie utrzymywało się jeszcze przez chwilę, po czym starsza z więźniarek w końcu odpuściła. Zbliżyła się do mnie i bez słowa zaczęła przeglądać rzeczy, które dostałam w przydziale od więziennej administracji.

– Nic się nie stało – odezwałam się, czując, że muszę w jakiś sposób przełamać ciszę. – I tak bez przerwy o tym myślę.

– Wiadomo – odparła Ciotka.

Nie przesadzałam. Ilekroć zamykałam oczy, widziałam Wojtka podłączonego do wszelkiej maści medycznej aparatury. Część tłoczyła w niego papkę, która miała zastępować jedzenie,

pozostała odprowadzała wszystko to, co wiązało się z przemianą materii.

Wzdrygnęłam się i poczułam, że oczy zachodzą mi łzami. Nie wiedziałam, czy to rezultat bezsilności, czy wściekłości.

Szybko zebrałam się w sobie, odganiając wszystkie myśli związane z tym, na co nie miałam wpływu. Przynajmniej nie w tej chwili. Jeśli uda mi się opuścić mury więzienia, zadbam o najlepszą opiekę dla Wojtka. Moje konta bankowe wciąż pękały w szwach od pieniędzy Roberta. Skorzystam z nich, umieszczę go w najlepszym ośrodku, zadbam o zastosowanie najnowszych, najskuteczniejszych terapii i zrobię wszystko, żeby mój syn miał normalne życie.

Ciotka wyjęła z torebki szczoteczkę do zębów i przyjrzała jej się pod światłem.

– Wiesz, co z tym zrobić? – spytała.

– To znaczy?

– Chodź – rzuciła, a potem skierowała się ku zasłonie.

Weszłyśmy do niewielkiej klitki obłożonej splekanymi kafelkami. Były tak stare, że nie dało się stwierdzić, jaki oryginalnie miały kolor. Umywalka była w nie najgorszym stanie, kibel wręcz przeciwnie – pokrywały go ciemne zacieki, a na dole widziałam ślady kału.

– Halo – odezwała się Ciotka.

Podniosłam wzrok i spojrzałam jej prosto w oczy. Kiedy otworzyła lekko usta, zobaczyłam, że ma mocno wyszczerbione jedyne.

Znów wskazała na szczoteczkę do zębów, a ja zrozumiałam, że najwyraźniej klawisze zrobili coś, przez co ta wymagała dezynfekcji przed pierwszym użyciem. Nie chciałam nawet myśleć o tym, na co konkretnie pozwolili sobie funkcjonariusze.

Szybko przekonałam się, że się pomyliłam.

Ciotka pochyliła się, a potem przeciągnęła szczoteczką po zasyfionej muszli klozetowej. Zanim zdążyłam zorientować się, co się dzieje, w toalecie pojawiły się Migota i Kamikaze. Złapały mnie i wykręciły mi ręce na plecy, nie dając szansy na jakąkolwiek reakcję.

– Hej, spokojnie! – krzyknęłam.

– Stul pysk – rzuciła Migota. – Ściągniesz tu kogoś z peronu, będziesz miała jeszcze bardziej przejebane.

Spojrzałam z przerażeniem na Ciotkę, która jeszcze przez chwilę wycierała szczoteczką kibel, a potem się wyprostowała. Widok ciemnych, brązowych plam na białych włoskach sprawił, że zrobiło mi się słabo.

– Jak mówiłam, to nic osobistego – odezwała się.

Zachowywała zupełną obojętność. W przeciwieństwie do niej dwie pozostałe więźniarki wyraźnie okazywały swoje emocje. Migota była w siódmym niebie, Kamikaze sprawiała zaś wrażenie, jakby to ona była ofiarą.

– Czas na szorowanie ząbków – rzuciła ta pierwsza.

Kiedy Ciotka zbliżyła ufajdaną szczoteczkę do moich ust, zrobiło mi się niedobrze. Zaciskałam mocno wargi, ale osadzonej udało się wcisnąć ją do środka. Walczyłam z odruchem wymiotnym, kiedy jednak włoski przesuwwały się po moich zębach i dziąsłach, wiedziałam już, że długo nie wytrzymam.

Puściły mnie, kiedy targnęły mną torsje. Opróżniłam zawartość żołądka do muszli, trzymając mocno za jej boki.

Nie zdążyłam nawet otrzeć ust. Poczułam, jak ktoś zaciska mi dłoń na karku, a potem z całej siły wpycha moją głowę do klopa. Ktoś inny pociągnął za spłuczkę i woda zalała mi twarz.

Nie wiedziałam, jak długo trwało to upokorzenie.

Kiedy mnie zostawiły, siedziałam na podłodze z podkurczonymi nogami. Woda z kibla ściekała mi po włosach, a ja co chwilę miałam wrażenie, jakbym miała znów zwymiotować.

Po chwili rozległ się dźwięk odsuwanej zasuwki, a potem otwieranego zamka. Jeden ze strażników wszedł do środka, zapytał o mnie, po czym odsunął zasłonę. Przyjrzał mi się w sposób pozbawiony emocji.

– Wytrzyj się – polecił. – Ktoś do ciebie przyszedł.

Nie miałam siły zapytać kto. Nawet się nie poruszyłam, choć wydawało mi się, że jestem gotowa na wszystko, byleby przynajmniej na moment opuścić to miejsce.

Boże, czy to wszystko przed momentem stało się naprawdę?

Znów zrobiło mi się niedobrze.

– Słyszysz? – zapytał strażnik, a potem cofnął się o krok. – Co z nią jest?

– Nic – odparła Migota. – Myła zęby i włosy.

Rzucił jeszcze coś, ale nie zrozumiałam co. Chwilę później dwie młodsze więźniarki weszły za kotarę, podniosły mnie, a Kamikaze niedbale wytarła mi włosy. Klawisz musiał uznać, że to wystarczy, bo zaraz potem wyprowadził mnie z celi.

Przypuszczałam, że przejdziemy do pokoju widzeń, ale zamiast tego mężczyzna poprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia na końcu korytarza.

Poczułam niepokój. Przeszło mi przez myśl, że to, czego przed chwilą doświadczyłam, będę za moment wspominać jako niewinny początek prawdziwej gehenny.

Klawisz wpędził mnie do środka, jakbym znajdowała się w stadzie bydła, a potem wyszedł z powrotem na korytarz i trzasnął drzwiami.

W niewielkim pokoju czekał na mnie inny mężczyzna. Stał pod ścianą, mimo że na środku pomieszczenia znajdowały się dwa krzesła i stół.

– Wreszcie się spotykamy – odezwał się.

Podniosłam wzrok, ale nie rozpoznałam przybysza.

– Siadaj.

Zajęłam miejsce, uznając, że jakakolwiek oznaka sprzeciwu mi się nie opłaci.

– Wiesz, kim jestem?

– Nie.

W końcu się poruszył. Podeszedł do mnie, przysiadł na skraju stołu i kładąc rękę na kolanie, przechylił się na bok. Przyglądał mi się jak jakiemuś ciekawemu okazowi.

– Podkomisarz Prokocki – przedstawił się.

Zmrużyłam oczy, również go oceniając.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś? – spytał.

– Bo zabiłam męża.

Roześmiał się w chłodny, niepokojący sposób, który dowodził, że moja odpowiedź nie ma nic wspólnego z prawdą. Oboje

zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Właściwie byliśmy jedynymi osobami, które wiedziały, co tak naprawdę się dzieje.

Trwał przez moment w bezruchu, z zastygniętym grymasem na twarzy.

Potem podniósł się, położył ręce na stole i pochylił się. Pociągnął kilkakrotnie nosem, z pewnością czując zapach rzygowin i tego, co znajdowało się na szczoteczce.

– Wyjaśnij mi na początek jedną rzecz – odezwał się. – Dlaczego wmawiasz Damianowi Wernerowi, że jego narzeczona żyje?

9

Od samego rana dzwoniłem do drzwi Stefana Bronowicza. Podobnie jak wcześniej, tak i teraz sąsiad nie otwierał.

– Może odstawił kite? – szepnęła stojąca obok mnie Kliza. – Ile razy próbowałaś się do niego dostać?

– Zbyt dużo.

Od początku zakładałem, że będę próbował do skutku. To za sprawą Bronowicza w ogóle dostałem kasetę, a oprócz tego to właśnie on zupełnym przypadkiem miał pod ręką cały sprzęt pozwalający ją odtworzyć.

– Mówiłeś, że ile ma lat?

– Góra siedemdziesiąt.

– No, to już dla niektórych najwyższa pora – zauważyła Jola. – Ja przynajmniej zamierzam przed tym pułapem się odmeldować.

Nacisnąłem dzwonek po raz kolejny, ale i tym razem bez skutku.

– Gdybym była jak Maggie Smith, planowałabym dłuższą karierę. Albo jak Judi Dench, Jane Fonda czy Sophia Loren... Wiedziałaś, że ta ostatnia ma już osiemdziesiąt cztery lata?

– Nie.

– Maggie Smith i tak bije je wszystkie na głowę.

Odwróciłem się plecami do drzwi i oparłem się o nie.

– Nie masz pojęcia, o kogo chodzi, prawda? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Księżna Violet z Downton Abbey. No

i profesor od transmutacji w Hogwarcie, Minerva...

– Jasne – uciąłem. – Ale o ile nie potrafimy przeobrazić zamka w tych drzwiach w jakąś galarete, transmutacja niespecjalnie nam pomoże.

– To też mogłoby okazać się daremne – odparła Kliza. – Bo w środku zamiast odpowiedzi może czekać trup tego gościa.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, choć właściwie mogła mieć rację. Stefan Bronowicz był wprawdzie w całkiem niezłej formie, ale mając na uwadze wszystko, co działo się w tej sprawie, mógł zejść z przyczyn niekoniecznie naturalnych.

Potrząsnąłem głową i uznałem, że nie ma co poddawać się szaleństwu Klizy. Wskazałem prowadzące w dół schody, a potem oboje ruszyliśmy na podwórko. Stara skoda felicia czekała na nas tam, gdzie ją zostawiłem.

Instalacja gazowa wymagała gruntownego przeglądu, skrzynia biegów i klocki hamulcowe były właściwie do wymiany, ale samochód ojca wciąż jeździł. A od kiedy rodzice przesiedli się na komunikację miejską, auto wpadło w moje ręce.

Kliza przez chwilę siłowała się z drzwiami po stronie pasażera, ale ostatecznie udało jej się je otworzyć. Weszliśmy do środka, a ona z powątpiewaniem spojrzała na kasetowe radio.

– Bywasz na zjazdach motoryzacyjnych antyków? – spytała.

Nie odpowiedziałem, przekręcając kluczyk z nadzieją, że tym razem rozrusznik zaskoczy od razu i felicia zada kłam temu, co sugerowała Kliza. Silnik tradycyjnie potrzebował jednak chwili.

Wyjechałem z podwórka i po nierównej kostce brukowej skierowałem się w stronę Kołtątaja. Od celu dzielił nas jakiś kwadrans, jeśli na Piastowskiej nie będzie zwyczajowego korka. Pora była jeszcze odpowiednia, więc liczyłem na to, że dość szybko uda nam się znaleźć miejsce wskazane mi przez Ewę w nagraniu.

Chciałem spróbować zaraz po tym, jak tylko wyłapałem ukryty sens na nagraniu. Kliza uparła się jednak, że musi wiedzieć, w co się ładuje. Wykonała pospieszny research, właściwie nie dochodząc do niczego znaczącego, a zaraz potem opuściliśmy mieszkanie i po drodze postanowiliśmy, że sprawdzimy jeszcze,

czy Bronowicz jest w domu.

Wiadomość w nagraniu była dobrze ukryta. Nie od razu zwróciłem na nią uwagę, bo zdawała się zaplątana w inny wątek i niewiele znacząca.

Ewa opowiadała o Biskupinie i o tym, że od dziecka interesowała się archeologią, w szczególności początkami polskiego osadnictwa. Cała ta relacja pozwoliła Kasandrze stworzyć element swojej układanki w Muzeum Archeologicznym, w którym czekał na mnie jeden z pendrive'ów.

Gdzieś w tym wszystkim było jednak coś więcej. Ewa mówiła o tym, dlaczego w ogóle zainteresowała się archeologią. Podkreślała ogromną liczbę tajemnic, które do dzisiaj pozostają nierozwiązane. Od nieukończonego, największego egipskiego obelisku, który znaleziono w Asuanie, przez podziemne tunele z epoki kamienia, które ciągną się od Szkocji do Turcji, aż po setki tajemniczych kamiennych kul rozsianych po Kostaryce, których znaczenia nikt nie zna. Na koniec Ewa dodawała, że gdziekolwiek na globie by się znajdować, takie rzeczy z pewnością da się odnaleźć w okolicy. W Opolu także. Jako przykład podała owianą niepokojącą legendą kapliczkę i dodała, że historycy nie są w stanie ustalić nawet tak podstawowych faktów jak to, kto w tamtym miejscu zginął i kiedy została wzniesiona.

Nie miałem pojęcia, o czym mowa, ale zdawałem sobie sprawę, że to wskazówka. Cały ten wątek nie pojawił się w nagraniach Kasandry, bo uznała go za całkowicie zbędny. Ja jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że znalazł się na kasecie nie bez powodu.

Przejrzenie materiałów w internecie nie pomogło nam w ustaleniu, co Ewa mogła mieć na myśli. Google podsuwał niemal same wyniki z innych miast, sugerując usunięcie słowa „Opole”. Szybko stało się dla nas jasne, że sami sobie nie poradzimy.

Nie znałem wielu osób, które mogłyby pomóc w rozszyfrowaniu zagadki. Właściwie jedyną była ta, do której wraz z Klizą się teraz kierowaliśmy.

Moja nauczycielka historii z liceum, mieszkająca na blokowisku

przy Koszyka. Była nie tylko świetnym dydaktykiem, ale też pasjonatką lokalnej historii. Jeśli ktokolwiek miał wiedzieć, o jakiej kapliczce mowa, to właśnie ona.

Zatrzymaliśmy się przed jednym z bloków, a potem wysiedliśmy z samochodu.

– Jesteś pewien, że ją zastaniemy? – odezwała się Jola.

Popatrzyłem na nią z rezerwą.

– Nie jestem nawet pewien, czy nadal tu mieszka.

Podczas ostatniego licealnego zjazdu dowiedziałem się, że przeszła na emeryturę, ale nic poza tym.

– A skąd w ogóle wiesz, że tutaj mieszkała? – zapytała Jola. – Ja nie mam pojęcia, gdzie miałabym szukać moich nauczycieli z liceum.

Zobaczyłem w jej oczach niewypowiedzianą sugestię, która z pewnością nie przyszłaby jej na myśl, gdyby tylko wiedziała, w jakim wieku była ta nauczycielka.

– Kandydowała kiedyś do rady miasta – odparłem. – A że mieliśmy z nią dość dobre układy, pomagaliśmy jej przy kampanii.

– My?

– Ja i kilkoro znajomych – oburknąłem, podchodząc do klatki schodowej. – Zresztą nieważne.

Powiodłem wzrokiem po liście nazwisk przy domofonie i w końcu wypatrzyłem to, którego szukałem. Bez namysłu nacisnąłem przycisk i nie musiałem długo czekać, aż moja dawna nauczycielka odbierze.

Natychmiast skojarzyła, kim jestem, a ja po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że grupą zawodową o najlepszej pamięci są właśnie nauczyciele. Miałem wrażenie, że każdy, z kim kiedykolwiek zetknąłem się w murach szkoły, potrafi rozpoznać swoich uczniów na mieście.

Renata Labeda wyraźnie straciła na wadze, odkąd ostatnio ją widziałem. Siwe, przerzedzone włosy dawały pojęcie o tym, ile stresu kosztowały ją lata spędzone w szkolnych murach ze zgrają upierdliwych małolatów. Choć trzeba przyznać, że traktowaliśmy ją lepiej niż większość nauczycieli –

może pomijając fakt, że za sprawą swojego nazwiska otrzymała przydomek Lebiega.

Przywitała mnie, jakby zawitał do niej długo niewidziany siostrzeniec. Zaprosiła nas do środka, przedstawiła Klizie swojego męża, a potem wdaliśmy się w krótką, obowiązkową wymianę zdań przy herbacie.

– Słyszałam o tym, co cię spotkało – odezwała się Labeda. – To naprawdę okropne. Nie dość, że najpierw to zniknięcie Ewy, to jeszcze... Ech.

Skinąłem głową, nie chcąc podejmować tematu.

– Zdarzają się gorsze rzeczy, pani profesor.

Z jakiegoś powodu poczułem się dziwnie, zwracając się do niej w ten sposób. Kiedy byłem w liceum, wydawało mi się to całkiem naturalne, teraz – wręcz przeciwnie. Z drugiej strony do lekarza przyjmującego mnie w gabinecie mówiłem „doktorze”, mimo że doktoratu przecież nie miał.

– Ale może nie jest tak źle, jak przedstawiły to media – dodałem.

– Naprawdę?

Popatrzyłem na Jolę, a ta uśmiechnęła się poprawnie, jakby uznała, że sytuacja wymaga standardowego grymasu.

– Właściwie dlatego panią nękamy.

Uniosła pytająco brwi, a ja odstawiłem kubek z herbatą.

– Nie nękacie – zapewniła. – O co chodzi?

– Pamiętam, że zajmowała się pani historią Opolszczyzny – zacząłem. – I pomyślałem, że może byłaby nam pani w stanie pomóc.

– Och, z pewnością spróbuję – zadeklarowała z przekonaniem. – W czym konkretnie miałabym pomóc?

– Szukamy pewnej kapliczki – włączyła się Jola. – Nie wiemy, na czyją cześć została wzniesiona ani w którym roku.

– W takim razie powiedzcie, jak wygląda, a może...

– Nie rozumie pani – ucięła Kliza. – To są wszystkie informacje, które mamy.

Uznałem, że aby ta sytuacja nie przerodziła się w groteskę, muszę się włączyć.

– Rzecz w tym, że nie tylko my nie znamy daty ani przeznaczenia – odezwałem się. – Nie mogą tego ustalić także historycy. Kojarzy pani może takie miejsce?

– U nas, w Opolu?

Pokiwałem głową, analizując każdy mięsień na jej twarzy i starając się rozpoznać, czy coś przyszło jej na myśl.

– Nie wiecie nawet, o jaką dzielnicę chodzi?

– Niestety nie.

– Cóż...

– Wiemy tylko tyle, że jest jakaś niepokojąca legenda na temat tego miejsca. I że właściwie niczego więcej o nim nie wiadomo.

– Nic nie wpadło pani do głowy? – włączyła się Kliza.

– Pozwólcie, że się zastanowię.

Uciekła wzrokiem, a potem zmarszczyła czoło, jakby potrafiła przypomnieć sobie każdą kapliczkę stojącą w Opolu. W końcu pokręciła głową, podniosła się i podeszła do półek zastawionych nieco przykurzonymi książkami. Wyjęła jedną z nich i rozłożyła ją na stole. Przez chwilę na przemian śliniła palec i przewracała strony.

– Kojarzy pani coś takiego? – powtórzyła z nadzieją Jola.

– Możliwe...

W końcu przestała przerzucać kartki i wbiła palec wskazujący niczym pinezkę w jedną z nich.

– Wójtowa Wieś – oznajmiła, a potem obróciła książkę tak, byśmy mogli zerknąć.

Na czarno-białym zdjęciu widać było niewielką murowaną kapliczkę, wyraźnie zaniedbaną i przyklejoną do niewysokiego budynku. Figurka Matki Boskiej miała rozłożone ręce, a jej szaty luźno opadały z przedramion.

– To jedyne, co przychodzi mi na myśl – oświadczyła Lameda. – Przypuszczalnie powstała w dziewiętnastym wieku, ale nie ma zgody co do konkretnej daty. Niektórzy podają pierwsze lata, inni tysiąc osiemset sześćdziesiąty szósty, a jeszcze inni tysiąc osiemset siedemdziesiąty pierwszy.

Przypatrywałem się tej niewielkiej budowli, zastanawiając się, dlaczego Ewa miałyby wskazać akurat to miejsce.

– Podobnie mętnie ma się sprawa jej przeznaczenia – dodała Renata.

– To znaczy? – spytała Kliza. – Takie rzeczy chyba nadają się tylko do jednego, prawda?

– Zasadniczo tak, ale powstają z różnych pobudek... Niektóre budowało się jako wotum błagalne, by wyprosić urodzaj czy inną łaskę, inne jako wotum dziękczynne, miejsce pamięci jakiegoś istotnego zdarzenia albo dla celów pokutnych.

– Myślałam, że to wszystko po prostu na chwałę Bożą. Tak bezinteresownie.

– Takie też powstawały.

Postukałem palcem w kapliczkę, którą pokazała nam nauczycielka.

– I nikt nie wie, jaki był cel tej? – zapytałem.

– Nie na pewno. Niektórzy twierdzą, że miała być miejscem pamięci jakiegoś poległego oficera, inni, że upamiętnieniem starcia armii pruskiej i austriackiej lub... idąc jeszcze dalej wstecz, miała zostać zbudowana w miejscu, gdzie pochowano żołnierzy armii Napoleona.

Nabrałem głęboko tchu. To rzeczywiście brzmiało, jakbyśmy trafili na miejsce opisywane przez Ewę.

– A legenda? – zapytałem.

– Krąży po Wójtowej Wsi od dobrych stu lat, głównie dlatego, że mimo braku zgody co do przeznaczenia kapliczki jedno jest pewne.

– Co? – odezwała się Jola.

– Że pod nią znajdują się jakieś ciała. Każda wersja to zakłada.

– W porządku – rzuciłem. – Ale co z tą legendą?

Historyczka zaczęła opowiadać o Piotrze Gisie, chłopaku, którego matka pewnego dnia wysłała do sklepu po naftę. Kiedy mijał kapliczkę, zobaczył na jej dachu niewyraźną postać owiniętą białym całunem. Zaczął gwizdać jakąś melodię, zapewne po to, by dodać sobie otuchy, czym sprowadził na siebie gniew zjawy.

– Ta zamieniła się w kota, zeskoczyła z dachu i owinęła się wokół jego szyi – ciągnęła Labeda. – Uduśliłaby go, gdyby nie

przywołał starej modlitwy mającej przypominać duchom, że wszystkie powinny wielbić Boga.

Przełknąłem ślinę. Nie brzmiało to zbyt poważnie, a mimo to z jakiegoś powodu poczułem się nieswojo.

– Chłopiec wrócił bezpiecznie do domu – dodała nauczycielka. – Minęły lata, ale tę historię opowiadał jeszcze w PRL-u.

Nie musieliśmy się upewniać, czy nie ma innych kapliczek, które pasowałyby do kryterium naszych poszukiwań. Znaleźliśmy tę właściwą. Zapytaliśmy Labedy, gdzie jej szukać, po czym szybko podziękowaliśmy. Opuściliśmy blok chwilę później, przekonani, że w Wójtowej Wsi czeka na nas nasza własna zjawia.

Dojazd z Zaodrza zabrał nam niecałe dziesięć minut. Okolice nijak nie pasowała do nazwy, bo nowa dzielnica Opola miała coraz mniej wspólnego z jakąkolwiek wsią. Po drodze minęliśmy nową krytą pływalnię, wyrosłe jak grzyby po deszczu ekskluzywne osiedla i zatrzęsienie nowoczesnych domków jednorodzinnych.

Chwilę zajęło nam zlokalizowanie miejsca, którego szukaliśmy. Znajdowało się na uboczu i właściwie trudno byłoby trafić na nie przez przypadek.

Wysiedliśmy z auta i spojrzeliśmy na kapliczkę. Jej stan wyraźnie pogorszył się od czasu, kiedy zrobiono zdjęcie, które widzieliśmy u Labedy. Obeszliśmy ją, przyglądając się każdemu szczegółowi, a potem zatrzymaliśmy się na wprost niej.

– Okej... – mruknęła Kliza. – Co teraz?

Zbliżyłem się do figury Matki Boskiej. Kiedyś musiała być biała, teraz pokryła się ciemnym nalotem. Szczególnie niepokojąco wyglądał ten, który osadził się w kącikach oczu, zupełnie jakby postać płakała czarnymi łzami.

Widziałem resztki uschniętych kwiatów, pozostałości po wypalonych świecach i trochę wosku. Nic, co mogłoby mi pomóc w ustaleniu, dlaczego Ewa wspominała akurat o tym miejscu.

– Wern?

– Nie mam pojęcia.

– To co? Modlimy się?

Jola stanęła obok mnie. Przesunęła palcem po policzku figury, a potem popukała w nią.

– Nic tu nie ma – rzuciła.

– A czego się spodziewałaś? Pakietu starych kaset VHS?

– Nie wiem... czegoś. Czegokolwiek.

Zaczęliśmy bezradnie się rozglądać. Na kryjówkę to miejsce nadawało się wprost idealnie. Kapliczka właściwie była dobudówką do stojącego tutaj domu, dzięki któremu przypadkowy przechodzień nie dostrzegłby ani mnie, ani Klizy. Jedynymi osobami, które mogłyby nas wypatrzeć, byli jego mieszkańcy, jako że jedno z okien wychodziło właśnie na tę stronę.

Budynek wyraźnie różnił się od kapliczki, został niedawno wyremontowany i mimo że bryła przywodziła na myśl stare śląskie domy, elewacja i wszystko inne dowodziło, że ktoś wdrożył najnowsze trendy architektoniczne.

– Może zapytamy gospodarzy? – zaproponowałem.

– O co? Czy przypadkiem nie widzieli Ewy?

Spojrzałem na nią z pretensją, a Kliza szybko uniosła dłoń w przeproszającym geście. Nie powinienem dziwić się jej frustracji, sam też przecież ją czułem. Nie dość, że do niczego nie dotarliśmy, to jeszcze oboje odczuwaliśmy presję czasu.

Wiedzieliśmy, że tryby jakiejś maszyny poszły w ruch. Ktoś realizował swój plan, który rozpoczął się od porwania dziecka. W dodatku każda minuta w więzieniu mogła okazać się dla Kasandry tragiczna. Nie rozmawialiśmy o tym, ale mieliśmy przecież tego pełną świadomość. Przypuszczałem, że Jola byłaby gotowa pomóc jej w ucieczce, gdyby tylko istniała taka możliwość, a ja... cóż, jeszcze kilka dni temu cieszyłbym się z takiego rozwoju wypadków. Teraz nie – i nie chodziło jedynie o to, że dziecko w śpiączce zostało pozbawione matki.

– Spróbujmy – zgodziła się w końcu Kliza. – Co nam szkodzi.

Wyszliśmy zza kapliczki, ale kiedy tylko zobaczyłem nadjeżdżający samochód, złapałem Jolę za ramię i pociągnąłem ją gwałtownie do tyłu.

– Ej, co ty sobie...

– Czekaj – rzuciłem półszepcetem, wycofując się jeszcze bardziej. Zniknęliśmy z widoku kierowcy nadjeżdżającego samochodu, ale kiedy lekko się wychyliłem, mogłem bez problemu go dostrzec. I rozpoznać.

Fakt, że podkomisarz Prokocki tutaj był, dowodził, że trafiliśmy w dobre miejsce.

10

Po powrocie do celi – czy sali, jak mówiły inne osadzone – wciąż rozgrywałam w głowie rozmowę z Prokockim. Jego słowa odbijały się głuchym echem, a kiedy tylko zamykałam oczy, widziałam jego świdrujące spojrzenie.

Już po krótkim wstępie nie miałam wątpliwości, że orientuje się w sytuacji nie gorzej ode mnie. Kiedy nachylił się nade mną, poczułam dobitnie, że to właśnie on jest w tej chwili moim największym problemem.

– Dlaczego wmawiasz Damianowi Wernerowi, że jego narzeczona żyje? – zapytał.

– Bo taka jest prawda.

Roześmiał się, już po raz drugi, od kiedy weszłam do pokoju. Sprawiał wrażenie, że humor mu dopisuje, ale w rzeczywistości musiało być dokładnie odwrotnie. Musiał obawiać się, że wszystko, co zrobił jedenaście lat temu, teraz wyjdzie na jaw.

– Dobrze wiesz, że to bzdura – odparł, po czym zajął miejsce naprzeciwko.

– Dobrze wiem, że żyje. I Damian ją znajdzie.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Znaleźliśmy ciało, została zidentyfikowana. A on widział zdjęcia z sekcji.

– Widział także inne fotomontaże w Photoshopie – odparowałam. – I rozumiem, że w dobie wszędobylskich, tworzonych przez amatorów fejków z celebrytami spreparowanie takiej fotografii to żaden problem.

Zdawał się coraz bardziej rozbawiony.

– Naprawdę nieźła z ciebie krętaczka.

Nie odzywałam się, uznając, że nie mam o czym rozmawiać z tym człowiekiem. W tej chwili mogło się to skończyć jedynie pogorszeniem mojej sytuacji.

– Przyznaję, Werner jest lekko narwany – stwierdził podkomisarz. – Ale nawet on nie może łudzić się, że Ewa żyje.

Wciąż nie odpowiadałam.

– Daj spokój – poradził Prokocki. – Naprawdę myślisz, że w ten sposób unikniesz kary?

– W jaki sposób?

– Sterując nim jak latawcem? – spytał i prychnął. – Do niczego dobrego to nie doprowadzi. Szczególnie jeśli chodzi o ciebie.

– To groźba?

– Zazwyczaj nie tracę na nie czasu. Zamiast tego od razu przechodzę do czynów.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy, a ja czułam się coraz bardziej nie na miejscu. Nie miałam pojęcia, czy o tej rozmowie w ogóle wie administracja zakładu. A jeśli nawet, to czy ktokolwiek kiwnąłby palcem, żeby w razie czego mi pomóc.

– To dobra rada – dodał Prokocki. – I daję ci ją tylko dlatego, że masz u mnie fory.

– Za?

– Za determinację. I bezkompromisowość.

Nagle spowaźniał, a potem zaczerpnął głęboko tchu i zaplótł dłonie na karku. Uniósł głowę i przez moment się namyślał.

– Ale wytłumacz mi, co ci strzeliło do głowy? – zapytał. – Co konkretnie starasz się osiągnąć?

Nie odpowiedziałam.

– Po co mącisz w głowie Wernerowi? – ciągnął podkomisarz. – Gdybym nie zapoznał się z twoimi aktami, mógłbym sądzić, że to po prostu wynik jakiejś chorobliwej potrzeby dominacji i pociągu do manipulowania innymi, ale wiem, że taka nie jesteś. Zachowujesz się pragmatycznie.

Spuścił wzrok i wbił go w moje oczy.

– A więc dążysz do czegoś konkretnego – dodał. – Do czego? Zabębnił nerwowo palcami o blat.

– I co to za brednie z tymi kasetami?

Przypuszczałam, że niedługo odpuści, widząc, że niczego ze mnie nie wyciągnie.

– Po co kazałaś mu szukać czegoś, co nie istnieje? – spytał, marszcząc brwi. – Co?

Podniósł się, okrążył stół, a potem zaczął chodzić od ściany do ściany. W końcu zatrzymał się za moimi plecami, a ja poczułam się jeszcze bardziej zaniepokojona niż wcześniej. Nawet gdybym nie znała tego człowieka, prawdopodobnie wyczułabym, że jest zdolny do wszystkiego.

– Słuchaj – zaczął. – Sprawa jest prosta. Albo skończysz z tym cyrkiem, albo będziesz tu miała prawdziwe piekło na ziemi.

– Już mam.

Do końca rozmowy nie odezwałam się już słowem. Prokocki przez jakiś czas starał się coś ze mnie wyciągnąć, ale w końcu odpuścił. Strażnik zaprowadził mnie z powrotem do celi, ale wciąż miałam wrażenie, jakbym nie uwolniła się od podkomisarza.

W dodatku trzy więźniarki patrzyły na mnie w sposób sugerujący, że wcześniejsze zdarzenia w kiblu były tylko początkiem tego, co mnie czeka.

Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy i dopuścić do siebie, że wszyscy byli przeciwko mnie. Nie miałam żadnego sojusznika. Nie tylko tutaj, ale także poza kratami.

Może z wyjątkiem Werna. Choć on sam z pewnością twierdziłby inaczej.

Usiadłam na pryczy, zastanawiając się, co teraz robi. Ruszył tropem, który starałam się mu podsunąć? Zastanawia się, jak ma oceniać to, że trafiłam do więzienia? Od roku właściwie na to liczył. Uznał zatem pewnie, że przynajmniej jedna sprawa została zakończona.

Jakkolwiek by było, Damian był jedyną osobą, która mogła sprawić, że stąd wyjdę. Tyle że nie miałam jak nawiązać z nim kontaktu.

Dziewczynom, które odsiadywały prawomocne wyroki, paradoksalnie przysługiwało więcej praw niż tymczasowo

aresztowanym. Miałam wrażenie, że znajduję się gdzieś na uboczu systemu penitencjarnego, w szarej strefie, gdzie nie obowiązują żadne zasady ani gwarancje praw człowieka. I gdzie można zrobić z osadzonymi niemal wszystko.

Położyłam się na łóżku i zamknęłam oczy.

Wern, działasz tam na zewnątrz? Starasz się odkryć prawdę? A raczej to, co wszyscy wokół usiłują sprzedać ci jako prawdę?

Westchnęłam głęboko. Nie miałam pewności, czy Damian postąpi tak, jak powinien. A nawet jeśli, to czy ruszy odpowiednią drogą.

Musiałam się z nim skontaktować. Natychmiast. Póki mam jeszcze resztki honoru do ratowania.

– Wygodnie? – rozległ się głos Migoty.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam stojącą przy łóżku dziewczynę.

– Pewnie jesteś przyzwyczajona do jakichś wodnych materaców i innych takich, nie?

– Niespecjalnie.

Oparła się łokciem o pryczę, a potem położyła brodę na zaciśniętej pięści. Przyglądała mi się przez chwilę, a ja robiłam wszystko, by nie patrzeć jej w oczy.

– Wyobrażam sobie ciebie na zewnątrz – dodała. – Żakieciki, kapelusiki, te sprawy.

– Nie masz nic lepszego do roboty?

– Pewnie raz w tygodniu fitnessik, raz joga, raz jakaś zumba czy inne gówno. Wieczorami winko, świeczki i inne chuje muje.

W końcu na nią spojrzałam.

– Nie masz pojęcia, jak wyglądały moje wieczory.

– Nie było świeczek?

Podniosłam się i usiadłam na pryczy, ale Migota nawet nie drgnęła.

– Ale ruchańsko pewnie dobre – rzuciła. – Przynajmniej od fagasa na boku, bo męża przecież nie bez powodu zajebałaś.

Roześmiała się i obróciła w stronę Kamikaze, szukając aprobaty. Ta zupełnie ignorowała naszą wymianę zdań.

– Spoko – rzuciła Migota. – Tutaj będziesz miała jeszcze lepsze, musisz tylko nauczyć się kilku rzeczy.

Przypuszczałam, że cała ta rozmowa nie odbywa się przypadkiem. Stanowiła zapowiedź kolejnej odsłony upodlenia, jakie miałam tutaj przechodzić.

Czy rzeczywiście sprawiałam na nich takie wrażenie, jak sugerowała ta dziewczyna? Kobiety, która jednego dnia chodziła na obcasach i w zakiecie, a drugiego musiała zrzucić to wszystko i wejść do nowego, zupełnie obcego świata?

Jeśli tak, to nie miały pojęcia, czym jest przemoc domowa. I jak potrafi zaprawić w boju.

– Pewnie nieraz jebłaś sobie saunę parową na włosy – dodała Migota. – I lifting na ryj, nie? Takie rzeczy to musiała być u ciebie norma.

Zeskoczyłam z pryczy i stanęłam przed nią. W końcu zmieniła pozycję, odwracając się na wprost mnie. Przechylała głowę na boki i patrzyła mi wyzywająco w oczy.

– Chcesz wiedzieć, co było u mnie normą? – odezwałam się. – Bycie okładaną co noc przez męża, czasem do nieprzytomności. Nieustanna obawa, czy mój syn czegoś nie usłyszał. Pograżanie się w coraz większym otępieniu i...

– Obok chuja by mi to latało, jakbym go miała – ucięła Migota, łapiąc się za krocze. Zbliżyła się jeszcze o krok i przez moment miałam wrażenie, że przywali mi z byka. – Myślisz, że tylko ty tutaj za to trafiłaś?

– Połowa z nas siedzi za takie rzeczy – odezwała się w końcu Ciotka.

– Tyle że nie wszystkie mieszkaliśmy w pierdolonych willach – dodała Migota. – Tam byłaś paniusią, tu będziesz zwykłą szmatą. Łapiesz?

Kątem oka zauważyłam, że Kamikaze się podnosi. Zaraz potem to samo zrobiła Ciotka. Wszystkie trzy stanęły obok mnie.

Gorączkowo zastanawiałam się, czy jest coś, co mogłabym zrobić, by uniknąć kolejnego poniżenia. Na litość ich nie wezmę, to było jasne. Dostały jasne polecenia od ludzi, którzy w roli oprawców godnie zastąpili mi Roberta.

Być może zapłacili tym trzem za to, żeby się mną zajęły. Jeśli tak, to może byłabym w stanie je przekupić. Problem polegał na

tym, że na słowo mi nie uwierzą, a ja nie miałam dostępu do zgromadzonych na wolności środków.

Protekcja? To była chyba jedyna możliwość. Nieraz słyszałam, że w kobiecych więzieniach relacje seksualne między osadzonymi wyglądają inaczej niż w męskich zakładach karnych. Tam każdy mógł świadczyć je każdemu, tutaj dziewczyny żyły w związkach, nikt nikogo do niczego nie zmuszał, nie dochodziło do gwałtów. Pozorowano miłość – co nie przeszkadzało więźniarkom witać gorąco chłopaków, narzeczonych i mężów, gdy ci przychodzili na widzenie.

Nawet gdybym była w stanie przełknąć gorycz upadku, najpewniej żadna z osadzonych nie byłaby gotowa się ze mną związać.

Boże, naprawdę o tym myślałam? To tylko uświadamiało mi, w jak surrealistycznym świecie się znalazłam.

I dawało do zrozumienia, że jestem w nim sama. Zdana wyłącznie na siebie.

– Liczyłaś na specjalne względy, bo ktoś cię okładał? – dodała Migota. – To chyba prawie każda tutaj musiałaby je mieć, czaisz?

– Czaję.

– Żadna nie zakurwiła tego czy innego gościa ot tak. Wszystkie, co siedzą za zabójstwa, zrobiły to, co zrobiły, bo nie miały innego wyjścia. Działy albo w afekcie, albo w samoobronie.

Co do tego akurat nie miałam wątpliwości. Pamiętałam statystyki i o ile wiedziałam, w Polsce karę pozbawienia wolności odbywało jakieś trzy tysiące kobiet, przy czym tylko około trzydziestu procent siedziało za zabójstwo.

Wśród tych ostatnich niemal dziewięćdziesiąt procent trafiło za kratki właśnie za odebranie życia partnerowi. Nie wiedziałam wprawdzie, czy te statystyki są aktualne, bo od pewnego czasu omijałam ten temat z daleka, ale ogólny obraz z pewnością się nie zmienił.

Uświadomiłam sobie, że mój pobyt tutaj to tak naprawdę ostatni akt znęcania się Roberta nade mną. Ale Migota miała rację, mówiąc, że nie jestem w tym odosobniona. Być może powinnam szukać pomocy u innych, które rozumiały, przez co

przeszłam? Może powinnam zabiegać o to, by trafić na oddział, gdzie znajdowały się te najbardziej niebezpieczne więźniarki? Może nie były tak łatwo sterowalne jak te trzy?

Na razie były to jedynie czcze rozważania. Musiałam uporać się z obecną sytuacją, jeśli miałam zamiar myśleć o jakiegokolwiek przyszłości.

– Posłuchajcie...

– Czego? – ucięła Migota. – Masz jakąś propozycję?

– Może, ale...

– Chcesz kupić sobie bezpieczeństwo, co? – Dziewczyna zaśmiała się, klasnęła, a potem zatarła ręce. – Zajebicie, zobaczymy więc, co masz. Podpaski? Tampony?

Otworzyłam usta, ale nic nie powiedziałam.

– Tutaj to cenny towar – dodała. – Na drzewach, kurwa, nie rosną.

Rozejrzałam się niepewnie, myśląc o tym, że może dzięki takiej rozmowie uda mi się odwołać do kobiecej solidarności.

– Nie dają nam nawet podpasek? – spytałam, nie bez powodu używając tego konkretnego zaimka osobowego.

– Pompujesz? – spytała Migota i prychnęła. – Ciotce raz dobrze jebło, dostała dwie paczki higieniczne w miesiącu, to się podzieliła. Ale bez tego nie ma chuja we wsi.

– Jakoś sobie radzimy – włączyła się Kamikaze. – Ty też się przyzwyczaisz.

Do braku podpasek i dwóch wizyt tygodniowo w łaźni? Do mycia się za pomocą gąbki, mokrego ręcznika i miski z wodą? Do załatwiania wszystkich potrzeb w obecności trzech obcych kobiet? Być może. Do tego, czego miałam doświadczać z ich rąk? Raczej nie.

– Nie tylko do tego przywykniesz – oznajmiła Migota. – No chyba że ten twój walił cię w kakao. To nie będziesz musiała.

Spojrzałam jej prosto w oczy. I miałam nadzieję, że zobaczę w nich szyderę.

– No co? – spytała. – Myślałaś, że to berło w kiblu służy do czyszczenia klopa?

Wzdrygnęłam się na samą myśl. Zanim jednak Migota zdążyła

przejsć od słów do czynów, weszła między nas Ciotka. Wskazała mi wzrokiem kotarę, a potem ruszyła do toalety.

– Chodź – rzuciła.

– Ale...

– Nic ci się nie stanie.

Zaważałam się, ale ostatecznie uznałam, że jeśli u kogokolwiek w tej chwili mogę szukać ratunku, to jedynie u niej. Szczególnie że Migota wróciła na swoje miejsce i straciła zainteresowanie.

Ciotka zamknęła klapę i usiadła na niej.

– Zasuń – powiedziała, jakby kotara miała sprawić, że faktycznie zyskamy choćby namiastkę prywatności.

Zrobiłam, co kazała, a potem kucnęłam obok niej.

– Gdzie byłaś? – spytała cicho.

– Nieważne.

Pokręciła głową z rezygnacją, przywodząc na myśl matkę, która musi użerać się z przekornym dzieckiem.

– Nie rozumiesz jeszcze, o co tu chodzi? – szepnęła.

– Rozumiem doskonale.

– Więc powinnaś ogarniać, że nie trafiłaś do tej konkretnej sali przez przypadek.

– Mhm – potwierdziłam cicho.

– A jeśli tak, to powinnaś też rozumieć, że wiem o wszystkim, co się dzieje.

Nachyliła się do mnie, a ja poczułam nieprzyjemną woń taniego alkoholu. Najwyraźniej z dostępem do więziennego bimbru nie było tutaj problemów. Właściwie mnie to nie dziwiło, słyszałam, że kobiety w tym względzie radzą sobie znacznie lepiej niż mężczyźni. Do historii więziennictwa przeszły już osadzone we wrocławskim Babińcu, które opracowały metodę robienia tostów na żelazku. Poczta pantoflową wieść rozeszła się także po innych zakładach karnych.

– Z kim się widziałaś? – spytała Ciotka. – Z Prokockim?

Uniosłam brwi. Najwyraźniej naprawdę wiedziała więcej, niż sądziłam.

– Co mu powiedziałaś?

– Nic.

– Na pewno? Wiesz, że to łatwo ustalić.

Pokiwałam głową. Przez chwilę milczyłyśmy.

– Dostałam kolejne instrukcje – odezwała się w końcu.

– Od kogo?

– Dobrze wiesz – odparła Ciotka wciąż tak cicho, by dwie pozostałe nic nie słyszały. Potem spojrzała wymownie na szczotkę do WC. – I Migota nie darła łacha. Naprawdę mamy ci to wsadzić w dupę.

Nieomal zakrztusiłam się powietrzem. Ciotka powiedziała to z takim spokojem, jakby przedstawiała mi pogodę na nadchodzące dni.

– Bawiłaś się kiedyś w anala?

– N-nie... – wydusiłam.

– To będzie tym gorzej.

– Ale...

– Nie mogę ci w żaden sposób pomóc, rozumiesz?

– Moment...

– Muszę to zrobić.

Powiedziała to zbyt głośno, zbyt zdecydowanie. Zanim zorientowałam się, co to oznacza, kotara gwałtownie się odsunęła, a Migota i Kamikaze wpadły do toalety. Znów doskoczyły do mnie i unieruchomiły mnie tak, że nie miałam co myśleć o wyrwaniu się. Mimo to próbowałam to zrobić.

Szarpnęły mną i ustawiły tyłem do Ciotki, a ta natychmiast ściągnęła mi spodnie i majtki. Nie miałam czasu nawet pisnąć, kiedy Migota przywaliła mi w brzuch na tyle mocno, że mimowolnie się skuliłam.

Potem poczułam coś twardego między pośladkami. Krzyknęłam, ale Migota zareagowała natychmiast, uderzając jeszcze mocniej.

– Z kim się widziałaś? – spytała Ciotka.

– Z Prokockim!

– Powiedziałaś mu to, co chciał wiedzieć?

– Nic mu nie powiedziałam, do kurwy nędzy!

Końcówka szczotki do toalety wsunęła się jeszcze bardziej. Nie rozumiałam, co się dzieje. Miałam wrażenie, że umieram

wewnątrz, jakby ktoś wyszarpał ze mnie duszę i wygnał ją do miejsca, z którego nie ma powrotu. Zamknęłam oczy, czując się tak, jak podczas brutalnych napadów Roberta.

Tyle że w nich nie było nic seksualnego. Zaspokajał się w zupełnie inny sposób.

To, co teraz miało się ze mną stać, było czymś odmiennym, nieznanym i przez to jeszcze bardziej przerażającym.

– Nic nie wie! – krzyknęłam. – Przysięgam!

Czas zdawał się na moment zatrzymać. Wiedziałam, że od tego, czy Ciotka zrobi jeden mocny ruch wprzód, zależy reszta mojego życia.

Po czymś takim już nie będę taka sama. Nie mogłam nawet łudzić się, że będzie inaczej.

11

Chwilę po tym, jak Prokocki odjechał, oboje z Klizą odetchnęliśmy.

– Widziałeś? – spytała. – Zwolnił przy samej kapliczce i rozglądał się uważnie, jakby czegoś albo kogoś szukał.

Oddychałem ciężko, wciąż nie mogąc zrozumieć, co to wszystko oznacza. Narastająca frustracja szukała jakiegoś ujścia, a ja miałem wrażenie, jakbym miał zaraz eksplodować.

– Wern?

– Widziałem.

– Wygląda na to, że trafiliśmy tu, gdzie powinniśmy.

Nie miałem co do tego wątpliwości już od momentu, kiedy tylko zobaczyłem Prokockiego. Ale skąd wiedział, by się tutaj zjawić? Mnie z pewnością nie śledził, a o obecności Klizy w Opolu być może nawet nie miał pojęcia.

– Tyle że nic nam po tym – dodała Jola. – Skoro nie wiemy, dlaczego akurat o to miejsce chodziło Ewie.

Wbiłem wzrok w kapliczkę i stłumiłem ochotę, by przywalić pięścią w jej ścianę. Miałem dosyć pytań, potrzebowałem odpowiedzi. Odwróciłem się, a potem bez słowa ruszyłem

w kierunku wejścia do przylegającego budynku. Mieszkające tu osoby były jedynymi, które mogły choć trochę rozjaśnić mi sytuację.

Jola zrównała się ze mną tuż przed drzwiami. Nacisnąłem dzwonek, a potem przybrałem najbardziej opanowany wyraz twarzy, na jaki było mnie stać. Otworzyła nam około trzydziestoletnia kobieta w zbyt dużym T-shircie z Marvela. Popatrzyła na mnie i Klizę, po czym rozejrzała się z konsternacją, jakby wzięła nas za kurierów i nie rozumiała, gdzie jest przesyłka.

– Dzień dobry – odezwałem się. – Możemy zająć chwilę?

Zerknęła na nas niepewnie.

– Chcieliśmy tylko zapytać o jedną rzecz – włączyła się Jola. – Zastanawiała się pani kiedyś, dlaczego Kościół naucza, że Duch Święty jest osobą, skoro jest to siła Boża?

Zamrugąłem z niedowierzaniem, a kobieta sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar trzasnąć nam drzwiami przed nosem.

– Oj, przepraszam, ale teraz nie mogę...

– Spokojnie – wpadła jej w słowo Kliza, uśmiechając się. – Tylko się zgrywam.

Rozmówczyni przyjrzała nam się jeszcze bardziej badawczo. Taktyka Klizy wydała mi się w najlepszym wypadku nonsensowna, ale kiedy zobaczyłem, że kobieta nie ma zamiaru zamykać drzwi, odetchnąłem.

– Wychodzę z założenia, że łatwiej wepchnąć komuś komplet garnków, jeśli zacznie się od próby sprzedania mu swojej religii – dodała Jola.

Musiałem przyznać, że z każdą chwilą ta dziewczyna zyskiwała w moich oczach coraz bardziej.

– Sprzedają państwo garnki?

– Nie. Chociaż niewykluczone, że ostatecznie tak skończymy.

Miss Marvel, jak nazwałem ją w duchu, znów popatrzyła na nas jak na dwójkę idiotów.

– Na razie niczego nie sprzedajemy – dorzuciła Kliza, a potem wskazała przylegającą budowlę, za sprawą której się tu znaleźliśmy. – Chcieliśmy po prostu zapytać o tę kapliczkę.

Rozmówczyni się skrzywiła.

– Więc jednak będzie religia? – mruknęła, zakładając ręce na piersi. – Zbieracie na odrestaurowanie? Jak dla mnie, nie ma problemu, róbcie z nią, co chcecie. Od początku mówiliśmy parafii, że nie będziemy przeszkadzać.

– Od początku? – włączyłem się.

– Od kiedy kupiliśmy dom.

– Wcześniej należał do Kościoła? – zapytała Jola, rozglądając się.

Przez chwilę zastanawiałem się, gdzie znajduje się najbliższa świątynia. O regresji mojej religijności świadczył fakt, że wiedziałem, gdzie jest klub wspinaczkowy Asgard, pływalnia Wodna Nuta i restauracja Salomon, ale nie miałem pojęcia, gdzie w okolicy znajduje się jakiś kościół.

– No tak – odparła Miss Marvel. – Nie jesteście z parafii?

– Nie – odparłem. – Chcieliśmy po prostu dowiedzieć się...

– Zaraz – ucięła. – Czy ty nie jesteś tym gościem, który od dziesięciu lat szuka zaginionej narzeczonej?

– Od jedenastu. I właściwie...

– To o to chodzi? – znów mi przerwała. – Ale ona przecież nie żyje.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że nie rozmawia z przypadkowo spotkanym człowiekiem o jakiejś abstrakcyjnej sprawie z mediów, tylko o czymś, co wiązało się z prawdziwym życiem rozmówcy.

– O Jezu... – jęknęła. – Przepraszam, nie chciałam...

– Nie ma sprawy.

– Czego chcecie się dowiedzieć o tej kapliczce? To jest związane z tamtą sprawą?

Kliza spojrzała na mnie z niedowierzaniem, a ja uznałem, że najwyraźniej będę musiał podszkolić ją w zwyczajach rządzących małymi miastami. Tutaj każdy tego typu news był wagi niemal państwowej, przez co nawet tak niewyróżniająca się postać jak ja mogła zapaść w pamięć. Szczególnie że każdy znał tu każdego. Albo kogoś, kto zna każdego.

– Właściwie tak – odezwała się Jola, zanim ja zdążyłem to zrobić.

– I co konkretnie chcecie wiedzieć?
– Konkretnie nic. A ogólnie wszystko.

– Ale...

– Pewien trop nas tutaj doprowadził – włączyłem się. – Wskazano nam tę kapliczkę, ale bez wyjaśnienia, dlaczego jest istotna.

Wyraz twarzy Miss Marvel kazał sądzić, że właśnie została skaperowana do wyjątkowo znaczącego, dziejowego projektu. Wyraźnie poczuła odpowiedzialność.

– Mieszkamy tutaj dopiero od kilku miesięcy – oznajmiła. – Kupiliśmy ziemię od parafii, a kapliczka... stoi jak stała, to chyba teren gminy. Zadeklarowaliśmy, że nam ona nie przeszkadza, a jak będą chcieli remontować, nie mamy nic przeciwko. Ale od tamtej pory cisza.

Podrapałem się po głowie. W jaki sposób cokolwiek z tego miałyby być znaczące?

– Kto wcześniej tu mieszkał? – spytała Kliza.

– Nie wiem, pewnie księża.

– Oni mieszkają raczej na plebanii, a ja tu nie widzę żadnego kościoła w okolicy.

– No to może był tu jakiś dom pielgrzyma czy coś – odparła kobieta. – Nie mam pojęcia, naprawdę. Musicie popytać u źródła.

Uznaliśmy, że tak właśnie powinniśmy zrobić. Zlokalizowanie właściwiej świątyni zajęło nam tylko chwilę – wystarczyło zapytać pierwszego lepszego sąsiada.

Niewiele później trafiliśmy do parafialnej kancelarii, w której powitał nas młody ksiądz o przetłuszczonych włosach i wyraźnie niezdrowej cerze. Kiedy mówił, w kącikach ust gromadziły mu się białe bąbelki, co całkowicie mnie rozpraszało.

Był nowy, nie wiedział, co mieściło się pod adresem, który mu wskazaliśmy. Chętnie jednak przejrzał kościelne dokumenty i już po chwili ustalił, czemu służył budynek, do którego przylegała kapliczka.

– Była tam świetlica – powiedział. – A przynajmniej coś w jej rodzaju. Może bardziej miejsce spotkań lokalnej młodzieży. Odbywały się tam katechezy, ale też zwyczajne spotkania,

wydarzenia kulturalne...

– Jedenaście lat temu także? – zapytałem.

– Na to wygląda, ale dla pewności popytam.

Sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego i wykręcił numer. Przez moment z kimś rozmawiał, wypytyując o szczegóły, a ja wciąż próbowałem zrozumieć, dlaczego Ewa miałaby wskazać tę lokalizację.

A może tego nie zrobiła? Może po prostu wspomniała o czymś, co akurat przyszło jej na myśl? Ale to by znaczyło, że kojarzyła to miejsce. A o ile wiedziałem, nigdy tu nie była. Wątpiłem, żeby sama legenda krążąca po podopolskiej wsi wystarczyła, by Ewa się nim zainteresowała.

Poza tym wizyta Prokockiego nie była przypadkiem.

Odpowiedź była na wyciągnięcie ręki, czułem to.

– Nie, po prostu zjawili się tu dwoje ludzi, którzy o to pytają – odezwał się ksiądz, wyrывая mnie z zamyślenia. – Nie, nie parafianie.

Spojrzał na nas, a potem odsunął słuchawkę od ust. Na jego twarzy pojawił się uprzejmy uśmiech, a w kącikach ust uwydatniła się ślina.

– Dlaczego właściwie interesuje was ten budynek? – spytał.

– Szukamy kogoś – powiedziała Kliza.

– Kogo?

– Osoby, która była tam... cóż, zarządcą, można tak powiedzieć.

Popatrzyła na mnie w poszukiwaniu potwierdzenia.

– Tak – podjąłem. – Chyba można określić go jako zarządcę.

Strzelaliśmy w ciemno, a gdy ksiądz powtórzył nasze słowa starszemu koledze, oboje mieliśmy nadzieję, że trafiliśmy. Jola podsunęła dobry trop, przynajmniej tak mi się wydawało. Któryś z księży musiał sprawować pieczę nad tym miejscem – i jeśli ktokolwiek miał wiedzieć, w jaki sposób mogło to wiązać się z Ewą, to może właśnie on.

Duchowny słuchał jeszcze przez chwilę, kiwał głową i pomrukiwał z aprobatą, aż w końcu podziękował i się rozłączył. Odłożył telefon i znów posłał nam uśmiech.

– Przykro mi, ale tej osoby już nie ma z nami.

- Nie żyje? – spytała Kliza.
 - Nie, nie. Ale nie sprawuje już prawie posługi.
 - Odszedł na emeryturę?
 - Państwową? Tak – odparł ksiądz i otarł usta. – Kanoniczną?
- Niezupełnie, bo wciąż w pewnym stopniu zajmuje się duszpasterstwem.
- W jakim zakresie?
 - Pracuje z więźniami.
 - Jest kapłanem?
 - Nie, raczej pomaga duchowo kobietom osadzonym w zakładzie pod Opolem – odparł rozmówca i westchnął. – Widać Pan uznał, że tam jest teraz potrzebny.
 - To znaczy gdzie konkretnie? – włączyłem się.
 - Nie pamiętam nazwy miejscowości. Ale wiem, że dość nieładnie nazywają to miejsce Zamtuzem.
- Wymieniliśmy z Klizą zdezorionowane spojrzenia.
- Coś nie tak? – dodał ksiądz.

12

Wiedziałam, że to koniec. Nie było niczego, co mogłam powiedzieć czy zrobić, by jakoś uratować własną godność. Mogłam tylko pogodzić się z losem i liczyć na to, że napastniczki nie obejdą się ze mną zbyt brutalnie.

Wiedziałam, czym może się to skończyć. Rozerwanie błon śluzowych. Zakażenia. Uszkodzenia odbytu, przewodu pokarmowego.

Czarne scenariusze mnożyły się w mojej głowie aż do momentu, kiedy uświadomiłam sobie, że to nie jakieś hipotetyczne, pesymistyczne wersje, ale najbardziej prawdopodobny rezultat tego, co mnie spotka.

Kiedy to do mnie dotarło, wstąpiły we mnie nowe siły. Wyrwałam się Migocie, czując, jak końcówka szczotki wysuwa mi się spomiędzy pośladek. Zanim jednak nadeszło poczucie chwilowej ulgi, Migota znów mnie złapała i z pomocą Kamikaze

unieruchomiła.

– Uspokój się – poradziła Ciotka. – Będzie mniej bolało.

Krzyknęłam, ale Migota natychmiast wykręciła mi rękę, a potem zakryła dłonią usta.

– Nie wrywaj się.

– Słuchaj Ciotki – poradziła Migota. – Jak będziesz się rzucać, rozwali ci kakao.

Szarpnęłam jeszcze mocniej i miałam wrażenie, że wybiłam sobie bark. Mimo to moja sytuacja nie zmieniła się ani o jotę.

– I będzie po zwieraczach – dodała Migota. – Pieluchy przez minimum dwa tygodnie.

– Puszczaj! – krzyknęłam, kiedy jej dłoń ześlizgnęła się z moich ust.

Robiłam wszystko, by się uwolnić. Staralam się uderzyć w którąś z oprawczyń głową, kopnąć czy w końcu wyswobodzić rękę. Wszystko na marne. Czułam się zupełnie bezsilna, a najgorsze było to, że docierała do mnie tego świadomość.

Niemoc była tak wszechogarniająca, że w końcu musiałam się poddać.

Przeszło mi przez myśl, że podobnie musiała czuć się Ewa, kiedy zaatakowano ją i Werna nad Młynówką.

Czy to miała być dziejowa sprawiedliwość?

Zanim okrutny los zdążył udzielić mi odpowiedzi na to pytanie, rozległ się dźwięk, który dał mi nadzieję na ratunek. W pierwszej chwili nie byłam pewna, czy naprawdę go usłyszałam, czy to tylko omamy. Kiedy jednak napastniczki rozpierzchły się, jakby się paliło, zrozumiałam, że naprawdę ktoś odsunął zasuwę drzwi.

Usłyszałam kroki, a potem pytanie o to, gdzie jestem.

Odwróciłam się i uświadomiłam sobie, że po tym, jak dziewczyny mnie puściły, zaciągnęły zasłonę i wróciły na swoje miejsca.

– Siedzi w kiblu – odezwała się leniwie Migota. – Musisz zaczekać. Najlepiej na zewnątrz, jeśli nie masz pod ręką maski gazowej.

Nie miałam zamiaru zostawać z nimi sam na sam ani przez chwilę. Natychmiast podciągnęłam majtki i spodnie, a potem

odsunęłam zasłonę. Głośno i nierówno oddychając, spojrzałam na strażnika, który okazał się moim wybawcą.

– Widzisz? – dodała Migota. – Ona tam naprawdę ostro działa.

Musiał widzieć, w jak opłakanym stanie się znajduję, ale nie zająknął się na ten temat słowem. Skinął na mnie ręką, a potem cofnął się na korytarz. Nie pomyślałam nawet o tym,

by skontrolować swój stan w niewielkim lusterku zawieszonym na ścianie, i od razu ruszyłam w stronę klawisza.

– Gdzie ją zabierasz? – odezwała się Ciotka.

– Do kruka.

– Po co?

– Chce się z nią widzieć.

Nie wiedziałam, czy chodzi o nazwisko, czy może to jakieś slangowe określenie, którego nie znam. Funkcjonariusze właściwie ich nie używali, ale ten mógł sobie na to pozwolić.

Kiedy poprowadził mnie korytarzem w kierunku więziennej kaplicy, zrozumiałam, że tak właśnie było.

– Kruk to ksiądz? – spytałam. – Kapelan?

– No.

Przyspieszyłam kroku, kiedy strażnik lekko mnie popchnął. Nie pytał o nic, nie interesował się moim stanem. A ja wiedziałam, że rozmowa z nim na ten temat nie jest dobrym pomysłem.

– Dlaczego chce się ze mną widzieć?

– Pewnie wydaje mu się, że może cię nawrócić na dobrą drogę.

– Ale...

– Skąd mam wiedzieć? – uciął. – I bez gadania.

Zatrzymał się przed kaplicą, a potem ruchem ręki zachęcił mnie, żebym weszła do środka.

Ksiądz już na mnie czekał. Siedział w pierwszej ławce, a kiedy się odwrócił, spodziewałam się zobaczyć kogoś znajomego. Tylko w ten sposób mogłam wytłumaczyć sobie, dlaczego duchowny chciał się ze mną spotkać.

Tego mężczyzny jednak nie kojarzyłam. Dobijał już z pewnością siedemdziesiątki, był przy ciele, a na jego twarzy wyraźnie odcisnęły się trudy życia. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ma przekrwione oczy i wyraźne czerwone plamy na policzkach.

- Niech będzie pochwalony – odezwałam się.
- Na wieki wieków.
- Nie ma ksiądz pojęcia, na jaki dobry moment trafił...

Uśmiechnął się, a potem wskazał miejsce obok siebie. Usiadłam na ławce i zanim się do niego odwróciłam, posłałam jeszcze krótkie spojrzenie w kierunku ołtarza. Czułam, że po rozmowie powinnam zostać na chwilę i podziękować. Uratował mnie właściwie cud.

- Chciałbym przypisać sobie zasługi, ale...
Zawiesił głos, a ja jeszcze raz zerknęłam na ołtarz.
- Chyba wiem, komu dziękować – powiedziałam.
Duchowny uśmiechnął się i pokręcił głową.
- Nie, to nie Bóg wyciągnął cię z celi, dziecko.

W jakiś sposób zabrzmiało to niepokojąco, a jego uśmiech, przed momentem jeszcze tak podnoszący na duchu, teraz wydał mi się złowrogi.

- Kim ksiądz jest? – zapytałam.

Przedstawił mi się jako ojciec Antoni, a zatem należał do zakonu. Sądziłam, że będzie kontynuował, ale zamiast tego zamilkł, jakby czekał na kolejne pytania. Najwyraźniej nic nie stało na przeszkodzie, bym je zadała.

- Skoro nie Bogu mam dziękować, to...
- Bogu zawsze można i trzeba dziękować – przerwał. – Za każdy promień słońca, każdy oddech i każdy posiłek.
- A jednak to nie On sprawił, że ojciec się tu pojawił.
- W pewnym sensie On, ale nie bezpośrednio.
- Więc komu bezpośrednio dziękować?
- Znasz Damiana Wernera, jak przypuszczam.

Uniosłam brwi, niepewna, czy to nie jakaś halucynacja. Jeszcze przed momentem byłam w opłakanej sytuacji, balansując na granicy szaleństwa. Teraz siedziałam w bezpiecznej kaplicy, słysząc, że to Wern mnie uratował.

Jakim cudem?

- Znam – odparłam, starając się zachować spokój. – A co on ma z tym wspólnego?
- Szukał mnie.

– To znaczy?

Ojciec Antoni założył rękę za drewniane oparcie i nachylił się ku mnie. Gdyby nie miał koloratki i sutanny, wzięłabym to za nieco wyzywający gest.

– Niedawno zadzwonił do mnie serdeczny przyjaciel, twierdząc, że Damian wypytuje o mnie w dawnej parafii.

– Jakiej parafii?

– W Wójtowej Wsi.

Nic mi to nie mówiło. Nie miałam bladego pojęcia, co Damian miałby tam robić. Ale jeśli ruszył tropem, który mu podsunęłam, i dotarł akurat tam, to lokalizacja musiała być znacząca.

– Dlaczego o ojca wypytywał?

– Z uwagi na miejsce spotkań, którym niegdyś się opiekowałam.

– A konkretnie?

Nie chciał udzielać mi odpowiedzi. Odniosłam wrażenie, że od początku tej rozmowy pilnuje każdego wypowiedzanego słowa.

– Klub, świetlica... jak zwał, tak zwał. Spotykała się tam miejscowa młodzież.

– Rozumiem.

– Młodzi nazywali to miejsce Kappa.

– Dlaczego?

Interesowało mnie to jak zeszłoroczny śnieg, ale przypuszczałam, że im dłużej będziemy rozmawiać, tym mniej ksiądz będzie uważać na swoje słowa.

– Od stojącej obok kapliczki – wyjaśnił i szybko zrozumiał, że nie łapię związku. – Słowo kaplica pochodzi od łacińskiego wyrazu cappa. Płaszcz.

– Chyba niespecjalnie pasuje do takich miejsc – zauważyłam. – Chociaż z drugiej strony... chodzi o otaczanie opieką?

Antoni znów się uśmiechnął. Dopiero teraz dostrzegłam w tym oznakę pewnej wyższości.

– Etymologia nie jest aż tak metaforyczna – rzucił. – Nazwa przyjęła się, bo w podobnych wnękach Święty Marcin zostawiał swoje okrycie.

W końcu udało mi się zmusić do uśmiechu, choć po tym, co przed momentem stało się w celi, najchętniej zwinęłabym się

w kłębek na podłodze i pozwoliła łzom płynąć. Wiedziała jednak, że muszę być silna. Teraz i później. Dla Wojtka.

– Więc Damian zainteresował się ojcem z powodu tej Kappy?

– Tak.

– I rozmawiał ojciec z nim?

– Owszem, odbyliśmy krótką rozmowę. Poprosił, bym się z tobą skontaktowałam... co niniejszym czynię.

Znów ten grymas.

Coś było nie w porządku, a ten człowiek nie mówił tonem, którego powinien używać. Zamiast duchownego przywodził na myśl raczej bandytę.

– Coś jeszcze powiedział? – spytałam.

– Chciałby się ze mną spotkać. I zadać mi kilka pytań.

– Nie powiedział jakich?

– Niestety nie – odparł Antoni i westchnął. – Ale przyjaciel poinformował mnie, że Damiana interesuje, co działo się w Kappie jedenaście lat temu.

– A co się działo?

– Przypuszczam, że nic ponad normę. Niektórzy grali w piłkarzyki, inni w ping-ponga, pozostali oglądali jakieś filmy na wideo, ktoś pomagał komuś odrabiać zadania domowe... U nas zawsze panowała dobra atmosfera.

– Nie wątpię.

Ksiądz przybliżył się jeszcze bardziej, jakby chciał powiedzieć mi coś szeptem. Mimo to się nie odezwał.

– Damian prosił, żeby mi coś przekazać? – spytałam z nadzieją.

– Nie, oczywiście, że nie. A nawet gdyby, nie mógłbym tego zrobić.

Wern także musiał o tym wiedzieć. A skoro tak, to być może uznał, że samo to spotkanie w jakimś sensie stanowi wiadomość.

Ale jaką? Nie dowiedziałam się wiele. Zasadniczo tylko tyle, że szukał jakiejś kapliczki i miejscowej świątlicy parafialnej. I księdza, który siedział teraz obok mnie.

Może właśnie o to chodziło? Bym zainteresowała się tym człowiekiem, spróbowała coś z niego wyciągnąć?

Innej możliwości nie widziałam.

– Powiedz mi, dziecko, czy mam się czym niepokoić?

– Słucham? – spytałam, nieco zbita z tropu.

– Planujecie coś nieroztropnego?

Zabrzmiało to, jakby sugerował co najmniej ucieczkę z więzienia.

– Nie – odparłam. – Nie ma się ojciec czym przejmować.

– W takim razie dlaczego Damian tak bardzo naciskał, bym się z tobą zobaczył?

Wzruszyłam ramionami. Byłam coraz bardziej przekonana, że chciał, bym przepytала Antoniego. Ale nawet jeśli dowiedziałabym się od niego czegoś, czego Wern potrzebował, jak miałabym mu to przekazać?

– Coś ci grozi? – spytał.

– Jedynie upadek moralny i depresja. Czyli chyba norma w takim miejscu.

– Więc może to ty sobie zagrażasz?

– Nie – odparłam bez wahania.

– Zapytam wprost, jeśli pozwolisz, dziecko.

– Oczywiście.

– Nie miewasz myśli samobójczych?

Tym razem to ja pochyliłam się lekko.

– Poradziłam sobie z bijącym mnie mężem – powiedziałam. – Poradzę sobie także z kilkoma głupimi myślami.

Antoni w końcu przestał mi się przyglądać i przeniósł wzrok na figurę Chrystusa na krzyżu. Przez chwilę oboje milczeliśmy, a ja zastanawiałam się, co zrobić, by to spotkanie trwało jak najdłużej. Byłam gotowa na wszystko, byleby opóźnić powrót do celi. I to, co nieuniknione.

– Więc naprawdę nie wiesz, dlaczego Damian tak nalegał, bym się z tobą zobaczył?

– Niestety nie. Przypuszczam, że ojciec orientuje się znacznie lepiej ode mnie.

Mruknął coś niezrozumiałego i obrócił głowę w moją stronę.

– Wydaje mi się, że wiemy tyle samo – odparł.

– Tak?

– Choć być może ty jesteś na nieco lepszej pozycji.

Nie rozumiałam, do czego zmierza, ale w jego głosie dało się wyczuć oskarżycielską nutę, której nie spodziewałam się usłyszeć.

– Ja na przykład jednej rzeczy wciąż nie mogę pojąć – dodał.

– Jakiej?

– Dlaczego kłamiesz w sprawie kaset?

Nieprzyjemne ciarki przebiegły mi od karku aż do łądźwi. Machinalnie odsunęłam się od Antoniego.

– Skąd ojciec...

– Co chcesz dzięki temu osiągnąć? – spytał, nie dając mi dość do słowa. – Przecież doskonale wiesz, że żadne nagrania nie istnieją. Wiedziałam jedno: powinnam mieć się na baczności w towarzystwie tego człowieka.

– Myli się ojciec.

– Nie, nie myślę się – odparł bez wahania, a potem wskazał na niewielki ołtarz. – I mogę przysiąc to tu i teraz. Ty też jesteś gotowa to zrobić?

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Przysiękniesz mi, że te kasety istnieją? – nie dawał za wygraną. – Zrobisz to przed obliczem Boga?

Pytanie mnie zaskoczyło, a szczególnie namaszczenie, z jakim je zadał.

Co tu się działo? Skąd ten człowiek w ogóle wiedział o sprawie kaset?

– Pytanie mnie o to ma sens, tylko jeśli ojciec uznaje, że jestem głęboko wierząca.

– A nie jesteś?

– Wciąż staram się to ustalić.

Pokręcił głową, wyraźnie niezadowolony, a potem przesunął dłonią po podwójnym podbródku. Podniósł się ociężale, podpierając o ławkę, jakby jego kolana nie były w stanie poradzić sobie z tuszą.

– To wyjątkowo wymijająca odpowiedź – zauważył.

– Zgadza się.

– Nie udzielisz mi konkretniejszej?

– Obawiam się, że nie.

Ksiądz popatrzył w stronę wyjścia z kaplicy, a ja zrozumiałam, że popełniłam błąd. Mogłam przedłużyć spotkanie, mówiąc Antoniemu to, co chciał usłyszeć. Tyle że jedynie oddaliłabym widmo, które i tak nade mną wisiało.

Poza tym musiałam spojrzeć prawdzie w oczy – duchowny nie był po mojej stronie. Dobitnie świadczył o tym fakt, że wiedział o taśmach. I chciał, bym przyznała, że nie istnieją.

– Pan nieustannie oświeca i wzywa nas, byśmy ukazali prawdę – odezwał się. – Prawdę, która wyzwala.

Skinęłam niepewnie głową.

– Może najwyższa pora, byś się o tym przekonała?

Mimo intonacji nie miałam pewności, czy to w istocie pytanie.

– Odwróć się od kłamstw – dodał. – Bo usta, które je wypowiadają, są dla Pana wstrętne. Zabijają duszę i zsyłają zgubę na tego, kto przeczy prawdzie.

Wyciągnął dłoń w moim kierunku i spojrzał mi głęboko w oczy. Odczekałam chwilę, a potem sama się podniosłam. Wycofał rękę.

– Nie spotka cię tutaj nic dobrego, moje dziecko.

– Wiem.

– Ale wciąż możesz wrócić na właściwą drogę.

– To znaczy?

Zbliżył się o krok, a ja poczułam kłujący w nos, nieprzyjemny zapach potu.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli – powiedział Antoni szeptem.

– I jeśli kogokolwiek nie musisz oszukiwać, to właśnie mnie.

Staliśmy przed sobą w milczeniu, a ja powoli zaczynałam układać wszystko w zborną całość. Nie miałam pełnych informacji, ale luki mogłam wypełnić dzięki dedukcji.

Być może ksiądz miał rację. Rzeczywiście wiedzieliśmy tyle samo.

– Może ojciec mnie stąd wyciągnąć?

– Tak.

Żadnego zawahania, żadnej wątpliwości. To potwierdzało wszystkie moje domysły. Przyszedł tutaj po to, by złożyć mi propozycję, której nie będę mogła odrzucić.

– Co muszę zrobić?

– Wszystko, o co cię poprosimy, Kasandro.

Pokiwałam głową, wciąż starając się przejść do porządku nad tym, z kim tak naprawdę mam do czynienia. Bez względu na to, czego sobie zażyczy, nie zdołam mu odmówić. Nie podejmę świadomej decyzji o powrocie do celi, bo będzie to równoznaczne z tym, że trzy czekające na mnie więźniarki zniszczą mi życie jeszcze bardziej niż Robert.

Nie miałam wyjścia. A on doskonale o tym wiedział.

– Na początek ustalmy jedną rzecz – powiedziałam, starając się stworzyć pozory kontroli. – Powrót do celi nie wchodzi w grę. Czeka mnie tam horror, o którym ojciec nawet...

– Znam tutejsze realia.

– W takim razie...

– Ale nie mogę nic na to poradzić – uciął, a ja odniosłam wrażenie, że wyczułam w jego głosie rzeczywisty ból. – Chciałbym, wierz mi. Jestem jednak w tej sprawie bezsilny.

Pomyliłam się? Wydawało mi się, że właśnie taką cenę będą gotowi zapłacić za moją współpracę.

Postawili mnie pod ścianą, mogli właściwie zrobić wszystko, a teraz otrzymali także moją deklarację, że jestem gotowa z nimi współpracować. Nie było powodu, dla którego mieliby pozwalać Migocie i reszcie dalej się nade mną znęcać.

– Proszę ojca...

– Naprawdę nie mogę nic zrobić. Nie w tej sprawie.

– Ale może ojciec skontaktować się z kimś, kto...

– Nie – uciął stanowczo. – Gdyby istniała jakakolwiek możliwość, zrobiłbym to.

Mierzylśmy się wzrokiem, jakbyśmy oboje spodziewali się, że zaraz całe to niewypowiedziane, kruche porozumienie legnie w gruzach.

– Wyjdiesz stąd – odezwał się Antoni. – Musisz tylko zrobić to, co trzeba.

Począł, aż potwierdzą zdawkowym skinieniem, a potem zaczął mówić. Słuchałam go początkowo z powątpiewaniem, a potem z niedowierzaniem. Kiedy skończył, zdałam sobie sprawę, że źle oceniłam sytuację.

Wiele rzeczy odgadłam. Część z nich nie była jednak tym, za co je brałam.

– Wszystko jest dla ciebie jasne? – spytał ksiądz.

W tej nowej sytuacji odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Tak.

Pożegnaliśmy się chwilę potem, a kiedy wyszłam na korytarz, zobaczyłam ostatniego człowieka, którego chciałam w tej sytuacji widzieć. Bez trudu poznałam strażnika – to on jako pierwszy powitał mnie w Zamtuzie, to on się przy mnie onanizował i to on chciał zmusić mnie do seksu oralnego.

Nie odezwał się i sprawiał wrażenie, jakby mnie nie pamiętał. W milczeniu poprowadził mnie ku miejscu, które na zawsze miałam zapamiętać jako moje własne piekło. Szliśmy powoli, a ja robiłam wszystko, by odwlec wykonanie okrutnego wyroku wydanego na mnie przez los.

Powtarzałam sobie, że jeśli wytrzymam, niedługo wrócę na wolność. Układ zaproponowany przez ojca Antoniego mi to zapewniał.

– Nie spieszy ci się – odezwał się funkcjonariusz.

– Nie.

– Źle cię traktują?

– Jak każdą nową – odparłam wymijająco, uznając, że im mniej powiem, tym dla mnie lepiej.

Nagle poczułam, że klawisz łapie mnie za rękę. Zatrzymałam się, a on obrócił mnie ku sobie.

– Mogę ci pomóc – zadeklarował, a potem wskazał na drzwi po prawej stronie. Wisząca na nich tabliczka informowała, że wewnątrz znajduje się niewielki magazyn.

Funkcjonariusz czekał, aż zaprotestuję i odtrącę jego rękę. Był to szybki i dość skuteczny sprawdzian mojej gotowości do zrobienia tego, o czym w normalnych warunkach nawet bym nie pomyślała.

– Wystarczy jedno słowo – dodał. – Mogę załatwić ci przeniesienie do innej celi. I to w tej chwili. Nie wrócisz już do tamtej.

Poczułam, jak zasycha mi w ustach.

– Oczekuję tylko niewielkiej wdzięczności.

Przełknęłam z trudem ślinę, niedowierzając temu, że nie wyrwam się, nie protestuję i... nie odrzucam od razu jego propozycji. Realnie się nad nią zastanawiałam.

– Jakiej? – zapytałam.

Wskazał wzrokiem drzwi.

– Zrobisz mi loda i po sprawie.

Nie czekał na moją odpowiedź. Wystarczyło mu, że się nie oburzyłam i od razu nie odrzuciłam jego sugestii. Otworzył drzwi, a potem skinął ręką do wewnątrz. Weszłam do kanciapy powoli, otumaniona, nierozumiejąca, co się dzieje. On znalazł się w środku zaraz po mnie. Zamknął drzwi i włączył światło.

Stanął przede mną, położył mi dłonie na ramionach, a potem sprawił, że przed nim uklęknęłam.

– Zrobisz to? – spytał.

Nie odpowiadałam. Mój umysł się wyłączył, a ostatnią rzeczą, która przeszła mi przez głowę, była alternatywa między seksem oralnym a analnym gwałtem. Ta myśl zupełnie mnie sparaliżowała. – Poślę kogoś po twoje rzeczy – dodał. – Już nigdy tam nie wrócisz.

Zaczął rozpinać rozporek, a ja słyszałam, jak oddycha coraz głośniej.

– Dam ci też zadzwonić. Dowiesz się, co z twoim synem, zadzwonisz do szpitala... czy gdzie tylko będziesz chciała – dorzucił, oddychając coraz płycej. – Zamknij oczy, szybko będzie po sprawie.

Czułam się, jakby ktoś założył mi worek na głowę, a potem czymś zdzielił. Byłam w półprzytomna, czułam się obco we własnym ciele. Jakbym nie była sobą.

– Zrób to – powiedział.

Wodziłem wzrokiem za przypadkowymi przechodniami, kiedy Kliza zastanawiała się, co wybrać z menu. Czekaliśmy w Kaiseki

na ojca Antoniego, z którego mieliśmy zamiar wydusić wszystkie informacje, jakich potrzebowaliśmy.

Zgodził się na spotkanie bez żadnych obiekcji. W dodatku zapewnił, że odwiedzi Kasandrę w celi. Chciałem przekazać przez niego jakąś wiadomość, ale od razu kategorycznie zastrzegł, że to niemożliwe.

– Futomak premium ibodai – odezwała się Jola.

– Co?

– Brzmi nieźle.

– Nie wiem nawet, co to znaczy.

– Nic nie szkodzi – odparła. – Zamówię dla ciebie na próbę.

– Ale ja nie...

– To ja spróbuję i ocenię.

Nie miałem zamiaru oponować, myślnami zresztą byłem daleko. Przyglądałem się każdemu przechodniowi, który mijał restaurację, ale nigdzie nie dostrzegłem nikogo w sutannie. Zerknąłem na zegarek. Do umówionej pory pozostało jeszcze ponad piętnaście minut.

Westchnąłem, a potem skinąłem lekko głową, gdy Kliza kończyła składać zamówienie.

– Uspokój się, Wern – odezwała się. – Zaraz wszystko z niego wyciągniemy.

– O ile coś wie. I o ile...

– Oczywiście, że tak – uparła się. – Ewa wskazała to miejsce nieprzypadkowo.

Powtarzała mi to, od kiedy tylko trafiliśmy na trop Antoniego, ale wciąż nie byłem przekonany. Owszem, podążyliśmy w kierunku wskazanym przez moją narzeczoną, ale co z tego? Nie mieliśmy żadnych konkretów.

– Fakt, że dzieciaki się tam zbierały, jest znaczący – dodała.

– A przynajmniej tak ci się wydaje.

– Tak mi podpowiada najlepszy doradca, jakiego kiedykolwiek miałam.

Nie chciałem pytać, ile razy jej intuicja ją zmyliła, obawiając się, że przypadków takich będzie zbyt wiele.

– W Kappie poszło coś nie tak – ciągnęła. – Inaczej Kościół nie

zamknąby tego miejsca i nigdy by się go nie pozbył. W końcu w ich najlepszym interesie jest krzewić chrześcijańskie postawy wśród młodych na wsi, prawda?

Wójtowa Wieś bodaj od dwa tysiące dwunastego roku była dzielnicą Opoła, ale nie miałem zamiaru o tym wspominać.

– Co sugerujesz? – spytałem.

– Nic, bo jestem dobrym śledczym.

– No tak...

– Nie prowadzę dochodzenia pod tezę – zastrzegła, jakby w przeszłości pracowała nie w biurze detektywistycznym, ale w prokuraturze. – Zakładam, że wszystko jest możliwe, dopóki okaże się, że jest niemożliwe.

– W porządku. Co więc w tym wypadku jest możliwe?

– To, że Ewa miała jakiś związek z Kappą.

– Nie miała – odparłem od razu. – Nigdy nawet tam nie była.

– Studiowała na polibudzie, prawda? Jej budynek jest niedaleko od tej kapliczki.

Pokręciłem głową, wciąż przyglądając się przechodniom.

– Wydział Ekonomiczny jest na Luboszyckiej – odparłem. – I zapewniam cię, że wiedziałbym, gdyby odwiedzała tamte strony.

– Byliście ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Niemalże.

– Przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku?

Zerknąłem na nią z powątpiewaniem.

– I nie mieliście żadnych przerw w związku? Żadnych cichych dni, podczas których się nie widywaliście? Nie wyjeżdżałeś nigdy z Opoła bez niej?

– Daj spokój.

– Ty daj spokój – odparła. – Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że jest mnóstwo rzeczy, których o Ewie nie wiedziałeś. Gdyby chodziło tylko o cały ten teatr Kasandry, mógłbyś ludzić się, że kłamała. Ale sam widziałeś kasetę. Wiesz, że to wszystko prawda.

W końcu oderwałem wzrok od ulicy. Chciałem odpowiedzieć Klizie, ale kelnerka zjawiała się z naszymi daniami. Ledwo

postawiła przede mną talerz z sushi, Jola złapała w pałeczki jedną z moich rolek. Przemieliała ją w ustach, po czym przysunęła sobie obydwie talerze.

– Wystarczy ci imbir, i tak nie jesteś głodny – oznajmiła.

Nie odezwałem się, rozważając, czy w tym, co mówiła o Ewie, nie ma choć trochę prawdy.

Ile tak naprawdę wiedziałem o mojej narzeczonej? Przez lata ukrywała przede mną prawdę o swoich rodzicach. Nie wspominając już o tym, że zdecydowała się zeznawać przeciwko regionalnemu mafiosowi.

Ale co miałyby robić w Kappie? Nigdy nie była przesadnie religijna i nie udzielała się w takich grupach. Owszem, z Zaodrza nie miałyby daleko do Wójtowej Wsi, ale przecież zauważyłbym, gdyby tam jeździła.

– Dasz spokój? – spytała niewyraźnie Kliza, przeżuwając futomaka.

– Z czym?

– Z siedzeniem jak na szpilkach. Księżulo zaraz przyjdzie.

Nałożyła odrobinę wasabi na końcówkę pałeczki i ściągnęła ją językiem. Skrzywiłem się na samą myśl o tym, jak musiało to podziałać na jej receptory smaku. Ona jednak przeżuła w spokoju, a ja nie zauważyłem łez w kącikach oczu, które u normalnych ludzi pojawiały się po bezpośredniej styczności z japońskim chrzanem.

– I dlaczego w ogóle poprosiłeś go, żeby skontaktował się z Kasandrą?

Niespecjalnie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc na wszelki wypadek milczałem.

– Myślałeś, że to jej uda się coś z niego wyciągnąć?

– Może.

– Mało prawdopodobne.

– Jeśli naprawdę tak sądzisz, to chyba nie znasz jej siły perswazji.

Jola sięgnęła po plasterek imbiru, by oczyścić kubki smakowe przed kolejną porcją sushi.

– Nie jest zbyt duża – zauważyła. – Kiedy przyszło do bronienia

mnie, od razu spasowała.

– Wtedy miała przeciwko sobie Roberta Reimanna.

Kliza zmrużyła oczy i uniosła lekko kąciki ust. Przywodziła mi na myśl dobrego kumpla, który właśnie zrozumiał coś, do czego ja jeszcze nie doszedłem, i posyłał mi znaczące spojrzenie.

– Teraz jej bronisz? – zapytała. – Nieźle. Szczególnie po tym, co ci zrobiła.

– Mówię jedynie, że...

– A może wysłałeś do niej tego księdza, bo chciałeś dać znać, że o niej nie zapomniłeś? Chciałeś dodać jej otuchy, Wern?

Gdybym rzeczywiście rozmawiał teraz z kumplem, zapewne uraczyłbym go odpowiednio siarczystem przekleństwem. Kliza dostrzegła moją irytację, odłożyła pałeczki i skrzyżowała ręce na stole.

– Chyba zapomniłeś, że ona tylko wygląda jak Ewa – rzuciła. – Ale bynajmniej nią nie jest.

– Nie zapomniałem.

– Ale może lekko zgłupiałeś po tym, jak się pod nią podszywała? Może wciąż wydaje ci się, że to ona?

Pokręciłem głową, nie fatygując się nawet o odpowiedź.

– To nie jest twoja narzeczona, Wern – dodała Jola. – Nigdy nią nie była. Wykorzystała ją, żeby...

– Wiem dobrze, co zrobiła.

– To czemu wyglądasz, jakbyś o tym zapomniał?

– Nie zapomniałem – odparłem stanowczo. – Nabrałem po prostu nieco dystansu.

– Do jej przekrętów? Żartujesz sobie?

Mogłem długo tłumaczyć jej, co przeżywałem przez ostatni rok. Mogłem rysować kręte ścieżki, którymi kroczyły moje myśli, zanim w końcu się ułożyły. Ostatecznie jednak nie sądziłem, by to wszystko zrozumiała.

Owszem, pamiętałem o każdej rzeczy, którą zrobiła Kasandra. Zdawałem sobie też jednak sprawę z tego, co ją do tego popchnęło. Czy postąpiłbym tak samo na jej miejscu? Trudno było mi odpowiedzieć na to pytanie, bo nie miałem dziecka. Mogłem tylko domyślać się, jak zmienia to całą percepcję świata.

– Wybaczyłeś jej? – spytała nagle Kliza.
– Nie wiem.
– Takie rzeczy zazwyczaj się wie.
– A jaka to różnica? – odparowałem. – Przeszłości i tak nie zmienię.

Kliza uśmiechnęła się półgębkiem.

– Wybaczenie nie służy do zmieniania tego, co było, tylko tego, co będzie – zauważyła.

– Powiem ci, co będzie.

– No?

– Dojdzie do prawdziwej tragedii, jeśli nie skończysz z tymi złotymi myślami.

– Są co najwyżej pozłacane – odparła, sprawnie ujmując pałeczki między palcami. – Ale dotyczą ważnych rzeczy.

Nie miałem zamiaru kontynuować rozmowy, która zmierzała w niezbyt ciekawym kierunku. Sam nie wiedziałem, jak mam postrzegać Kas. Tym bardziej nie miałem pojęcia, jak dyskutować na jej temat z Klizą.

Szczęśliwie od konieczności drążenia tego tematu wybawił mnie dźwięk telefonu. Czym prędzej sięgnąłem po komórkę i zobaczyłem nieznaną numer.

– Kto to? – spytała Jola.

– Najpewniej ktoś, kto chce zaproponować mi kredyt, ofertę, udział w badaniu opinii publicznej albo przetestowanie zestawu garnków z vibranium, adamantium i innych takich.

Błysk w oku Klizy kazał mi sądzić, że orientuje się w uniwersum Marvela. Odrzuciłem połączenie, a potem położyłem komórkę na stole i znów zacząłem przyglądać się przechodniom.

Niemal od razu ponownie rozległ się dzwonek. I po raz kolejny dzwonił ktoś z tego samego numeru.

– Odbierz – poradziła Jola. – Może En Sabah Nur chce cię zwerbować jako jednego z nowych jeźdźców Apokalipsy.

Doceniłem tę uwagę krzywym uśmiechem, a potem podniosłem telefon.

– Tak? – zapytałem.

– Wern...

Głos Kasandry był ostatnim, który spodziewałem się usłyszeć. Bezwiednie wstałem od stołu, samemu nie wiedząc dlaczego. Rozejrzałem się, jakby Kas miała znajdować się gdzieś obok.

– Wern, jesteś? – spytała.

– Tak – odparłem szybko. – Skąd dzwonicz? To znaczy... jak udało ci się...

– Z Zamtuza – ucięła. – I mniejsza z tym. Ważne, że udało mi się z tobą skontaktować.

Przeszło mi przez myśl, że nie brzmi jak więźniarka zamknięta za kratami jednego z najgorszych więzień, ale jak partnerka w interesach, która pilnie chce mi coś przekazać. Przypuszczałem jednak, że jej opanowanie to jedynie pozory. Przez lata życia w toksycznym związku potrafiła je stwarzać.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– W Kaiseki. To znaczy...

– Wiem, co to jest. Zrobiłam research.

Oczywiście. Znała wszystkie knajpy w Opolu, a menu z Manekina, Grabówki i Pierzcha z pewnością opanowała na pamięć. Musiała być odpowiednio przygotowana do roli, którą niegdyś przede mną odgrywała.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, a ja czym prędzej odsunąłem od siebie podobne myśli. To nie był czas na przypominanie sobie negatywów.

– Dobrze cię słyszeć, Wern – odezwała się, jakby czytała mi w myślach.

– Tak, no...

– Brakowało mi twojego głosu.

Miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Ale nie, naprawdę to powiedziała. A teraz znów zamilkła, być może zdając sobie sprawę z tego, że przesadziła.

– Cóż... – odparłem.

– Możesz po prostu powiedzieć, że mnie też dobrze słyszeć.

– Bardzo dobrze, ale...

– Jesteś tam z Klizą? – przerwała mi.

– Tak.

– Słyszysz, co mówię?

– Nie.

Spojrzałem na Jolę, a ona odpowiedziała mi, unosząc brwi z zaciekawieniem. Nie miała pojęcia, z kim rozmawiam, ale ewidentnie miała zamiar się tego dowiedzieć.

– To dobrze – powiedziała Kas. – Nie wiem, na ile możemy jej ufać.

– My?

– Albo ty. Jeśli wolisz trwać w przeświadczeniu, że jesteś sam jak palec.

– Jestem – odparłem z przekonaniem. – I na dobrą sprawę co chwilę się w nim utwierdzam.

Przypuszczałem, że będzie oponowała, ale widocznie uznała, że nie ma to sensu. Ja zaś skarciłem się w myśli za to, że prowadzę rozmowę w takim kierunku. Nie wiedziałem, co musiała zrobić, żeby otrzymać dostęp do telefonu, ale z pewnością nie było to łatwe. I czas rozmowy był ograniczony.

– Po prostu uważaj na nią, dopóki nie dowiem się więcej – dodała.

Ruszyłem w kierunku korytarza, uznając, że rozmowa pójdzie swobodniej, jeśli nie będę czuł na sobie pytającego spojrzenia Klizy.

– Możesz mi wytłumaczyć, co się dzieje? – spytałem.

– Nie do końca.

– Świetnie.

– Ale powiem ci tyle, ile mogę. Resztę później.

– Kiedy?

– Posłuchaj, Wern – odparła głosem, który dobrze znałem.

W tym samym głosie rozplýwałem się, kiedy odsłuchiwałem pliki czekające na mnie w tym czy innym zakątku internetu. A potem na zostawionych w kilku miejscach pendrive'ach.

Musiałem upomnieć samego siebie, że nie należy do Ewy, ale do Kasandry. I że był jedynie narzędziem, za pomocą którego ta druga mną sterowała.

– Mam trochę informacji, którymi muszę się z tobą podzielić – dodała. – Ale najpierw powiedz mi, co z ojcem Antonim.

– A co ma być? Odwiedził cię?

– Tak.

Czekałem na więcej, ale nadaremno.

– Umówiłeś się z nim? – zapytała Kas.

– W zasadzie właśnie na niego czekam.

Głośnie westchnięcie.

– Więc nie czekaj – odparła. – Antoni nie przyjdzie.

– Dlaczego? I skąd wiesz?

– Powiedzmy po prostu, że sytuacja trochę się zmieniła.

– Dobrze by było, żebym wiedział, w jaki sposób.

Kas albo namyślała się nad odpowiedzią, albo pojawił się jakiś problem. Z łatwością mogłem wyobrazić sobie, jak więźniarka, od której najpewniej pożyczyła telefon, upomina się o zwrot i ją pogania.

– Mogę stąd wyjść, Wern – odezwała się w końcu Kasandra. – Ale tylko jeśli mi pomożesz?

– Żartujesz? – odparłem machinalnie. – Oczywiście, że... – Urwałem i potrząsnąłem głową. – Powiedz, co mam zrobić.

Wypuściła powietrze prosto w słuchawkę, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że lekko się przy tym uśmiechnęła, słysząc moją gotowość, by pospieszyć jej z ratunkiem. Uzmysłowiłem sobie, że od początku tej rozmowy mam ją przed oczami.

Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca. Stanowiły nie tylko przejaw wyimaginowanej, nieistniejącej relacji, ale także powidok oszustwa, którego ofiarą się stałem. Musiałem o tym pamiętać, nawet jeśli Kas mówiła ciepłym, emocjonalnym tonem. Szczególnie wtedy.

– Skontaktuj się z Procockim – odezwała się.

– Co takiego? To ostatnia osoba, z którą chciałbym...

– Tylko on może mi pomóc, Wern.

– W jaki sposób?

– Dowiesz się wszystkiego od niego.

Wyszedłem na korytarz niewielkiej galerii handlowej, właściwie miniaturki tego, co zwykle rozumiało się pod tym określeniem. Zamknąłem drzwi restauracji i powiodłem wzrokiem dookoła.

– Żartujesz? – spytałem.

– Zapewniam cię, że tutaj mi nie do śmiechu.

– Ale... – Kolejny raz potrząsnąłem głową. – Nie rozumiem. Jak on może nam pomóc?

– Nam?

– Tobie.

Znów miałem wrażenie, że się uśmiecha. Ale może oczami wyobraźni widziałem to, co podświadomie chciałem dostrzegać.

– Wszystko ci wyjaśni.

– Może wyjaśniać mi do woli, ale to nie zmieni faktu, że nie uwierzę w ani jedno jego słowo.

– Wern...

– Ten facet twierdzi, że Ewa nie żyje – rzuciłem stanowczo. – I że kompletnie zwariowałem, jeśli sądzę, że jest inaczej. Nie mam zamiaru nawet z nim rozmawiać.

– Posłuchaj...

– Chętnie – przerwałem jej. – Ale tylko jeśli przedstawisz mi konkrety.

– Nie mogę. Jeszcze nie teraz.

– W takim razie bardzo mi przykro, ale nie pomogę.

Zamilkła na moment, a ja ruszyłem w kierunku schodów prowadzących na górę domu towarowego. Szedłem bez żadnego celu i tylko dlatego, że nie mogłem ustać w miejscu.

– Jesteś jedyną osobą, która może to zrobić – odezwała się po chwili Kasandra. – Tylko na ciebie mogę liczyć. I nie wyobrażasz sobie, ile kosztował mnie ten telefon...

Pokręciłem głową, tak jakby mogła to zobaczyć.

– Proszę cię, Wern.

– O co? – odparowałem oschle. – Żeby ci zaufał? Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jak nedorzecznie to brzmi?

Nie odpowiadała, a ja czułem, że wzbierają we mnie wszystkie te emocje, które od pewnego czasu udało mi się wyciszyć.

– Jeszcze parę dni temu gotów byłbym sam cię zamknąć.

– Wiem.

– A teraz oczekujesz, że wystarczy jedno twoje słowo, a spotkam się z człowiekiem, który od początku stara się uniemożliwić mi odnalezienie Ewy?

Obszedłem piętro, a potem skierowałem się z powrotem w dół.

– Wszystko zależy od ciebie, Wern – odparła pozbawionym emocji głosem. – Sam podejmij decyzję.

– Powiedz mi chociaż, dlaczego ojciec Antoni się nie zjawi.

– Nie mogę.

– W takim razie ja nie mogę...

– Rób, co uważasz za słuszne – ucięła, a zaraz potem rozległ się dźwięk świadczący o tym, że zakończyła połączenie.

Popatrzyłem na komórkę z niedowierzaniem, po czym schowałem ją do kieszeni i ruszyłem do restauracji. Kliza wypatrywała mnie nerwowo, jakby spodziewała się, że ktoś mnie porwał.

Stałem przy stoliku, popatrzyłem na sushi, a potem sięgnąłem po portfel. Wyrzuciłem z niego kilka banknotów.

– Co robisz? – spytała Jola.

– Płacę za twoje futomaki.

– Miałam na myśli...

– Najwyraźniej mam w sobie coś z frajera – odparłem pod nosem, a potem skierowałem się do wyjścia.

Kliza wyszła zaraz po mnie i szybko się ze mną zrównała. Nie musiała się odzywać, bym zaczął relacjonować jej rozmowę, którą właśnie odbyłem. Czułem, że mogę jej ufać, i rezerwa ze strony Kas nie mogła tego zmienić.

Po tym, jak skończyłem, Jola przez moment się namyślała.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

– Na komendę.

– Masz zamiar zrobić to, o co cię poprosiła?

Posłałem jej krótkie spojrzenie.

– Tak – odparłem stanowczo. – A zaraz potem dowiedzieć się, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje.

– Z Prokockiego nic nie wydusisz.

– Jeśli będzie oczekiwał mojej współpracy, będzie musiał mi coś powiedzieć.

Kliza złapała mnie za rękę i zatrzymała. Spojrzała mi w oczy, a ponieważ robiła to wyjątkowo rzadko, poczułem się dość nieswojo.

– To nie jest dobry pomysł.
– Dlaczego nie?
– Prokocki narobi ci tylko problemów. Nie jest po twojej stronie.

Zaśmiałem się, rozkładając bezradnie ręce.

– A kto jest? – spytałem.

– Ja.

– Cudownie...

– I powinno ci to do szczęścia wystarczyć – dodała. – Bo czekając, aż nagadasz się z Kasandrą, skończyłam swój research.

– Jaki research? – zapytałem, mrużąc oczy.

Uciekła spojrzeniem, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że bezpośredni kontakt wzrokowy ją krępuje.

– Pamiętaj, że pracowałam w biurze detektywistycznym – odezwała się z niejaką satysfakcją. – I że cała moja robota sprowadzała się do szpiegowania ludzi w necie.

– Pamiętam.

Wiedziałem też, że nie muszę dopytywać, do czego zmierza, bo sama zaraz mi wszystko wyjaśni.

– Od początku nie byłam przekonana, czy Antoni dotrzyma słowa – ciągnęła. – Zaczęłam więc trochę grzebać, ale nie dotarłam właściwie do niczego konkretnego. Aż do teraz.

Uniosłem pytająco brwi.

– Przeszukałam stronę parafii, w której pełnił posługę, ale nie znalazłam tam niczego na temat kapliczki. Jest oczywiście rys historyczny kościoła, informacje o kamieniu węgielnym, poświęceniu, pierwszym kościelnym, grupie teatralnej i...

– Do rzeczy, Kliza – ponagliłem ją, zerkając w kierunku placu Wolności.

– Była też galeria, w której znajdowało się sporo starych zdjęć.

– Któreś z okresu, jaki nas interesuje?

– Nie.

Wzruszyłem ramionami, nieco poirytowany.

– W takim razie o co chodzi?

– O to, że niewiele trzeba, żeby poszperać przez FTP na ich serwerze. Trzymają tam sporo innych skanów, w tym oczywiście

zdjęcia. Najwięcej jest wykonanych przez kogoś, kto nazywa się Cauvak. Może to ksywa, może nazwisko, a może nazwa firmy, cholera wie. Mówi ci to coś?

– Nie.

– W każdym razie gość fotografował między innymi w Kappie.

Kiedy zmusiła się, by znów spojrzeć mi w oczy, poczułem ciarki na plecach.

– Na jednym z jego zdjęć jest Ewa – oznajmiła. – W towarzystwie twojego kumpla. Blitza.

14

Najmocniejsze relacje powstawały na gruncie wiedzy, ale w tym wypadku musiały wystarczyć tajemnice. Nie mogłam zdradzić Wernerowi, co tak naprawdę się dzieje, ani teraz, ani później.

Po raz kolejny musiałam prowadzić go w kółko po labiryncie, udając, że zmierzamy ku wyjściu. Nie miałam wątpliwości, że i tym razem mi na to pozwoli, choć właściwie wszystko przemawiało za tym, by tego nie robił.

Wielu na jego miejscu po prostu uznałoby, że spotkało mnie to, na co zasługiwałam, i że znalazłam się w miejscu, w którym być powinnam. Damian jednak zachował się inaczej.

Zaraz po naszej rozmowie udał się na komendę. Zobaczył się z Prokockim i złożył zeznania, o które go poprosiłam. Tyle wiedziałam, podkomisarz nie przekazał mi nic więcej.

Czekałam na niego w pokoju widzeń, starając się zignorować swoje odbicie w szybie oddzielającej osadzonych od osób, z którymi się spotykały. Wyglądałam okropnie, prawie nie przypominałam samej siebie, choć po latach spędzonych z Robertem nie było to dla mnie nic nowego.

O użyciu jakichkolwiek kosmetyków nie było mowy. Migota, Ciotka i Kamikaze nie były gotowe użyczyć mi choćby kremu do rąk, a od kiedy załatwiłam sobie przeniesienie, nie wchodziłam w kontakty z żadnymi innymi więźniarkami.

Wygląd zewnętrzny był jednak moim najmniejszym

problemem. Znacznie bardziej skomplikowane było to, jak wyglądałam wewnątrz.

Prokocki zjawił się nieznacznie spóźniony. Zajął miejsce w boksie, rozłożył przed sobą jakieś dokumenty, a potem sięgnął po białą słuchawkę. Ja zrobiłam to samo po swojej stronie.

– Mam tu wszystko – oznajmił.

Żadnego powitania, żadnego pytania o to, czy u mnie w porządku. Zupełnie jakby chciał przypomnieć mi, że nasza relacja jest czysto interesowna i opiera się na zwyczajnym quid pro quo.

– Werner stawiał się na komendzie i złożył zeznania – powiedział.

– Takie jak trzeba?

Prokocki skinął głową i przez chwilę przeglądał dokumenty. Potem westchnął, skrzyżował ręce na krótkim blacie i wbił wzrok w moje oczy.

Mimowolnie pomyślałam o tym, jak bardzo widoczne są obrażenia na mojej twarzy. Był to odruch bezwarunkowy, który odczuwała każda ofiara przemocy domowej. Wykształcił się, bo przez cały okres trwania małżeństwa podobne myśli nachodziły mnie, ilekroć ktoś rzucił mi choćby krótkie spojrzenie. Czy dobrze zamaskowałam siniaki? Czy nie widać śladów na szyi? Czy nie mam żadnego widocznego rozcięcia? Życie z Robertem sprowadzało się w tej samej mierze do oszukiwania siebie, jak i całego świata.

– Co powiedziałaś Wernerowi? – odezwał się Prokocki.

– Dokładnie to, co ustaliliśmy – zapewniłam. – A coś nie tak?

Podkomisarz potarł dłonie.

– O nic mnie nie wypytywał.

– To chyba dobrze?

– Powiedziałbym raczej, że to podejrzane – odparł Prokocki i zrobił głęboki wdech. – Powinien próbować zmusić mnie do mówienia. I zrobić wszystko, żeby coś ze mnie wyciągnąć.

– Może uznał, że niczego się nie dowie.

Policjant wydał usta z powątpiewaniem.

– Nie zadał mi choćby jednego pytania – powiedział. – Nawet

nie próbował.

– I czego to niby ma dowodzić?

– Nie wiem. Ale coś jest nie w porządku.

Z mojego punktu widzenia jedyne, co mogłoby być nie w porządku, sprowadzało się do zeznań. A skoro Wern je złożył, nie miałam się czym przejmować.

– Od strony formalnej wszystko gra? – spytałam, wskazując na papiery.

– Tak. Damian zeznał, że działałaś w obronie własnej, a biegli od śladów krwawych i specjaliści od mechanoskopii złożyli już ekspertyzy potwierdzające jego słowa.

Zamknęłam oczy. Wydawało mi się to nierealne.

– Rozmawiałaś z prokuratorem?

Plan zakładał, że Prokocki załatwi to wszystko przed wizytą, ale nie byłam pewna, czy mu się udało. Wciąż mogło się okazać, że na ostatniej prostej ktoś skomplikował cały proces.

– Zrobiłem to, jeszcze zanim się zgodziłaś – odparł, przesuwając dokumenty. – Jako że nie zagrażasz porządkowi publicznemu i dalsze pozbawienie wolności pociągałoby za sobą wyjątkowo ciężkie skutki dla twojej najbliższej rodziny, oczywiście jutro opuścisz areszt.

Gdyby nie to, że mówił służbowym, wyważonym tonem, pomyślałabym, że to tylko makabryczny żart. Wciąż trudno było mi uwierzyć, że ten horror dobiegnie końca.

Owszem, zostawię tutaj swoją godność, ale zrobię to ze świadomością, że mogło być o wiele gorzej.

– Prokuratura uchyli areszt i umorzy postępowanie – dodał Prokocki. – Wszystko jest załatwione.

– Na pewno?

– Nie masz się czym przejmować.

W jego głosie nie było nuty wahania, ale z jakiegoś powodu nie mogłam opędzić się od myśli, że nie powinnam mu ufać. Propozycja, którą od niego przyjął, była dla mnie korzystna, ale jednocześnie związana z dość przewrotnym, wyrachowanym planem. Uświadamiało mi to, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Także do tego, by w ostatniej chwili mnie ograć.

– Więc co teraz? – zapytałam.

– Potrzebuję kilku informacji – odparł, wskazując papiery. – Zwykle formalności.

Wzruszył ramionami, jakby nie chodziło o moją wolność, ale o jakąś błahą sprawę.

– Okej – odparłam. – A jak już je załatwimy?

– Wyjdiesz.

– Ot tak?

Odniosłam wrażenie, że miał zamiar przewrócić oczami, ale w ostatniej chwili się zmitygował.

– Słuchaj... – mruknął. – Wiem, że z twojego punktu widzenia to dość nierealne i doszukujesz się we wszystkim jakiegoś oszustwa, ale musisz zdawać sobie sprawę, że w naszym wspólnym interesie jest działanie razem.

Pokiwałam głową.

– A co z Wernem? – zapytałam.

– On dla mnie nie ma znaczenia. Dla ciebie też nie.

– Wręcz przeciwnie.

Prokocki cofnął brodę, jakbym właśnie zaserwowała mu werbalny odpowiednik policzka. Potarł dłonią kark i prychnął.

– Jasne – rzucił z przekąsem. – Dlatego robisz to, co robisz.

– Robię to dla Wojtka. Ale to nie znaczy, że...

– Niespecjalnie mnie to obchodzi – uciął. – Wmawiaj sobie, co chcesz. Może nawet uda ci się przekonać samą siebie, że Werner coś dla ciebie znaczy. – Znow postukał w plik kartek. – Ja potrzebuję tylko kilku informacji.

Porzuciliśmy temat i skupiliśmy się na protokole zeznań. Uszczegółowiłam kilka faktów, wyjaśniłam mu parę spraw, a on wszystko skrupulatnie zanotował. Potem przycisnął końcówkę długopisu i schował go do kieszeni marynarki.

– To by było wszystko – zadeklarował. – Chyba że jest jeszcze coś, do czego chciałabyś przekonać samą siebie.

Odłożyłam słuchawkę i bez słowa się podniosłam. Nie potrzebowałam zamieniać z tym człowiekiem ani zdania więcej.

Chwilę później strażniczka wyprowadziła mnie z pokoju widzeń

i ruszyłyśmy w kierunku mojej celi. Położyłam się na pryczy i wbiłam wzrok w sufit, zastanawiając się, jak sprawić, by czas minął choć trochę szybciej.

Nocy nie przespałam. Nie mogłam opędzić się od wrażenia, że zaraz wydarzy się coś, przez co nie uda mi się opuścić Zamtuza. W końcu jednak nadszedł upragniony ranek, a zaraz po porannym apelu kazano mi się spakować.

Szłam korytarzem w kierunku wolności, prowadzona przez tę samą strażniczkę, która wcześniej odstawiła mnie do celi. Wszystko przebiegało bez problemów.

Do czasu.

Jeszcze na korytarzu zatrzymał nas mężczyzna, który sprawił, że zostawiałam tutaj dużą część siebie. Być może na dobre.

– Przejmuję ją – oznajmił funkcjonariusz.

– Ale...

– Zaprowadzę ją dalej, wracaj na blok – polecił.

W końcu zamiast wyblakłego swetra miał na sobie mundur z plaketką. Dzięki niej dowiedziałam się, jak nazywa się człowiek, który tak bardzo mnie upokorzył.

A. Kałwak.

Wiedziałam, że nie zapomnę tego nazwiska do końca życia. I równie wyraźnie będę pamiętała wszystko, do czego mnie zmusił. Nie samą przemocą, tak jak robił to Robert. Czymś znacznie gorszym, bo odwołującym się do matczynej miłości. Wykorzystującym ją, jakby była jedynie kolejnym narzędziem męskiej opresji.

Liczyłam na to, że strażniczka będzie się upierała, ale ta od razu odpuściła. Kałwak omiół wzrokiem moje ciało i przez moment myślałam, że lubieżnie się uśmiechnie. Trwał jednak z kamiennym wyrazem twarzy.

Kiedy wskazał mi wyjście, ruszyliśmy w jego kierunku.

– Prokuratura podobno umorzy postępowanie – odezwał się.

– Tak.

– Trochę to podejrzane.

Nie miałam zamiaru wdawać się z nim w dyskusję. Nie teraz, kiedy od wolności dzieliło mnie raptem kilkadziesiąt

kroków. Wiedziałam, że niewiele trzeba, by wyprowadził mnie z równowagi. I być może właśnie na to liczył.

– Poszłaś na jakiś układ, co?

– Nie.

Obrócił głowę w moją stronę, ale to zignorowałam. Wciąż wbijałam wzrok w wyjście z korytarza, jakbym dzięki temu mogła sprawić, że się do mnie przybliży.

– Takie rzeczy prędzej czy później wychodzą – dodał Kałwak. – Dowiem się, tak czy inaczej.

Oddech mi przyspieszył, serce zabiło nieco szybciej.

– To dzięki temu telefonowi, który pozwoliłem ci wykonać? – zapytał.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie mogło go sprowokować.

– Jeśli tak, to widzisz... warto było zrobić mi laskę.

Próbowałam przyspieszyć kroku, ale ledwo to zrobiłam, wyciągnął przede mną rękę niczym szlaban.

– Spokojnie.

– Jestem spokojna.

– Jeśli nie będziesz, nie zostawisz mi innego wyjścia, jak cię zatrzymać.

Z trudem przełknęłam ślinę, zdając sobie sprawę z tego, jak wiele zależy od człowieka, który w tej sytuacji tak naprawdę nie powinien mieć nic do gadania.

Szłam powoli przed siebie, starając się nawet nie mrugać. Obawiałam się, że wystarczy ułamek sekundy, a pod powiekami zobaczę zbyt wyraźne wspomnienie tego, do czego zmusił mnie Kałwak.

– Nie rób nic głupiego – odezwał się. – Nie teraz, kiedy jesteś tak blisko wyjścia.

Satysfakcja w jego głosie potwierdzała, że cała ta sytuacja sprawia mu przyjemność. Zapewne upajał się myślą, że mój los właściwie spoczywa w jego rękach.

Czy mógł to wykorzystać? Z pewnością.

Miałam opuścić zakład o wyznaczonej porze, ale gdybym spóźniła się o kilka minut, nikt nie zwróciłby na to uwagi. A tyle

w zupełności wystarczyłoby, żeby strażnik powtórzył to, co już wcześniej na mnie wymógł.

– Będę miło cię wspominać.

Czekał na odpowiedź, ale nie miałam zamiaru jej udzielać.

– Przypuszczam, że ty mnie też.

Szliśmy przez moment w milczeniu, a ja znów miałam wrażenie, że wyście się oddala.

– W końcu dzięki mnie przetrwałaś – dodał. – Gdybym nie załatwił ci przeniesienia z tamtej celi, Migota i reszta by cię wykończyły. Powinnaś być mi wdzięczna, nie sądzisz?

Zebrałam się w sobie. Od wybawienia dzieliło mnie raptem kilkanaście metrów i powinnam zrobić wszystko, by je pokonać. Nawet jeśli miało się to wiązać z kolejną skazą na honorze.

– Tak – odparłam, myśląc o synu.

To dla niego wszystko robiłam. To on był najważniejszy. Koniec końców ani trochę nie liczyło się, co powiem klawiszowi.

– Tak sobie myślę... – rzucił. – Chyba niewystarczająco mi się odwdzięczyłaś.

– Zrobiłam wszystko, co chciałeś.

– Co pan chciał – poprawił.

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, szturchnął mnie lekko.

– Co pan chciał – powiedziałam.

– To prawda. I przyłożyłaś się do tego dość dobrze, choć... w ogólnym rozrachunku powinnaś zrobić o wiele więcej. Nie uważasz?

– Nie.

Złapał mnie za rękę i zatrzymał. Natychmiast spojrzałam za siebie, licząc na to, że na korytarzu są jacyś potencjalni świadkowie.

Byliśmy sami.

– Jesteś wyjątkowo niewdzięczną dziwką – mruknął. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

Gorączkowo zastanawiałam się, co zrobić. Od wolności dzieliło mnie niewiele. Najwyżej dziesięć kroków i jedna para drzwi, za którymi znajdowali się inni ludzie. Ich obecność wystarczyłaby, żebym poczuła się pewnie.

– No? – dodał. – Wiesz o tym czy nie?

– Wiem.

– Więc powinnaś zdawać sobie sprawę, że należy ci się kara.

Zamknęłam oczy, ale natychmiast je otworzyłam, dostrzegając widma, których się obawiałam. Uświadomiłam sobie, że te sceny mogą zaraz ponownie rozegrać się w rzeczywistości.

– Trzeba cię ukarać – ciągnął Kałwak. – Inaczej nie zrozumiesz, na czym polega prawdziwa wdzięczność.

Skinęłam głową, ledwo sobie ten gest uświadamiając.

Funkcjonariusz rozejrzał się i westchnął. Kiedy wbił wzrok w jedno z drzwi, które przed momentem mijaliśmy, przypomniałam sobie, że mieścił się za nimi niewielki składzik.

Opadła mnie myśl, że zaraz się tam z nim znajdę. Znów poniżona, znów sprowadzona do roli odczłowieczonego zera. Już sam fakt wycofania się w głąb korytarza sprawił, że zrobiło mi się niedobrze.

– Załatwimy to szybko, jeśli się postarasz – powiedział Kałwak, po czym rozejrzał się i przyłożył dłoń do moich ust.

Przesunął palcem po dolnej wardze.

– Powiem ci, jak lubię najbardziej – dodał.

Robiłam wszystko, by zignorować wzbierający we mnie odruch wymiotny.

Kałwak ścisnął moją rękę jeszcze mocniej, a ja uświadomiłam sobie, że albo podejmę decyzję, albo on zaraz zrobi to za mnie.

Opuściłam na chwilę powieki. Tym razem po to, by dokładnie przypomnieć sobie to, co mnie spotkało.

– Wyobrażasz już sobie, jak będziesz mi obciążać? – spytał szeptem, zbliżając się o krok.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Nie było sensu dłużej zastanawiać się nad tym, co powinnam zrobić. Wyjście było tylko jedno – i w głębi ducha od początku zdawałam sobie z tego sprawę.

Również się do niego przysunęłam.

– Wyobrażam sobie, co się stanie, jak stąd wyjdę – powiedziałam. – I jak opowiem kilku dziennikarzom o tym, co tu się dzieje.

Zmarszczył brwi.

– Jak strażnicy traktują więźniarki, a konkretnie jak robi to jeden z nich.

Zacisnęłam usta i wbiłam wzrok w plakietkę z jego nazwiskiem.

– Myślisz, że znajdą się inne byłe osadzone, które... O, przepraszam – powiedziałam, robiąc jeszcze pół kroku w jego stronę. – Myśli pan, że znajdą się inne dziewczyny, które potwierdzą moje słowa?

Zacisnęłam pięści, czując, że emocje we mnie wzbierają. Miałam ochotę splunąć mu prosto w twarz, a potem rzucić się na niego i okładać go bez pamięci dopóty, dopóki nie stracę tchu.

Kałwak patrzył na mnie badawczo, niepewny, jak się zachować.

– No? – dodałam. – Jak ci się wydaje, skurwielu?

– Chyba powinnaś...

– Nie tylko wylecisz z roboty, ale trafisz do miejsca takiego jak to. – Omiotłam wzrokiem korytarz. – I zapewniam cię, że będziesz tam od rana do nocy robił to, do czego zmuszałeś tutaj te wszystkie kobiety.

Wiedziałam, że nie byłam jedyna. Nie musiałam nawet rozpytywać wśród więźniarek, by mieć pewność.

– I kto ci uwierzy? – zapytał.

– Kilka, może kilkanaście osób – przyznałam, a potem wyszarpałam dłoń z jego uścisku. – Przynajmniej na początku. Wystarczy jednak, że inne osadzone potwierdzą moje słowa, a ta liczba zwiększy się do kilkudziesięciu, może więcej. A tak naprawdę wystarczy jedna lub dwie osoby. Może to być twój przełożony albo sekretarz stanu w ministerstwie, który będzie chciał zadbać o dobry PR. Staniesz się uosobieniem patologii w polskim więziennictwie, skurwysynu. I media nie spoczną, dopóki nie...

– Wystarczy.

Nie odrywałam wzroku od jego oczu aż do momentu, gdy uciekł spojrzeniem.

Niedbale machnął ręką w kierunku wyjścia, a potem uderzył mnie lekko w plecy. Zignorowałam to i ruszyłam przed siebie.

Z każdym kolejnym krokiem wizja opuszczenia tego miejsca

stawała się coraz bardziej realna. Wiedziałam, że to za moment nastąpi. A ja nie doświadczę z rąk tego człowieka już żadnej krzywdy.

Kilka minut później było po wszystkim.

Znalazłam się na zewnątrz aresztu śledczego.

Wyszłam na nierówną, zniszczoną ulicę. Przywodziła na myśl zapomniane drogi gminne, którymi nikt już nie jeździ, bo równolegle bieżą nowe, szerokie ekspresówki. Nabrałam głęboko tchu i wyprostowałam się. Byłam wolna, ale ponure gmaszysko znajdowało się zdecydowanie zbyt blisko za moimi plecami, bym w pełni mogła to poczuć.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Prokockiego, nigdzie jednak go nie dostrzegłam. Miał na mnie czekać już od dobrego kwadransa.

Przeszło mi przez myśl, że coś się stało. Coś ostatecznie poszło nie po jego myśli, a z więzienia zaraz wyjdzie strażnik i oznajmi, że zaszła pomyłka.

Wyglądałam samochodu, nasłuchiwałam dźwięku silnika, ale nadaremno. Byłam sama.

Niedaleko znajdował się przystanek autobusowy ze zniszczonym siedziskiem i pokrytym napisami pleksiglasem. Bohomazy były w dużej mierze rezultatem wesołej inwencji twórczej wszystkich tych, które opuściły Zamtuż i próbowały dostać się z powrotem do miasta. Z osamotnionego przystanku zresztą nie korzystał chyba nikt inny.

Stałam pod wiatą i przesunęłam palcem po rozkładzie. Dojeżdżała tu tylko jedna linia, a najbliższy autobus miał zjawić się za nieco ponad godzinę. Usiadłam na wybrakowanej ławce i zwiesiłam głowę.

Wciąż nie mogłam opędzić się od wrażenia, że zaraz wrócę za kratki.

Kiedy jednak usłyszałam nadjeżdżający samochód, natychmiast się ożywiłam. Podniosłam się, a potem podeszłam na skraj chodnika i starałam się wypatrzeć, kto siedzi za kierownicą.

Od razu rozpoznałam, że to nie Prokocki.

Znieruchomiałam.

Kiedy auto zatrzymało się tuż obok mnie, wciąż nie mogłam się ruszyć. Szyba powoli się opuściła, a ja z niedowierzaniem popatrzyłam na osobę, która siedziała za kierownicą.

– Ewa? – wydusiłam.

ROZDZIAŁ 2

1

Numer, z którego Kas do mnie dzwoniła, należał do jakiegoś mężczyzny. Wybrałem go tylko raz i kiedy nieznajomy oświadczył, że to pomyłka, uznałem, że nie ma sensu o cokolwiek go wypytywać. Może był strażnikiem, a może chłopakiem jednej z osadzonych, który jakimś cudem dostarczył komórkę za mury więzienia. Tak czy owak, w ten sposób z Kasandrą nie mogłem się skontaktować.

Właściwie ani w ten, ani w jakikolwiek inny. Wiedzieliśmy z Klizą, że niebawem opuści Zamtuz, ale nie mieliśmy pojęcia, kiedy dokładnie ma to nastąpić.

Minęło kilka dni od momentu, gdy złożyłem zeznania na komendzie. Prokocki zapewniał, że w zupełności wystarczą, by prokurator uchylił areszt. I jeśli dobrze pójdzie, być może sprawa zostanie umorzona.

Wydawało mi się to nierealne. Jakkolwiek by było, ktoś w Rewalu zginął i nawet jeśli był wyjątkowym zwyrodnialcem, sąd powinien się temu przyjrzeć. Choćby po to, by uniewinnić Kasandrę i raz na zawsze zamknąć tę sprawę.

Czekaliśmy z Klizą na jakiegokolwiek wieści, ale te nie nadchodziły. Kiedy zjawiliśmy się na komendzie, jeden z niższych stopniem funkcjonariuszy odesłał nas z kwitkiem, twierdząc, że podkomisarz Prokocki wyjechał. Nie chciał powiedzieć dokąd.

Wyglądało na to, że zapadł się pod ziemię – i gdyby chodziło tylko o niego, nie nabrałbym podejrzeń. To samo jednak stało się z Kasandrą i z moim sąsiadem, od którego wciąż potrzebowałem kilku odpowiedzi.

Ojciec Antoni również znikł, Glazur siedział w areszcie śledczym gdzieś na północy kraju, a Wojtek znów trafił do szpitala przy Witosza. Nie podłączyli go do aparatury, bo

organizm radził sobie z utrzymywaniem funkcji życiowych. Nadal jednak nie było z nim żadnego kontaktu, a karmiono go albo dożylnie, albo przez rurkę. Nie chciałem myśleć o tym, co przeżywa, jeśli jest świadomy.

Przez kilka dni próbowaliśmy z Klizą namierzyć księdza opiekującego się niegdyś dziećmi w Kappie, ale bezskutecznie. Administracja aresztu śledczego twierdziła, że Antoni poprosił o urlop i wyznaczył na swoje miejsce innego duchownego. Ten nie wiedział, gdzie udał się jego poprzednik.

Byliśmy w kropce. Wszystkie tropy się pourywały, a nam pozostały jedynie zdjęcia, które Jola znalazła na parafialnym serwerze.

Przejrzałem je wystarczająco dużo razy, by znać wszystkie na pamięć. Część z nich wykonał niejaki Cauvak, ale ta ksywa – lub nazwa firmy – była jedynym, co wiedzieliśmy na temat fotografa.

Na zdjęciach znajdowało się wiele dzieciaków, najbardziej jednak liczyła się dwójka. Ewa i Blitz.

Nie miałem pojęcia, że bez mojej wiedzy kiedykolwiek choćby przelotnie się spotkali. Tymczasem po jedenastu latach od zaginięcia narzeczonej odkryłem, że przynajmniej raz musieli być w Kappie. Miejscu, o którym również nigdy nie słyszałem.

Jak to możliwe?

O ile Blitzer mógłby mieć przede mną jakieś tajemnice i potrafiłby je ukryć, o tyle Ewa...

Nie, nie było sensu się oszukiwać. Skoro potrafiła zataić fakt, że zeznawała przeciwko gangsterowi kierującemu zorganizowaną grupą przestępczą, to z pewnością równie dobrze poradziłaby sobie w bardziej błahych sprawach.

Tylko po co miałyby to robić? Co takiego działo się w Kappie, że nikt nigdy nawet nie wspomniał mi o tym miejscu?

Wiedziałem jedno: teraz, po latach, było kluczowe.

Wszystkie tropy się tam krzyżowały. Ewa wskazała je w nagraniu, mój zmarły przyjaciel tam bywał, a ojciec Antoni dbał o nie tak, jak w tej chwili o areszt, do którego trafiła Kasandra. W dodatku Prokocki z jakiegoś powodu je obserwował.

Nie miałem jednak pojęcia, co to wszystko znaczy.

Powoli wpadałem przez to w spiralę szaleństwa, nie mogłem skupić się na niczym innym. Doszło nawet do tego, że nocny seans z Fortnite wydawał mi się czasem straconym, bo zamiast niego mogłem przecież zastanawiać się nad rozwiązaniem sytuacji i być może na coś wpaść.

Było ze mną coraz gorzej – i dobitnie uświadomiła mi to Kliza, kiedy przyszła do mnie pewnego wieczoru. Przytaczała siatkę z indyjskim jedzeniem na wynos, prosto z mieszczącego się kilkaset metrów dalej Tulsii. Omiotła wzrokiem poddasze, które ze względu na wszechobecny nieporządek trudno było dłużej nazywać loftem, a potem westchnęła z politowaniem.

– Kiedy samotny facet przestaje grać w gry sieciowe, wiesz, że coś się dzieje – oznajmiła, stawiając torbę na stole w kuchni.

Usiadłem przy nim i rozczochrałem włosy, czując, że lepią mi się do palców.

– Nadal się zadręczasz? – spytała, wyciągając jedzenie.

– Nie zadręczam, tylko zastanawiam.

– Nad czym tym razem?

Zamknąłem oczy i przywołałem z pamięci zdjęcie przedstawiające Ewę i Blitza.

– Nad fotką.

– Znów?

– Blitzer ma na niej koszulkę z *The Colour and the Shape Foo Fighters*.

Kliza otworzyła opakowania i zupełnie niepotrzebnie rozważała, czy nie przełożyć wszystkiego na talerze. Szybko zreflektowała się, że nie mam żadnych czystych. Umyła dwie łyżki, uznawszy zapewne, że tyle wystarczy do dań curry.

– Znowu ten zespół? – mruknęła.

– Ten album to właściwie ich debiut – powiedziałem, ignorując jej uwagę. – Wcześniejszy był demówką nagrałą przez samego Dave’a Grohla i jego producenta, a...

– Obeznałeś się w temacie.

– Musiałem – odparłem dla porządku. – Ale ważne jest to, że płyta wyszła w dziewięćdziesiątym siódmym, więc zdjęcie nie

może być starsze od niej.

Jola podsunęła mi jedno z opakowań.

– Tyle wiemy i bez dyskografii Foo Fighters – zauważyła. – Ewa i Blitz wyglądają na licealistów.

– Zgadza się. W dodatku kolejny album, skądinąd znany mi *There Is Nothing Left To Lose*, wyszedł dwa lata później.

– No i?

– Blitz nosiłby już wtedy nową koszulkę.

– Może jej nie kupił i zadowolił się starą.

– Nie, nie. Miał porządnego hopla, na pewno paradowałby w najnowszym T-shircie.

Jola wydawała się nieprzekonana.

– To końcówka lat dziewięćdziesiątych – zauważyłem. – A on był nastolatkiem z obsesją na punkcie rocka.

– Niech będzie – zgodziła się w końcu, odrywając kawałek chlebka naan. – W takim razie zdjęcie zrobiono między dziewięćdziesiątym siódmym a dziewięćdziesiątym dziewiątym, kiedy byliście w liceum.

Pokiwałem głową, marszcząc czoło.

– Ja i Ewa byliśmy wtedy całkowicie nierozłączni.

– Najwyraźniej niecałkowicie.

Położyłem łokcie na stole, potarłem skronie i ukryłem twarz w dłoniach.

– Wern?

– To nie ma sensu – powiedziałem niewyraźnie. – Jeśli miałbym wybrać czas, na który przypadało największe szaleństwo uczuć w naszym związku, to byłyby to te lata. Naprawdę nie odstępowaliśmy się na krok.

Kliza wzruszyła ramionami.

– Co to ma znaczyć? – spytałem.

– Nie wiem.

– Ewidentnie coś chciałaś wyrazić.

– Może tylko to, że twoje hormony szalały, ale to wcale nie musi oznaczać...

– Daj spokój.

Byłem gotów iść w zaparte, choć wiedziałem, że Jola może mieć

rację. To na jednej z wycieczek szkolnych przespaliśmy się ze sobą pierwszy raz. Po tym wszystko się zmieniło, a nam wydawało się, że jesteśmy niemal w przededniu ślubu i decyzji o tym, by spędzić ze sobą resztę życia. Nie mogłem wytrzymać chwili bez Ewy, czekałem na każdą przerwę, żeby usiąść z nią na korytarzu, zamiast iść na jedno z przyszkolnych podwórek z kumplami i wypalić tam kilka fajek z rzędu. Wydawało mi się, że ona miała podobnie.

Najwyraźniej się myliłem.

– Nie słyszałeś nigdy, że uzalanie się nad sobą jest mniej więcej tak pomocne jak zjedzenie własnego gówna?

Spojrzałem na Klizę z dystansem, a potem znacząco wskazałem na jedzenie.

– Wybacz. I tak nie masz apetytu, a mnie nic go nie odbierze – dodała. – Poza tym chodzi mi tylko o to, że to bezproduktywne. Wyrzucasz z siebie coś i zaraz z powrotem to przyjmujesz.

Miałem nadzieję, że na tym jej metafory się skończą. Jola jednak uznała, że musi dokończyć myśl.

– Tworzysz zamknięty obieg swojego żalu, zamiast...

– Więc co proponujesz? – uciałem.

Spojrzała najpierw na swoje, a potem na moje pudełko z jedzeniem.

– Żebyś spróbował chociaż placka – poradziła, wskazując naan.

– Jeśli nie docenisz, znaczy, że to nasz ostatni wspólny posiłek.

– Myślałem, że wolisz sushi – odparłem. – I miałem na myśli raczej to, co dalej robić w sprawie Ewy, sensei.

Odłożyła łyżkę i w głębokim namyśle pokiwała głową.

– Wystarczy *senpai-chan*.

– Hę?

– Nieistotne – zbyła temat Kliza. – I jest tylko jedna rzecz, jaką możemy zrobić.

Sięgnęła do niewielkiej torby, wyjęła z niej laptopa, a potem postawiła go na stole. Chwilę przesuwiała palcem po gładziku, po czym obróciła do mnie ekran.

– Patrz i analizuj.

Zerknąłem na zdjęcie Ewy i Blitza w Kappie.

– Znam to ujęcie na pamięć, Kliza.
– To naucz się też kolejnych.
– Je też znam.
– I? – spytała, a potem włądowała do ust wyjątkowo duży kawałek kurczaka w sosie. – Nadal nie zidentyfikowaliśmy pozostałych osób – dodała niewyraźnie.

– Bo ich nie kojarzę.

Powątpiewanie w jej oczach sugerowało, że powinienem dwa razy się zastanowić przed tak kategoryczną odpowiedzią.

– Nikogo? – jęknęła.

– Nikogo.

– Przecież to miasto wielkości połowy jednej dzielnicy Warszawy – zauważyła. – Tutaj każdy zna każdego. A ty chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie widziałeś tych dzieciaków? Wszyscy są w podobnym wieku.

– Ale zdjęć nie ma wiele.

– Tylko tyle było na serwerze. Muszą wystarczyć.

– Nie łatwiej byłoby znaleźć tego Cauvaka?

– Szukałam.

Jeśli ona nic nie znalazła, należało uznać, że najwyraźniej przez lata ślad po tym człowieku albo się rozpułynał, albo rozrzedził na tyle, że nie sposób było go dostrzec. Ewa również nigdy o nim nie wspominała.

– Przyglądaj się, analizuj, sięgaj w najgłębsze odmęty pamięci – poradziła. – I rób to dopóty...

– Mówię ci, że na tych zdjęciach ma na nikogo, kogo bym kojarzył.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości.

Wzruszyłem ramionami, czując się całkowicie bezsilny. Zarówno wobec losu, jak i oczekiwań Joli.

– Te dzieciaki pewnie pochodziły z okolicy – odparłem. – Nie miałem stamtąd żadnych znajomych.

– Znasz kogoś, kto miał?

Jeśli kiedykolwiek żałowałem, że w licealnych czasach nie spędzałem więcej czasu w barach zamiast przed komputerem, to właśnie teraz. Nie mogłem złożyć jednak wszystkiego na karb

moich preferencji rozrywkowych – winna temu była miłość. Towarzystwo Ewy w zupełności mi wystarczało, właściwie nie chciałem spędzać czasu z nikim innym. Nie potrzebowałem nikogo innego.

– Wern?

– Nie wiem, daj się zastanowić.

Zakłęła cicho, a potem obróciła do siebie laptopa, weszła na Facebooka i zalogowała się na moje konto.

– Skąd znasz...

– Sprawdziłam login i hasło parę dni temu.

Spojrzałem na mojego wysłużonego peceta i uznałem, że dopóki Kliza u mnie bywa, powinienem założyć hasło.

– Sprawdź ludzi z liceum – odezwała się. – Zobacz, czy któryś ze starych znajomych, tych, którzy zdążyli już dziesięć razy zapomnieć o twoim istnieniu, przypadkiem nie mieszka gdzieś w okolicy Kappy. Albo nie mieszkał.

Nie kojarzyłem nikogo takiego, ale nie zaszkodziło sprawdzić. Nawet jeśli nie trafię na żaden konkretny trop, być może uda mi się odświeżyć pamięć na tyle, by przypomnieć sobie, czy ktoś nie dojeżdżał do szkoły ze Szczepanowic czy Wójtowej Wsi.

Po godzinie stało się jasne, że niczego nie znajdę. Jeszcze kilka lat temu z pewnością by mi się poszczęściło. Wtedy każdy wpisywał miejsce urodzenia, zamieszkania, pracy, wymarzonych wakacji i czegokolwiek, co przyszło mu na myśl. W erze RODO wszyscy zdawali się przypomnieć sobie o zaletach anonimowości w sieci.

– Dosyć tego – rzuciła Jola, a potem zabrała mi laptopa.

– Co zamierzasz?

– Wykorzystać broń, którą Kasandra zaatakowała ciebie.

– Czyli?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, sam na to wpadłem. Spotted.

Kliza wrzuciła kilka zdjęć na opolską stronę, prosząc o pomoc w identyfikacji któregoś z dzieciaków. Nie zamieściła jedynie fotografii z Ewą i Blitzem, obawiając się nadmiernych kontrowersji.

Niecierpliwie przeglądaliśmy odpowiedzi, które zaczęły

pojawiać się właściwie od razu. Większość komentujących pytała, dlaczego interesujemy się tymi konkretnymi osobami, niektórzy wrzucali nostalgiczne komentarze odnoszące się do lat dziewięćdziesiątych, inni wyśmiewali się z paździerzowych ubrań ówczesnej młodzieży.

Konkretów brakowało. Aż do momentu, kiedy jedna osoba oznaczyła inną, a ta kolejną. Łańcuch zależności poszedł w ruch, a my wiedzieliśmy, że coś jest na rzeczy. Utwierdziliśmy się w tym przekonaniu, kiedy pojawiło się ostatnie ogniwo.

– Ktoś oznaczył Andrzeja Kałwaka – odezwała się Jola.

– Co?

Szybko obszedłem stół i stanąłem obok Klizy. Wbiłem wzrok w hiperłącze do profilu mężczyzny, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wykonał zdjęcia.

Natychmiast znikło. Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się miniaturce.

– Co jest? – spytałem.

Kliza zmarszczyła brwi.

– Ktoś usunął posta.

– Widzę, ale...

– Czekaj – rzuciła, jakby była chirurgiem wykonującym właśnie w pocie czoła niezwykle skomplikowaną operację.

Błyskawicznie wpisała w polu wyszukiwania „Andrzej Kałwak”, a potem wyświetliła profil. Nie miałem z nim żadnych wspólnych znajomych, ale z pewnością była to właściwa osoba. W polu „miasto rodzinne” widniało Opole, ale oprócz tego nie było żadnych innych informacji. Brakowało nawet zdjęcia.

Kliza natychmiast wyświetliła listę znajomych.

– Co robisz?

– Szukam – odparła.

– Czego?

W skupieniu przeglądała miniaturki zdjęć, aż w końcu pstryknęła palcami. Wskazała mi jedną z nich, po czym wyświetliła profil. Zrozumiałem, że rozpoznała zdjęcie osoby, która oznaczyła Kałwaka. Była to mocno opalona dziewczyna z agresywnym makijażem.

– Ta kukuryrna z jakiegoś powodu powiązała zdjęcie z nim – oznajmiła. – A to znaczy, że...

– Wiedziała, że to on je zrobił.

– Czyli najpewniej tam była.

Kliza obróciła się w moją stronę i miałem wrażenie, że w ostatniej chwili powstrzymała się przed tym, by unieść otwartą dłoń i czekać, aż przybiję jej piątkę.

– Mamy więc dwie osoby, które mogą coś wiedzieć – powiedziała, wracając na profil Kałwaka. – Nawet jeśli jedna nam odmówi, to...

Strona nagle lekko przygasła, a na pierwszym planie pojawił się niewielki prostokąt z napisem „Zawartość, której szukasz, jest niedostępna”.

– Sukinsyn... – syknęła Jola. – Skasował konto.

– Żartujesz?

Odświeżyła, ale tym razem wyskoczył już komunikat o tym, że strona, której szuka, nie istnieje.

– Szybko zadziałał – zauważyła. – Niemal od razu po tym, jak został oznaczony.

– Ale... dlaczego?

Pytanie wisiało w powietrzu jak ciemna chmura, z której niechybnie spadnie deszcz. Spojrzeliśmy na siebie, niepewni, co się dzieje, ale przekonani co do jednego. Nie pozostało nam nic innego, jak porozmawiać z dziewczyną, która oznaczyła Kałwaka.

2

Wirtualnych powiązań między mną a Karoliną Falkowską było niewiele, ale właściwie wystarczyło jedno dobre, byśmy z Klizą znaleźli to, na czym nam zależało. Numer telefonu.

Dostałem go od mojej sąsiadki z Zaodrza, która nie tylko miała Falkowską w znajomych, ale zamieściła też kilka zdjęć z imprez, na których wspólnie się bawiły.

Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, kiedy wybrałem numer, ale szybko przekonaliśmy się, że szczęście się do nas

uśmiechnęło. Karolina wprawdzie mnie nie kojarzyła, ale nie miała nic przeciwko rozmowie. Wydawała się dobroniuszna i raczej prostolinijna, jakby wychodziła z założenia, że skoro ktoś potrzebuje jej pomocy, to powinna przynajmniej wysłuchać, co ma on do powiedzenia.

Oznajmiła, że kończy pracę w McDonaldzie przy Częstochowskiej po południu – i jeśli się tam wtedy zjawimy, chętnie odpowie nam na wszystkie pytania.

Czekaliśmy na nią przy stoliku na zewnątrz już pół godziny przed końcem zmiany. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy pozwolić sobie na to, by wypuścić tę okazję z rąk.

Kiedy Falkowska wyszła z budynku, od razu unieśliśmy ręce. Podeszła do nas i posłała nam lekki, ostrożny uśmiech.

Miała równie mocny makijaż jak na zdjęciu, wyraźnie widoczne odrosty i zbyt duże kolczyki w uszach. Była w moim wieku, może nawet nieco starsza – zdjęcie profilowe na Facebooku musiało pochodzić przynajmniej sprzed kilku lat.

Przywitaliśmy się, a potem Karolina potoczyła wzrokiem dookoła.

– Nie znacie jakiegoś lepszego miejsca? – spytała. – Tego mam trochę dosyć. Chyba że chcecie skorzystać z mojej zniżki pracowniczej, to rozumiem. Ale od razu was uprzedzam, że dupy nie urywa. Choć wbrew pozorom robota nie jest taka zła, jak się mówi. Czytałam ostatnio w necie, że na okresie próbnym wykręcamy dziewięć złotych za godzinę, a potem jedenaście, ale to bzdura. Tak naprawdę to...

– Możemy skoczyć w inne miejsce – odezwał się.

Fakt, że Karolina mówiła tak chętnie i nie wyglądała na osobę, która potrafiłaby dochować tajemnicy, nastroił mnie dość optymistycznie. Tego samego nie mogłem jednak powiedzieć o Klizie. Sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar zaraz się z nami pożegnać.

– No, możemy – odparła. – Byleby gdzieś, gdzie myją ręce. Bo jak pracujesz w Macu, to uczysz się jednej rzeczy: cały czas masz mieć je czyste. Jak przychodzą do nas z innych knajp, dziwią się, że u nas jest taki dryl. Wystarczy, że podrapiesz się po głowie

albo przesuniesz pieprzony kosmyk włosów, a musisz zapierniczać do łazienki i szorować łapy. A wiecie, jakie są mity, nie? Że u nas...

– Może coś zaproponujesz? – uciałem.

– Proponuję, żeby przyjęli nasze zwyczaje. Raz byłem w niby wypasionej restauracji, patrzę, a tam kelner na zapleczu drapie się po dupie, a potem...

– Miałem na myśli propozycję lokalu.

Rozejrzała się i zmrużyła oczy.

– Wy płacicie?

– Jasne – zapewniłem.

– W takim razie...

Zawiesiła głos, zastanawiała się przez chwilę, a potem machnęła ręką.

– Dobra, nieważne – rzuciła i przysiadła się do naszego stolika.

– Mówcie, o co chodzi? Co was interesuje?

Odruchowo zamierzałem wymienić z Klizą znaczące spojrzenia, ale Jola zastygła ze wzrokiem wbitym w stół. Nie czuła się przesadnie komfortowo w towarzystwie wygadanej nieznajomej, a ja po raz kolejny pomyślałem, że jest pełna sprzeczności.

– Przez telefon wspominałeś o Antoniówce – dodała Falkowska, nie dając mi czasu na odpowiedź. – Chodziłeś tam?

– O Antoniówce?

– Kappa, Antoniówka, Casa de Antonio... Świetlica miała sporo nazw. Niektórzy mówili na nią Kappuściarnia, Kappturownia, Kappselarnia i...

– Mniejsza z nazwami – przerwałem jej i pomyślałem, że muszę to robić częściej, jeśli chcemy się czegoś dowiedzieć. – Co tam się działo?

– Różne rzeczy. Ale czemu w ogóle pytasz, jak nie bywałeś?

– Moja dziewczyna tam chodziła.

– Serio? Jak się nazywa?

– Ewa.

Falkowska potarła końcówkę ucha i trąciła gigantyczny okrągły kolczyk.

– Żadnej Ewy u nas raczej nie było. Ale może znałam po ksywie?

Różne patole się przewijały, niekiedy w ogóle nie chcieli mówić, jak się nazywają.

– Nie miała ksywy.

O ile wiedziałem.

– A o jakie lata ci chodzi?

– Końcówkę dziewięćdziesiątych. Bywałaś tam wtedy?

– No, raczej.

Z tonu głosu wynikało, że uznała to za najgłupsze pytanie, jakie mogłem zadać. Znów popatrzyłem na Klizę, ale ta nadal myślami była w zupełnie innym miejscu.

– Każdy, kto mieszkał w okolicy, ciągnął do Kappy.

– Dlaczego?

– Bo to jeden był powód? – odparła Karolina i prychnęła. – Mieliśmy tam stół do pingla, piłkarzyki, całkiem niezłego peceta z grammi dla chłopaków, jakieś komiksy, inne bzdury...

– A alkohol? Coś mocniejszego?

Falkowska roześmiała się i odgięła na ławce.

– Zgrywasz się? – spytała.

– Nie.

– Ojciec Antoni prędzej by się przekonwertował na Araba, niż pozwolił, żeby ktoś zajarzał w Kappo Werde. To samo, jeśli idzie o coś mocniejszego. Nie było bata. Nie myśl, że niektórzy nie próbowali, a zapewniam cię, że to byli prawdziwi zawodnicy. Potrafili wyjarać skręta w konfesjonale, ale u ojca Antoniego nie dawało rady. Od razu się z takim czy innym żegnał i tyle.

Słuchałem uważnie, choć nie przychodziło mi to łatwo.

– Wiadomo, że czasem zapaliliśmy przed przyjściem do Antoniówki albo za kaplicą, ale jak tylko wyczuł, był przypał. Z alkoholowymi wyziewami w ogóle nie było co przychodzić, bo jak się ojca Antoniego podkurwiło, to i potrafił do rodziców zadzwonić. W sumie dobry gość, ale tylko dopóki mu nie podpadł. Potrafił zrobić ci z dupy wiadro.

Mimo doboru określeń mówiła o nim ze swoistym szacunkiem w głosie, jakby rzeczywiście stanowił duchowe oparcie dla tych dzieciaków. Wyobraziłem sobie to towarzystwo, składające się w dużej mierze z ludzi, z którymi Ewa nie miała wiele wspólnego.

Pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny, która znajdowała się na tyle wysoko w hierarchii społecznej, że sam musiałem zadzierać głowę.

– Dochodziło tam do jakichś kłótni? Niesnasek?

– Niesnasek? – spytała i znów prychnęła. – Ja jebe...

Wzruszyłem ramionami.

– Kłóciliśmy się od czasu do czasu, ale gdyby doszło do rękoczynów, ojciec Antoni od razu zrobiłby porządek.

Zamknąłem oczy i nabrałem tchu. Było jeszcze tyle rzeczy, o które chciałem zapytać, że nie wiedziałem nawet, od czego zacząć. Jednocześnie nie mogłem opędzić się od wrażenia, że nawet jeśli poznam całą historię tego miejsca, w niczym mi to nie pomoże.

– Pamiętasz Blitza? – odezwała się w końcu Jola.

Falkowska potrząsnęła głową, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że przy stole siedzi jeszcze jedna osoba.

Nie udzieliła jednak odpowiedzi. Nie od razu. Milczała, co stanowiło dość niepokojącą odmianę.

– No pewnie, że pamiętam. Blitzer był...

Zawiesiła głos i wbiła we mnie wzrok. Nagle w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– No, nie pierdol! – rzuciła. – To ty, nie?

– Ja?

– Kumpel Blitzkriega. Ten gość, co szukał swojej narzeczonej, a ona potem odnalazła się na Bolko. Znaczy jej ciało, nie?

Nie było sensu tłumaczyć, że moim zdaniem tamta osoba nie miała nic wspólnego z moją Ewą. Skinąłem więc głową, pozorując głęboki smutek.

– O w mordę... – jęknęła Karolina. – Sorry, nie pomyślałam. Czasem powiem coś bez namysłu.

– Czasem? – spytała pod nosem Kliza.

Falkowska ją zignorowała i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie miałam na myśli nic złego.

– Nie ma sprawy – zapewniłem.

– To dlatego pytałeś o tę Ewę? – spytała. – No way... Masz jakiś trop?

– Właśnie staram się to ustalić.

Cofnęła rękę i poprawiła się na krześle, jakby właśnie otworzyła się przed nią szansa, by zapisać się w historii.

– Pytaj, człowieku – oznajmiła. – Powiem ci wszystko, co wiem.

Zerknąłem na Jolę, a ta od razu odebrała niewypowiedzianą sugestię. Z plecaka, z którym się nie rozstawała, wyjęła laptopa, a potem pokazała Falkowskiej zdjęcie. Karolina nie musiała długo mu się przypatrywać.

– Na bank Kappa – powiedziała. – No i jest Blitz. Ta obok to Ewa?

– Tak.

– Nigdy jej u nas nie widziałam. Widocznie wpadała, jak mnie nie było. Albo na wakacje? Rzadko zostawałam w mieście, rodzice ciągnęli mnie do dziadków, do Głuchołaz. Lipna sprawa, bo dwa miesiące wyjęte z życiorysu. No i wszyscy siedzieli na dupie, wiadomo, nie było za co ani gdzie jechać. Niektórzy mi zazdrościli, ale ja bym tam oddała...

– Dobra – wtrąciła się Kliza. – To kim jest Kałwak?

– Eee...

Nie brzmiało to jak zapowiedź niczego dobrego.

– Oznaczyłaś go na Facebooku pod postem, który wrzuciliśmy.

– Ano tak, oznaczyłam.

– I zaraz potem usunęłaś znacznik.

– Bo mnie o to poprosił.

– Dlaczego?

Zaczynało to przypominać przesłuchanie, a Falkowska wyraźnie nie była z tego kierunku zadowolona.

– A ja wiem? – odparła. – Wysłał mi wiadomość, czy nie mogłabym go usunąć, więc to zrobiłam.

– Nie zapytałaś, czego się boi?

– A kto mówi, że w ogóle się bał? – rzuciła z miną sugerującą, że uchybiamy elementarnym zasadom techniki śledczej. – I zapytałam, ale już nie odpisał. Olałam sprawę.

– Okej. To skąd w ogóle ten znacznik?

– Bo pamiętałam, że gość robił zdjęcia w Kappie.

– Często pamiętasz ludzi sprzed dwudziestu lat?

– Co to za pytanie w ogóle? – obruszyła się.

– I często masz ich w znajomych?

Nie byłem pewien, czy Jola nie naciska zbyt stanowczo, ale Falkowska zdawała się niezrażona nadmiarem pytań. Może naprawdę lubiła mówić, nieważne, o czym i w jakich okolicznościach.

– Wysłał mi kiedyś zaproszenie – wyjaśniła. – Zanim przyjechałam, sprawdziłam, kto to jest. I przypomniałam sobie, że mieliśmy kiedyś pompę z jego nazwiska.

Oczywiście, dzieciaki nie przepuściłyby tego, że trzy pierwsze litery układały się w takie, a nie inne słowo.

Karolina wskazała na zdjęcia na ekranie.

– Ojciec Antoni wpuścił do Kappy tylko jednego fotografa. I był to chyba jedyny raz, kiedy ktoś w ogóle trzaskał nam fotki.

Kliza zaczęła wyświetlać kolejne zdjęcia, a Falkowska przyglądała im się w milczeniu.

– Skoro był tylko raz, a na tych zdjęciach jest Ewa, to musiałaś ją spotkać – zauważyła Jola.

– Nie za bardzo.

– Co to znaczy?

– Że nie byłam w Kappie, kiedy Kałwak robił fotki.

Widziałem, że Kliza jest coraz bardziej poirytowana.

– Więc skąd cię znał? Dlaczego wysłał ci to zaproszenie?

– Ty chyba nie wiesz, jak działa Fejs, dziewczyno – odparła i rozłożyła ręce.

– Możesz mi to wytłumaczyć.

Karolina nabrała głęboko tchu, a potem przedstawiła nam wszystko od początku. O Kałwaku usłyszała, kiedy znajomi z Kappy opowiadali jej o sesji. Pośmiali się trochę z jego nazwiska, ale potem wszyscy o nim zapomnieli. Po raz kolejny zjawił się jakiś czas później z wywołanymi fotografiami i wtedy Falkowska go poznała.

Brzmiało to dość wiarygodnie.

– I ot tak cię zaprosił do znajomych? – mruknęła Jola.

– Zobaczył, że mamy kilku czy kilkunastu wspólnych znajomych, to nacisnął niebieski kwadracik. Tak to działa, nie?

Z jednego ślepego zaułka w drugi. Wydawało mi się, że nigdy nie ruszymy do przodu.

W końcu jednak się udało.

– Zapamiętałam go, bo mówię wam, że tylko raz były foty. Kręciliśmy raczej filmy niż robiliśmy zdjęcia – powiedziała Karolina.

– Co takiego? – spytałem.

– Ojciec Antoni dostał od jakiegoś parafianina kamerę i mieliśmy z nią trochę zabawy. Żadne pornosy, nie myślcie sobie. Udawaliśmy aktorów, robiliśmy Kappawood, takie tam zgrywy. W sumie nic ciekawego, serwowaliśmy same strasburgery do kamery, bo wszystko na trzeźwo, ale przez tydzień mieliśmy jakieś urozmaicenie.

Tym razem Kliza posłała mi znaczące spojrzenie.

– Mieliście tam jakieś kasety? – spytała.

– Z naszymi wyczynami?

– Nie. Inne.

– No rejczel. W końcu to świetlica, nie?

Jej pytanie wybrzmiało w mojej głowie z wyraźnym echem. Było tak oczywiste, że właściwie powinienem postawić je sobie, już kiedy trafiliśmy na Kappę. Oczywiście, świetlica.

To nie mógł być przypadek.

Spojrzałem na jedno ze zdjęć, starając się ustalić, czy to może być to samo miejsce, które widziałem na nagraniu Ewy. Nie sposób było rozstrzygnąć. Obraz na taśmie „3/15” był zbyt niewyraźny, a w dodatku przecięty i przesunięty w dół.

Ale nie mogłem wykluczyć, że nagranie powstało w Kappie. Nie wtedy, ale lata później.

Kiedy parafia pozbyła się tej nieruchomości? Miss Marvel mówiła, że wprowadziła się tam kilka miesięcy temu. Kupić musiała ją trochę wcześniej, bo elewacja była odnowiona. Choć równie dobrze mogła remontować, mieszkając już w dawnej Kappie.

– Wiedziałaś, że Kościół sprzedał to miejsce? – zapytała Jola.

– Pewnie. Wszyscy wiedzieliśmy, ojciec Antoni sam dał nam wszystkim znać.

Nie uszło mojej uwadze, że wciąż odnosiła się do niego w ten sam, pełen szacunku sposób. Zawsze „ojciec Antoni”, nigdy z imienia, nigdy z jakiejś ksywki. Wydawało mi się niemożliwe, by mu jej nie nadali – aż prosiło się o to, by nazywać go Antonio Fa Caldo, Banderas czy jakoś inaczej. A jednak ani razu w głosie Karoliny nie usłyszałem nawet nuty lekceważenia.

– Próbował przekonać parafię, żeby nie sprzedawała gruntu, ale wiecie, jak jest. Po pierwsze kasa się liczy, po drugie Kappa od jakiegoś czasu była już nieużywana, a po trzecie... ojciec Antoni nie ma już takich chodów, jakie miał.

– Dlaczego nie? – zapytałem. – Coś się stało?

– To samo, co zawsze. Nowi ludzie, nowe porządki. Jak w Pitbullu.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale stało się dla mnie jasne, że niczego pomocnego się z Klizą nie dowiemy. Mimo to słuchaliśmy wywodów Falkowskiej uważnie. Nie musieliśmy nawet specjalnie dopytywać o szczegóły – wszystkie przedstawiała nam z własnej woli.

Kiedy skończyła, podnieśliśmy się z niejaką ulgą i podziękowaliśmy jej za pomoc. Zapewniła, że jak tylko przypomni sobie coś jeszcze, da mi znać. Potem odprowadziliśmy ją wzrokiem i wróciliśmy do samochodu.

– To była gigantyczna strata czasu – mruknąłem, pocierając czoło. – W dodatku jej głos chyba jest migrenogenny.

Jola milczała.

– Nie wydaje ci się?

Spojrzałem na nią i zrozumiałem, że znów odpłynęła myślami. Wbijiała wzrok przed siebie, jakby dostrzegała coś w gęstych krzewach przesłaniających nam ulicę.

– Kliza?

– Już.

– Już co?

– Możesz odpalać silnik i za nią jechać.

Wskazała stacyjkę ponaglającym ruchem.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że albo w tej chwili wycofasz i pojedziemy za

Falkowską, albo prawdopodobnie już nigdy nie dowiemy się, co się stało z twoją narzeczoną.

Spojrzałem niepewnie w lusterko i zobaczyłem, że Karolina wyjeżdża z parkingu. Kliza wyglądała na tak pewną siebie, że nie musiałem zastanawiać się nad tym, co zrobić. Szybko wycofałem i pojechałem za białym fiatem punto.

– O co chodzi? – spytałem. – Co przegapiłem?

– To, że ta bikejka najwyraźniej nosi duże koła od urodzenia.

– Co proszę?

– Bikejka. Od białych kozaczków.

Nigdy nie słyszałem tego określenia, więc uznałem to za jakiś regionalizm. Przyspieszyłem trochę, by nie zgubić Falkowskiej. Przypuszczałem, że nie muszę zachowywać odpowiedniego dystansu. Raczej nie spodziewała się ogona.

– Mniejsza z obuwem – powiedziałem. – Dlaczego za nią jedziemy?

– Bo kłamała w żywe oczy.

– W którym momencie?

– Jak mówiła, że nie była w Kappie, kiedy Kałwak robił zdjęcia.

Światło przed przejściem dla pieszych zmieniło się na czerwone, a ja czym prędzej zwoleń i przepuściłem samochód z podporządkowanej, byśmy nie znaleźli się tuż za Karoliną.

– Przecież nie było jej na nich – zauważyłem. – A poza tym dlaczego miałyby kłamać?

– Nie wiem.

– I skąd wiesz, że...

– Stąd – odparła Kliza, wyciągając laptopa.

Kiedy pieszy, który wcisnął guzik i sprokurował chwilowy postój, wszedł na jezdnię, Jola pokazała mi jedno ze zdjęć. Wlepiłem w nie wzrok, ale niczego znaczącego nie dostrzegłem.

– Prawy górny róg – poleciała. – Co widzisz?

Przypatrzyłem się i dopiero wtedy zobaczyłem kawałek jakiejś postaci. Twarzy nie było widać, jedynie część profilu. Akurat tyle, by dostrzec, że osoba ta nosi w uszach wręcz komicznie duże kolczyki.

– Albo mieliście tutaj modę à la Pigmejki, albo to ona –

zauważyła Kliza.

Kolor włosów zgadzał się z obecnymi odrostami. Ale dlaczego Karolina miałyby mijać się z prawdą?

– I chyba nie uwierzyłeś w te bujdy o niemalże przypadkowym zaproszeniu do znajomych?

– Sam nie wiem.

– Daj spokój – odparła Jola, kiedy światło zmieniło się na zielone, a ja wrzuciłem jedynekę.

Ruszyliśmy za Falkowską, choć kierujący samochodem przed nami wyraźnie się ociągał. Miałem zamiar zaraz go minąć, by niepotrzebnie nie ryzykować.

– Czasem niewiele trzeba, żeby facet wysłał ładnej młodej dziewczynie zaproszenie – rzuciłem.

– Ta kukuryna jest twoim zdaniem ładna?

Kątem oka zerknąłem na Klizę.

– Masz wyjątkowo duży zasób słów na określenie...

– Landryn?

– I z pewnością dogadałabyś się z Blitzem – mruknąłem.

Zasadniczo nie mogli się bardziej różnić, ale miałem wrażenie, że moja uwaga okazałaby się trafna. Gdyby tylko Blitzer wciąż żył.

– Wątpię – odparła. – Źle układa mi się z ludźmi, którzy skrywają jakieś tajemnice. A twój kumpel najwyraźniej miał przynajmniej jedną.

Nie chciałem rozmawiać o Blitzkriegu, nie teraz. Nawet jeśli intuicja podpowiadała co innego, z mojego punktu widzenia wciąż był ofiarą tej sytuacji, a nie winowajcą. Jego jedynym błędem było to, że w pewnym momencie starał się mi pomóc.

– Dokąd ona jedzie? – zapytałem.

Oboje wiedzieliśmy, że mieszkała na Malince, tymczasem minęła zjazd na osiedle i skierowała się w stronę centrum.

– Nie wiem – odparła Kliza. – Ale jestem pewna, że zaraz poinformuje kogoś, że trafiliśmy na trop tego, co działo się w Kappie.

Pokiwałem głową w zamyśleniu, a potem skorzystałem z tego, że jednopasmowa ulica przeszła w szerszą jezdnię. Minąłem

jadący przed nami samochód i znalazłem się za Falkowską.

Ta przejechała przez całe miasto i ostatecznie zaparkowała przed budynkiem, który obydwójce kojarzyliśmy. Po raz pierwszy zobaczyliśmy go, kiedy szukaliśmy informacji o ojcu Antonim i trafiliśmy na miejsce, w którym mieszkał.

Karolina wysiadła z fiata, zadzwoniła domofonem, ale najwyraźniej gospodarza nie zastała. Spróbowała jeszcze kilkakrotnie, a potem wyciągnęła telefon i przez jakiś czas starała się z kimś skontaktować.

Po tym, jak zrezygnowała, pojechała w kierunku Młynówki. Chwilę później zaparkowała naprzeciwko komendy policji. Stanęliśmy kawałek za nią.

– Idzie do Prokockiego? – spytałem.

– Najwyraźniej.

– Więc zaraz wróci z kwitkiem.

Tak też się stało. Po podkomisarzu wciąż nie było śladu, a jego współpracownicy nie mieli zamiaru udzielać żadnych informacji. Ani nam, ani nikomu innemu.

Karolina wyszła z budynku, rozejrzała się z irytacją i znów bezskutecznie próbowała się do kogoś dodzwonić. Pokręciła głową, uderzyła dłonią w maskę samochodu, a potem do niego wsiadła.

– Kogo ona stara się ostrzec? – mruknąłem. – I dlaczego?

Kliza nie musiała odpowiadać. Na drugie pytanie i tak nie sposób było tego zrobić, na pierwsze zaś miała dać nam odpowiedź sama Karolina. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że któryś z adresów, pod jakie się uda, będzie kluczowy.

Objeżdżała wszystkich zamieszanych w sprawę. I tym samym ostatecznie musiała doprowadzić nas do osoby, od której uzyskamy odpowiedzi.

Kiedy ruszyła w stronę Szczepanowic, serce забиło mi szybciej.

Zatrzymała się pod jednym z domów przy Wojska Polskiego i zaparkowała na chodniku. Okolica nie była najbardziej reprezentacyjna, większą jej część za torami kolejowymi zajmowały jakby przypadkowo rozrzucone peerelowskie bryły. Pojedyncze szare sześciany, spółdzielnia pracy, stary dworzec...

wszystko to stwarzało wrażenie, jakby wkraczało się w inne czasy.

Stanęliśmy tak, by Karolina nie zwróciła na nas uwagi. Wsiadła z samochodu, spróbowała dostać się do domu, pod którym zaparkowała, ale i tutaj nikogo nie zastała. Przez chwilę rozmawiała z kimś przez telefon, żywo gestykując.

– Dałabym się pokroić na sashimi, żeby móc usłyszeć, o czym gada – odezwała się Jola.

Przypatrywaliśmy się jej aż do momentu, kiedy krzyknęła coś do słuchawki, nerwowo stuknęła palcem w wyświetlacz, a potem wróciła do samochodu i trzasnęła drzwiami. Od razu odpaliła silnik i ruszyła przed siebie.

Miałem wrażenie, że to całe śledzenie jej nigdy się nie skończy. Ostatecznie jednak okazało się, że moje obawy były nieuzasadnione.

Falkowska przejechała tylko kawałek, po czym skręciła w jedną z mniejszych uliczek. Stała przy rzędzie zaniedbanych garaży, pod chylącym się ku upadkowi płotem i rozłożystymi koronami starych drzew.

– Nie podjeżdżaj bliżej – poradziła Kliza.

Zaparkowałem na chodniku. Oboje obserwowaliśmy Karolinę, ale nie wyszła nawet z auta. Czas zdawał się płynąć coraz wolniej.

W końcu z naprzeciwka nadszedł jakiś samochód. Zatrzymał się przed fiatem punto, maska w maskę. Nie widziałem, kto siedzi za kierownicą, ale udało mi się na moment zerknąć na pasażera.

– Kliza...

– Co jest?

Wskazałem przed siebie, ale uświadomiłem sobie, że Jola nie ma tak dobrego widoku jak ja.

– Zobacz sama – powiedziałem, robiąc jej nieco miejsca.

Nachyliła się w moim kierunku i wbiła wzrok w auto, które podjechało do Falkowskiej.

– Kasandra? – spytała z niedowierzaniem. – Ale skąd ona...

Urwała, kiedy rozległo się głośne pukanie w szybę. Oboje niemal podskoczyliśmy i natychmiast odwróciliśmy się

w kierunku człowieka, który jedną rękę trzymał na broni, a drugą sugerował, żebyśmy natychmiast otworzyli okno.

3

Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. W pewnej odległości od fiata punto stał samochód, który dobrze kojarzyłam. Za kierownicą siedział Wern, a tuż obok niego Kliza.

Jak trafili na właściwy trop? Skąd wiedzieli, że to właśnie tym miejscem powinni się zainteresować?

Zaczęłam pospiesznie analizować wszystko w głowie. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, skierowałam Damiana na określoną drogę, polecając mu, by ruszył tropem kaset. Jak ostatecznie doprowadziło go to tutaj, nie wiedziałam.

Spojrzałam na niego, ale nie miałam pojęcia, czy widzi mnie równie wyraźnie jak ja jego. Nagle przesunął się w bok, robiąc miejsce Klizie. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że tuż za nimi zaparkował policyjny samochód – ani tym bardziej z tego, że jego kierowca już miał zapukać w szybę.

Kiedy to zrobił, a Wern i Jola natychmiast odwrócili się w jego stronę, skorzystaliśmy z okazji. Odjechaliśmy czym prędzej, bez obawy, że za nami ruszą. Funkcjonariusz z pewnością zrobi to, co do niego należało.

Zamknęłam oczy i starałam się odciąć choćby na moment od wszystkiego, co się działo.

Nie miałam pojęcia, ani jak wiele udało się odkryć Damianowi, ani tym bardziej, jak to wszystko się skończy.

Czy mogłam liczyć na szczęśliwy finał? Być może. Tyle że sama nie byłam do końca pewna, jak chciałabym, by wyglądał.

Wystarczyło, że przez moment widziałam Werna, a nagle poczułam się, jakby to wszystko było gigantycznym błędem. Jakbym opowiedziała się po złej stronie.

Może tak było? Może powinnam wybrać jego?

Nie, to nie miałyby żadnego sensu. Po pierwsze, on nie zdołałby osiągnąć tego, co druga strona. Po drugie, mogłam wprowadzić

łudzić się, że jakoś naprawimy nasze relacje, ale z pewnością nie, że posuną się one naprzód.

Zresztą co sobie wyobrażałam? Że zakocha się we mnie tak jak w Ewie lata temu? Tylko dlatego, że upodobałam się do niej fizycznie i przez jakiś czas udawałam przed nim jego narzeczoną?

Urwałam te nonsensowne rozważania, czując dotyk na ramieniu.

Odwrociłam się i spojrzałam na siedzącego obok mężczyznę.

– Brakuje ci go, co? – spytał.

– Może.

– W takim razie...

– To nie ma znaczenia – ucięłam. – Żadnego. Zrobię to, co postanowiłam.

Wpatrywał się przez chwilę w moje oczy, starając się stwierdzić, czy może ufać moim słowom.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Całkowicie.

4

Podobno ci, którzy nie mają nic do ukrycia, nie powinni obawiać się organów ścigania. Problem polegał jednak na tym, że w bezpiecznym, idealnym świecie tak naprawdę byłyby one zbędne. Dobrze funkcjonujące policyjne państwo nie potrzebuje policji, jak twierdził William S. Burroughs.

To z pewnością takie nie było, a dowodziła tego sytuacja, w której wraz z Klizą się znaleźliśmy. Strach wydawał mi się w tym wypadku całkowicie uzasadniony.

Niepewnie opuściłem szybę, odnosząc wrażenie, że całe powietrze stężało i jakkolwiek ruch za moment stanie się właściwie niemożliwy.

Czy to naprawdę Kas siedziała w drugim samochodzie? Jeśli tak, to jakim cudem? Nie znała w Opolu nikogo poza mną, a już na pewno nie dziewczynę, na której trop trafiliśmy.

Nie miała pojęcia o Kappie, to ja odkryłem to miejsce dzięki nagraniu.

To wszystko zdawało się kompletnie bez sensu. A ja nie miałem nawet czasu, by się nad tym zastanowić.

– Coś nie tak? – spytała Kliza, kiedy policjant nachylił się do nas.

Funkcjonariusz zignorował pytanie, skupiając się na mnie.

– Wie pan, gdzie pan zaparkował, panie kierowco?

– Cóż...

– Na chodniku.

– Tak? – spytałem z niedowierzaniem.

– W miejscu, gdzie obowiązuje zakaz zatrzymywania się. Nie widział go pan?

– Obawiam się, że...

Urwałem, słysząc, że samochody przed nami ruszają. Wraz z Jolą spojrzeliśmy w ich stronę i od razu stało się dla nas oczywiste, że cały trop, na jaki trafiliśmy, właśnie zniknął nam z oczu.

Punto i drugie auto odjechały.

– To jak? – odezwał się policjant. – Widział pan czy nie?

Patrzyłem mu w oczy i ani przez moment nie łudziłem się, że to pech sprawił, iż akurat teraz zostaliśmy zatrzymani.

– Musiałem przegapić.

– Takie gapiostwo będzie pana trochę kosztować – oznajmił.

Zakląłem w duchu, wbijając wzrok przed siebie. Obydwa samochody skręciły w prawo i znikły nam z oczu.

Była jeszcze jednak szansa, by je dogonić.

– Nie udałoby się ukarać mnie pouczeniem? – spytałem, siląc się na uśmiech.

– A co to byłaby za kara? Zaraz by pan zapomniał i znowu zrobił to samo.

– Zapewniam, że...

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę.

Służbowy ton przekreślił szansę, by ruszyć za Falkowską i Kasandrą. O ile to rzeczywiście Kas spotkała się z dziewczyną, którą śledziliśmy.

Otrzymałszy w końcu wszelkie możliwe pouczenia i druczek,

za pomocą którego miałem uporać się z zapłatą mandatu, pożegnaliśmy policjanta i ruszyliśmy przed siebie. Skręciłem w tę samą ulicę co punto, a potem zjechałem na pobocze. Po samochodach nie było śladu.

Kliza zaklęła cicho.

– Byliśmy tak blisko, Wern.

– Wiem.

– Ale najwyraźniej ci ludzie wiedzą, co robią.

– Istnieje hipotetyczna szansa, że ten radiowóz pojawił się tam przypadkowo – zauważyłem dla porządku.

Zrobiła duże oczy, a potem zatoczyła ręką krąg. Nie musiała nic dodawać, bym zrozumiał, że w tej okolicy patrole często się nie kręcą. A jeśli już, to interesują się nieco poważniejszymi sprawami niż łamanie zakazu zatrzymywania się.

Przez moment siedzieliśmy w zupełnej ciszy. W końcu sięgnąłem w stronę radia i włączyłem dźwięk.

– Udało ci się jej przyjrzeć? – spytałem.

– Niespecjalnie.

– Ale to ona, prawda?

– Nie wiem, ty ją lepiej widziałeś – mruknęła Kliza.

Wyraźnie nie miała ochoty ciągnąć tego tematu – nie lubiła gdybać, a w tej sytuacji właściwie cała rozmowa sprowadzałaby się właśnie do tego. Mimo to nie miałem zamiaru odpuszczać.

– Co ona tam robiła? – odezwałem się.

– Siedziała w samochodzie.

Spojrzałem nią z pretensją.

– Mogłabyś przynajmniej udawać, że się na tym skupiasz.

– Nie muszę, bo ty robisz to bez przerwy.

Minął nas policyjny radiowóz, a siedzący za kierownicą funkcjonariusz ostentacyjnie nas zignorował.

– Co konkretnie? – zapytałem.

– Myślisz o niej.

– Zabrzmiało to jak poważny zarzut.

– Możliwe – odparła.

Zaległa niewygodna cisza. Uznałem, że być może najlepiej

będzie, jeśli jej nie przerwę. Rozmowa nie poszła w kierunku, którego się spodziewałem.

Nagle Kliza obróciła się do mnie.

– Słuchaj – rzuciła. – Nie wiem, co dzieje się w twojej głowie, ale musisz pamiętać, co ta kobieta ci zrobiła.

– Raczej trudno zapomnieć.

– To dlaczego sprawiasz wrażenie, jakby tak właśnie było? I jakby ci się wydawało, że coś was łączy? – odparła wyraźnie oskarżycielskim tonem. – Dobrze byłoby, żebyś zrozumiał, że tak nie jest. Cokolwiek robi Kasandra, jest to manipulacją. Cokolwiek mówi, jest kłamstwem.

– Nie przesadzasz?

– Nie. I kiedyś jeszcze wspomnisz moje słowa. Oby nie za późno.

Otworzyłem usta, ale nie dała mi szansy na ripostę.

– A teraz do roboty – zaproponowała. – Bo odpowiedzi same do nas nie przyjdą.

Zmarszczyłem brwi, niepewny, co ma na myśli. Trop się urwał, nie było dalszej drogi, którą moglibyśmy podążać.

– No, jedziesz?

– Dokąd? – spytałem, rozkładając ręce.

Nadal obrócona w moją stronę, posłała mi długie, wiele mówiące spojrzenie. Poczułem się jak idiota, choć nie do końca wiedziałem dlaczego.

– Ona naprawdę mąci ci w głowie – bąknęła Jola. – Zastanów się, Wern. Falkowska poprowadziła nas od jednej do drugiej osoby i tym samym pokazała, kto jest zamieszany w całą tę sprawę. Dom Antoniego i miejsce pracy Prokockiego nic nam nie dają, ale...

– Komunistyczny klocek tak – dokończyłem za nią.

Miała rację. Ktokolwiek mieszkał w budynku, pod którym zatrzymała się Karolina, musiał coś wiedzieć. Nie bez powodu to do tej osoby w trzeciej kolejności skierowała się Falkowska.

Zostawiliśmy felcię w poprzednim miejscu, a potem podeszliśmy pod dom. Gospodarzy wciąż nie było, ale nie mieliśmy zamiaru odchodzić, dopóki się nie zjawią.

Po półtorej godziny na pobliskim przystanku pojawiła się

kobieta w wieku Falkowskiej, po czym skierowała się do domu, który mieliśmy na oku. Kiedy stanęła przed rdzewiejącą furtką, natychmiast do niej podeszliśmy.

– Dzień dobry – odezwałem się głosem, który bardziej pasował do akwizytora niż uprzejmego nieznanego. – Możemy zabrać pani chwilę?

Obawiałem się, że znów zostaniemy wzięci za świadków Jehowy. Kobieta przypatrzyła się nam, zmrużyła oczy, a potem przechyliła głowę na bok i zaczęła się we mnie wpatrywać. Sprawiała wrażenie, jakby mnie poznała, ale nie przypominałem sobie, żebyśmy kiedykolwiek się spotkali.

– Damian Werner?

Wymieniliśmy z Klizą niepewne spojrzenia.

– Spodziewałam się wielu osób, ale raczej nie ciebie.

– Skąd...

Zanim zdążyłem dokończyć, przekroczyła próg. Skinęła na nas ręką, a potem poprowadziła nas na tył domu. Znajdował się tu niewielki ogródek, w żadnym wypadku niemogący pretendować do konkursu „Opolskie kwitnące”, w którym wybierano najokazalsze tego typu miejsca.

Stanęliśmy przed werandą, a nasza przewodniczka po tej zapuszczonej dżungli wepchała ręce do kieszeni zbyt obcisłych dżinsów i znów mi się przyjrzała.

– Electra – przedstawiła się.

Wymieniliśmy uścisk dłoni i nie uszło mojej uwadze, że rozmówczyni ma wyjątkowo mocny chwyt.

– Od tej postaci z Daredevila? – spytałem.

– Hę?

Wyraźnie nie wiedziała, o co chodzi.

– Od Electrolux – dodała. – Ktoś kiedyś rzucił, a potem ewoluowało.

Żadne z nas nie wiedziało, jak to skwitować. Electra przewróciła oczami, a potem przesunęła palcem pod nosem, jednocześnie głośno nim pociągając.

– Swojego czasu trochę niuchałam – wyjaśniła. – Komuś skojarzyło się z marką odkurzaczy, przyłgnęło i w końcu

przerodziło się w obecną wersję. I tak już zostało.

– Niuchałaś? – odezwała się Kliza.

– Wtykałam fetę.

– A...

– Dawno temu. I nie byłam sama, przynajmniej jeśli chodzi o ekipę z Kappy – oznajmiła, jakby nigdy nic.

Żadne z nas nie odpowiadało.

– Coście tacy zdziwieni? – rzuciła. – Przecież po to tu przyszliście, prawda? Żeby pogadać o Kappie?

– Ale skąd...

– Przyznam, że spodziewałam się kogoś innego.

– I ktoś inny rzeczywiście tu był – włączyła się Kliza. – Jakies dwie godziny temu.

– Kto? Ojciec Antoni?

Miałem wrażenie, że wszyscy ci ludzie egzystują w jakimś innym, zupełnie niedostępnym mi świecie. Powoli zaczynało to przywozić na myśl nie tyle niewielką konspirację, ile tajemniczą zmowę.

Co działo się w tej świetlicy pod koniec lat dziewięćdziesiątych? I dlaczego Ewa uznała to za tak ważne, by skierować na to moją uwagę?

Zamierzałem się tego dowiedzieć od kobiety, która teraz patrzyła na nas z podejrzliwością.

– Nie, on zapadł się pod ziemię – wyjaśniłem.

– Nic dziwnego.

– Była u ciebie Karolina Falkowska.

Electra zaśmiała się chrapliwie, a potem wyjęła rękę z kieszeni, poklepała się po spodniach i skrzywiła.

– No tak, wiadomo – mruknęła. – Macie fajkę?

Kiedy zaprzeczyliśmy, podeszła do okna i ściągnęła z parapetu paczkę marlboro goldów. Zapaliła jednego i zaciągnęła się głęboko.

– Skąd wiedziałaś, że przyjdziemy? – zapytałem w końcu.

– Bo zaczęliście grzebać w sprawie.

– Jakiej sprawie?

– Tego, co stało się w dziewięćdziesiątym ósmym.

Wreszcie. Ktoś potwierdził, że jakieś zdarzenie istotnie miało miejsce. A zatem nie oszalałem, ci ludzie coś ukrywali.

– A co się stało? – spytała Kliza.

Electra wypuściła dym w naszą stronę.

– Ode mnie się tego nie dowiedzie – zastrzegła. – Może i żałuję niektórych rzeczy, szczególnie całego tego gówna z białą mery, ale... są sprawy, z którymi nie mam zamiaru się wychylać. Reszta by mi nie przepuściła.

– Reszta? – zapytałem. – To znaczy kto?

– Ojciec Antoni, Karolajna, cała ta paczka... A raczej ta część, która jeszcze żyje.

Kaszlnęła kilka razy, po czym wymierzyła we mnie palcem.

– Szukałam grobu Blitzkriega na Półwsi, ale nie mogłam znaleźć. Gdzie on leży?

Wydźwięk był jasny. Mój przyjaciel zaliczał się do tej paczki, nie był w Kappie przelotem ani przypadkiem. Czy to znaczyło, że Ewa też?

– Jest pochowany w nowej części – powiedziałem. – Wpisz w wyszukiwarce nagrobków nazwisko, to ci wyskoczy lokalizacja.

– Nie pierdziel. Jest taka opcja?

Skinąłem głową, a Electra wysunęła w moją stronę paczkę, jakby chciała mnie nagrodzić za informacje. Nie przyszedłem tu jednak, by je dawać, ale by je wyciągać – i wiedziałem, że jest na to szansa.

Kimkolwiek była ta kobieta, czymkolwiek się kierowała, było dla mnie jasne, że ma wyrzuty sumienia. Być może przez ostatnie dwadzieścia jeden lat ciążyło jej to, co się stało. I wreszcie musiała się tym z kimś podzielić.

– Na dobrą sprawę myślałam, że zjawisz się wcześniej – odezwała się. – Tuż po tym, jak zaginęła Ewa.

– Jedenaście lat temu? Czego miałbym wtedy u ciebie szukać?

– Odpowiedzi.

Popatrzyłem na Klizę, ale ona była równie zaskoczona jak ja.

– Potrafiłabyś mi wtedy jakichś udzielić? – spytałem ostrożnie.

– Może.

– Co to znaczy?

– Że nie wiem, co się stało z Ewą. Może to ma związek z Kappą, może nie. Zresztą teraz to już i tak nieważne, nie? Rok temu znaleźliście jej ciało.

Jola uniosła lekko dłoń, jakby miała zamiar sprostować, ale szybko zareagowałem.

– No tak – uciałem, wychodząc z założenia, że szkoda czasu na wykładanie jej mojego oglądu całej sprawy. – Mimo to wiedziałas, że zjawimy się teraz. Skąd konkretnie?

– Ojciec Antoni nas obdzwonił.

– I?

– Powiedział, że interesujesz się Kappselarnią i że możesz w końcu dotrzeć do każdego z nas.

– Ostrzegł was?

– Nie tylko ostrzegł, ale polecił, żebyśmy nie otwierali gęby.

Nie mogłem opędzić się od wrażenia, że atmosfera robi się coraz bardziej gęsta.

– I nie zamierzam postępować wbrew niemu – dodała Electra. – Nie zająknę się o niczym, co tam zaszło, jasne?

– Przecież...

– Ale nie muszę – dodała z satysfakcją. – Istnieje znacznie lepszy sposób, żebyście się tego dowiedzieli.

– Jaki? – spytała Kliza.

– Wystarczy, że zainteresujecie się tym, gdzie trafiły graty z Kappo Werde.

– Graty?

Electra wzruszyła ramionami z taką lekkością, jakby rzeczywiście nie postępowała wbrew poleceniom ojca Antoniego.

– Jestem pewna, że znajdziecie w nich coś ciekawego.

Przypomniałem sobie, jak Jola pytała Falkowską o to, czy w Kappie znajdowały się jakieś kasety. Ta odparła, że „w końcu to świetlica”, i przyznała, że kręcili jakieś materiały.

Trudno mi było sobie wyobrazić, jaki mogłoby to mieć związek z nagraniami Ewy, ale jednocześnie miałem wrażenie, że gdzieś znajduje się punkt styczny. Musiałem tylko go znaleźć.

– To tyle, jeśli o mnie chodzi – odezwała się Electra. – Dalej

musicie radzić sobie sami.

– Zaraz...

– Nic więcej nie wiem – dodała, a potem wskazała nam wzrokiem furtkę.

Nie miałem zamiaru tak łatwo odpuszczać. Stałem przed Electrą i spojrzałem jej głęboko w oczy.

– Gdzie mamy szukać rzeczy z Kappy? – zapytałem.

Starłem się, by mój głos zabrzmiał stanowczo i sugerował, że jestem gotów na wszystko, byleby wyciągnąć coś z rozmówczyni. Jej niewyraźny uśmiech kazał mi jednak sądzić, że nie wypadło to zbyt przekonująco.

– U nowych właścicieli? – dodałem. – Mają te graty?

– Nie, wszystko zostało stamtąd wyniesione.

– Więc u ojca Antoniego?

– Nie, nie. On tylko nadzorował przygotowanie Kappturowni na sprzedaż, ale... no, część rzeczy rozdał potrzebującym, wiadomo.

Jola zrobiła krok w jej kierunku i stanęła obok mnie.

– A co zrobił z tym, co nie mogło się nikomu przydać? – spytała, a ja odniosłem wrażenie, że ona także doskonale wie, czego szukamy.

– Znaczy? Na przykład z czym?

– Ze starymi kasetami VHS – powiedziałem w końcu to, na co Electra zdawała się czekać. – Bo były tam, prawda?

Skinęła głową z zadowoleniem jak nauczycielka, która wreszcie wbiła coś do głowy opornemu uczniowi.

– Były – potwierdziła. – I trafiły do kościelnego.

Mieliśmy trop. Bezpośredni, obiecujący.

– Kościelnego? – zapytałem gorączkowo. – Jak się nazywał?

– Daj mi się zastanowić... – odparła Electra i zmrużyła oczy.

– Okej.

Zachowywałem spokój, przynajmniej na zewnątrz. Miałem jednak wrażenie, że trwa to o wiele za długo i ostatecznie utkniemy w kolejnym martwym punkcie. Electra przez moment przygryzała dolną wargę, aż w końcu wyłowiła z pamięci to, czego potrzebowaliśmy.

– Stefan Bronowicz – oznajmiła.

Jechaliśmy na Daszyńskiego szybciej, niż przewidywały to nie tylko przepisy ruchu drogowego, ale chyba także założenia konstrukcje skody. Silnik felicii był niemiłosiernie, jak katowane zwierzę, ale szkoda mi było choćby sekundy.

– To niemożliwe – odezwała się Kliza. – Facet, od którego kupiłeś mieszkanie, ma kasety z Kappy? I był kościelnym w parafii Antoniego?

Staralem się wcisnąć pedał gazu mocniej, ale dotarł już do podłogi. Zredukowałem bieg i zmusiłem felicię, by weszła na jeszcze wyższe obroty.

– I to on zupełnie przypadkiem miał stary sprzęt VHS, dzięki któremu mogłeś obejrzeć kasetę, którą ktoś ci podrzucił?

– Nie ktoś.

Spojrzała na mnie pytająco.

– Musiał to zrobić Bronowicz – oznajmiłem z pewnością w głosie. – Zostawił ją w lofcie, żebym ją znalazł. To wszystko było przygotowane, Kliza.

– Ale... – zaczęła, urwała i potrząsnęła głową. – Ale jak? I dlaczego? Jak to wszystko się ze sobą wiąże?

Pomięła pytanie o to, dlaczego na kasecie widniał jej nick z RIC. Ten jeden fakt zdawał się stać w sprzeczności z tym, co dotychczas udało mi się zrozumieć.

– Nie mam pojęcia – odparłem.

Kręciła głową, jakby chciała zaprzeczyć tym wszystkim wnioskom, które się nasuwały. Od samego początku coś tutaj było całkowicie nie w porządku. A im dłużej tkwiłem w tej sytuacji, tym wyraźniej to widziałem.

– Kasetą Ewy, trzy-piętnaście, przedstawia ją jako dorosłą osobę – odezwała się pod nosem Jola. – A te inne nagrania mieli wykonać lata temu, bawiąc się kamerą w Kappie.

– Mhm.

– Więc co ma piernik do wiatraka?

Wciąż nie miałem lepszej odpowiedzi niż enigmatyczny pomruk.

– Wern?

– Jakiś związek musi być.

– Jaki?

– Dowiemy się tego od Bronowicza.

– O ile tym razem otworzy ci drzwi.

Nie otworzył. Po dotarciu w rekordowym tempie na plac Daszyńskiego przez kilka minut dobijaliśmy się do jego mieszkania. Wszystko wskazywało jednak na to, że Bronowicza znów w nim nie zastaliśmy.

Przywaliłem pięścią w drzwi, obróciłem się, a potem osunąłem się na podłogę. Usiadłem na wycieraczkę i podkuliłem nogi. Nie miałem żadnego pomysłu na to, co robić. Kasety były na wyciągnięcie ręki, odpowiedzi być może także.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że stojąca nade mną Kliza podaje mi dłoń. Złapałem ją i pozwoliłem, by Jola pomogła mi wstać.

– Ogarnij się – poradziła. – I otrzep tyłek.

Poklepałem się po spodniach.

– Świetnie, a teraz powiedz mi, jak wielu mieszkańców cię zna?

– Hm?

– Ilu orientuje się, że kupiłeś loft od Stefana?

– A ja wiem? Pewnie większość.

– Idealnie.

Nie miałem pojęcia, w jaki sposób miałyby to nam pomóc, ale Kliza najwyraźniej na coś wpadła.

– Powiesz, że zostawił dla ciebie coś w swoim mieszkaniu – oznajmiła. – I że musisz tylko na moment tam wejść.

Jeśli to miał być jej genialny pomysł, najwyraźniej sytuacja była opłakana. Zachowałem jednak tę uwagę dla siebie, wychodząc z założenia, że sama zda sobie z tego sprawę.

– No, dalej – ponagliła, wskazując drzwi po prawej stronie. – Najbliższa sąsiadka najczęściej ma klucze. Na wszelki wypadek, żeby podlewać kwiatki czy coś.

– Z pewnością.

– Nie zaszkodzi spróbować.

Nie miałem nawet cienia nadziei, że zda się to na cokolwiek, ale zadzwoniłem. Po chwili otworzyła nam podstarzała kobieta w pobrudzonym mąką fartuchu. Popatrzyła nieufnie na Klizę, ale zaraz potem mnie rozpoznała.

– Ach, to pan...

– Tak – przyznałem się. – Próbuję skontaktować się z panem Stefanem, ale od kilku dni...

– Raczej się panu nie uda – ucięła. – Stefan wyjechał może tydzień temu.

Zakląłem w duchu, choć właściwie powinienem się tego spodziewać.

– Dokąd? – zapytała Jola.

– Nie powiedział. Wiem tylko, że to raczej długi urlop. Ale to dobrze, należało mu się. Od lat nigdzie się nie wybierał, a od kiedy jego żona odeszła, to... cóż, zdawało się, że chęć do życia odeszła razem z nią.

Oboje pokiwaliśmy głowami ze zrozumieniem.

– Naprawdę muszę się tam dostać – powiedziałem, wskazując drzwi obok. – Tylko na chwilę. Pan Stefan zostawił dla mnie coś ważnego, ale najwyraźniej o tym zapomniał.

– Ach...

– Nie ma pani może kluczy?

Wiedziałem, że ta chwila jest rozstrzygająca. Albo zaraz pokonam ostatnią przeszkodę i uzyskam dostęp do kaset, albo pożegniam się z tą perspektywą na dobre.

– Kluczy? Na Boga, nie – odparła kobieta. – Mnie nigdy Stefan by ich nie zostawił.

– A komu? – spytała z nadzieją Kliza.

– Właściwie to... chyba żadnemu z nas. Nie żyje z nikim z sąsiadów w komitywie.

Rozmowa trwała jeszcze chwilę, a Jola upewniała się kilkakrotnie, czy nie zjawia się tutaj nikt, by choćby podlewać kwiatki. Kobieta twierdziła, że nie – i wyglądało na to, że możemy jej wierzyć, jako że większość dnia spędzała w domu.

Kiedy nas pożegnała, oboje odnieśliśmy wrażenie, że przeciwko

nam działa nie tylko grupa ludzi, ale także los.

– Od początku nie było szans – odezwałem się. – Nawet gdyby nas wpuściła, co byśmy zrobili? Przeszukali przy niej mieszkanie i liczyli na to, że te kasety...

Urwałem, nagle zdając sobie sprawę z tego, jak nielogicznie myślałem. W całym pędzie skupiłem się wyłącznie na tym, żeby dorwać Bronowicza i wyciągnąć z niego informacje. Zignorowałem to, co naprawdę się liczyło.

– Co jest, Wern?

– Jestem idiotą.

Kliza nie zaprotestowała, a kiedy ruszyłem pospiesznie schodami w dół, natychmiast poszła za mną. Zeszliśmy do samej piwnicy, a chwilę później zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiczkami komórki Stefana.

Szarpnąłem za kłódkę, a potem wyjaśniłem Klizie, że to w tej klitce Bronowicz trzyma wszystkie rupiecie. I że to właśnie tu znalazłem magnetowid, dzięki któremu odtworzyłem nagranie Ewy.

Pamiętałem doskonale, że były tam także inne szpargały. A w pudle znajdowały się też upchnięte stare kasety.

– Nie masz klucza? – spytała nerwowo Jola.

– Nie. To jego piwnica, nie moja.

– Moim zdaniem w tej chwili należy do ciebie – zauważyła, a potem się rozejrzała.

Wiedziałem, że szuka czegoś, czym moglibyśmy sforsować zamknięcie. Kłódka była zardzewiała, właściwie stanowiła ochronę wyłącznie przed przypadkowymi pijaczkami, którzy zimą szukaliby tutaj schronienia.

Nie mieliśmy żadnego problemu z pokonaniem tej lichej przeszkody. Metal wprawdzie trzymał się całkiem dzielnie, ale od upragnionego celu dzieliła nas tak naprawdę tylko jedna śrubka mocująca zatrzask. W dodatku poluzowana.

Do loftu wróciliśmy z całym kartonem starych kaset VHS. Miałem wrażenie, że ruszenie którejkolwiek z nich spowoduje podniesienie się tumanu kurzu, ale kiedy wyjęliśmy pierwszą, spostrzegłem, że reszta nie wygląda, jakby leżała w pudle dłużej

niż tydzień.

Podniosłem kasetę i zerknąłem na etykietę. Część była zamazana czarnym flamastrem, ale tuż obok widniało to, czego się spodziewałem.

„7/15”.

A zatem w końcu trafiłem na to, co miałem odnaleźć już na samym początku. Kolejną taśmę z puli piętnastu.

Co na niej było? Nie miałem pojęcia. Ale teraz zyskałem pewność, że niebawem się przekonam.

– To nie ma sensu – rzuciła Kliza, kręcąc głową. – Dlaczego to miałyby być ten sam zbiór, w którym było nagranie Ewy?

– Jakiś powód musi być.

– Jaki, Wern? Jaki? – zapytała, coraz bardziej poirytowana tym, że nic nie rozumie. – Kasety, o których mówiła Electra, zostały nagrane ponad dwadzieścia lat temu. Ta od Ewy pochodzi najwyżej sprzed... bo ja wiem? Kilku lat. W dodatku Kasandra twierdzi, że znalazła ją w...

Nie mogąc przypomnieć sobie nazwy miejscowości, posłała mi ponagląjące spojrzenie.

– W Obicach pod Kielcami – dokończyłem.

– Założmy, że nie kłamię.

– Założmy...

– W takim razie co jedna z piętnastu kaset miałyby tam robić? Dlaczego została oddzielona od reszty? I czemu w ogóle znajdowały się w jednej puli?

– Glazur trafił tam lata temu, więc możliwe, że po prostu zmieniały miejsce, a...

– To bez sensu, Wern – uparła się.

Być może miała rację, ale ciągnięcie tej rozmowy było bezproduktywne. Jeśli mieliśmy uzyskać jakiegokolwiek odpowiedzi, to mogliśmy to zrobić jedynie po umieszczeniu kolejno wszystkich kaset w odtwarzaczu.

Wsunąłem do magnetowidu pierwszą, a potem włączyłem przewijanie.

Zanim taśma poszła w ruch, rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa. Zawahałem się, przypuszczając, że to najpewniej oferta

ekspresowego kredytu lub informacja o płatności od operatora. Ostatecznie i tak musieliśmy chwilę poczekać, aż kasetę się przewinie, więc zerknąłem na wyświetlacz.

Wiadomość pochodziła z systemu RIC.

– Kliza...

– Co jest?

– Właśnie dostałem kod dostępu na chat RI.

Były tylko dwie osoby, które mogły uzyskać dostęp do tej platformy. Jedna znajdowała się obok mnie, drugą była Kasandra.

– Niemożliwe – odparła Jola. – Ten chat już dawno przestał działać.

– Najwyraźniej teraz znów zaczął.

Taśma wróciła do początku. Wbiłem wzrok w magnetowid, a potem w komórkę.

Ostatecznie uznałem, że Ewa może poczekać. Kasandra być może nie.

6

Biały kursor tekstowy mrugał na czarnym tle, a ja zastanawiałam się, jak długo będę musiała czekać na Werna. Przypuszczałam, że gdyby był w domu, zapewne zjawiłby się na RIC od razu. O ile jednak wiedziałam, wciąż podążał jedynym tropem, jaki miał.

Szybko uświadomił mi, że się myliłam. Na liście uczestników chatu pojawił się jego nick, a zaraz potem zobaczyłam wiadomość.

[Wern] Możesz mi wytłumaczyć, co się dzieje?

Najwyraźniej czas na uprzejmości dawno się skończył. Pochyliłam się nad stojącym na niewielkim biurku laptopem i nabrałam głęboko tchu.

[Kas] Widziałeś mnie?

[Wern] Dość wyraźnie.

Wątpiłam, żeby była to prawda, biorąc pod uwagę, że przez ponad dwadzieścia ostatnich lat wpatrywał się po ciemku w monitory kolejnych komputerów. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mnie rozpoznał.

Wolałam od razu poruszyć ten temat, niż potem sprawiać wrażenie, jakby mnie na czymś przyłapał.

[Wern] Co ty kombinujesz?

[Kas] Staram się pomóc.

[Wern] Komu? Sobie?

[Kas] Tobie.

[Wern] Jakoś na to nie wygląda. Przynajmniej z mojego punktu widzenia.

[Kas] Bo nie widzisz całego obrazu.

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, a ja pomyślałam, że Kliza na pewno stoi obok niego i kontroluje, co się dzieje. Może robi wszystko, by się mitygował, a może sama podsuwa mu to, co powinien napisać. Tak czy owak, nie mogłam pozwolić sobie na zbyt swobodną rozmowę.

[Wern] W takim razie pomóż mi go zobaczyć. Bo z mojej perspektywy widać tylko twoje kolejne kombinacje.

Zawiesiłam dłonie nad klawiaturą i przez moment się zastanawiałam.

[Wern] Więc? Jak będzie?

[Kas] Nie mogę.

[Wern] Czego nie możesz?

[Kas] Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. Obiecuję.

Nie wiedziałam, czy składana przeze mnie obietnica miała dla niego jakąkolwiek wartość. Zresztą na dobrą sprawę nie miał

pewności, czy tak naprawdę nie rozmawia z kimś innym. Mogłam przecież dać dostęp do RIC jednej z osób, z którymi byłam w aucie.

Zastanawiałam się, kogo oprócz mnie zobaczył. Skoro jednak nie wspomniał o nikim innym, zapewne tylko mnie.

[Wern] W takim razie po co mnie tu ściągnęłaś?

[Kas] Bo chcę ci pomóc.

[Wern] Jak?

Zerknęłam na resztkę prosecco w butelce, a potem wlałam ją do kieliszka. Powrót do niegdyś uwielbianego przeze mnie trunku z początku wydawał się błędem, ale już po dwóch porcjach zmieniłam zdanie.

[Kas] Powiedz mi najpierw, skąd wiedziałeś, żeby zwrócić uwagę na Karolinę Falkowską?

Namyślał się nad odpowiedzią. Zapewne wraz z Jolą naprędce starali się przesądzić, czy jestem ich sojusznikiem, czy też przeciwnikiem.

[Wern] Była na zdjęciach z Kappy.

Westchnęłam i opróżniłam kieliszek.

[Kas] Jakich zdjęciach?

[Wern] Zalegających na serwerze parafii.

Odstawiłam prosecco i otarłszy usta, zastanowiłam się nad tym, w jakim kierunku powinnam poprowadzić tę rozmowę.

[Kas] A skąd w ogóle wiedziałeś, żeby zainteresować się Kappą?

[Wern] Ewa zwróciła na nią moją uwagę.

[Kas] Ewa? W jaki sposób?

[Wern] W nagraniu 3/15 mówiła o kapliczce. Potem nietrudno

było dotrzeć do całej reszty.

Nie byłam pewna, co powinnam odpisać. Alkohol zaczynał działać, miałam ochotę zdradzić mu coraz więcej, a migający znacznik tekstowy zdawał się mnie do tego zachęcać.

Wiedziałam jednak, że tak naprawdę mogę przekazać mu tylko jedno. I liczyć na to, że zrozumie.

[Wern] Mam też pozostałe kasety.

[Kas] Co takiego?

[Wern] Te z Kappy. Trafiły do kościelnego, a tak się składa, że kupiłem od niego mieszkanie.

Miał podstawowe fakty, ale czy udało mu się z nich ułożyć cokolwiek sensownego? Przypuszczałam, że nie. W przeciwnym wypadku początek tej rozmowy wyglądałby zupełnie inaczej.

[Kas] Masz wszystkie?

[Wern] Całą pulę. Piętnaście starych, rozwalających się taśm VHS.

To był moment, na który czekałam. Napisałam ostatnią wiadomość, a potem od razu wylogowałam się z RIC. Zrobiłam wszystko, co musiałam. I wszystko, co sobie zaplanowałam.

Kliza kręciła się nerwowo po kuchni, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Początkowo upierała się, że chce widzieć, o czym rozmawiam z Kasandrą, ale ani przez chwilę nie miałem zamiaru na to pozwolić. W jakiś sposób wydawało mi się to niewłaściwe względem Kas, choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ona nie siedziała przy komputerze sama.

Jola zatrzymała się dopiero wtedy, gdy usłyszała, że przez chwilę nie uderzałem w klawisze. Zwróciła się w moją stronę

i mruknęła podejrzliwie.

– Co jest? – spytała.

– Nic – odparłem, zamykając laptopa. – Kasandra się wylogowała.

– Tak szybko? Nie mogłeś jej zatrzymać?

– Nie dała mi szansy.

Kliza podeszła bliżej, wyraźnie niezadowolona.

– Co ci powiedziała?

– Właściwie to... przede wszystkim pytała.

– A ty posłusznie odpowiadałeś, tak?

W naturalnym odruchu obronnym chciałem zaprzeczyć, ale czy był sens? Rzeczywiście powiedziałem Kas wszystko, co chciała wiedzieć. Z jakiegoś powodu miałem jednak przekonanie, że nie wykorzysta niczego przeciwko mnie.

– Pamiętasz, jak mówiłeś, że jesteś idiotą?

– Jako że było to dość niedawno, to...

– Miałeś absolutną rację – przerwała mi. – Ale to nie twoja wina.

W twoim przypadku takie zachowania są genetycznie uwarunkowane.

Nie odpowiadałem, skupiając się nie na słowach Klizy, ale na ostatnim, co napisała mi Kasandra.

– Mówię o przywarach twojej płci.

– Mhm.

– Wystarczy, że dziewczyna jest podobna do Angeliny Jolie, Megan Fox lub... – Zawiesiła głos, jakby znała tylko dwie współczesne ikony kobiecej urody.

– Agnieszki Dygant? – podsunąłem.

Machnęła ręką z irytacją.

– A gotowi jesteście iść za kimś takim w ogień.

– Kas raczej nie przypomina...

– Upodobniła się fizycznie do twojej zaginionej narzeczonej – wyrzuciła z siebie Kliza, a w jej oczach pojawiła się realna pretensja. – I tyle wystarczyło, żebyś stracił dla niej głowę.

Obawiałem się, że jeśli dam się wciągnąć w tę rozmowę, potrwa przynajmniej o godzinę dłużej, niżbym chciał.

– To klon – dodała Jola. – Wydmuszka.

– Daj spokój.

– Oho – rzuciła i uniosła błagalnie dłonie. – Teraz będziesz się obruszał, ilekroć powiem o niej złe słowo? W takim razie posłuchaj tego: ta kobieta nie ma żadnych skrupułów, żadnej empatii, żadnego współczucia dla ciebie czy kogokolwiek innego. Udowodniła ci to w najbardziej wymowny sposób, Wern. A ty ciągle o tym zapominasz.

Westchnąłem i postukałem palcem w zamkniętego laptopa.

– Na dobrą sprawę nie wiem, kim jest – powiedziałem. – Ale niepotrzebne mi to, żeby wiedzieć, że...

– Że co? Że chciałbyś zająć miejsce Glazura?

Wzmianka o nim nie była przypadkowa. Kliza wprawdzie zaprzeczała, że coś między nimi było, ale przypuszczałem, że mija się z prawdą. I że od momentu zatrzymania na placu Wolności nieustannie śledziła jego los. Nie rozmawialiśmy o tym, ale wydawało mi się to całkiem logiczne.

– Nie – odparłem. – Nie mam zamiaru nawet się do niej zbliżyć.

– To dobrze, bo ewidentnie działa teraz przeciwko nam.

– Może.

– Może?! – uniosła się. – Ty chyba...

– Zanim się wylogowała, napisała mi, że nie ma piętnastu kaset.

Kliza prychnęła.

– I to ma być pomocne?

– Najwyraźniej – odparłem, marszcząc czoło. – Inaczej nie podkreśliłaby tego w ten sposób.

– Jaki sposób?

– W taki, że wylogowała się zaraz po przekazaniu mi tego.

– Może po prostu poczuła niespodziewany nacisk na pęcherz i musiała skoczyć do kibla.

Na powrót otworzyłem laptopa. Jola mogła mówić, co chciała, ale byłem pewien, że ta ostatnia informacja była w jakiś sposób znacząca.

– Te kasety są podpisane, Wern. Trzy-piętnaście. Siedem-piętnaście. Każdy głupi widzi, ile ich w sumie jest.

– Może ta piętnastka oznacza coś innego.

– Co?

Spojrzałem na pudło, którego nie zdążyliśmy jeszcze dobrze przeszukać. Wyjęliśmy z niego tylko pierwszą kasetę, całkowicie skupiając się na niej, a potem na esemesie z systemu RIC. Założyliśmy, że pozostałe taśmy znajdują się w środku, ale...

Urwałem rozmyślenia i szybko zajrzałem do kartonu. Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Pozostałe kasety były podpisane zupełnie inaczej.

Na kilku nagrano odcinki starych bajek ze studia Hanna-Barbera, na innych filmowe hity lat dziewięćdziesiątych. Gorączkowo przerzucałem kasety, ale nie znalazłem żadnej, która byłaby podpisana podobnie do pierwszej.

Wyprostowałem się i zakląłem cicho.

– No to masz – odezwała się Jola. – O to jej chodziło. Nie ma piętnastu taśm, jest jedna.

– Nie.

– Nie? – spytała z powątpiewaniem Kliza.

Wbiłem wzrok w zatrzymany obraz na ekranie telewizora. Od poznania, co znajdowało się na nagraniu, dzieliła mnie tylko chwila. Towarzyszyło mi narastające napięcie, ale także obawa. O ile to pierwsze uczucie rozumiałem, o tyle to drugie było dla mnie całkowicie nieuzasadnione.

Bąłem się prawdy? Czegoś, przez co zobaczę moją narzeczoną w innym świetle?

– Wern?

– Kas chodziło o coś innego – odparłem bez wahania. – Ona nie wiedziała nawet, że mamy tę paczkę. Mówiła bardziej ogólnie.

Kliza prychnęła i przysiadła na skraju fotela.

– Teraz będziesz udawał, że znasz ją lepiej od jej własnej matki? – rzuciła.

– Nie, ale...

– Powtarzam: nie masz pojęcia, kim jest. Ani tym bardziej, co miała na myśli.

Myliła się, przynajmniej co do tego drugiego. Kasandra nie zaakcentowałyby tego tak mocno, gdyby rzeczywiście nie miało to znaczenia. Zastanawiałem się jeszcze przez moment, po czym w końcu uznałem, że zanim rozwikłałem tę zagadkę, sprawdzę

kasetę.

Zawahałem się jednak tuż przed wciśnięciem przycisku „play”.

– Trzy-piętnaście – powiedziałem. – Siedem-piętnaście.

– No.

– Skoro nie ma piętnastu kaset, to może to wcale nie jest numeracja.

– A co?

Uniosłem wzrok i przez moment się zastanawiałem.

– Przychodzi mi na myśl tylko jedna rzecz.

Jola spojrzała na mnie, czekając, aż wyjaśnię, już po chwili jednak dostrzegłem, że sama na to wpadła. Czym prędzej sięgnęła po laptopa, a ja przysiadłem na podłokietniku fotela.

Kliza wpisała „3/15” w Google – i w ten najprostszy możliwy sposób wszystko stało się jasne. Pierwszy rezultat był automatycznym wynikiem dzielenia. Drugi – linkiem do rozdziału trzeciego, wersu piętnastego w jednej z biblijnych ksiąg.

– To ma sens – zauważyłem.

– Tak sądzisz?

– Wszystko ostatecznie kręci się wokół tej kaplicy, parafialnej świetlicy i ojca Antoniego.

– Może.

Mimo że w jej głosie brakowało pewności, wiedziałem, że intuicja podpowiadała jej to samo co mnie.

– „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę” – odczytała początek fragmentu. – Czyli że co? Że ta kasetka miała cię z kimś skłócić?

Spojrzałem na taśmę, którą znalazłem na poddaszu jako pierwszą.

– Z Ewą? – dodała.

– Nie wiem. Sprawdź to drugie oznaczenie.

Kliza szybko wpisała, co trzeba.

– Rozdział siódmy, wers piętnasty, Ewangelia według świętego Mateusza – wyrecytowała. – „Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami”.

Nie brzmiało to zbyt optymistycznie.

– To ostrzeżenie przed fałszywymi apostołami.

– Tak, słyszałem.

– W sensie, że tak się ten fragment nazywa.

Oboje zerknęliśmy na cicho buczący magnetowid. Lekko migający obraz zdawał się wyzywać nas na pojedynek, jakby na nagraniu czekał ktoś, z kim powinniśmy się zmierzyć.

– I co to twoim zdaniem znaczy? – spytała Kliza.

– Pierwszy podpis wydaje się raczej bez sensu.

– Może jest. Może w ogóle źle to interpretujemy.

– Ale ten drugi...

Zawiesiłem głos, nie chcąc kończyć. Wiedziałem, jaką odpowiedź uzyskam, jeśli zacznę snuć teorię, że Kasandra stara się mnie przestrzec przed kimś lub przed czymś. Fałszywy apostoł właściwie mógł znaczyć wszystko.

– Dosyć tego – rzuciła Kliza. – Jeśli ty nie chcesz włączyć kasy, ja to zrobię.

Podeszła do odtwarzacza, usiadła na podłodze, a potem wcisnęła przycisk „play”, nie czekając na moją odpowiedź.

Przez moment widzieliśmy jedynie śnieżenie i słyszeliśmy szumy. Potem obraz przesunął się z góry na dół, niemal jakby był rzucony ze starego projektora. Pojawiła się ucięta w połowie postać i głos tak zniekształcony, że nie sposób było niczego zrozumieć.

– Kurwa mać... – jęknąłem. – To nagranie jest w jeszcze gorszym stanie niż poprzednie.

– Poczekaj, może się poprawi.

Kaseta musiała latami leżeć albo w piwnicy Bronowicza, albo w podobnym miejscu, gdzie kurz i wilgoć zrobiły swoje. Wraz z Klizą wpatrywaliśmy się w niewyraźny, zakłócony obraz, licząc na to, że za moment uda nam się wyłapać coś znaczącego.

W końcu się doczekaliśmy.

Na ekranie pojawiła się Ewa. W takim samym ubraniu jak na poprzedniej taśmie i w tym samym miejscu. Obraz również był podobny – niewyraźny, ucięty w połowie i nieustannie się przesuwały. Głos był jednak czytelny, choć momentami się

urywał.

Zdanie, od którego zaczęła, usłyszałem jednak nad wyraz dokładnie.

– Nigdy nie wybaczę sobie tego, co zrobiliśmy – powiedziała.

8

Nawet nie odnotowałem, kiedy Kliza podała mi piwo. Uświadomiłem sobie, że je piję, dopiero gdy puszka okazała się pusta. Odstawiłem ją na podłogę, nie odrywając wzroku od telewizora.

Siedzieliśmy przed nim z Jolą niczym dwójka dzieci, która w końcu doczekała się upragnionego programu. Nie odzywaliśmy się, oglądaliśmy drugie nagranie Ewy niemal w nabożnym nastroju.

– Moim najgorszym grzechem nie są złe rzeczy, których się dopuściłam – mówiła. – Ale te dobre, które zrobiłam dla złych ludzi.

Przysunąłem się do ekranu, jakbym dzięki temu mógł wyraźniej dostrzec Ewę. Chciałem widzieć, co kryje się w jej oczach, kiedy wypowiada te słowa. Jaki ma wyraz twarzy, jak się zachowuje, co przekazuje między wierszami...

Nie było jednak na to szansy. Obraz uniemożliwiał mi stwierdzenie, czy moja narzeczona naprawdę wierzy w to, co mówi. Mogłem sobie wyobrazić wiele scenariuszy, w których byłaby zmuszona mijać się z prawdą.

– Wszystko zaczęło się od czegoś znacznie starszego niż Biblia...

Moja wyobraźnia działała na zwiększonych obrotach. Pole widzenia zdawało się zawęzić jedynie do telewizora i miałem wrażenie, że zaraz zobaczę na nim śnieżący obraz, a potem wyśrodkowany tytuł tego, co Ewa miała zamiar mi przekazać.

Starszy od Biblii

Mam zdecydowanie za dużo czasu, by czytać. Brzmi to jak

oksymoron, ale taka jest prawda. Czytam już nie tylko o tym, co mnie interesuje, co jest przydatne i wartościowe. Czytam wszystko. To jedyne sposoby, w jaki mogę zabić czas.

Przez to sięgnęłam nawet do Biblii, choć nigdy specjalnie mnie do niej nie ciągnęło. Trafiłam na przypowieść, która... cóż, wyjątkowo nadaje się do tego, o czym chcę powiedzieć. To historia Jonatana, najstarszego syna pierwszego króla Izraela. Chłopak był śmiały, nieco porywczy i z pewnością odważny – pewnego razu porwał się niemal samotnie na kilkudziesięcioosobowy oddział wroga. Odnosił wiele zwycięstw w bitwach, ale to nie one były wyznacznikami jego męstwa.

Kochał swojego ojca i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miał zostać jego następcą, ale najwyraźniej nie uznawał ani jego, ani siebie za odpowiednią osobę na tronie. Znacznie bardziej cenił swojego najlepszego przyjaciela, Dawida – do tego stopnia, że to właśnie w nim widział następnego króla.

Wielu uczonych uważa, że w tej relacji było coś więcej niż męska przyjaźń. Niektórzy mówią wprost o miłości między dwoma mężczyznami, jasno udokumentowanej w Biblii, a homoseksualiści, którzy chcą utrzymać związki z Kościołem, zakładają grupy odwołujące się do tych dwóch postaci.

Jakie to wszystko ma znaczenie? Z mojego punktu widzenia okazało się to o tyle istotne, że przypomniało mi, co działo się w Kappie lata temu.

Starłam się o tym wszystkim zapomnieć, wymazać to z pamięci lub nawet uznać za niebyłe, ale teraz, gdy czasu mam stanowczo zbyt dużo, myśli znów kłębią się wokół tamtych zdarzeń jak ciemne chmury.

Kiedyś w zapomnieniu pomagał mi Damian, ale od kiedy byłam zmuszona się z nim rozstać, musiałam radzić sobie sama. Nie było łatwo. Właściwie coraz gorzej, bo coraz częściej wracałam do tego, przed czym uciekałam. Do dwóch osób, którym los poskąpił szczęścia.

Poza łączącą ich relacją nasi Jonatan i Dawid w niczym nie przypominali tych z przypowieści biblijnych. Nie byli dobrze urodzeni, nie mogli liczyć na świetlaną przyszłość i nie walczyli

o nic, co miało taką wagę jak tron Izraela.

A mimo to często sprawiali wrażenie, jakby gra toczyła się o najwyższą stawkę.

Ale powinnam zacząć od początku...

Zawsze wiedzieliśmy, że Jonatana i ojca Antoniego łączyła wyjątkowa więź. Blitz już na samym początku spekulował, że ksiądz niezdrowo interesuje się chłopakiem, ale reszta sądziła raczej, że duchowny miał niegdyś na boku jakąś dziewczynę – i że to właśnie ona wydała na świat Jonatana.

Nie była to oczywiście prawda. Rodzice Jonatana wprowadzili do najporządniejszych nie należeli, ale jego matka nie wikała się w żadne romanse. A już z całą pewnością nie z księżmi. Byli to ludzie żyjący na marginesie, nieco zdemoralizowani, ale jednocześnie religijni... nie, nie, raczej kościelni. Co tydzień w niedzielę klękali karnie w pierwszych rzędach, głośno śpiewali, gorliwie odmawiali modlitwę i wpatrywali się nabożnie w ołtarz. Przypuszczam jednak, że gdyby ktoś zapytał ich o to, jakiej Ewangelii wysłuchali, mieliby problem z odpowiedzią.

Wychowali Jonatana w sposób, który wydawał im się jedynym właściwym, przez co ze wszystkich chodzących do Kappy był zdecydowanie najbardziej uduchowiony. Przez całą podstawówkę był rzekomo ministrantem – i jeśli faktycznie tak było, to nie byłoby to dla mnie niczym dziwnym. Jako jedyny żegnał się przed posiłkiem, co wszystkich poza ojcem Antonim wprowadzało w pewną konsternację.

Początkowo był dla reszty obiektem kpin, potem jawił się jako dziwak, a ostatecznie jako osobliwy element otoczenia. Dzieciaki potrafią być okrutne, ale tylko przez pewien czas. W końcu wszystko im powszednie. Nawet ich własna pogarda.

Nie powiedziałabym, że Jonatan został kiedykolwiek zaakceptowany przez resztę, ale nauczył się funkcjonować tak, by dobrze żyć w tym niewielkim kolektywie. Ojciec Antoni dbał o to, ale nie narzucał swojej woli innym. Wiedział, że w ten sposób osiągnie efekt odwrotny do zamierzonego.

Wszystko zaczęło się komplikować, kiedy Blitzler zobaczył ich pewnego wieczoru w pokoju z piłkarzykami. Właśnie kończyli

grać, nie zauważyli stojącego za progiem Blitzla. Ten przypatrywał im się, kiedy usiedli na niewielkiej kanapie pod ścianą, ramię w ramię.

Opowiedział mi potem wszystko dokładnie.

O tym, jak ojciec Antoni położył dłoń na kolanie Jonatana. Jak natychmiast ją cofnął, widząc zmieszanie chłopaka. Jak potem się do niego przysunął, jak nachylał się do jego ucha.

Był to jednak początek tego, co...

Nagranie nagle się urwało, a Ewę na ekranie zastąpiły szумы i inne zakłócenia. Kliza od razu przywaliła w magnetowid, ale przypuszczałem, że usterka to nie wina odtwarzacza.

– W mordę... – rzuciła.

– Spróbuj przewinąć do przodu i z powrotem do tyłu.

Obejrzała się przez ramię.

– To coś dawało? – spytała bez przekonania.

– Tak naprawdę nigdy tego nie ustaliłem. Były różne sztuczki, niektóre działały.

Zrobiła tak, jak poleciłem, ale na podglądzie. Poradziłem jej, by najpierw zastopowała, ale i to nie pomogło. Taśma najwyraźniej była uszkodzona.

– Dobra, wrócimy do tego momentu – powiedziałem. – Spróbuj włączyć w innym miejscu.

Przewinęła w przód, ale to także nic nie dało. Obraz nadal przedstawiał miriady białych mrówek tłoczących się na czarnej przestrzeni. Wyglądało to, jakby nagranie się skończyło, a nie zostało uszkodzone.

Może rzeczywiście tak było? Może ktoś przerwał Ewie, gdy nagrywała, i nie zdążyła powiedzieć nic więcej?

Zamknąłem oczy. Nie miałem zamiaru pozwolić kolejnym pytaniom pojawić się w mojej głowie. W zupełności wystarczały mi te, które wiązały się z krótką wzmianką na mój temat.

Była zmuszona się ze mną rozstać.

Wcześniej pomagałem jej w zapomnieniu tego, co stało się w Kappie.

– Znasz jakiegoś specja od VHS? – spytała Jola.

– Nie, ale zaraz poznam.

Podniosłem jej laptopa i nie tracąc czasu zapuściłem się w meandry internetu, poszukując kogoś, kto w okolicy świadczył usługi naprawy starych kaset. Przepuszczałem, że jeśli taki zawód istnieje, to ma przyszłość równie świetlaną jak zecerstwo czy repasacja.

Okazało się jednak, że się myliłem. Mnóstwo zakładów oferowało przegrywanie materiału z VHS na DVD czy inne formaty, a przy tym w buńczucznych reklamach zapewniano, że ten czy inny spec jest w stanie naprawić każde uszkodzenie.

Wybrałem najbliższy zakład, zapamiętałem adres i oznajmiłem Klizie, że możemy wychodzić.

Chwilę później kierowaliśmy się już w stronę Starego Miasta z kasetą w plecaku. Tylko przez moment szliśmy w milczeniu.

– Resztę zasadniczo możemy sobie dopowiedzieć – odezwała się Jola.

– Tak?

– Klasyczna sytuacja. Ksiądz i ministrant. Co ci to mówi?

– Nic.

– Mnie oznajmia wielgachnymi literami: pedofilia.

Spojrzałem na nią spode łba.

– Rzadko bywasz w kościele, co?

– Właściwie nigdy. Po co miałabym tam chodzić?

– Zazwyczaj robi się to, żeby się pomodlić.

Powiodła wzrokiem po kamieniczkach, które ciągnęły się aż do samego rynku, a potem zerknęła na mnie.

– Chyba żartujesz – odparła. – Przeciężny Polak więcej niż w kościele modli się na kanapie przed telewizorem, kiedy ogląda mecz reprezentacji Polski.

– Trafna uwaga.

– Tak samo jak ta o pedofilii – odparła pod nosem Kliza. – Twój kumpel widział, jak Antoni obmacuje chłopaka. To w zupełności mi wystarczy.

– Może nie powinno.

– Powiedz to ofiarom degeneratów noszących koloratki. Wiesz, ile ich jest, Wern?

– Nie.

– Nie ty jeden – odparła i sprawiała wrażenie, jakby zagotowało się w niej jeszcze bardziej. – Jak zapytasz księży zajmujących się pedofilią w Kościele, powiedzą ci to samo. Nie wiedzą.

– Mhm...

– Mam na myśli tych, którzy mają tępić problem, nie jakichś tam przypadkowych duchownych. Oni chyba powinni coś wiedzieć, nie uważasz?

Najwyraźniej trafiłem na drażliwy temat, choć w przypadku Klizy większość chyba taka była.

– Zastanianie się niewiedzą prowadzi do bezkarności – ciągnęła.

– Wiesz, że Kościół wcale nie musi wypłacać zadość-

uczynienia ofiarom? Nawet jeśli zarzuty się potwierdzają, a duchowny zostaje skazany. W Stanach czy Australii już się z tym uporali, my jesteśmy w tym względzie w epoce kamienia łupanego.

– Cóż...

– Hierarchowie umywają ręce. Zrzucają wszystko na konkretnego księdza, a sami się od tego odcinają. Zupełnie jakby żył w jakimś innym świecie, a otoczenie i zasady w nim rządzące nie miały żadnego znaczenia. Absolutnie żadnego.

– Może nie mają – zauważyłem spokojnie.

Szybko tego pożałowałem, bo Jola zapaliła się jeszcze bardziej.

– A kto im na to pozwala? Kto wypina się na doniesienia o nadużyciach? Kto przenosi księży do innych parafii, żeby uniknęły kary? I w końcu kto dba o to, żeby nie istniały żadne mechanizmy wykrywania pedofili? Nie wspominając już o takich, które mogłyby pomagać ofiarom.

– Kliza...

– Wiesz, ilu według Kościoła jest w Polsce katolików? Powiem ci. Ponad trzydzieści milionów. A wiesz, ilu księży zostało przeszkolonych do pomocy ofiarom? Niewiele ponad stu. W dodatku...

– Kliza!

– No?

Wskazałem na szyld po prawej stronie, naprzeciwko budynku

ratusza. Jola dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że jesteśmy już niedaleko studia filmowego.

– Pączka? – zapytałem.

– Co?

– Sprzedają tu wyjątkowo wymyślne donuty giganty, kukułki i kilkadziesiąt rodzajów...

– Ja o pedofilii, a ty o pączkach?

Wzruszyłem ramionami.

– To szlachetny przysmak. Smażono je już w starożytnym Rzymie.

Zatrzymałem się przed witryną Wytwórni Pączków i popatrzyłem na obsypane feerią kolorów wypieki.

– Naprawdę powinnaś spróbować tych z nadzieniem waniliowym.

Zanim się zorientowałem, Kliza ruszyła już w kierunku jednej z odchodzących od rynku uliczek. Poszedłem za nią, zadowolony, że udało mi się uciąć temat, nad którym w tej chwili niespecjalnie chciałem się zastanawiać.

Nie miałem pojęcia, co zrobił ojciec Antoni. Nie znałem ani Jonatana, ani Dawida, o których mówiła Ewa, a jej słowa wydawały mi się niewystarczające, by kogokolwiek o coś oskarżać.

Jola była jednak innego zdania. I utwierdziła mnie w tym przekonaniu zaraz po tym, jak oddaliśmy kasetę i oczekując na werdykt, poszliśmy kupić dwa pączki.

– Wiesz, co o wykorzystywaniu nieletnich przez księży mówią statystyki w Polsce? – zapytała z pełnymi ustami.

Usiedliśmy na ławce przed ratuszem, który całkiem słusznie przywodził na myśl ten we Florencji. Opolski zbudowano na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku właśnie na wzór pałacu Vecchio i okazał się na tyle trwały, że przetrzymał nawet alianckie bombardowania podczas drugiej wojny światowej.

– Nie wiem – odparłem. – Co mówią?

– Nic.

– To rzeczywiście znaczące.

Odwróciła się do mnie i wskazała mi kącik ust, bym otarł lukier.

– Mam na myśli, że statystyk nie ma. Ostatnie pochodzą sprzed kilku lat i wynika z nich tyle, że za to przestępstwo zostało skazanych raptem kilkunastu księży.

Mruknałem potwierdzająco.

– W innych krajach takie rzeczy się ujawnia, u nas zamiata się pod dywan – ciągnęła. – Bo nie tylko dziecku wstyd jest się przyznać, ale też rodzicom. Nie wyobrażają sobie, że mieliby oskarżyć księdza, szczególnie na wsi, gdzie ten jest panem i władcą.

– Naprawdę musimy...

– Nadal jesteśmy na etapie zaprzeczania. Upieramy się jak idioci, że w innych krajach rzeczywiście jest problem, ale u nas nie.

– Kliza...

– Faza wyparcia – dodała i machnęła ręką z irytacją. – I to mimo że mamy przed sobą tak naprawdę więcej faktów, niż potrzebujemy.

Skupiłem się na pączku, uznając, że tak będzie najlepiej.

– Ksiądz Roman – rzuciła, jakby to miało wszystko tłumaczyć. – Więził trzynastolatkę przez kilkanaście miesięcy i gwałcił ją jak...

– Urwała i spuściła głowę. – Dostał osiem lat, odsiedział cztery, a potem został przeniesiony do innej parafii.

Słyszałem o tej sprawie w mediach, choć najgłośniej zrobiło się o niej chyba dopiero po reportażu Justyny Kopińskiej. Ujawniła, że ksiądz nie tylko dalej pełni posługę, ale też bez trudu kontaktuje się z dziećmi.

Nagle straciłem apetyt.

– Ofiar molestowania są tysiące – dodała Jola. – A tymczasem cała polityka przeciwdziałania patologiom sprowadza się do postawy: módlmy się, a będzie dobrze.

Zawinałem pączka i schowałem go do plecaka Klizy. Przez moment zastanawiałem się nad tym, czy jej emocje wynikają z empatii, czy może przeszła w dzieciństwie coś podobnego.

Nie miałem zamiaru pytać. Jeśli tak rzeczywiście było, powie mi o tym sama.

Być może popełniałem błąd. Być może właśnie w ten sposób wiele historii pozostawało przez lata nieopowiedzianych.

Kiedy chwilę później szliśmy w kierunku studia filmowego, moje myśli nadal krążyły wokół dawnych traum. Nie miały jednak nic wspólnego z Klizą, ale z Kasandrą. Na dobrą sprawę nigdy nawet nie zapytałem, jak sobie radzi. Czy wzdryga się, czując dotyk jakiegokolwiek mężczyzny? Nie sypia po nocach? Wciąż obawia się, że coś się stanie? Upatruje w każdym napotkanym mężczyźnie potencjalnego agresora?

Wszystko to byłoby całkowicie zrozumiałe. Przypuszczałem, że zespół stresu pourazowego w takich przypadkach niewiele różni się od tego, który występuje u żołnierzy wracających z terenów ogarniętych konfliktami.

Urwałem rozmyślenia, kiedy weszliśmy do zakładu. Stojący za ladą mężczyzna w kraciastej koszuli powitał nas wzrokiem, który nie mówił niczego dobrego.

– Zła diagnoza? – zapytałem.

– A można postawić inną VHS-om? – odparł pracownik. – Całe nowe pokolenie wie o ich istnieniu tylko z memów.

Doceniłem tę uwagę krzywym uśmiechem.

– Spoilery w necie to dla nich najgorsza zhora, ale nie mają pojęcia, jaką niespodzianką było włożenie nieprzewiniętej kasety do odtwarzacza i odkrycie, że ktoś zatrzymał ją akurat w kluczowym momencie.

– Mhm – potwierdziłem. – A co z naszą taśmą?

– Cóż... Główny problem polega na tym, że mamy na tej planecie pole magnetyczne – odparł filozoficznie i zatoczył ręką krąg. – Ono samo sprawia, że taśma magnetyczna ulega degradacji, a do tego dochodzi szereg innych czynników. Najczęściej pleśń. Nie wyobrażacie sobie, ile tego trafia tutaj w kasetach.

Zerknął na Klizę, która tradycyjnie unikała spojrzenia kogokolwiek, kogo nie znała.

– Taśmy często są utlenione, zerwane i nie nadają się do klejenia, a końcówki wizyjne głowicy tak zasyfione, że...

– Tak było w naszym wypadku? – uciałem.

– Nie. Wasza kasetka jest prawie jak nówka.

– Nówka?

Było to ostatnie słowo, którego bym użył. Etykieta odchodziła, obudowa była zniszczona i zakurzona, a rysy na plastiku wyraźnie widoczne.

– Ani śladu pleśni i minimalny kurz – wyjaśnił.

– Jak to? – odezwała się Jola. – Więc skąd te szумы i lipny obraz?

– Z uszkodzeń mechanicznych.

– To znaczy?

– Taśma jest zdeformowana. I wygląda na to, że celowo.

Spojrzeliśmy z Klizą po sobie.

– Z tym niestety nie mogę nic zrobić – dodał. – Może inni zechcą się w to bawić, ale jak dla mnie, nie ma tutaj nad czym się pochylać.

Zrobiłem krok w kierunku lady i położyłem na niej dłonie.

– Dobrze zapłacimy – zadeklarowałem.

– Możecie płacić mi tyle, ile Bayern Lewandowskiemu, czyli mniej więcej... jedenaście tysięcy złotych na godzinę, ale i tak nic z tym nie zrobię – odparł i westchnął. – Normalnie po prostu nie opłaca nam się w tym babrać, ale w tym przypadku nie chodzi o opłacalność. To nie jest przypadkowe uszkodzenie.

– Ktoś umyślnie zdeformował taśmę?

– Na to wygląda.

– I nie da się nic z tym zrobić?

– Całe nagranie jest nie do odzysku.

Zobaczyłem iskierkę nadziei i zrozumiałem, że rozmówca bierze nas za zwykłych klientów, którzy przychodzą do niego, by odzyskać całość materiału. Nam tymczasem nie była ona niezbędna.

– A części? – zapytałem. – Fragmenty? Choćby urywki?

– Nie będą dobrej jakości.

– Nie szkodzi – zapewniłem. – Wystarczy nam cokolwiek.

Byłem przekonany, że tak w istocie jest. Do zrozumienia sytuacji mogło wystarczyć nam kilka wyrwanych z kontekstu słów. Nie musieliśmy słuchać całej opowieści Ewy, by trafić na właściwy trop.

– Mogę spróbować, ale nie gwarantuję, że efekt będzie powalający.

– Nie szkodzi.

Spojrzałem na Klizę, a ta potwierdziła skinieniem głowy.

– Na kiedy moglibyśmy umówić się na odbiór? – spytałem.

Mężczyzna zaczął przerzucać kartki niewielkiego notatnika, a ja czułem, że serce zabiło mi nieco szybciej. Nawet jeśli dostaniemy jedynie strzępki, poskładamy je w całość. I w końcu dowiemy się, co stało się w Kappie i jak rzutowało to na wszystko inne.

– Za tydzień – powiedział w końcu.

Jola zaklęła cicho, zwracając na siebie uwagę.

– Nie udałoby się szybciej? – spytałem.

– Raczej nie.

– Naprawdę nam na tym zależy.

– Mogę spróbować dzień wcześniej, ale...

– A na jutro? – wtrąciła Kliza.

– Cóż...

– Zapłacimy podwójną stawkę.

Rozmówca przez moment drapał się po skroni.

– Potrójną – powiedziała Kliza.

Dzień później odebraliśmy naprawioną kasetę.

Pędziliśmy z nią na Daszyńskiego, jakby ktoś miał ją nam po drodze odebrać. Pracownik studia twierdził, że nie udało mu się odzyskać wiele, ale powinniśmy bez trudu móc obejrzeć kilkanaście minut nagrania.

Oboje wierzyliśmy, że znajdziemy w nich wszystkie odpowiedzi.

I tak się stało.

Obraz wciąż śnieżył, a szum utrudniał zrozumienie tego, co mówi Ewa. W ciągu parunastu minut zdołała przekazać jednak wszystko, czego potrzebowaliśmy, by zrozumieć sytuację.

Pierwszy raz zjawiała się w Kappie za sprawą Blitza. Ściągnął ją

tam bez mojej wiedzy, nie mam pojęcia dlaczego. Kiedy zaczęła tłumaczyć to na nagraniu, nastąpił przeskok i wyjaśnienie na dobre przepadło.

Pewne było jednak, że bywała w świetlicy dość regularnie. Początkowo wydawało mi się to niemożliwe, bo byłem przekonany, że naprawdę spędzaliśmy ze sobą każdą chwilę. Kiedy jednak Kliza zapytała mnie, ile pełnych dni z czasów szkolnych jestem w stanie sobie przypomnieć, musiałem przyznać, że niewiele.

Widywaliśmy się w szkole, zazwyczaj także po lekcjach. Ale przecież nie zawsze. Czasem szła do domu uczyć się przed sprawdzianem, czasem załatwiała coś z rodzicami, była u lekarza czy na zakupach z matką.

Teraz wiedziałem, że przynajmniej część tych wszystkich rzeczy to były jedynie wymówki. Z jakiegoś powodu jeździła na obrzeża Opola i spędzała czas w Kappie z ludźmi, których nie znałem.

Ludźmi, którzy w dużej mierze wychowywali się w patologicznych rodzinach. Mówiła o tym na nagraniu tylko przez chwilę, ale i bez tego przypuszczaliśmy z Klizą, że ojciec Antoni prowadził tam coś na kształt placówki wychowawczej.

Nie chodziło mu tylko o zabawę i rozrywkę, ale także o to, by wyrwać te dzieciaki z toksycznych środowisk. I udawało

mu się to. Tyle że przynajmniej jednemu z nich sam stworzył jeszcze gorsze.

Ten, którego nazywała Jonatanem, nie różnił się wiele od innych. Wychował się w biednej rodzinie, jego ojciec pił i nie powstrzymywał się od podnoszenia ręki ani na żonę, ani na swojego syna. Bywało, że robił to tuż po powrocie z niedzielnej mszy.

Zamiast popaść w złe towarzystwo i powielić grzechy ojca, Jonatan zwrócił się w przeciwnym kierunku. Wychowanie kazało mu poszukać pomocy w Kościele, a kiedy trafił na ojca Antoniego, zyskał w życiu osobę, której mu brakowało.

Chłopak był w Kappie od początku, przynajmniej tak twierdziła Ewa. Był prawą ręką ojca Antoniego i ten ufał mu właściwie

bezgranicznie. Często spędzali czas we dwóch i dość długo większość sądziła, że ich bliskość to wynik z jednej strony braku ojca, a z drugiej braku syna.

Na tym kończyła się zborna opowieść Ewy, resztę otrzymaliśmy jedynie w strzępkach. Bez trudu mogliśmy jednak z nich poskładać cały obraz.

Pojawiały się fragmenty o homoseksualizmie Jonatana, podejrzeniach reszty, a potem o kimś, kogo Ewa nazywała Dawidem. Nie udało nam się dowiedzieć niczego na jego temat, ale z kontekstu wynikało, że wiązało się z nim jakieś kluczowe wydarzenie.

Było kilka urwanych zdań, które wydawały mi się znaczące. Wszystkie spisałem odręcznie w niewielkim kajecie, który znajdował się w pudle z gratami Bronowicza.

„...łam powiedzieć Damianowi, kied...”

„...Antoni kazał nam wszys...”

„...natan Falk...”

„...nigdy by nie doszło, gdyby...”

„...łam się dorei...”

Obejrzelśmy kasetę dwukrotnie, a potem usiedliśmy na kanapie i przez długi czas wpatrywaliśmy się w moje skąpe notatki. Miałem wrażenie, jakbyśmy starali się odczytać zapis czarnych skrzynek po katastrofie samolotu.

Jola przysunęła do siebie kartkę, przebiegła po niej wzrokiem i nabrała głęboko tchu.

– Puść jeszcze raz – powiedziała.

– Znowu?

– Muszę coś sprawdzić.

– Co?

Nie wyjaśniła, a ja wiedziałem, że dopóki nie obejrzymy całości jeszcze raz, nie powie mi, w czym rzecz. Szybko przekonałem się jednak, że interesował ją tylko jeden fragment. Ten, który odnosił się do ostatniej zanotowanej przeze mnie kwestii.

Obejrzelśmy tę część kilkakrotnie. Za każdym razem Kliza mrużyła oczy coraz bardziej, a potem nagle klasnęła w dłoń. Złapała za długopis i przekreśliła to, co napisałem.

– Źle ją zrozumiałeś – oznajmiła.

– To znaczy?

– Jest jeszcze wyraźniej „m” na końcu.

Spojrzałem na Jolę z powątpiewaniem.

– I? Co niby nam daje „iłam się doreim”?

– Spróbuj dopasować kilka czasowników do końcówki „iłam”.

Skrzywiłem się, bo właśnie to robiłem, od kiedy zacząłem notować te niewiele mówiące urywki.

– Z intonacji pasowałoby mi „zwróciłam” albo „zgłosiłam” – dodała Kliza. – Nie uważasz?

– Równie dobrze może to być cokolwiek innego.

– Ale jeśli nie? Podstaw jedno z nich.

– „Zgłosiłam się doreim”. To równie znaczące jak...

– „M” na końcu – poprawiła mnie. – Niknie prawie w szumie, ale tam jest. Jestem tego pewna.

– Okej, w takim razie zgłosiła lub zwróciła się do reim...

Ledwo to powiedziałem, poczułem, jak ciarki przemykają mi po plecach.

– Absolutnie niemożliwe – oznajmiłem. – Ewa nie знаła Reimanna. Nigdy się z nim nie spotkała, ich ścieżki nigdy się nie skrzyżowały.

– Więc Kasandra przypadkowo wpadła na jej sprawę?

– Tak – potwierdziłem. – To znaczy nie.

– Aha.

Potrząsnąłem nerwowo głową.

– Chodzi mi o to, że szukała takiej sprawy latami. Kiedy tylko na nią trafiła, rozpoczęła przygotowania. Sama zresztą wiesz.

– Wiem tyle, ile ona sama ci powiedziała.

Spojrzałem na poprawioną przez Klizę kwestię. Rzeczywiście wyglądało na to, jakby dotyczyła Reimanna lub Reimannów. A może po prostu umysł podpowiadał nam coś, co oboje znaleźliśmy, ale co niekoniecznie miało jakikolwiek związek z prawdą?

Mimo wszystko słowa Joli rozbrzmiewały mi echem w głowie.

– Sam nie wiem, Kliza.

– Nie szkodzi, daj sobie chwilę. Dojdiesz do takiego samego

wniosku jak ja.

– Okej – odparłem dla świętego spokoju, a potem popatrzyłem na pozostałe kwestie. Szczególnie na tę, która rozpoczynała się od „natan”. Było oczywiste, do kogo się odnosi, ale to jedyna wzmianka, w której pojawiło się także nazwisko. A raczej jego część.

– Jonatan Falkowski? – odezwałem się. – Myślisz, że to możliwe?

– Biorąc pod uwagę, jak rzekomo pomocna była Karolina Falkowska vel Tipsiara i jak potem zrobiła sobie rundkę po kilku ciekawych miejscach w Opolu? Tak.

– Więc to jej brat?

– Albo mąż. Nic o niej nie wiemy, mogła mieć wcześniej inne nazwisko.

– Na męża raczej nie pasuje. Przynajmniej jeśli chodzi o tradycyjne małżeństwo.

Jola skinęła głową.

– A więc może ktoś z rodziny – przyznała. – Choć tak czy inaczej, od Falkowskiej niczego się nie dowiemy.

– Ale?

– Nie mówiłam, że jest jakieś ale.

– Wisi w powietrzu.

Kliza podniosła się i przez chwilę chodziła po salonie. W końcu zatrzymała się pod jednym z okien dachowych i wyjrzała w kierunku placu, na którym centralne miejsce zajmowała opolska Ceres – fontanna przedstawiająca figury tej samej płci w nieco wieloznacznych pozach. To właśnie przez nią na plac Daszyńskiego mówiło się niemal od niepamiętnych czasów „plac Pedała”.

– Możliwe, że Falkowska zrobiła sobie tournée po znajomych, by upewnić się, że nikt nie puści pary – odezwała się w końcu Jola. – Usilnie stara się coś ukryć. Ale tego samego nie możemy powiedzieć o tym, do kogo nas nieopatrznie doprowadziła.

– Masz na myśli Electrę?

– Aha – potwierdziła Kliza. – Ta dziewczyna ewidentnie chciała mówić.

– To fakt. Tyle że jak sama zaznaczyła, nie mogła tego zrobić.

– Więc pozwoliła kasetom mówić za nią.

Znów spojrzeliśmy na leżący na stole notes.

– Dzięki temu możemy spróbować wyciągnąć z niej resztę, Wern.

– Jak?

– To zależy, czy dobrze radzisz sobie w pokera.

– To jakiś mod do *Minecrafta*?

Spojrzała na mnie z ukosa, a potem złożyła kartkę na pół i wskazała mi wyjście. Po prawdzie wolałbym, żebyśmy zawczasu przygotowali jakąś wspólną strategię blefu, ale nie protestowałem.

Chwilę później jechaliśmy już w kierunku Szczepanowic, licząc na to, że zastaniemy w domu Electrę. I że informacje, które uzyskaliśmy z nagrań, sprawią, że dziewczyna pomoże nam wypełnić luki.

Na miejscu uświadomiliśmy sobie, że byliśmy zbyt optymistami. Ktokolwiek sterował całym tym przedsięwzięciem mającym na celu ukrycie prawdy, nie próżnował. I najwyraźniej zadbał o to, byśmy nie posunęli się dalej.

Electry nie zastaliśmy, a jej sąsiad w dość niewybrednych słowach oznajmił nam, byśmy trzymali się z daleka. Swoją determinację potwierdził, trzaskając nam drzwiami przed nosem.

Wróciwszy do samochodu, przez jakiś czas zastanawialiśmy się, co zrobić. Odpaliłem silnik dopiero wtedy, gdy z domu wyszedł sąsiad Electry – tym razem sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar bez pomocy słów wytłumaczyć nam, że nie jesteśmy tu mile widziani.

Odjechałem bez namysłu i skierowałem się w stronę centrum.

– Tutaj raczej nie mamy czego szukać – odezwałem się cicho. – Właściwie ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej.

Kliza popatrzyła na mnie z zawodem, jakby nie spodziewała się z mojej strony takiego pesymizmu.

– Ewidentnie panuje jakaś zmowa milczenia – dodałem. – I ktoś czuwa nad tym, żeby nikt się nie wyłamał.

– Nie ktoś, ale Antoni.

O ile wcześniej optowałbym za domniemaniem niewinności, o tyle teraz wydawało mi się to nieuzasadnione. Nawet bez szczegółów nagranie Ewy pod tym względem zdawało się dostatecznie obciążać duchownego.

– Żadne milczenie nie trwa wiecznie – odparła filozoficznym tonem Kliza. – Nawet mnisi, którzy składają śluby milczenia, gadają przez sen.

– Coś w tym jest.

– Więcej niż coś. Prawda.

– W takim razie co proponujesz? Ewy o nic nie zapytamy, Blitza podobnie. Zostaje nam kilka osób, które chętniej przyznają się do pokątnego słuchania Nickelback niż do bycia w zмовie.

Jola posłała mi badawcze spojrzenie.

– Wyczuwam w tym trochę autodiagnozy, Wern. Płsałeś ostatnio do *How You Remind Me*?

– Nie, ale może powinienem. Przy odrobinie szczęścia mogłoby odbić się to pozytywnie na moim zdrowiu psychicznym.

– Mam lepszy pomysł na to, jak je poprawić.

– Wal śmiało – odparłem, skręcając w Niemodlińską. – Przyjmę każdą sugestię.

– Przyciśnijmy Falkowską.

– Świetny pomysł. A potem weźmy frytki do tego.

Znów odniosłem wrażenie, że karci mnie za pomocą samego wzroku.

– Mamy trochę więcej informacji, możemy chociaż spróbować – powiedziała. – W najgorszym wypadku odprawi nas z kwitkiem.

– Albo zawoła kumpli z osiedla.

Zarazem jedna, jak i druga opcja wydawały się dość prawdopodobne, ale zgodziłem się z Klizą, że właściwie nie mamy innego wyboru. Ostatnim razem Falkowska zareagowała zbyt gorączkowo, doprowadzając nas do osób, które były zamieszane w sprawę. Być może teraz uda nam się osiągnąć coś podobnego.

– Ale najpierw zajedźmy na Daszyńskiego – odezwała się Jola.

- Po co?
- To i tak po drodze, prawda?
- W tym mieście wszystko jest po drodze.

Nie przesadzałem. Przejazd z jednego krańca na drugi nawet w godzinach szczytu zabierał najwyżej pół godziny. Stanie w korku oznaczało kilkuminutową obsuwę przy światłach, a wielokilometrowe, znane z dużych miast zatory drogowe tutaj nie występowały. I za to kochałem to miasto.

Zatrzymaliśmy się w lofcie tylko na chwilę. Kliza zabrała kasetę, którą znaleźliśmy w piwnicy, sprawdziła coś w internecie, a potem dała sygnał do wymarszu.

– Wiesz, gdzie tu jest jakiś punkt nadawczy UPS? – odezwała się.

– Wiem.

– Gdzie? – spytała, ale od razu machnęła ręką. – Oczywiście. Po drodze.

Chwilę później w placówce przy Kasprowicza nadaliśmy paczkę z kasetą. W pierwszej chwili rozstanie się z taśmą wydawało mi się błędem, ale ostatecznie musiałem przyznać, że nie ma powodu, byśmy po raz kolejny oglądali nagranie. Oboje znaleźliśmy je na pamięć, a zdaniem Klizy przy odrobinie szczęścia mogliśmy naszą wiedzę jeszcze rozszerzyć.

Jola zaadresowała kopertę do dawnego znajomego z Reimann Investigations, który zajmował się wszelkimi sprawami sprzętowymi. Nie była pewna, czy uda mu się naprawić taśmę, ale nawet jeśli nie, to według niej bez wątpienia znał kogoś, kto podoła zadaniu.

Po namyśle wydało mi się to zasadne. Mężczyzna z zakładu obok Wytwórni Pączków być może znał się na swoim fachu, ale robił tylko to, co mu się opłacało. Ślęczenie godzinami nad skrawkiem zdeformowanej taśmy z pewnością do takich rzeczy nie należało. A może nawet przerastało jego umiejętności.

Z punktu UPS skierowaliśmy się ku McDonaldowni, w którym spodziewaliśmy się zastać Falkowską. Przypuszczałem, że nie będzie to trudne, o ile godziny pracy w fast foodzie rzeczywiście były zbliżone do tych, o jakich mówiono w mediach.

Weszliśmy do środka i od razu wypatrzyliśmy Karolinę przy jednej z kas. Kiedy nas dostrzegła, drgnęła nerwowo, ale zaraz się zmytygowała. Potem posłała nam poprawny uśmiech.

– Znowu wy? – spytała, gdy stanęliśmy przy ladzie. – Jeśli polujecie na promocyjnego happy meala, muszę...

– Polujemy na prawdę – ucięła Kliza.

Słuszny ruch, uznałem w duchu. Należało od razu pokazać naszą determinację i już na wstępie zasugerować rozmówczyni, że tym razem nie damy się tak po prostu odprawić.

– I tak się składa, że ty możesz ją nam zaserwować – dodałem.

Stanęliśmy ramie w ramie przy ladzie, jakbyśmy byli gotowi siłą wyciągnąć z Falkowskiej to, po co tutaj przyszliśmy.

Ta spojrzała na nas z niedowierzaniem i zaśmiała się krótko.

– Pogieło was? – spytała. – Powiedziałam wam wszystko, co sama wiem.

– Nie licząc tego, że twój brat był stałym bywalcem Kappy – odparowała Jola. – I że wdał się tam w romans nie tylko z Antonim, ale też z kimś innym.

Falkowska rozejrzała się.

– Słuchajcie...

– Chętnie – ucięła Kliza. – Ale tylko jeśli powiesz prawdę.

– Już wcześniej to zrobiłam.

– A, tak. Po prostu pominęłaś kilka tych rzeczy, które mogłyby być dla nas najbardziej istotne.

– Nie wiem, czego chcecie, ale...

– Tylko i wyłącznie prawdy – znów jej przerwała. – Potem damy ci spokój.

Znów kontrolne spojrzenie na boki. Obawiałem się, że Falkowska zaraz da znak któremuś z innych pracowników, że najwyższa pora zadzwonić po ochronę.

– Nie widzicie, że jestem w robocie? – rzuciła z irytacją. – Nie mam teraz czasu na wasze dramy.

– To zajmie nam tylko chwilę – zapewniłem.

– Interesuje nas tylko jedna osoba – dodała Kliza. – Jonatan Falkowski.

– Czyli twój brat.

– O którym zapomniałaś wcześniej wspomnieć.

Czułem, że mamy inicjatywę. Że jesteśmy jak dwójka napastników czołowego europejskiego klubu właśnie rozgrywających swój życiowy mecz w Lidze Mistrzów. Byliśmy nie do zatrzymania.

A przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki pozostali klienci pozostawali spokojni.

– Co wy pieprzycie? – spytała Karolina. – Przesuńcie się, ludzie chcą złożyć zamówienie.

Wychyliła się i złapała kontakt wzrokowy ze stojącą za nami kobietą.

– Co będzie dla pani? – rzuciła.

Klientka chciała odpowiedzieć, ale Kliza powstrzymała ją ruchem ręki.

– Zaraz – powiedziała, a potem zwróciła się z powrotem do Falkowskiej. – Najpierw załatwimy nasze zamówienie.

– W takim razie najwyższa pora, żebyście je złożyli i się stąd...

– To ja poproszę informację o tym, co stało się w Kappie – odezwał się. – Może być z sosem słodko-kwaśnym.

– A dla mnie będzie kilka faktów o Jonatanie – dodała Jola.

Czuliśmy się wyjątkowo pewni siebie, skoro zdobyliśmy się na tak liche żarty. Falkowskiej jednak nie było do śmiechu. Obróciła się do współpracowników, szukając u nich pomocy.

Podszedł do nas jeden z jej kolegów, a na zapleczu rozległ się szum głosów. Przypuszczałem, że kierownik zmiany został już powiadomiony.

– W czym problem? – spytał mężczyzna, stając obok Falkowskiej.

– Nie chcą złożyć zamówienia ani zrobić miejsca.

– Hej, dosyć tego! – krzyknął ktoś z tyłu. – Ludzie tu czekają!

– Moment... – zaczęła Jola.

– Proszę państwa o umożliwienie innym złożenia zamówień – odezwał się mężczyzna.

– Wyrzucić ich! – zaproponował jeden z klientów.

Dotarło do mnie, że mamy przeciwko sobie nie tylko niechęć Karoliny, ale także głód większości osób czekających w kolejce.

Mimo to nie miałem zamiaru odpuszczać. Położyłem ręce na blacie i wbiłem wzrok prosto w oczy Falkowskiej.

– Mów, gdzie jest twój brat?

Mężczyzna odsunął ją i znalazł się naprzeciwko mnie.

– Proszę odejść albo będę zmuszony...

– Interesuje nas tylko, gdzie możemy znaleźć brata tej pani – uciałem, niemal oskarżycielskim gestem wskazując Karolinę. – Wystarczy numer telefonu. I już nas tu nie ma, a wy nie macie problemu.

– Hej! – odezwał się znów krzykacz z tyłu. – Wyrzucić ich stąd!

Pracownik McDonalda wyraźnie szukał na twarzy Falkowskiej gotowości, by dała nam to, czego chcemy, i czym prędzej zażegnała kłopotliwą sytuację. Karolina pokręciła głową, jakby nie miała zamiaru z nami współpracować, ale zaraz potem nachyliła się do mnie.

– Pojebało was – oznajmiła. – Nie mam żadnego brata. A teraz znikajcie stąd, zanim dojdzie do mordobicia.

– Wiemy o Jonatanie.

– Gówno wicie – odparowała, a ja odniosłem wrażenie, że tym razem nie minęła się z prawdą. – Jonatan to nie mój brat, nie mam żadnego rodzeństwa. Sprawdźcie to sobie.

Kliza drgnęła nerwowo, a ja poczułem na sobie coraz bardziej ponaglące spojrzenie wszystkich wokół.

– A teraz wypad – dodała Falkowska.

W końcu odpuściliśmy, przynajmniej po części. Wyszliśmy z restauracji, żegnani pojedynczymi oklaskami krzykacza, i uzgodniliśmy, że poczekamy, aż Karolina skończy zmianę.

Jola usiadła przy jednym ze stolików na zewnątrz i skorzystała z okazji, by zweryfikować słowa Falkowskiej. Wyjęła laptopa z plecaka i po kilku minutach miała już wszystko, czego potrzebowała. Nie chciałem nawet pytać, do jakiej bazy danych uzyskała dostęp.

– Wern... – zaczęła niepewnie. – Ta festyniara najwyraźniej mówi prawdę.

– Jak to?

Stałem za nią i spojrzałem na monitor.

– Naprawdę nie ma brata – wyjaśniła. – W dodatku nie namierzyłam nikogo, kto nazywałby się Jonatan Falkowski.

– Niemożliwe.

– A jednak tak jest – odparła na tyle stanowczo, że nie było sensu, bym dłużej się upierał. – Wygląda na to, że coś opacznie zrozumieliśmy.

– Co? Na nagraniu słyhać wyraźnie, że chodzi o Jonatana Falk...

Urwałem w pół zdania z wrażeniem, że serce mi się zatrzymało.

– Wern?

– O kurwa... – zdołałem wydusić.

Kliza rozejrzała się, jakby w okolicy nagle zjawił się ktoś, kto mógłby nam zagrozić. Potem odwróciła się od laptopa.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Nie chodzi o Falkowskiego, tylko o Falkowa.

– O czym ty...

– J. Falkow – powiedziałem, a potem zamknąłem oczy. – Jonatan Falkow.

10

Nie miałem wątpliwości, że trafiliśmy na właściwy trop. Funkcjonariusz, dzięki któremu uciekłem przed policją pod hotelem w Chrzastowicach, i człowiek, który był wtyką Kajmana w opolskiej komendzie, okazał się Jonatanem z nagrania Ewy.

Czułem, że ma to kluczowe znaczenie dla zrozumienia całej sprawy, ale wciąż nie potrafiłem go rozszyfrować. Kliza także nie. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, wbijając wzrok w stare, postpeerelowskie bloki rozciągające się wzdłuż horyzontu jak okiem sięgnąć.

– Okej – odezwała się w końcu Jola i uderzyła dłonią o stół. – Więc mamy Jonatana. Gościa, który prawdopodobnie był molestowany w dzieciństwie przez Antoniego.

– Mhm.

– I który znał twoją Ewę z Kappy.

– Na to wygląda.

– Do tego spotkał tam Blitzą.

– I Dawida, z którym się związał.

Początkowo zakładaliśmy, że to imię jest jedynie odniesieniem do biblijnej postaci, ale równie dobrze mogło być prawdziwe, tak jak w przypadku Jonatana.

– Lata później Ewa znika, Blitz ginie, a Falkow jest w to wszystko zamieszany – ciągnęła Kliza. – To nie jest przypadek.

– Nie, nie jest – skwitowałem cicho, jakbym przyznawał się do popełnienia jakiejś zbrodni.

Jola zdawała się skupiona na własnych myślach i nieświadoma tego, że jestem tuż obok.

– Gdzieś w tym wszystkim jest jeszcze Kasandra – ciągnęła. – Włącza się w to z oczywistych względów, żeby wykorzystać cię i uciec od Roberta. Potem jej dziecko zostaje porwane, a ty odnajdujesz w swoim nowym mieszkaniu kasetę z nagraniem Ewy...

Kiedy zawiesiła głos, w końcu przypomniała sobie o mojej obecności.

– Co to wszystko znaczy? – zapytała, zamykając laptopa.

– Tylko jedna osoba może nam odpowiedzieć na to pytanie.

– Falkow.

– Zgadza się.

– Wiesz, gdzie go szukać?

– W tym samym miejscu, z którego narobił nam wszystkim problemów – odparłem, a potem głęboko wciągnąłem powietrze. Zrozumiałem, że w końcu mamy szansę na to, by ktoś odkrył przed nami wszystkie karty.

Tylko jak to osiągnąć? Falkow nie miał powodu, by cokolwiek nam zdradzać. Właściwie miał pod dostatkiem tych, które powinny skłaniać go do milczenia.

– Wiesz, co to wszystko może znaczyć? – odezwała się Kliza.

– Szczerze mówiąc, nie. Nie mam pojęcia.

Położyła dłoń na mojej ręce, a ja wzdygnąłem się, jakby poraził mnie prąd. Jola też się zmieszała, być może bardziej ode mnie, a ja zrozumiałem, że ten gest współczucia był reakcją bezwarunkową. Poczula, że za moment będę potrzebował

wsparcia, i automatycznie je zaproponowała.

– Być może źle to wszystko interpretowaliśmy od samego początku.

– To znaczy? – zapytałem. – O jakim początku mówisz?

– O ataku na Łoży Szyderców.

Pokręciłem głową, z jakiegoś powodu niegotów nawet dopuścić takiej myśli.

– Zastanów się – dodała Kliza. – Co tak naprawdę wiesz o tamtej nocy?

– Wszystko, co powinienem.

– Od Kasandry.

– Ona tylko powieliła to, co Ewa nagrała na kasetach.

– Właśnie. Co Ewa nagrała, a nie powiedziała ci bezpośrednio – zauważyła. – A nie masz pojęcia, w jakich okolicznościach kręciła te taśmy ani co i komu chciała przekazać.

Zaśmiałem się i rozłożyłem ręce.

– Wiesz, jak to brzmi? – spytałem, ale nie miałem zamiaru czekać na odpowiedź. – Jak teoria spiskowa, której załóżek ktoś stworzył jedenaście lat temu, a ja od tamtej pory ślepo w nią wierzyłem.

Kliza nie odpowiadała.

– Co ty konkretnie sugerujesz? – spytałem.

– Konkretnie? Nic. Mówię tylko, że powinniśmy się zastanowić...

– Nad czym?

Znów odniosłem wrażenie, jakby miała zamiar mnie pocieszyć. Tym razem jednak ręka nawet jej nie drgnęła.

– Falkow był w to wszystko zamieszany na długo przed wydarzeniami pod Highlanderem – oznajmiła. – Może chciał w jakiś sposób zemścić się za to, co go spotkało w Kappie.

– To absurdalne.

– Przekonajmy się – odparła stanowczo.

– Jak?

– Jedźmy na komendę, Wern. Wyłóżmy mu wszystko, co wiemy. Dajmy mu do zrozumienia, że mamy dowody, że był molestowany. I że zamierzamy je ujawnić.

Dotknąłem obydwu skroni i zacząłem je masować. Głowa mnie nie bolała, ale gest z jakiegoś powodu wydawał się na miejscu.

- W najgorszym wypadku nas pogoni – kontynuowała.
- Albo postara się zniszczyć dowody.
- Tym akurat nie musimy się martwić.

Miała rację, kasetą najpewniej była już w drodze do jej znajomego na północy kraju. Nie było sposobu, by Jonatan Falkow ją namierzył. O ile w ogóle zależałoby mu na zniszczeniu dowodów. Tak naprawdę wciąż nie mieliśmy pojęcia, co nim kieruje.

- Masz lepszą propozycję? – spytała Kliza.
- Nie.
- W takim razie...
- W porządku – uciąłem. – Spróbujmy.

Jola od razu sięgnęła po telefon.

- Co robisz? – spytałem.
- Dzwonię na komendę.
- Świetny pomysł. Ostrzeż go, że zamierzamy go przesłuchać. Ignorując moje obiekcje, wybrała numer.

– Zapytam tylko, czy jest dziś na służbie – wyjaśniła. – Czy może nagle zapadł się pod ziemię jak jego przełożony.

Kliza podała dyżurnej fałszywe imię i nazwisko, a potem oznajmiła, że ma coś do przekazania policji. Zaznaczyła, że zrobi to wyłącznie, jeśli będzie miała okazję porozmawiać z Falkowem.

- Może mnie pani z nim połączyć?

Rozmówczyni zaczęła tłumaczyć, że to nie działa w ten sposób, ale słowem nie zająknęła się, że Jonatana nie ma dziś na służbie. Tyle nam wystarczyło.

Pojechaliśmy w kierunku komendy, a im bliżej centrum się znajdowaliśmy, tym bardziej ruch się wzmacniał. Po dwudziestu minutach zostawiliśmy samochód na podwórku przy Daszyńskiego, a potem na piechotę skierowaliśmy się ku Korfantego.

Na niebie wisały ciemne chmury zapowiadające deszcz, ale od celu dzielił nas raptem kilkuminutowy spacer. Oboje byliśmy przekonani, że za góra kwadrans usiądziemy w gabinecie

Falkowa i ujawnimy mu wszystko, czego się dowiedzieliśmy, licząc na to, że to okaże się przełomowe.

Pomyliliśmy się. Ledwo opuściliśmy bramę, jak spod ziemi wyrósł przed nami ostatni człowiek, którego spodziewaliśmy się spotkać.

Zagroził nam drogę i patrzył na nas z zupełnie niezrozumiałą wściekłością. Nie miał na sobie munduru, ale ani przez moment nie wątpiłem, że jest uzbrojony.

Podkomisarz Prokocki stał w lekkim rozkroku i ewidentnie czekał, aż się odezwiemy. Żadne z nas nie wiedziało jednak, co powiedzieć ani jak traktować pojawienie się policjanta.

Śledził nas? Trzymał cały czas rękę na pulsie, przypatrując się naszym posunięciom? Jeśli widział nas, kiedy przejeżdżał przed Kappą, to z pewnością tak. Ale nic wówczas na to nie wskazywało.

Tak czy inaczej, był zamieszany w to, co się tam wydarzyło. Nie wiedziałem jak, ale miałem pewność, że tak było.

– Co wy wyprawiacie? – odezwał się w końcu.

Kliza była równie zdezorientowana jak ja, więc uznałem, że nie muszę przedstawiać jej człowieka, którego do tej pory na żywo nie spotkała.

– Co jest z wami nie tak? – dodał.

Widziałem, że emocje wzbierają w nim tak szybko, że za moment może sobie z nimi nie poradzić. Czułem, że muszę rozładować napięcie, ale jednocześnie przejąć inicjatywę. Właściwie to ja przecież powinienem zgłaszać pretensje, wysuwać zarzuty i obarczać go winą za to, co się działo.

Odwrócił się w stronę podwórka po drugiej stronie ulicy, a potem wskazał je ręką.

– Czas wam przemówić do rozsądku – rzucił.

Miałem wrażenie, jakbym cofnął się do szkolnych czasów i ktoś właśnie wyzwał mnie na solo.

– Nam? – odparłem. – Chyba coś ci się kompletnie...

– Nie tutaj – uciął.

Znów wskazał wejście na podwórko. Szybko uznałem, że nawet jeśli czeka tam na nas cały zastęp jego kumpli, warto

zaryzykować. Po raz pierwszy to Prokocki chciał czegoś od nas, a nie odwrotnie.

Weszliśmy przez otwartą bramę, minęliśmy blokujący wjazd szlaban, a potem skręciliśmy w prawo. Dotarliśmy na sam koniec niewielkiego, zapuszczonego placu i zatrzymaliśmy się za ostatnimi zaparkowanymi tu samochodami.

Prokocki oparł się o stary, wyniszczony mur odgradzający nas od kolejnego podwórka w ciągu kamienic. Wyjął paczkę papierosów i nie częstując nas, zapalił.

– Po jaką cholere pytałyście o Falkowa? – odezwał się.

– A skąd myśl, że to zrobiliśmy? – odparła Kliza.

– Litości....

– Jeśli to ma być wyjaśnienie, to lepiej od razu skończmy rozmowę.

Prokocki zaciągnął się płytko.

– Nic na komendzie nie dzieje się bez mojej wiedzy – oznajmił.

– Jasne – odparła Jola z przekąsem. – I dyżurna dzwoni do ciebie, kiedy tylko ktoś zapyta o jednego z twoich podwładnych. Śledzisz nas?

– Raczej kontroluję, co robicie.

– Na jakiej podstawie?

– Troski o wasze dobro.

Kliza spojrzała na niego z politowaniem, a on wypuścił dym w jej kierunku.

– Naprawdę chcecie tracić na to czas? – odezwał się. – Czy może przejdziemy do rzeczy?

Żadne z nas nie miało pojęcia, czym w istocie miałyby być sedno sprawy. Jeszcze nie. Wydawało się oczywiste, że za moment zrozumiemy nie tylko to, dlaczego Prokocki pilnował Kappy, ale także znacznie więcej o jego roli w całym tym zamieszaniu.

– Przejdźmy do rzeczy – zgodziła się Kliza. – Dlaczego tak cię dziwi, że chcieliśmy skontaktować się z Falkowem?

Zaciągnął się, patrząc na nas jak na dwójkę idiotów.

– Pytasz poważnie?

Jola milczała, ja również nie miałem zamiaru się odzywać.

– Moment... – jęknął Prokocki. – Nie oglądaliście kasety?

– Jakiej kasety? – odparła Kliza.

Policjant znów wciągnął dym do płuc, czekając na naszą reakcję. My zaś robiliśmy wszystko, by nie dać poznać po sobie zaskoczenia. Pytanie zadał takim tonem, jakby naprawdę zależało mu, byśmy zapoznali się z nagraniem.

I jakby był po naszej stronie.

– Zaraz... – odezwałem się. – To ty zostawiłeś tę kasetę w moim mieszkaniu?

Nie odpowiadał, a w jego oczach zobaczyłem podejrzliwość. Zastanawiał się, czy nie próbuję go w jakiś sposób ograć, podczas gdy ja starałem się zrozumieć, czy to możliwe, że to właśnie Prokocki zostawił mi tę taśmę.

– No? – ponagliłem go.

Wypuścił dym nosem, westchnął, a potem znów wyjął paczkę z kieszeni. Tym razem zaproponował nam po papierosie, jakby liczył na to, że to w istocie będzie fajka pokoju. Kliza nie skorzystała, ale zabrała mu paczkę i schowała ją do kieszeni. Policjant posłał jej pełne niedowierzania spojrzenie, a ja poczułem pierwsze krople deszczu na skórze.

– Nie wiem, kto podrzucił ci tamtą kasetę – odezwał się w końcu.

– Ale wiesz, co się na niej znajduje? – zapytałem.

– Oczywiście. I to nie tylko na tej, ale także na drugiej, którą znaleźliście.

Znów przyjrzał się najpierw mnie, a potem Klizie.

– Chociaż wy najwyraźniej jej nie obejrzeście.

– Była uszkodzona.

– Wiem – przyznał. – Ale dało się ją obejrzeć.

– Tylko urywki – odparłem, a potem streściłem mu to, co powiedział nam spec od VHS.

Prokocki słuchał i nie przerywał. W pewnym momencie dostrzegłem, że jest rozczarowany rozwojem wypadków, jakby naprawdę liczył na to, że poznamy całe nagranie.

– Skoro wiesz, co jest na drugiej kasecie – podjęła Jola – to powinieneś orientować się też, co stało się w Kappie. I jakim

cudem ta taśma się tam znalazła, a potem trafiła do kościelnego.

Skinął głową, ale się nie odezwał. Sprawiał wrażenie gotowego, by zdradzić nam więcej, ale jednocześnie niepewnego, od czego zacząć i jak ubrać to wszystko w słowa.

– Ile wiecie? – spytał.

– To zależy, co masz na myśli – odparłem.

– O kasetach.

– Wiemy, że nagrała je Ewa, prawdopodobnie w Obicach pod Kielcami.

Prokocki uniósł brwi.

– Kto ci o tym powiedział?

A zatem trafiłem w sedno. Świetnie, było coś, co udało się potwierdzić.

– Kasandra – odparłem. – Trafili tam z Glazurem na twój trop, dotarli do konkretnej chałupy i znaleźli w niej kasety, które pozwoliły jej przygotować się do roli.

Nie musiałem mu tłumaczyć nic więcej, doskonale pamiętał szczegóły sprawy sprzed roku.

– Jak znaleźli tamto miejsce? – spytał.

– Najwyraźniej niedostatecznie zadbałeś o to, by twoja kryjówka przed Kajmanem pozostała...

– To nie była żadna kryjówka, do kurwy nędzy – przerwał mi, cisnął niedopałek na ziemię i zrobił krok w moim kierunku. – Już rok temu starałem się wbić ci do głowy, że żaden Kajman nie istnieje. Był wymysłem wyobraźni, który miał sprawić...

– Kasandra go nie wymyśliła.

Zacisnął usta, nie odrywając wzroku od moich oczu.

– Masz rację – przyznał. – Nie ona.

– Co ty niby sugerujesz?

– Oglądałeś nagranie Ewy, resztę możesz sobie dopowiedzieć.

– Chcesz mi wcisnąć, że go sobie uroiła?

Znów się cofnął, oparł się o mur i zapalił kolejnego papierosa. Miałem wrażenie, że zatrzęsła mu się przy tym ręka.

– Staram się wytłumaczyć ci to od roku, Werner – odparł.

Pamiętałem doskonale, jak wmawiał mi, że Kajman nie istnieje, że to tylko element manipulacji Kasandry i nikt tak naprawdę nie

dybał ani na mnie, ani niegdyś na Ewę. I że to jej ciało zostało znalezione na Bolko.

Przyczynę śmierci zakwalifikowano później jako samobójstwo, ale nie byłem gotów dać wiary czemukolwiek, co mówił ten człowiek. A mimo to z jakiegoś powodu teraz odnosiłem wrażenie, że nie kłamię.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem z irytacją. – Możesz mi to wyjaśnić?

– Ewa rzeczywiście była w Obicach. I nagrała tam kasety, które jakiś czas później przewiozłem do Kappy. Mój błąd polegał na tym, że ich nie sprawdziłem, bo najwyraźniej ktoś od Kasandry przywłaszczył sobie jedną z nich, a może przegrał. Nie wiem, trudno powiedzieć.

– Ale... – Musiałem na moment urwać, by zebrać myśli, i poczułem, że siąpi nieco mocniej. – Co ty w ogóle robiłeś w Kappie?

– Czasem pomagaliśmy tam trudnym dzieciakom.

– My?

– Ochotnicy z komendy.

Obróciłem się do Klizy i spostrzegłem, że ona w tym samym momencie dopowiedziała sobie resztę.

– Ty i Falkow? – zapytałem.

– Zgadza się.

– Ale przecież on...

– Bywał tam od długiego czasu – dokończył za mnie Prokocki. – Jeszcze zanim zaciągnął się do policji. Właściwie to za jego sprawą się zgłosiłem, przekonał mnie.

Boże, wszystko zaczynało układać się jak pasujące do siebie części rozbitej mozaiki. Dotychczas nie miałem bladego pojęcia, co mogłaby przedstawiać, ale teraz powoli wyłaniał się z tego mizmaszu jakiś obraz.

– Nie ma żadnego Kajmana, rozumiesz? – dodał, a potem głęboko się zaciągnął. – Nigdy nie było.

– W takim razie...

– Ewa zniknęła z zupełnie innego powodu.

Ból w jego głosie był wyraźnie słyszalny. I potwierdzał to, co

było dla mnie jasne od pewnego czasu – podkomisarz brał w zaginięciu mojej narzeczonej czynny udział. Nie wiedziałem tylko, po której stronie.

– Jedenaście lat temu nieprzypadkowo przydzielili cię do tej sprawy, prawda? – spytałem.

Potwierdził ruchem głowy, unikając mojego wzroku.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? Przecież w całym tym zamieszaniu akurat to było logiczne. Nigdy nieznalezieni sprawcy, niejasne okoliczności i policjant, który po latach nie był gotów nawet dopuścić, że trafiliśmy z Blitzem na trop Ewy.

– Zrobiłeś jej coś?

– Nie.

Tym razem to ja się do niego zbliżyłem, ale Kliza nagle złapała mnie za rękę. Dotyk znów podziałał na mnie jak lekkie porażenie prądem. Otrząsnąłem się i uświadomiłem sobie, że tylko zachowanie spokoju pozwoli mi poznać prawdę.

Oprócz niej chciałem jednak wyciągnąć z niego coś jeszcze.

– Gdzie jest Kasandra? – rzuciłem.

Prokocki zdawał się zaskoczony.

– Naprawdę, Werner... – odparł z powątpiewaniem. – Właśnie o to chcesz mnie teraz zapytać?

Zignorowałem niewypowiedziany zarzut i pretensję w jego głosie. I znów musiałem się zmiygotować, by nie przesadzić. Miałem zamiar zadać kolejne pytanie, ale uprzedziła mnie Kliza.

– Wystarczy tego błędzenia po omacku – rzuciła. – Nie sądzisz, że pora nam wszystko wyjaśnić?

Podkomisarz nabrał tchu.

– To może chwilę zająć – oznajmił. – W dodatku przełknięcie gorzkiej prawdy może wymagać dobrej popitki.

Żadnemu z nas kącik ust nawet nie drgnął. Prokocki znów kontrolnie się rozejrzał, a potem zaproponował, byśmy poszli do pobliskiego monopolowego. Przystałem bez wahania – zgodziłbym się na wszystko, bo wiedziałem, że podkomisarz podjął już decyzję. Zamierzał wyjawić nam całą prawdę. Od samego początku. Od momentu, kiedy w Kappie doszło do tego, co położyło się cieniem na przyszłości tak wielu osób.

Przypuszczałem, że wrócimy na podwórko za punktem ksero, ale Prokocki twierdził, że po pierwsze to nie jest dobre miejsce na tego typu rozmowę, a po drugie jest coś, co musi nam pokazać.

Nie oponowaliśmy. Wsiedliśmy do felicii, a potem skierowaliśmy się w stronę Wójtowej Wsi. Niedaleko kapliczki podkomisarz kazał mi skrócić w lewo, a chwilę później wjechaliśmy na most nad Kanałem Ulgi. Prowadził na wyspę Bolko, na której znaleziono rzekomo ciało Ewy, ale to nie ona była celem podróży.

Lekka mżawka, która przed momentem była jedynie niewygodą, teraz przerodziła się w uporczywą ulewę, jakby spadł na nas Boży gniew, a Wszechmogący uznał, że najwyższa pora zmyć wszystkie grzechy świata.

Zaparkowaliśmy kawałek za mostem Pajęczym, a potem narzuciliśmy kurtki przeciwdeszczowe i wróciliśmy do niego na piechotę. Mimo że mieszkałem w Opolu całe życie, dotychczas nie miałem pojęcia, jaką nazwę nosi przeprawa nad kanałem Odry. Teraz z jakiegoś powodu wydawała mi się znacząca. I napełniała mnie niepokojem.

Zeszliśmy pod most i skierowaliśmy się na niewielki nasyp tuż pod przęsłami. Za młodu zdarzało mi się wypić tu więcej piw, niż podpowiadał zdrowy rozsądek, ale nie tylko mnie. Miejscówka była swego czasu dość popularna, przynajmniej dopóty, dopóki nie zaanektowali jej bezdomni.

Teraz zalegały tutaj śmieci, które przywodziły na myśl raczej ulubione miejsce narkomanów niż nieletnich i drobnych pijacków. Potężne elementy konstrukcyjne mostu stwarzały niemal klaustrofobiczne wrażenie, a unoszący się w powietrzu smród moczu i wszechogarniający brud sprawiały, że chciało się jak najszybciej opuścić to miejsce.

Nieprzyjemne odczucia potęgował dźwięk przewalającej się przez tamę, spiętrzonej wody i widok ciemnej piany. Przez

nieustanny szum mówiliśmy nieco głośniej, ale nie przypuszczałem, byśmy musieli obawiać się, że ktoś przypadkiem nas usłyszy.

W okolicy nikogo nie było.

A przynajmniej tak sądziłem do momentu, kiedy zza jednego przęsta wyłonił się mężczyzna, który ewidentnie na nas czekał. Kiedy ostatnim razem go widzieliśmy, nosił koloratkę. Teraz ją ściągnął.

Tuż za nim wyszła Karolina Falkowska. Ona także nie przypominała tej butnej, bezpośredniej kobiety, z której niedawno staraliśmy się coś wyciągnąć.

– Co to ma znaczyć? – odezwała się Kliza, patrząc na Prokockiego.

W jej głosie zadrgała nuta obawy, a ja bynajmniej się nie dziwiłem. Sam odniosłem wrażenie, jakbyśmy wpadli w wyjątkowo prostą pułapkę.

– Zabrałeś nas na zjazd Kappy po latach i zapomniałeś o tym wspomnieć? – dodała.

– Spokojnie.

Jola rozejrzała się nerwowo. Nie mogliśmy liczyć na jakąkolwiek pomoc, a przewaga liczebna trzy do dwóch właściwie przekreślała nasze szanse na obronę. Szczególnie że jeden z przeciwników miał broń.

– Zaraz wszystkiego się dowiecie – zapewnił Prokocki, wyciągając butelkę, którą kupił w monopolowym.

Chciałem mu ufać, ale nie potrafiłem zmusić się do choćby szcątkowego optymizmu. Wszystko, co przed momentem wydawało mi się pewnikiem, teraz stańęło pod znakiem zapytania.

– Dlaczego nas tu zabrałeś? – spytała Kliza.

Odkręcił wódkę i pociągnął łyk.

– Do niczego was nie zmuszałem. Sami tu przyjechaliście, prawda?

– Tylko dlatego, że dałeś nam do zrozumienia, że to tutaj wszystkiego się dowiemy.

– I tak będzie – oświadczył matowym głosem.

Skupiając na księdzu i Falkowskiej, nie zauważyłem, że z miejsca, w którym na nas czekali, wyszła jeszcze jedna osoba. Ją także rozpoznałem bez trudu, choć teraz Electra miała na sobie znacznie bardziej wyjściowy strój niż ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy.

Jako jedyna posłała nam niewyraźny uśmiech. Reszta sprawiała wrażenie, jakby stawiała się na stypie.

Tylko po czym pogrzebie?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć sobie na to pytanie, cała trójka do nas podeszła. Przywitali się z Prokockim, nam posłali jedynie krótkie spojrzenia. Jedynym, który się odezwał, był Antoni.

– Niech będzie pochwalony – powiedział.

Wraz z Klizą skinęliśmy mu głowami, a on spojrzał na podkomisarza.

– Obejrzel kasetę? – spytał.

– Tylko częściowo. Okazała się uszkodzona.

Duchowny cmoknął z dezaprobatą.

– I właśnie dlatego próbowali skontaktować się z Jonatanem? – zapytał.

– Tak.

– Więc nie wiedzą, co się wydarzyło...

– Nie – potwierdził Prokocki, a potem wyjął paczkę fajek. – Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli ojciec im wszystko wyjaśni.

Antoni przysiadł na nasypie, a potem ruchem ręki zasugerował, byśmy zajęli miejsce obok niego.

– Dzięki – odparła Jola. – Nie będziemy się rozsiadać, bo jak tylko dostaniemy wyjaśnienia, zabieramy się stąd.

– To się okaże.

Kliza uniosła brwi z niedowierzaniem i się uśmiechnęła.

– Grozi ksiądz nam? Poważnie?

– Z moich ust nikt nigdy żadnych gróźb nie usłyszy.

Jola nie wyglądała na przekonaną, może dlatego, że potrójna, kategoryczna negacja „nikt nigdy żadnych” rzadko spełniała swoją rolę. Kliza przyjęła konfrontacyjną pozę, podpierając się pod boki, jakby chciała wyzwać rozmówcę na pojedynek.

– Dajmy spokój tym chrześcijańskim obietnicom – powiedziała.

– I niech ksiądz robi to, po co tutaj przyszedł.

– Czyli? – spytał Antoni. – Czym to twoim zdaniem jest?

– Nie mam pojęcia. O wyjawienie prawdy bynajmniej księdza nie podejrzewam.

– Dlaczego?

Kliza zbliżyła się, a Prokocki lekko drgnął. Ten nieznaczny ruch uświadomił mi, że podkomisarz jest w ciągłej gotowości, by interweniować. Być może słusznie, bo od tego, co miał do powiedzenia Antoni, zależało, jak ta sytuacja się potoczy.

– Naprawdę musi ksiądz pytać? – spytała Jola i prychnęła.

– Tak – odparł spokojnie duchowny, a jego opanowanie wyraźnie działało Klizie na nerwy. – Skoro nie obejrzeliście całości materiału, nie wiem, czy w ogóle rozumiecie, co się wydarzyło.

– Rozumiemy, że molestował ksiądz Jonatana.

Antoni otworzył usta i lekko zbladł. Nie mogłem przesądzić, czy to rezultat unoszących się oparów uryny, czy konfrontacji z prawdą.

– Skąd ta myśl? – zapytał.

– Na nagraniu Ewa mówi o waszej relacji – włączyłem się.

– Bliskiej relacji – dodała Jola. – I tym, jak wyglądało to z punktu widzenia reszty.

Falkowska zaśmiała się protekcjonalnie i pokręciła głową. Chciała coś powiedzieć, ale Antoni powstrzymał ją ruchem ręki. Nie protestowała, co pokazywało, jak dużym szacunkiem w Kappie cieszył się ten duchowny.

– Tak... – odezwał się.

– Więc potwierdza ksiądz? – rzuciła Jola. – Przyznaje się do tego?

– Potwierdzam, że moi podopieczni początkowo właśnie tak to widzieli.

Spojrzałem na Electrę i Karolinę. Nie wyglądały na zadowolone, a właściwie odniosłem wrażenie, jakby miały do nas pretensje o to, że w ogóle mogliśmy tak pomyśleć.

– Z Jonatanem łączyła mnie szczególna więź – dodał. – Ale głównie dlatego, że byłem pierwszą osobą, której się zwierzył.

– Co do swojej orientacji? – zapytałem.

Duchowny skinął lekko głową.

– I potem ksiądz to wykorzystał, tak? – dodała Kliza. – Pocieszył młodego, zagubionego chłopaka, który nigdzie nie znajdował zrozumienia? Może powiedział mu, że on też czuje do innych mężczyzn to samo i...

– Nie. To zupełnie nie tak.

– Jasne.

– Proszę mnie posłuchać...

– Nie muszę, żeby wiedzieć, co tam się stało – przerwała mu. – To zawsze działa mniej więcej w taki sam sposób. Najpierw robicie z siebie aniołów stróżów, wyrzycacie nas z toksycznego środowiska, zapewniacie nam opiekę i dajecie poczucie bezpieczeństwa, a potem...

Urwała i zakłęła cicho. Jeśli dotychczas miałem jakiegokolwiek wątpliwości, że cały jej ogląd sprawy miał związek z jakimiś przeżyciami z przeszłości, to właśnie je rozwiązała.

Przez moment trwała pełna napięcia cisza. Zawiesiłem wzrok na brzegu rzeki, ale ściana deszczu niemal całkowicie przesłaniała widok.

– Jeśli chciałybyś... – zaczął Antoni.

– Co? Porozmawiać kiedyś o tym? – dokończyła za niego. – To co? Mam zwrócić się do ciebie, bo masz doświadczenie w manipulowaniu młodymi, niczego nieświadomymi ludźmi?

Ksiądz patrzył na nią ze współczuciem i gotowością do zaoferowania pomocy, a przynajmniej tak mi się wydawało. Równie dobrze mogła być to jednak ćwiczona latami reakcja.

– Jonatan nie był niczego nieświadomy – odparł po chwili duchowny. – Wiedział o swojej orientacji od dawna, uporał się z nią.

– To nie problem, z którym ktokolwiek musi się uporać – oznajmiła Jola.

– Wyraziłem się nieprecyzyjnie...

– To niech ksiądz się bardziej postara.

Pokiwał głową, niezrażony jej podejściem. Prokocki znów się napił, a ja miałem nadzieję, że na tym poprzestanie. Ostatnim,

czego potrzebowaliśmy, był niepotrafiący trzeźwo myśleć facet z bronią.

– Jonatan przyszedł do mnie, bo szukał pomocy. Ale nie takiej, jak sądzicie.

– A jakiej? – spytała.

– Nie wiedział, jak odnaleźć się w Kościele.

– To znaczy?

Ojciec Antoni podciągnął kolana, a potem wbił wzrok w nasyp. Wyglądał jak zagubione dziecko, które właśnie straciło nadzieję na to, że rodzice je odnajdą.

– Żył w kłamstwie, trzymał swoją orientację w tajemnicy przed wszystkimi. Miał świadomość, że nie zaakceptuje go ani rodzina, ani tym bardziej jego wspólnota.

– Był religijny? – zapytałem.

– Owszem.

Nie współgrało to ani trochę z obrazem Falkowa, który miałem w umyśle. Z mojego punktu widzenia był to skorumpowany oportunistą, gotowy zrobić wszystko, by wypełnić kieszenie pieniędzmi Kajmana.

Ale być może się myliłem. Jeśli od początku źle rozumiałem tę sytuację, to także rola Falkowa mogła być zupełnie inna od tej, którą mu przypisałem.

– Chciał żyć w związku, chciał doświadczać cudu miłości, jak każdy człowiek – odezwał się Antoni. – Ale jednocześnie pragnął być w Kościele.

– I?

– Poprosił mnie o pomoc w tym, by jakoś połączyć te dwa pragnienia.

Duchowny na moment zrobił pauzę, a ciszę, która zaległa, mącił jedynie szum pieniącej się wody.

– Jonatan prawdziwie kochał osobę, z którą był w związku – dodał po chwili Antoni. – Ale kochał także Boga. I razem szukaliśmy sposobu, by nie musiał wyrzekać się żadnej z tych miłości.

Kliza nie zdawała się przekonana. Ja jednak miałem wrażenie, że ból w głosie księdza nie jest pozorowany.

– Wtedy były inne czasy – ciągnął. – Dziś są takie inicjatywy jak Wiara i Tęcza, a Ojciec Święty zapytany o homoseksualistów odpowiada: a kimże ja jestem, żeby ich oceniać? Nie jest idealnie, ale lepiej. Liczba duchownych, którzy uważają homoseksualizm za chorobę, wciąż maleje, coraz rzadziej proponują terapie, a częściej wyciągają pomocną dłoń. Wtedy żyliśmy jednak w zupełnie innych okolicznościach...

Urwał, podniósł wzrok i zawiesił go gdzieś po drugiej stronie rzeki. Potem spojrzął na mnie, spodziewając się jakiejś odpowiedzi.

– A ksiądz mimo to dobrodusznie próbował mu pomóc? – spytała Kliza, zanim zdążyłem wpaść na to, jak potraktować jego słowa.

– Tak.

– Złoty człowiek – odbąknęła.

– Pomagałem nie tylko jemu – zadeklarował. – Przychodzili do mnie różni ludzie, którzy szukali dla siebie miejsca w Kościele, a ja nigdy... nigdy nie śmiałybym im odmówić.

Albo wyjątkowo źle oceniliśmy tego człowieka, zarzucając mu skłonności pedofilskie, albo był on wyjątkowo dobrym aktorem. Nie sposób było na podstawie samych jego zapewnień przesądzić, która wersja jest prawdziwa.

– Ojciec Antoni zrobił, co mógł, żeby mu pomóc – odezwała się Electra.

Po raz kolejny pomyślałem, że z kimkolwiek rozmawialiśmy, wszyscy odnosili się do niego z takim samym szacunkiem. Może coś w tym było.

– Nie tylko jemu – powtórzyła słowa księdza Falkowska.

– Ojciec odprawiał... i dalej odprawia dla nich msze.

– Dla nich? – spytałem.

– Dla gejów – odparła Karolina, a potem uniosła ręce, jakby chciała zasugerować, że najwyższa pora, by Bóg zesłał na mnie łaskę mądrości. – Na przykład kiedy świętują kolejne rocznice swoich związków. Złączą się ich rodziny, znajomi... W sumie jest prawie tak, jakby byli po ślubie, nie?

– Nie, niezupełnie – zaproponował cicho Antoni. – Ale owszem,

celebruję dla nich msze, w których chcą podziękować Bogu za miłość, która ich...

– To jakieś brednie – włączyła się Kliza. – Wykorzystywałeś tego chłopaka.

W jego oczach coś zgasło, jakby otrzymał o jeden cios za dużo. Na jakiś czas znów zaległa cisza, a ja zerknąłem znacząco na Jolę, mając nadzieję, że dzięki temu trochę przystopuje. Im dłużej atakowała duchownego, tym bardziej oddalaliśmy się od tego, co interesowało mnie najbardziej.

Wydało mi się, że w końcu to zrozumiała.

– Był dla mnie jak syn – odezwał się w końcu Antoni. – Nigdy bym go nie skrzywdził.

Karolina i Electra odwróciły wzrok, a ja wyczułem jakiś niewypowiedziany żal, który zdawał się trawić wszystkich zebranych.

– Jonatan był głęboko religijny, chodził na pielgrzymki, spowiadał się regularnie, przyjmował komunię...

– Chyba ksiądz sobie jaja robi – wtrąciła Jola.

Zakląłem w duchu.

– Nikt nie dałby mu rozgrzeszenia – dodała.

– Ja dawałem.

Zmarszczyłem czoło, przypatrując mu się uważnie. Oczywiście wiedziałem o księżach, którzy pomagają gejom na wszelkie możliwe sposoby, także dając im rozgrzeszenie i tym samym pozwalając na inne sposoby uczestnictwa we wspólnocie. Czasem robili to dlatego, że sami mieli taką orientację, czasem wynikało to z bardziej liberalnego podejścia do pełnienia posługi.

– Ksiądz też jest...

Zacząłem, ale nie musiałem kończyć. Antoni spojrział na mnie ze spokojem i ciepłem, jakby nieco bawiło go, że z jakiegoś powodu nie dokończyłem myśli.

– Tak – potwierdził. – I nie boję się powiedzieć, że w Kościele jest wielu księży, którzy są gejami. Ale czy to ma jakiegokolwiek, choćby najmniejsze znaczenie? Równie dobrze moglibyśmy przesądzać o wartości człowieka ze względu na jego wzrost. Ostatecznie to przecież nie orientacja, ale...

– Dajmy spokój tym wywodom – ucięła Kliza. – I całej tej historyjce.

– Chcecie wiedzieć, co stało się w Kappie, a...

– Otóż to – potwierdziła stanowczo.

– Ale to bezpośrednio wynika z tego, co nazwałaś historyjką.

– W jakim sensie? – zapytałem, a potem usiadłem obok księdza.

Czy mu wierzyłem? Tak, chyba tak. Z jakiegoś powodu od samego początku wydawało mi się, że cała ta koncepcja z pedofilią jest jedynie naszym wymysłem. Niestety zbudowanym na wydarzeniach, które rozgrywały się na całym świecie, nie tylko w naszej bezpośredniej okolicy.

Ostatecznie mogliśmy paść ofiarami potrzeby stosowania odpowiedzialności zbiorowej. Nie wiedziałem, z czego wynikała, ale zdawała się wpisana w ludzką naturę. Wystarczyła informacja, że ksiądz położył rękę na kolanie chłopaka. Resztę właściwie sami sobie dopowiedzieliśmy.

– Żadne z dzieci w Kappie nie wiedziało o orientacji Jonatana – odezwał się Antoni.

Bywalcy Antoniówki nie byli żadnymi dziećmi, ale typowymi licealistami, tylko czekającymi na to, by zgnoić każdego, kto przejawiał jakiegokolwiek odstępstwo od ogólnie przyjętych standardów. W tym sensie zasady rządzące światem nastolatków nie dyskryminowały – wszelka inność była traktowana równorzędnie.

– Jonatan ukrywał to przed wszystkimi prócz mnie – dodał duchowny.

– I Dawida – dopowiedziałem. – O ile to rzeczywiście jego imię, a nie biblijna parabola.

Ksiądz potwierdził lekkim skinieniem, ale nie wiedziałem, co konkretnie ma to oznaczać.

– Więc tak się nazywał? Jego partner? – dodałem.

– Owszem. Dawid Kałwak.

Kliza otworzyła usta, a ja wbiłem wzrok w Antoniego. Po moście nad nami przejechał jakiś samochód, a dudnienie, które się rozległo, spotęgowało mój szok.

– Zaraz... – jęknąłem.

– To brat Andrzeja Kałwaka, tak – odezwał się duchowny. – Tego, który wykonał zdjęcia w Kappie. Miał wtedy półamatorskie studio fotograficzne, ale zrobił to nieodpłatnie, przez wzgląd na brata.

Starałem się poukładać te elementy w spójną całość, ale wciąż brakowało zbyt wielu części. Przestrzenie między nimi zaczynała gorączkowo wypełniać moja wyobraźnia, obawiałem się jednak, że idzie zbyt daleko.

Głuche dudnienie ustało. Samochód zaparkował gdzieś za mostem.

– Czekamy na kogoś? – zapytałem niepewnie.

Jola drgnęła nerwowo, jakby uznała, że rozmowa poszła w kierunku, który kazał jej zachować najwyższą czujność.

– Pytałem o coś – dodałem bardziej stanowczo, patrząc na Prokockiego.

Ten skrzyżował ręce na karku, a potem obrócił się w lewo, ku ścieżce prowadzącej do wałów przeciwpowodziowych. Wszyscy skierowaliśmy wzrok w tamtą stronę, a po chwili uświadomiliśmy sobie, że w istocie na kogoś czekaliśmy.

Kogoś, kto miał wszystkie odpowiedzi.

Kiedy Ewa wyszła zza przęsła, serce mi się zatrzymało.

12

Nie wyglądała tak, jak pamiętałem. I nie tak, jak sobie wyobrażałem.

Różniła się od...

Od kogo? Od czego? Od mojego własnego wyobrażenia o tym, jak będzie wyglądała po tych wszystkich latach? Od Kasandry, której fizys zacząłem utożsamiać z moją zaginioną narzeczoną?

Na nagraniach nie widać było jej dokładnie, ale z pewnością przypominała na nich bardziej siebie. A przynajmniej tę wersję, którą miałem w pamięci.

Ewa, która pojawiła się nagle pod mostem Pajęczym, była zupełnie inna. Zmieniła kolor włosów, owal jej twarzy różnił się

od tego, który znałem, nosiła ubranie zupełnie do niej niepasujące i nie pachniała tak, jak pamiętałem. Jej wzrok wydawał się obcy, mowa ciała zupełnie niezrozumiała, a sposób poruszania się – sztuczny i pozowany.

Jedyne, co rozpoznawałem, to usta. Znałem doskonale ich obrys, każdy szczegół i każdą niedoskonałość.

Podniosłem się powoli, ale zaraz nogi się pode mną ugięły. Ojciec Antoni przytrzymał mnie i mówił coś, czego nie rozumiałem. Dudnienie, które przed momentem słyszałem, teraz zdawało się wrócić z większą mocą i odbijać paraliżującym echem w moim umyśle.

Patrzyłem na Ewę, widziałem, że porusza ustami, ale żadne słowa do mnie nie docierały.

Dopiero po chwili z tego, co mówiła, zaczęło przebijać się to jedno, dobrze mi znane słowo.

Tygrysie.

Intonacja, ułożenie ust, spojrzenie. Wszystko się zgadzało. Wszystko należało do Ewy, którą znałem. Mojej Ewy. Tyle że zdawało się to jedynie maską nałożoną na twarz kogoś, kto tak naprawdę nie jest tamtą osobą.

Antoni pomógł mi na powrót usiąść. Nie byłem w stanie ustać.

Kliza podeszła do mnie, położyła mi rękę na ramieniu i próbowała pochwycić moje rozbiegane spojrzenie. W końcu poklepała mnie lekko po policzku, jakbym rzeczywiście potrzebował cucenia.

– Jak... – wydusiłem.

Popatrzyłem na Prokockiego. Człowieka, który od roku zapewniał mnie, że moja narzeczona nie żyje. Miał kamienny wyraz twarzy, nie zdradzał jakichkolwiek emocji. Podobnie zachowywała się cała reszta, z wyjątkiem mnie i Klizy.

– Nie... nie rozumiem... – szepnąłem.

Co innego mogłem powiedzieć?

Owszem, przez cały ten czas przekonywałem samego siebie, że Ewa żyje, ale dotychczas była to tylko ulotna autosugestia. Teraz mierzyłem się z rzeczywistością. I z faktem, że Ewa naprawdę ukrywała się gdzieś przez jedenaście lat.

Odłożyła parasol, z którym przyszła, a potem zbliżyła się do mnie ostrożnie, jakby obawiała się, że mnie spłoszy. Przykucnęła przede mną i popatrzyła mi prosto w oczy. Odniosłem wrażenie, że stara się przekonać mnie, iż naprawdę tutaj jest. Na wyciągnięcie ręki. W końcu, po tak długim czasie.

Ale dlaczego w takim razie czułem, że dystans dzielący nas jest większy niż kiedykolwiek?

– Damian? – odezwała się niepewnie.

Mówiła jak do szaleńca, któremu nie założono kaftana bezpieczeństwa, choć powinno się to zrobić. Potrząsnąłem głową, uznając, że to porównanie wcale nie jest tak dalekie od prawdy, jak chciałbym.

– Skąd... jak... – wydukałem.

– Wszystko ci wyjaśnię.

– Ale...

– Musisz tylko się uspokoić.

Jej ręka drgnęła, jakby Ewa zamierzała położyć ją na mojej dłoni, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Byłem jej za to wdzięczny. Gdyby teraz doszło do jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, choćby muśnięcia, chyba zerwałbym się na równe nogi i uciekł.

Nie rozumiałem swojej reakcji. Nie spodziewałem się, że będzie tak wyglądała.

Niezliczenie wiele razy rozgrywałem tę sytuację w głowie, marząc o ponownym spotkaniu. Każdy scenariusz wyglądał zupełnie inaczej od tego. W jednym rzucała mi się na szyję, w innym ja brałem ją mocno w ramiona i podnosiłem.

Żaden nie zakładał, że jej bliskość będzie budziła we mnie głęboki niepokój.

To nie było wymarzone spotkanie po latach. Ale nic w tej sytuacji takie nie było.

– Boże... – powiedziałem cicho i zamknąłem oczy. – Musisz... musisz mi wszystko...

– O wszystkim ci opowiem – zapewniła po raz kolejny.

Przesunąłem dłońmi po włosach i potarłem nerwowo kark.

– Co się z tobą działo? – zapytałem. – Gdzie byłaś? Dlaczego

nie...

– Dowiesz się wszystkiego, Tygrysie. Obiecuję.

Mogła zapewnić mnie bez końca – i tak nie byłem gotów uwierzyć, że ostatecznie poznam całą prawdę. Po tych wszystkich kłamstwach, manipulacjach i błędnych tropach dotarcie do celu wydawało się po prostu niemożliwe.

A mimo to Ewa znajdowała się tuż przede mną. Gotowa opowiedzieć mi całą swoją historię. Tym razem prawdziwą.

13

Potrzebowałem trochę czasu, by w końcu dojść do siebie. Po moich gorączkowych pytaniach, czy wszystko z nią w porządku, i jej uspokajających zapewnieniach, że tak, w końcu zapanowałem nad emocjami. Przynajmniej na tyle, by wysłuchać, co ma mi do powiedzenia.

Pytań, które cisnęły mi się usta, było zbyt wiele. Gdyby tylko pozwoliła mi przejąć inicjatywę, zalałbym ją nimi i nie dał czasu na to, by odpowiedziała na którekolwiek z nich. Szczęśliwie była tego świadoma.

Pozostali milczeli, ale ich obecność była nieodzowna. Być może to właśnie ona sprawiała, że nie rzuciłem się na Ewę jak na poszukiwany przez całe życie skarb i nie próbowałem przekonać się na wszelkie możliwe sposoby, że istnieje naprawdę.

– Jak wiele mu ojciec powiedział? – zwróciła się do Antoniego.

– Właściwie tylko tyle, że Jonatan ukrywał swoją orientację przed wszystkimi oprócz mnie i Dawida.

– A jeśli chodzi o... – Urwała i rozejrzała się dookoła. – O wydarzenia tutaj?

– Nie zdążyłem.

Odniosłem wrażenie, że z trudem przyszło jej przełknięcie śliny. Patrzyła na okolicę, jakby wiązała się z jakimiś traumatycznymi wydarzeniami.

Ale tutaj przecież nic jej się nie przydarzyło. To, co zniszczyło nasze życie, miało miejsce przy innej odnodze przecinającej

miasto rzeki. Niedaleko, w linii prostej może dwa kilometry stąd, ale nie tutaj. Tu w ogóle nie powinno jej być.

Zamrugalem niecierpliwie i nabrałem głęboko tchu.

– Może to i dobrze – odezwał się Antoni. – Lepiej, żebyś ty mu wszystko przedstawiła.

Pokiwała głową w zamyśleniu, a potem przysunęła się nieco.

To był ten moment. Ta jedna chwila, na którą czekałem. Ta, w której dowiem się, co się wydarzyło.

Ewa popatrzyła po wszystkich zebranych, a potem wbiła wzrok we mnie.

– To, co usłyszysz, może okazać się...

– Po prostu mów – uciałem.

Skinęła głową, a mnie przez moment wydało się, że to ja kontroluję tę sytuację.

– Bywaliśmy tutaj dość często – zaczęła. – Z Kappy to kwadrans na piechotę, a szybkim krokiem znacznie mniej. Miejscówka była dobra jak każda inna, szczególnie dla dzieciaków chcących się napić, zapalić...

Zawiesiła głos, a ja nie mogłem opędzić się od wrażenia, że rzeczywistość właśnie daje mi mocno po dupie. Sam fakt, że Ewa wspomniała o świetlicy jako o Kappie, w zupełności wystarczał, bym uznał, że spędzała tam czas. Bez mojej wiedzy. Nie, właściwie gorzej – ukrywając to przede mną z jakiegoś powodu.

Miałem zamiar pozwolić jej mówić. Nie mogłem jednak tego tak po prostu zignorować i pozwolić jej przejść dalej.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – spytałem.

Ściągnęła brwi, nie wiedząc, do czego się odnoszę.

– O tym, że bywałaś w Kappie.

– Zaraz do tego dojdę, Tygrysie, ale...

– Nie – uciałem. – Powiedz mi teraz.

Posłała mi długie, pełne zawodu spojrzenie, jakby rzucała na mnie cień.

– I nie nazywaj mnie tak – dodałem. – Przynajmniej tyle możesz dla mnie w tej chwili zrobić.

Znów potwierdziła zdawkowym ruchem głowy, nie dając po sobie poznać, czy usłyszenie tych słów było dla niej tak samo

bolesne, jak dla mnie ich wypowiedzenie. Czułem jednak, że musiałem to zrobić.

– W porządku – powiedziała.

Długo zbierała się w sobie, by kontynuować.

– Nie powiedziałam ci o moich wizytach w Kappie, bo spotykałam się tam z Blitzem.

– Spotykałaś w sensie...

– Mieliśmy romans.

Poczułem, że zaschło mi w gardle.

– O ile można to w ten sposób nazwać, kiedy dwoje ludzi ma kilkanaście lat i...

– Chyba żartujesz.

Spuściła wzrok i westchnęła. Przeszło mi przez myśl, że nie tylko ja, ale także ona rozgrywała to spotkanie w myślach od wielu lat. I z pewnością nie przebiegało teraz tak, jak sobie to założyła.

– Byliśmy głupi – odezwała się. – Młodzi, bezrefleksyjni i po prostu...

Wzruszyła ramionami, ale bez cienia nonszalancji.

– Robiliśmy głupie rzeczy – dodała. – Z pewnością nie byliśmy jedyni.

– Chcesz mi powiedzieć...

– Zdradziłam cię, Damian. Tak.

Nie to chciałem usłyszeć. A ona nie to chciała mi powiedzieć. I może właśnie z tej przyczyny od tego zaczęliśmy.

Czy naprawdę się tego nie spodziewałem? Kiedy tylko okazało się, że spotykała się z innymi w Kappie, a mnie nic o tym nie mówiła, romans zdawał się najlogiczniejszym wnioskiem. Ale nie dopuszczałem go do siebie aż do teraz.

– Ty... ty i Blitz? – zapytałem. – Przecież to... przecież wy...

Uświadomiłem sobie, że całe napięcie w ich relacjach, które miało miejsce po liceum, musiało być rezultatem tego romansu. Być może krótkiego, ale realnego, bez względu na to, ile lat mieli i kiedy się zaczęło.

Czy był to pierwszy raz w historii, kiedy wśród trojga dobrych znajomych dochodzi do takiej sytuacji? Nie, z pewnością nie.

W świecie nastolatków to właściwie norma i przypuszczałem, że wówczas nikt nie zżymał się na myśl, że Ewa może zamienić mnie na Blitzera.

– To nie trwało długo – dodała. – Skończyło się zaraz po wydarzeniach, które rozegrały się tutaj.

Jej słowa znów coraz słabiej do mnie docierały. Poczucie szoku wracało, ale robiłem wszystko, by się z niego otrząsnąć.

– Blitz przez długi czas miał wyrzuty sumienia, chciał ci o wszystkim powiedzieć.

Nie odzywałem się. Dotarło do mnie, że właśnie ten żal sprawił, iż wbrew wszelkiej logice Blitzkrieg uparcie utrzymywał ze mną kontakt. Przychodził do knajp, w których pracowałem, starał się pomóc mi na wszelkie możliwe sposoby. A potem robił wszystko, by Ewa się odnalazła.

Był babiarzem, nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Był też jednak przyjacielem, lepszym niż ktokolwiek, kogo w życiu spotkałem. Czy fakt, że jako gówniarz wdał się w krótki romans z moją ówczesną dziewczyną, to zmieniał?

– I zrobilibyśmy to, Damian. Przysięgam, że powiedzielibyśmy ci o wszystkim...

– Ale?

– Ale nie mogliśmy przez to, co się tutaj stało – odparła.

Kątem oka dostrzegłem, jak Prokocki kiwa głową.

– A co się stało? – odezwała się w końcu Kliza, tym samym przypominając mi, że nie jestem tutaj sam z Ewą. I że czas najwyższy, by dowiedzieć się konkretów. Nie o tym, kto z kim za młodu, ale o tym, co się naprawdę wydarzyło.

Ewa podniosła się, a potem wepchnęła dłonie do kieszeni jasnych, opinających uda dzinsów.

– Jak mówiłam, przychodziliśmy tu czasem pić – powiedziała, a ja miałem wrażenie, jakbym słuchał zupełnie innej osoby. – Tamtej pechowej nocy, gdy wszystko się zawaliło...

– Kiedy to było? – wtrąciła Jola.

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

– I co się zawaliło?

Kliza podjęła decyzję, by przejąć inicjatywę, a ja nie miałem nic

przeciwko temu.

– Wszystko – odparła Ewa. – Całe nasze życie, nasza przyszłość. Po tamtej nocy już nic nigdy nie było takie samo.

Ściągnęła ramiona i wsunęła ręce głębiej do kieszeni.

– Byliśmy tutaj w szóstkę – dodała. – Ja, Blitz, Electra, Karolina, Jonatan i Dawid. Piliśmy tanie wino, paliliśmy ohydne papierosy i żartowaliśmy ze wszystkiego, co tylko przyszło

nam na myśl. Siedzieliśmy pod mostem, ale czuliśmy się panami świata. Jakbyśmy mogli wszystko.

Zmrużyłem oczy.

– Jonatan pił najmniej, jak zwykle. Może z powodu swojej religijności, a może dlatego, że był po jednej z najszczerzych rozmów z ojcem Antonim.

Razem z Jolą spojrzeliśmy na duchownego, a ten skinął głową.

– Przekonałem go, że nie może dłużej żyć w kłamstwie – podjął temat. – I Jonatan postanowił, że powie swojej rodzinie o Dawidzie. Wyjaśni im wszystko i razem zrobimy, co w naszej mocy, by jego matka i ojciec to przyjęli.

– I? – spytała Kliza. – Udało się?

– Nigdy nawet do tego nie doszło – włączyła się Ewa. – Bo zanim Jonatan poinformował o wszystkim swoją rodzinę, powiedział nam.

Wstrzymała oddech, a potem wskazała ręką miejsce tuż przed stopniem wodnym, przez który przelewały się spiętrzone fale.

– Dokładnie tam – powiedziała. – Początkowo myśleliśmy, że to jakiś żart, w głowie nam się nie mieściło, że Jonatan może być gejem, że oni obydwaj mają inną orientację... i że są razem.

Nie dziwiłem się. Była końcówka lat dziewięćdziesiątych, w telewizji wieczorami kontrowersje budziła *Filadelfia* z Tomem Hanksem w roli chorego na AIDS geja. O produkcjach typu *Współczesna rodzina* czy *Orange Is the New Black* nikt nie śmiał nawet pomyśleć. Ellen DeGeneres dopiero co ujawniła się jako lesbijka, i to w Stanach, gdzie panował zupełnie inny

klimat społeczno-polityczny niż w Polsce. Hillary Clinton dopiero myślała o tym, czy w przyszłości nie zaryzykować i jako była pierwsza dama wziąć udział w marszu równości. W Holandii

małżeństwa tej samej płci nie były jeszcze legalne, a w Polsce od wybrania pierwszego geja na posta dzieliło nas jeszcze kilkanaście lat.

Dziś na młodzieży oglądającej seriale na Netflixie, w których większa część bohaterów często nie jest heteroseksualna, wyznanie Jonatana nie zrobiłoby żadnego wrażenia. Wtedy jednak było inaczej.

– Kiedy nam o tym powiedzieli, zaczęliśmy sobie kpić, sam rozumiesz... – ciągnęła Ewa. – Byliśmy wstawieni i niegotowi na to, co Jonatan z Dawidem próbowali nam wytłumaczyć. Otworzyli się, a my mieliśmy po prostu używanie. Kiedy złapali się za ręce, zaczęliśmy szydzić sobie z nich jeszcze bardziej.

Na moment urwała i pokręciła głową, patrząc w pianę targaną nurtem rzeki. Potem skierowała wzrok na mnie.

– Wiesz, jak niewiele potrzeba, żeby zniszczyć marzenie kogoś, kto latami je budował? – spytała. – Bo to właśnie robił Jonatan. Nie chciał żyć z tym w tajemnicy przed innymi, czekał na to, aż będzie gotowy wyznać prawdę. I wreszcie tamtej nocy, dzięki ojcu Antoniemu, to zrobił.

– A my zrównaliśmy go z błotem – dodała Electra. – Zrobiliśmy po nich pojazd do woli.

– Szydźliśmy z niego, z Dawida, z ich związku, seksu... ze wszystkiego, co przyszło nam na myśl – ciągnęła Ewa. – Sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli. Doszło do przepychanki... szarpaniny...

Znów wbiła wzrok w miejsce tuż nad brzegiem rzeki.

– I? – odezwała się Kliza. – Co konkretnie się stało?

Mogliśmy już odpowiedzieć sobie na to pytanie, przynajmniej ogólnie. Potrzebowaliśmy jednak ostatecznego potwierdzenia, z którym nikt się nie spieszył.

– Blitz przesadził z jakimś komentarzem, Dawid próbował mu przypierdolić – zabrała głos Falkowska. – Wymienili parę ciosów, Ewa się w to wszystko wmieszała i... ech.

– I to był kluczowy moment – dokończyła za nią sama Ewa. – Rzuciłam się na Dawida, on mnie odepchnął i stracił kontrolę. W momencie gdy niemal mnie uderzył, Jonatan złapał go za fraki

i szarpnął... za mocno... pechowo...

Nie odrywała wzroku od Kanału Ulgi.

– Dawid Kałwak wpadł do rzeki? – upewniła się Jola.

– Tak – potwierdziła Ewa. – Próbowaliśmy go ratować, ale nurt był zbyt silny... Pobiegliśmy wzdłuż brzegu ile sił, a potem...

Widziałem, z jakim trudem mówiła, i nie chciałem zmuszać jej do tego, by ciągnęła to choćby chwilę dłużej.

– Dwa, trzy kilometry dalej jacyś ludzie go zobaczyli – dodała, oddychając nierówno, jakby na nowo to wszystko przeżywała. – Wyciągnęli go z wody, ale było za późno. Dawid już nie żył.

Próbowałem przypomnieć sobie, czy w lokalnych mediach wówczas o tym mówiono. Nie kojarzyłem imienia i nazwiska, nie pamiętałem, bym kiedykolwiek słyszał o jakimś wypadku nad Kanałem Ulgi.

Nie dziwiło mnie to. Ilu nastolatków rzuca się pod pociąg, a potem słuch o nich ginie? Na zdawkowy nagłówek w miejscowych gazetach zwracają uwagę jedynie znajomi i rodzina. Podobnie jest w przypadku utonięć. Na każde sto tysięcy

obywateli w Polsce dwie osoby giną właśnie w taki sposób. To plaga, przez którą przypadki takie jak ten Dawida Kałwaka gubią się gdzieś w bezdusznych statystykach.

– Co zrobiliście? – spytała Kliza.

– Jedyne, co mogli – odezwał się Antoni. – Przyszli do mnie.

– A ksiądz kazał im wszystko...

– Niczego im nie kazałem – zastrzegł. – Oprócz tego, by odczekali do rana i poszukali pomocy w modlitwie.

– I? Co to zmieniło?

Ewa obróciła się i zrobiła krok w naszą stronę.

– Rankiem policja znalazła w mieszkaniu Dawida list pożegnalny – odezwała się.

– Spreparowaliście...

– Boże, nie – ucięła. – Napisał go o wiele wcześniej, kiedy przeżywał kryzys i nie mógł poradzić sobie z otaczającym światem. Rok lub dwa przed tym wypadkiem... I nigdy nie miał zamiaru naprawdę odebrać sobie życia. Ale to nie miało

znaczenia.

– Więc śledczy zakwalifikowali to jako samobójstwo? – spytała Jola.

– Tak. Uznali, że skoczył z mostu Pajęczego.

– Przecież to...

Zawiesiła głos i nagle zrozumiała, że obecność Prokockiego nie jest przypadkowa. Spojrzeliśmy na niego, a on nabrał głęboko tchu. Było jasne, że pomógł im w uniknięciu odpowiedzialności.

Znał Jonatana Falkowa prawdopodobnie lepiej, niż sądziłem. Być może łączyły go z księdzem więzi, o których nie wiedziałem. Czekałem, aż to wyjaśni, ale podkomisarz najwyraźniej nie miał zamiaru tego robić. Ja zaś nie planowałem naciskać, bo jego motywacje były dla mnie w tej chwili sprawą drugorzędną.

– Co stało się potem? – zapytałem.

– A jak myślisz? – odparła Electra. – Każdy wrócił do swojego życia.

– Przynajmniej na tyle, na ile potrafił – dodała Ewa. – Ja zakończyłam to, co było między mną i Blitzem, i...

– I wróciłaś do mnie.

– Nigdy od ciebie nie odeszłam, Tygrysie.

Skrzywiłem się zarówno z powodu tej deklaracji, jak i określenia, którego użyła. Przez głowę przemknęła mi natrętna, absurdalna myśl, że bardziej naturalnie brzmi, kiedy pada z ust Kasandry.

Ewa uniosła przeproszająco dłonie.

– Wtedy może rzeczywiście nie odeszłaś – przyznałem. – Ale później najwyraźniej tak.

– Nie miałam wyjścia.

– Bo?

Znów przykucnęła przed nami, a potem spojrzała z niepokojem na zegarek. Zrozumiałem, że zagrożenie, z powodu którego ukrywała się przez te wszystkie lata, może wciąż istnieć. A ona ryzykuje, zostając tutaj tak długo.

– Spiesz ci się gdzieś? – rzuciła Kliza.

– Nie. Ale obawiam się, że nie mamy już wiele czasu.

– W takim razie wygospodaruj go więcej – odparowała Jola

i wskazała na mnie. – Jesteś mu winna znacznie więcej niż kwadrans wyjaśnień.

– Wiem.

Chciałem zasugerować, że nie pora na utarczki słowne, ale nie było potrzeby. Widziałem, że Ewa miała zamiar kontynuować.

– Wszyscy jakoś ułożyliśmy sobie życie, w pewien sposób pogodziliśmy się z tym, co się stało. Latami jednak ciągnęło się to za nami jak upiorne widmo...

– Niektórzy bali się, że prawda wyjdzie na jaw – dodała Karolina.

– A inni stopniowo odchodzili od zmysłów – uzupełniła Ewa. – I tak właśnie stało się z Jonatanem. Widzieliśmy, że jest z nim coraz gorzej, ale... nikt nie przypuszczał, że aż tak.

– Mów za siebie – wtrąciła Electra. – Ja od początku mówiłam, że tak będzie. I na jego miejscu pewnie skończyłabym tak samo. Zabrałaś mu wszystko, co miał, i to w momencie gdy...

– Ja?

– Gdybyś się wtedy nie włączyła w tę szarpaninę, do niczego by nie doszło.

Ojciec Antoni podniósł się, skupiając na sobie uwagę wszystkich.

– To nie była jej wina – odezwał się. – Ani jej, ani żadnego z was. Doszło do nieszczęśliwego wypadku, a tym, co później zrobił Jonatan, nikogo nie można obarczać.

– Oprócz niego – zauważyła Falkowska.

Miałem wrażenie, że w końcu docieramy do sedna.

– Co zrobił? – zapytałem.

Nie musiałem nawet patrzeć na twarz mojej narzeczonej... nie, byłej narzeczonej... by wiedzieć, że to, co zaraz mi przekaże, będzie najtrudniejszym wyznaniem w jej życiu.

– Stopniowo zaczął tracić kontrolę... – podjęła. – Przyszłość, którą miał w zasięgu, nagle wymknęła mu się z rąk. W jednej chwili stracił wszystko, ale był to tylko początek jego drogi do szaleństwa...

– Co zrobił? – powtórzyłem.

Zanim Ewa zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dwukrotny

dźwięk klaksonu. Prokocki zbliżył się do nas, podciągnął rękaw i postukał nerwowo w zegarek.

– Czas na nas – oznajmił.

14

Nie zastanawiając się nad tym ani chwili, złapałem Ewę za rękę i lekko przyciągnąłem do siebie. Wzdrygnęła się jak oparzona, a potem wbiła wzrok prosto w moje oczy. Nie miałem zamiaru puszczać, dopóki nie wyjaśni mi wszystkiego do końca.

– To on za wszystko odpowiada? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział za nią podkomisarz. – Zupełnie mu odbiło.

– Tak nagle, po tylu latach?

– Staczał się systematycznie, Wern – dodała Ewa.

Mimo woli ją puściłem i machinalnie cofnąłem się o kilka kroków.

– Co się stało? – zapytała, marszcząc czoło.

Sam mogłem zadać sobie to samo pytanie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że była to reakcja na określenie, którego użyła. Nigdy nie mówiła do mnie w ten sposób, skrót od nazwiska wymyśliła Kliza podczas naszej pierwszej rozmowy na RIC, potem przejęła go Kasandra. A teraz z jakiegoś powodu zupełnie bezwiednie użyła go Ewa.

Coś było nie w porządku. I to pomijając wszystkie te rzeczy, o których usłyszałem, a także i te, które mogłem sobie odpowiedzieć. Było coś jeszcze.

– Kompletnie mu odjechało – dodała z przyganą w głosie Falkowska. – Zaczął obwiniać Ewę za to wszystko, co się tutaj wydarzyło.

– Ją i Blitza – dodała Electra.

Wciąż patrzyłem na moją byłą narzeczoną, starając się stwierdzić, co tak naprawdę się dzieje. Milczała, dostrzegając, że coś jest nie tak.

– Musimy iść – rzucił Prokocki, rozglądając się. – Każda chwila

tutaj to...

– Poczekaj – przerwała mu Ewa, a potem wyciągnęła do mnie dłoń.

Zignorowałem to, a ona po chwili cofnęła rękę.

– Wern...

– Dlaczego tak mnie nazywasz? – spytałem tak wrogim tonem, że zaskoczył nawet mnie samego. – Nigdy wcześniej tego nie robiłaś.

Wgłębienie między jej oczami stało się jeszcze bardziej wydatne, jakby coś sprawiało jej fizyczny ból.

– Bo oni wszyscy tak na ciebie mówią – powiedziała cicho. – A ja od pewnego czasu wiem o tobie tylko dzięki nim. Poznają cię na nowo dzięki nim. To oni są moim oknem, przez które mogę spojrzeć na twój świat i...

– To znaczy? Kogo masz na myśli?

Potrząsnęła głową, wyraźnie niezadowolona z tego, że rozmowa meandruje. Upomniałem się w duchu, że jeśli będę skupiać się na detalach, nie poznam całego obrazu. A to na nim mi teraz najbardziej zależało.

– Mniejsza z tym – rzuciłem. – Więc to wszystko, co się stało... wszystko, co nas spotkało, było zemstą Falkowa?

Ewa lekko pokiwała głową.

– Stracił nad sobą kontrolę – powiedziała. – Sam nie rozumie już nawet, co jest moralne, a co nie. Dawno zatarła się w nim granica między dobrem i złem. I przez to...

– Co? To on najął tamtych ludzi na Łoży Szyderców?

Cios był dotkliwy, Ewa wyraźnie go odczuła.

– Tak – przyznała. – Chciał odpłacić mi za to, co go spotkało. To we mnie przez te wszystkie lata widział główną winowajczynię...

I najwyraźniej jego narracja przeniknęła do grupy, bo przed momentem odniosłem wrażenie, że Karolina i Electra podzielają podejście Jonatana.

– Nie wiem, co zaplanował wcześniej, a co realizował naprędce, targany emocjami, z którymi nie potrafił sobie poradzić...

– Mówisz, jakby to nie była jego wina.

– Poniekąd nie była.

Odwróciłem się do niej plecami i spojrzałem na Klizę. Jej twarz wyrażała jedynie bezradność. Chciała mi pomóc – w zrozumieniu, w wyciągnięciu z Ewy kolejnych informacji, we wszystkim – ale nie miała pojęcia jak.

– Postaw się w jego sytuacji.

– Stawiam się, ale...

– Ale nigdy do końca ci się to nie uda – przerwała mi Ewa. – Bo musiałbyś najpierw przeżyć lata w negacji, potem równie długo walczyć o to, by jakoś sobie z tym poradzić,

a w końcu doświadczyć upragnionej, wewnętrznej akceptacji i nadziei na to, że wszystko się ułoży.

Może rzeczywiście tak wyglądała droga Jonatana. I może pod mostem Pajęczym nagle zakończyła się niczym czołowe zderzenie z pędzącą wprost na niego ciężarówką. To jednak nie usprawiedliwiało szaleństwa, w które popadł. Nic nie mogło.

– Chciał mnie ukarać – dodała matowym głosem Ewa, a jej spojrzenie stało się puste. – Od tego zaczął. Dziś nie wydaje mi się, żeby był gotów posunąć się dalej, ale wtedy... Boże, byłam pewna, że to dopiero początek. Że zabije najpierw ciebie, a potem mnie.

– I dlatego uciekłaś?

Jeszcze godzinę temu wydawałoby mi się to nie do uwierzenia. Moja Ewa miałaby ot tak uciec? Bo się bała? Niezmuszana przez nikogo, miałaby po prostu mnie zostawić? Z własnej woli?

Mnie? Człowieka, bez którego nie wyobrażała sobie życia? Z którym była związana od lat i całkowicie przez ten czas mu oddana?

Teraz musiałem zweryfikować tamte założenia. Od początku były błędne.

– Nie potrafiłam wrócić do dawnego życia – powiedziała. – Po prostu nie potrafiłam.

Czułem, że chciałaby rozwinąć i opisać mi to, co musiała wtedy odczuwać. Irracjonalny, zupełnie absurdalny wstyd, który pojawiał się u wielu zgwałconych kobiet. Przemożne poczucie zagrożenia. Obawę, że to dopiero początek zemsty Falkowa.

Nie powiedziała mi jednak o żadnej z tych rzeczy. Mając

świadomość nieubłagane uciekającego czasu, zaczęła szybko opowiadać, jak zwróciła się o pomoc do Antoniego, a ten skontaktował się z Prokockim.

Podkomisarz ostatecznie poznał całą historię. Czuł się odpowiedzialny za swojego podkomendnego, ale nie zamierzał działać zbyt pochopnie. Dowodów właściwie nie było, a rzucanie bezpodstawnych oskarżeń nie mogło skutkować niczym dobrym.

Słuchałem jej relacji, ale miałem wrażenie, że wypowiada słowa ułożone przez rzecznika policji. W mediach nie raz i nie dwa pojawiały się podobne formułki – zazwyczaj, kiedy było już za późno, ktoś ocknął się po fakcie i pozostało jedynie próbować jakoś się usprawiedliwić.

W rzeczywistości opisywała mi nic innego jak modelowy przykład krycia swoich i zamiatania brudów pod dywan.

Prokocki zadbał o to, by Ewa znikła, zaczęła nowe życie i nigdy nie zagroziła żadnemu policjantowi swoimi zeznaniami. Wmówił jej, że tak będzie najlepiej, że dzięki temu ją ochroni. Dodał zapewne, że i tak nie ma żadnych dowodów, więc ostatecznie wszystko sprowadzi się do słowa przeciwko słowu. A te wypowiedane przez człowieka w mundurze będą miały większą wartość.

Dlatego trzymał ją z daleka od wszystkiego, a ostatecznie upozorował odnalezienie zwłok na wyspie Bolko. Nie chronił jej przed żadnym zagrożeniem ze strony Kajmana, bo takie zwyczajnie nie istniało.

To ona była zagrożeniem dla nich.

Kiedy to zrozumiałem, dotarło do mnie, że Ewa tak naprawdę nie znikła z własnej woli.

Była ofiarą, tylko sama o tym nie wiedziała.

– Skurwysyny... – szepnąłem, a potem popatrzyłem na podkomisarza. – To wszystko...

– Owszem, popełniliśmy błędy – uciął Prokocki, odkładając butelkę na szarpę. – Ale teraz chcemy je naprawić.

– Naprawić? – syknąłem. – Mój przyjaciel przez ciebie zginął.

Funkcjonariusz stanął obok Ewy i dopiero kiedy położył jej rękę na plecach, w jej oczach znowu pojawiła się iskra świadcząca

o tym, że do nas wróciła.

– Wern... – szepnęła. – Tygrysie...

– To wy sprowadziliście to wszystko na Blitza – dodałem. – To wszystko wasza wina...

Najgorsze było to, że żadne z nich nie wydawało się przyjmować tego do wiadomości. Na ich twarzach nie widziałem nawet cienia wyrzutów sumienia.

– To nie tak... – odezwała się Ewa. – Wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko...

– Co? Gdybym cię nie szukał?

– Nie. Akurat to nie mogło doprowadzić do żadnych kłopotów.

Oczywiście, że nie. Prokocki czuwał nad tym, żeby przez dziesięć lat nikt nie dotarł do konkretów. Pilnował, by nikt nie wpadł na trop tego, co naprawdę się wydarzyło.

– Problem pojawił się dopiero rok temu – odezwał się policjant.

– Kiedy Kasandra postanowiła wykorzystać tę sytuację.

Kliza stanęła obok mnie, jakby uznała, że przyda mi się wsparcie. Ona rozumiała już wszystko, ja dopiero składałem to w logiczny obraz.

– To ona wyzwoliła całą lawinę zdarzeń – dodała Ewa. – Znalazła kasety w Obicach i...

– Na których opowiadasz o Kajmanie.

– To była wersja dla ciebie – powiedziała, uciekając wzrokiem. – Miała przekonać cię, że...

Nie potrafiła dokończyć, a ja nie chciałem, by to robiła. Cały czas pamiętałem, co Prokocki powiedział mi za punktem ksero. Sugerował, że Ewa uroiła sobie Kajmana. Może żeby poradzić sobie z traumą z Łoży Szyderców, a może z innego, bardziej pragmatycznego względu.

– Kasandra wykorzystała moje nagrania. Wmówiła ci, że to wszystko prawda. Zmanipulowała cię i pokierowała tobą tak, żebyś pomógł zrealizować jej cele.

Nie byłem gotowy w to wszystko uwierzyć, ale jednocześnie wiedziałem, że powinienem. Nie miałem powodu, by ufać Kasandrze. Ewie na tym etapie również nie – tyle że w głębi ducha czułem, że to jej wersja jest prawdziwa.

Los dołożył mi dwukrotnie. Najpierw za sprawą jednej, a potem drugiej kobiety. Obydwie pokazały mi, jak łatwo sterować okrętem, który w żaglach ma tęsknotę i dążenie do prawdy.

– Blitz wiedział, co się stało lata temu – kontynuowała Ewa. – I Falkow zdawał sobie sprawę, że niewiele czasu minie, zanim odkryje, że moje zaginięcie miało związek z wydarzeniami nad Kanałem Ulgi.

– To on go zabił? – spytałem, choć tak naprawdę nie musiałem.

Prokocki potwierdził skinieniem głowy.

– Zatarł wszystkie ślady – dodał. – Niczego nie mógłbym mu udowodnić. Ale teraz sytuacja jest inna.

– Dlaczego?

Zerknął na Klizę, a potem z powrotem na mnie.

– Na kasecie, której nie udało wam się odtworzyć, jest wszystko to, co Ewa wam przed chwilą powiedziała – oświadczył. – Całe zeznanie. Potwierdzą je osoby, do których dotarliście na własną rękę.

Obrzuciłem wzrokiem wszystkich, którzy znajdowali się pod mostem.

Nie odzywaliśmy się. Z oddali znów doszedł dźwięk klaksonu.

– Macie wszystko, czego potrzebujecie – dodał podkomisarz.

– Oprócz bezpośrednich dowodów.

– Nie są wam potrzebne.

– Nie? – spytałem z powątpiewaniem. – A moim zdaniem...

– Nie interesuje mnie twoje zdanie – uciął. – Jak tylko dostaniecie naprawioną taśmę, zacznijcie działać.

– To nie wystarczy do skazania.

– Tym się nie przejmuj. Zadbaliśmy o to, by wystarczyło.

W jego głosie nie brakowało pewności, ale wydawało mi się, że jest ona kompletnie nieuzasadniona. Nie miałem jednak czasu na kłótnie, bo kiedy Ewa znów zerknęła na zegarek, wiedziałem, że nasz czas dobiegł końca.

Zrobiła krok w moim kierunku, ale powstrzymałem ją ruchem ręki. Jakikolwiek kontakt fizyczny, choćby podanie jej dłoni, wciąż wydawał mi się najgorszym, do czego mogłoby w tej chwili dojść.

- Może następnym razem – powiedziałem jak największy idiota.
- Nie będzie następnego razu, Tygrysie.
- Co?
- Muszę zniknąć jeszcze dzisiaj. Tak jak wtedy.
- Ale...

Ktoś z góry znów zatrąbił.

– Nie mamy czasu – powiedział Prokocki, a potem ruszył w kierunku schodków prowadzących na wał.

Ewa szybko poszła za nim, a ja uświadomiłem sobie, że to naprawdę ostatni raz, kiedy ją widzę. Zrobiłem krok w jej stronę, ale Kliza złapała mnie mocno za rękę i zatrzymała. Odwróciłem się ze złością w oczach.

– Nie idź za nią, Wern – powiedziała. – Robiłeś to już o wiele za długo.

– Muszę.

– Nie – odparła stanowczo. – Wystarczy.

Wyrwałem dłoń, obróciłem się w kierunku Ewy, ale nie ruszyłem się ani o centymetr. Zrozumiałem, że Kliza miała rację.

Zbyt długo goniłem za widmem czegoś, co wydawało mi się szczęściem. Zbyt długo łudziłem się, że mogę odbudować coś z gruzów, którymi stało się moje życie. Zbyt długo żyłem w przekonaniu, że straciłem coś wyjątkowego.

Dopiero teraz przejrzałem na oczy.

W momencie gdy Ewa znikła mi z pola widzenia, zrozumiałem, że to koniec. Nigdy więcej jej nie zobaczę, nigdy więcej nie będę się łudził, że to, co mieliśmy, było czymś najcenniejszym.

W rzeczywistości stanowiło tylko jeden z etapów w moim życiu. Teraz go zamknąłem.

I otwierałem zupełnie nowy.

ROZDZIAŁ 3

1

– Ewa? – spytałam z niedowierzaniem, patrząc na osobę siedzącą za kierownicą samochodu, który zatrzymał się obok zniszczonej wiaty autobusowej.

Mimowolnie cofnęłam się o krok w kierunku aresztu, choć nawet minimalne zbliżenie się do Zamtuza jeszcze moment wcześniej wydawało mi się ostatnim, co byłabym gotowa zrobić.

Teraz jednak miałam przed sobą ducha. Mój instynkt samozachowawczy wziął górę.

Wlepiałam w nią wzrok z powątpiewaniem, próbując wmówić sobie, że to nie ona. Nie miała prawa tutaj być. Byłam umówiona z Prokockim, to on miał odebrać mnie po wyjściu z więzienia. Tymczasem zamiast niego zjawiła się ona. I patrzyła na mnie, jakby nigdy nic. Jakbym powinna była się jej spodziewać.

– Wsiadasz? – zapytała. – Najbliższy autobus masz za godzinę.

Podeszłam do otwartej szyby.

– Zaskoczona? – dodała Ewa.

– To... to raczej gigantyczne niedomówienie.

– W takim razie jestem ci winna wyjaśnienia?

– Chyba sama możesz sobie odpowiedzieć.

– Masz rację, mogę – odparła i zerknęła kontrolnie w lusterko. – Nie jestem ci winna niczego, bo to nie ja ukradłam twoje życie, tylko odwrotnie.

Z samochodu dobiegała cicha gitarowa muzyka, a ja uświadomiłam sobie, że to nowa płyta Foo Fighters. Jakże adekwatnie. I jakże nieprzypadkowo. Nie miałam wątpliwości, że Ewa z premedytacją wybrała akurat ten album.

– Zapytam jeszcze tylko raz: wsiadasz?

– Miałam czekać na Prokockiego.

– Nie mógł się zjawić.

– I wysłał ciebie w zamian? – spytałam z niedowierzaniem. – Nie byłby tak lekkomyślny.

Ewa cmoknęła z dezaprobatą, a potem wskazała dłonią okolice.

– Nikogo tu nie ma – oznajmiła. – Uznaliśmy, że zaryzykujemy. Ale jeśli wolisz zostać, nie ma sprawy.

Wiedziałam, że nie odjedzie beze mnie. Gdyby miała taki zamiar, dawno by to zrobiła. Poza tym byłam im niezbędna – tylko dlatego Prokocki pomógł mi opuścić więzienie.

Wsiadłam do auta, a Ewa od razu wcisnęła pedał gazu, jednocześnie zamykając okno.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

– Dowiesz się niedługo.

– Wolałabym teraz.

– A ja teraz wolałabym robić wiele innych rzeczy niż...

– Więc dlaczego po mnie przyjechałaś? – spytałam.

Ewa nie miała zamiaru odpowiadać. Uśmiechnęła się półgębkiem, jakby realizowała jakiś przebiegły plan. W rzeczywistości jednak była tutaj, bo ona również mnie potrzebowała, a ja pytałam tylko po to, by to przyznała. Wyraźnie jednak nie zamierzała tego zrobić.

– I po co ta ścieżka dźwiękowa? – dodałam.

– Lubię Foo Fighters. Tak jak ty.

– Szczerze mówiąc, znam tylko kilka kawałków.

– Tak? A na ich koncerty chętnie chodzisz.

Spojrzałam na nią z ukosa i nie skomentowałam. Miałam nadzieję, że nie jedziemy w zbyt odległe miejsce, bo ta podróż z pewnością nie mogła należeć do najprzyjemniejszych. Wodziłam wzrokiem po mijanych zabudowaniach i starałam się stwierdzić, gdzie się kierujemy. Znałam dobrze okolice Opola, ale tereny w pobliżu Zamtuzaj jedynie oględnie.

– Muszę ci oddać, że aktorką jesteś świetną – odezwała się Ewa.

– Długo się przygotowywałaś do swojej życiowej roli?

Wbiłam w nią wzrok i poczekałam, aż na mnie spojrzy.

– Od kiedy mąż zaczął mnie bić.

– Ach...

– Ale właściwe przygotowania zaczęłam, kiedy uświadomiłam

sobie, że na mnie się to nie skończy. I że następny będzie mój syn.

Nie odpowiedziała, a jeśli poczuła jakiś żal, to nie dała tego po sobie poznać. Zbliżałyśmy się do rogatek miasta, a ja w końcu zaczęłam lepiej orientować się w okolicy.

– Nie mogłaś wybrać kogoś innego? – odezwała się po chwili.

– Nie.

– Dlaczego?

– Z różnych względów.

Na moment obróciła głowę w moją stronę.

– To nie wystarczy – rzuciła ostro.

– Musi – odparłam. – Bo nie zamierzam się przed tobą tłumaczyć.

– Jeśli nie przede mną, to przed kim? To moją tożsamość ukradłaś.

– Sama się jej zrzekłaś.

– Jasne.

– I nie zasługujesz na prawdę. Jest tylko jedna osoba, której byłam ją winna – odpowiedziałam i na powrót skupiłam się na widoku za oknem. – I ta osoba już ją usłyszała.

Ewa zaśmiała się cicho.

– Naprawdę masz czelność... – Urwała i prychnęła. – Przecież Damian nie ma nawet pojęcia o tym, że to ty kazałaś podłożyć tę pierwszą kasetę w jego nowym mieszkaniu.

Nie odzywałam się.

– Swoją drogą, jak to osiągnęłaś?

Wciąż milczałam.

– Mamy jeszcze trochę czasu – dodała. – Równie dobrze możesz mi powiedzieć to wszystko, co wcześniej mówiłaś Tomkowi.

Potrzebowałam chwili, by zreflektować się, że mówi o Prokockim.

– Zakładam, że już ci wszystko przekazał – odparłam.

– Nie miał okazji. Ma pełne ręce roboty.

– No tak.

– Przez ciebie – dodała, a potem ściszyła muzykę.

Nie mówiłam prawdy, kiedy wspomniałam jej, że znam tylko kilka kawałków Foo Fighters. Słuchałam ich zarówno podczas

przygotowywania się do mojej roli, jak i później. Teraz rozpoznałam The Line z ostatniego albumu. Dave Grohl śpiewał o tym, że prawda jest jak ciemna, brudna chmura nagle wyłaniająca się znikąd.

– Więc? – spytała Ewa. – W jaki sposób podrzuciłaś tę kasetę? Zrobiłaś to sama?

– Nie.

– Fakt, nie było cię wtedy w Opolu. Przekupiłaś kogoś? Może samego Bronowicza po tym, jak dowiedziałaś się, że Damian chce kupić od niego mieszkanie? Na pewno trzymałaś rękę na pulsie, wiedziałaś, co robi.

Skinęłam głową.

– To potwierdzenie?

– Tak – przyznałam.

– Czego konkretnie?

– Tego, że zapłaciłam Bronowiczowi. I zafundowałam mu miesięczne wakacje w Funchal.

– Gdzie?

– Na Maderze.

– Oczywiście – odbąknęła. – Musiałaś zadbać o to, żeby Werner go nie znalazł. Przynajmniej przez jakiś czas. Aż do momentu, kiedy osiągniesz to, co sobie zamierzyłaś.

Zrobiłam głośniej, sądząc, że w ten sposób dam jej do zrozumienia, jak małą ochotę miałam, by prowadzić dalej tę rozmowę.

– Bronowicz zgodził się bez problemu? – zapytała.

– Przekonałam go, że cała sprawa z VHS to taki żart na powitanie w nowym miejscu.

– Uwierzył?

– W to? Nie wiem. W opłacenie przelotu i miesięcznego pobytu na Maderze tak.

Ewa zaśmiała się, jakby rzeczywiście doceniała to, w jak szybki i niekłopotliwy sposób uporałam się z Bronowiczem. Prawda była taka, że nie wymagało to ani wielkich nakładów, ani inwencji. Stefan całe życie spędził w Opolu, nie trzeba

było wiele, bym przekonała go, że najwyższa pora, by zobaczyć

kawałek świata.

Zostawienie kasety i wpuszczenie Werna do piwnicy było śmiesznie małą ceną.

– Gdzie ją nagrywałaś? – zapytała Ewa, wrywając mnie z zamyślenia.

– Hm?

– Gdzie zarejestrowałaś ten materiał? Gdzie po raz kolejny mnie udawałaś, co? – sprecyzowała, jakby ta myśl w jakiś wynaturzony sposób sprawiała jej satysfakcję.

– W Niemczech.

– Tuż przed wyjazdem?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Damian cię nie rozpoznał? Nie domyślił się, że to ty, a nie ja?

– Nie – odparłam, wciąż skupiając się na widokach za oknem. Krótki pobyt w Zamtuzie wystarczył, bym doceniła nawet największą ruinę, zarośnięty trawnik czy nierówno ułożoną kostkę chodnikową.

– Brawo.

W końcu spojrzałam na Ewę.

– Jak to osiągnęłaś? – spytała.

– Na nagraniu niewiele widać. Kazałam zniekształcić obraz i zakłócić dźwięk. Na dobrą sprawę trudno rozpoznać, kto się wypowiada.

– Chyba że działa siła autosugestii.

– Mhm.

– Ułożyłaś jakąś nową, zgrabną historyjkę? – rzuciła, wciąż z lekkim uśmiechem. – Czy trzymałaś się poprzedniej wersji?

– Trzymałam się poprzedniej.

Ewa okazała teatralny podziw, choć nie było w tym ani cienia realnego uznania. Zagwizdała cicho, a potem zjechała z głównej drogi. Nie przekraczała dozwolonej prędkości, przez co jechałyśmy wolniej od innych uczestników ruchu.

– Naprawdę masz tupet – odezwała się. – Nie dość, że znów się pode mnie podszyłaś, to jeszcze przekonałaś Damiana, że to nagrana przeze mnie kasetka, zostawiona na jakimś zadupiu. Brawo. Naprawdę.

– Wern uwierzył w to tylko dlatego, że...

– Wern, Wern, Wern – ucięła i przewróciła oczami. – Kto wpadł na to określenie? Damian chce, żeby teraz tak do niego mówiono?

– Może.

Nie dała mi dokończyć, ale sama doskonale wiedziała, że gdyby tylko od początku Werner znał prawdę, żadnego elementu mojego planu nie mogłabym zrealizować. Owszem, to ja go wykorzystałam. Ale to ona stworzyła do tego warunki.

– Nieważne – odparła po chwili. – Teraz liczy się tylko to, żebyś zrobiła, czego od ciebie wymagamy.

Nie miałam ochoty potwierdzać, tym bardziej że widziałam, iż tego właśnie oczekuje.

– Jasne?

– Mhm – znów mruknięłam.

– Tylko dlatego wyszłaś z aresztu. I tylko dzięki temu możesz dostać syna z powrotem. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak – odparłam.

Zaparkowaliśmy pod starym peerelowskim budynkiem, bezpłciową bryłą, która stanowiła przypomnienie tego, jak przyćmioną egzystencję wiedliśmy w poprzednim ustroju.

Wyszłam z auta i przywitałam się z kobietą, która czekała przed bramą.

– Electra – przedstawiła mi się. – Wchodź. Nie mamy wiele czasu.

2

Tym razem to nie ja stworzyłam scenariusz. Wszystko, co miałam powiedzieć do kamery, ustalili Prokocki i Ewa. Zadbali o to, by tło było zbliżone do tego, na którym nagrywałam materiał znajdujący się na kasecie „3/15”. zaproponowałam, byśmy ten nowy nazwali „7/15”, a reszta się zgodziła.

Poprzednio też działałam w pośpiechu, ale szło mi znacznie lepiej. Głównie dlatego, że wówczas powtarzałam większość rzeczy, które już kiedyś Wernowi przedstawiłam. Teraz miałam

stworzyć zupełnie nową narrację.

Wciąż podając się za Ewę, miałam mówić o Kappie, Jonatanie i Dawidzie, wydarzeniach pod mostem Pajęczym, a potem o wszystkich skutkach tamtego pechowego dnia. Po kilku próbach w końcu udało mi się nagrać większość materiału tak, jak oczekiwała tego trójka przypatrujących mi się osób.

Ewa, Prokocki i Electra byli wyraźnie zadowoleni z efektu. Ja znacznie mniej.

– To się nie uda – powiedziałam.

– Musi – odparł podkomisarz. – I zrobisz wszystko, żeby tak było.

– Nie rozumiesz...

– Ty nie rozumiesz, że jeśli to nie pójdzie po naszej myśli, zadbam o to, żebyś straciła prawa rodzicielskie. Twój syn spędzi na Witosa nie kilka dni, ale parę lat.

Nie miał pojęcia, o czym mówił, ale w niczym nie umniejszało to powagi sytuacji. Wiedziałam, że jeszcze wiele dzieli mnie od tego, by zabrać Wojtka do domu. I na razie nie chciałam o tym myśleć.

Robiłam wszystko, by nie wyobrazić go sobie leżącego na szpitalnym łóżku, pod opieką zupełnie obcych osób. Racjonalna część mnie wiedziała, że nic mu nie grozi i ma najlepszą możliwą opiekę. Ta matczyzna, nieracjonalna część była gotowa zrobić wszystko, bym jak najszybciej sama mogła się nim zająć.

– Nagraj do końca – odezwała się Electra.

– Tak zrobię, ale...

– Bez żadnych ale – wtrącił Prokocki. – Po prostu to zrób. I niech to wypadnie przekonująco.

Postarałam się tak samo jak poprzednio. Ostatecznie jednak wciąż byłam pewna, że nawet wspięcie się na wyżyny zdolności aktorskich nie załatwi sprawy.

Nagrania trwały kilka dni. Po tym, jak w końcu na dobre wyłączyliśmy kamerę, Prokocki przyniósł mi butelkę prosecco. Popatrzyłam na nią ze wstrętem, ale dobrze wiedziałam, że to jedynie przejściowe. Odmówiłam, a on rozlał dwóm pozostałym kobietom. Ledwo zobaczyłam, jak alkohol dotyka ich ust, zmieniłam zdanie.

A po kilku łykach moja pewność siebie nagle wzrosła.

– Wern tego nie kupi – powiedziałam bez wahania.

– Poprzednio kupił – zauważyła Ewa.

– Bo dałam nagranie komuś, kto potrafił nałożyć na to efekty zakłóceń, artefaktów ze starego VHS i tak dalej... Teraz Damian dostanie czysty obraz, na którym od razu rozpozna po pierwsze inne miejsce, a po drugie mnie.

Widziałam, że w końcu coś do nich trafiło.

Wszyscy byli tak skupieni na swoim planie, że przestali choćby dopuszczać możliwość jakiegokolwiek zmiany. Arogancja by ich zgubiła, gdyby w porę się nie ocknęli.

– W takim razie to samo zrobimy z tym materiałem – odrzekł podkomisarz. – Znajdę kogoś, kto będzie w stanie ponakładać te efekty.

– W ostateczności możemy po prostu uszkodzić kasetę – podsunęła Electra.

Prokocki wydawał się sceptyczny.

– W ostateczności – zgodził się.

Od kilku dni bacznie obserwowali Damiana, śledzili każdy jego krok. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie będzie próżnował i mimo że w tej chwili tak naprawdę gonił za własnym ognem, sytuacja szybko mogła się zmienić.

I tak się stało.

To Ewa odkryła, że wraz z Klizą wrzucili na jeden z profili spotted zdjęcia wykonane w Kappie. Pytali o to, czy ktoś rozpoznaje przedstawione tam osoby, ale w morzu durnych komentarzy nie pojawił się ani jeden pomocny.

Potem nastąpił przełom. Karolina Falkowska, którą znałam jedynie dlatego, że kazali mówić mi o niej na nagraniu, oznaczyła Andrzeja Kałwaka.

Zamarłam na widok tego imienia i nazwiska.

Oczami wyobraźni zobaczyłam wewnątrz Zamtuza. Niewielkie pomieszczenie, w którym rozegrał się mój osobisty horror. I człowieka, który mi go zgotował.

– Co to ma znaczyć? – zapytałam Ewy.

Siedziałyśmy same przy komputerze w piwnicy. Byłam pewna,

że jeśli nikt mnie nie powstrzyma, wyciągnę z niej prawdę.

Ona jednak obróciła się przez ramię i krzyknęła:

– Tomek!

Prokocki zjawił się natychmiast, zbiegając po schodach. Tuż za nim przybiegła Electra. Oboje wyglądali na zaniepokojonych, jakby spodziewali się, że rzuciłam się z pięściami na Ewę. Kiedy zobaczyli, że nic jej nie grozi, odetchnęli.

Przynajmniej do momentu, kiedy pokazała im to, co widniało na profilu.

– Niech ją chuj... – wycedziła Electra. – Co ta durna pinda odstawia?

– Najwyraźniej ma zaćmienie umysłu – rzuciła Ewa.

– Od kiedy się urodziła.

– Uspokójcie się – polecił Prokocki, nachylając się nad komputerem. – I niech ktoś do niej zadzwoni i każe natychmiast to usunąć. Do Andrzeja też. Niech skasuje konto, jeśli nie chce mieć problemów.

Problemów? Na Boga, byłam gotowa zgotować temu człowiekowi piekło na ziemi, a tymczasem przebywałam w jednym pomieszczeniu z osobami, które zamierzały go chronić.

– Zaraz... – zaczęłam.

– Poczekaj moment – rzucił Prokocki. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Do Karoliny Falkowskiej nie udało im się dodzwonić, znacznik wisiał na profilu jak burzowa chmura, która zaraz się nad nami wszystkimi oberwie. Udało im się jednak szybko skontaktować z Kałwakiem. Ten od razu usunął konto.

Czekałam na wyjaśnienia, wbijając wzrok w Prokockiego. Po zażegnaniu kryzysu przysiadł na skraju biurka i powoli zaczął mi tłumaczyć, że Kałwak to brat Dawida.

Fotograf amator, który kiedyś zgodził się wykonać sesję dzieciakom z Kappy, a obecnie strażnik, który jakiś czas temu poprosił o przeniesienie do konkretnego oddziału w Zamtuzie.

Nie musiał dodawać nic więcej. Wiedziałam, że jeśli Prokocki przedstawił mu przynajmniej część swojego planu, miał w nim gotowego do współpracy pomocnika. Może obiecał mu, że po

latach wyjawi prawdę o tym, co stało się z Dawidem. Może przedstawił mu jakąś inną wersję.

Jasne jednak było, że to Prokocki odpowiada za to, co mi się przydarzyło.

To on dokonał tego gwałtu na mnie. Nie czynem, ale słowem.

Nie miałam jednak zamiaru słuchać jego wyjaśnień ani zaprzeczeń. Prędzej czy później z pewnością sformułowałby te drugie i próbował przekonać mnie, że nie miał z działaniami Kałwaka nic wspólnego.

Wiedziałam lepiej.

Zamiast na słowach Prokockiego, skupiłam się na rozmowie Electry z Falkowską. Kiedy podkomisarz zorientował się, że w końcu udało się skontaktować z Karoliną, szybko uciął temat Kałwaka.

– Usunęła znacznik? – zapytał nerwowo.

– Tak.

– Werner się z nią skontaktował?

Electra skinęła głową i zaciśnęła usta.

– Dlaczego ta kretynka w ogóle oznaczyła Kałwaka? – syknął.

– Nie pomyślała.

– Daj ją na głośnik – polecił Prokocki, pocierając nerwowo kark.

Przez lekkomyślność Falkowskiej sprawy wymykały mu się z rąk. Jego plan nie był jeszcze gotowy, a to jedno oznaczenie na Facebooku mogło wszystko wykoleić. Szczęśliwie dla niego ci ludzie mu ufali. I byli gotowi zrobić wszystko, co polecił.

– Halo? – spytała Falkowska.

– Gdzie jesteś? – rzucił podkomisarz.

– W pracy. Mam...

– Spotkałaś się z Wernerem? Rozmawiałaś z nim?

– Jeszcze nie – odparła posłusznym, choć jednocześnie rozkapryszonym tonem. – Ma przyjechać tutaj, do Maca. Chce, żebym opowiedziała mu o Kappo Werde i... – Urwała i zakaszła.

– Nic mu nie powiem, wiadomo.

– Nie – uciął Prokocki. – Powiesz mu, co wiesz.

– Ale... że co?

Jedno musiałam mu oddać – potrafił działać naprawdę szybko,

przystosowując się do zmieniającej się sytuacji. Doświadczenie policyjne być może nie robiło wielkiego wrażenia w CV, ale w życiu sprawdzało się wzorowo.

Kazał Falkowskiej powiedzieć, że zapamiętała Kałwaka, bo miał śmieszne nazwisko.

– Na tych zdjęciach cię nie ma, więc powiesz, że nie było cię wtedy w Antoniówce.

– Dobra.

– I dodasz, że kręciliście tam raczej filmy. Zdjęcia robiliście tylko raz. Zapamiętasz?

– No tak, ale...

– Ale co?

– Co mam powiedzieć, jak zapytają, czemu mam Kałwaka w znajomych?

– Że nie wiedzą, jak działa Fejs – odparł przez zęby Prokocki, a ja odniosłam wrażenie, że miał ochotę uderzyć pięścią w komórkę. – Dodaj, że to on wysłał ci zaproszenie, a ty przyjmujesz wszystkie jak leci. Cokolwiek.

– Dobra – mruknęła. – Co potem?

– Wieczorem przyjedź do mnie na komendę.

– I?

– Poinstruuję cię.

Nie miał zamiaru dodawać nic więcej. Rozłączył się, a potem rozłożył bezradnie ręce. Nawet bez tych gestów, znaczących spojrzeń wszystkich zebranych i tonu, w jakim wypowiadali się o Falkowskiej, dobitnie odczuwałam, że jest czarną owcą w grupie.

Kolejną godzinę lub dwie spędziliśmy na pracy nad nagraniami. Electra starała się znaleźć kogoś, kto mógłby nałożyć na nie odpowiednie efekty, ale jej starania nie przyniosły żadnego skutku. Wyglądało na to, że sami będziemy musieli uszkodzić taśmę i liczyć na to, że uchowa się wystarczająca część materiału, by Wern mógł zrozumieć całą sytuację.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, wszyscy zamarliśmy.

– Spodziewasz się kogoś? – spytał Prokocki.

Electra pokręciła głową, a podkomisarz przez moment się

namyślał, po czym ruszył na górę. Reszta poszła w jego ślady, ja również. Kiedy podeszliśmy do okna, Prokocki zaklął.

– Co ona tu robi? – syknął.

Zerknęłam przez firanek i zobaczyłam Falkowską, która z telefonem w dłoni kręciła się tuż przed płotem.

– Najwyraźniej panikuje – rzuciła Electra.

– I dzwoni do kogoś – dodała Ewa.

Prokocki sprawdził komórkę i skwitował sytuację siarczystym określeniem najstarszego zawodu na świecie.

– Rozładowała się – oznajmił, a potem spojrział na Electrę. – Sprawdź, czy ta tępa strzała nie dzwoniła do ciebie.

Jak na zawołanie chodząca nerwowo przed domem Karolina przyłożyła telefon do ucha, a zaraz potem rozległ się dzwonek Electry. Odebrała od razu i znów włączyła głośnik. Trzymając przed sobą komórkę, jakby ta budziła w niej wstręt, z niepokojem obserwowała Falkowską.

– Halo! – krzyknęła Karolina.

– Co ty tu robisz, do cholery?

– Nie mogę czekać do wieczora, tych dwoje wie za dużo.

– To znaczy?

– Powiem ci wszystko, jak się zobaczymy. Gdzie jesteś?

– W domu.

– To weź mi, kurwa, otwórz!

Electra ruszyła w kierunku drzwi, ale Prokocki natychmiast złapał ją za rękę i zatrzymał. Szarpnął ją mocno, jakby miał zamiar się na niej wyładować, a potem jeszcze raz wyjrzał za okno.

– Co jest? – spytała. – Coś nie tak?

– Rzecz w tym, że nie wiem.

– Podejrzewasz ją o...

– O nic poza brakiem roztropności – uciął.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale po chwili także do niej dotarło, jak tragiczne w skutkach mogłoby być to, gdyby ktoś trafił na trop Electry. W jej domu znajdowały się wszak dwie osoby absolutnie kluczowe dla realizacji planu.

Prokocki skinął na mnie ręką, a potem bez słowa ruszył

w stronę wyjścia na taras na tyłach budynku.

– Powiedz Falkowskiej, żeby podjechała w jedną z bocznych uliczek – rzucił. – Tam się z nią rozmówimy.

Moment później znaleźliśmy się w samochodzie Electry, a on wezwał jednego z funkcjonariuszy, który patrolował okolicę. Nie miałam wątpliwości, że ściągnął go tutaj już wcześniej, na wszelki wypadek.

– Nie przesadzasz? – zapytałam, kiedy zapuścił silnik.

– Nie.

– Ona nie stanowi żadnego zagrożenia – zauważyłam. – Może nie jest przesadnie rozgarnięta, ale z pewnością nieszkodliwa.

– To się okaże.

Ruszyliśmy w kierunku jednej z mniejszych uliczek, po czym skierowaliśmy się ku rzędowi starych, zapuszczonych garaży. Punto Falkowskiej już na nas czekało. Podjechaliśmy bliżej, zatrzymaliśmy się maska w maskę, a Prokocki chwycił za kłamekę. Zawahał się.

– Niech ich chuj – rzucił.

Potrzebowałam tylko chwili, by zrozumieć, kogo ma na myśli. Kawalek za fiałem stała charakterystyczna skoda felicia. W środku dostrzegłam Werna, ale nie przypuszczałam, by z takiej odległości, zasłonięty innym autem, mógł mnie dojrzeć.

– I? Nie mówiłem? – rzucił nerwowo podkomisarz. – Ta idiotka ściągnęła tutaj ogon.

Podkomisarz wydał kilka krótkich komend czekającemu na nie podwładnemu, a ja starałam się jakoś oswoić z sytuacją. Kiedy pierwsze emocje opadły, poczułam, że lekko się uśmiecham. Natychmiast się jednak zmytygowałam.

Nie wiedziałam, co kazało Damianowi nie spuszczać Falkowskiej z oczu, ale najwyraźniej dostrzegł więcej, niż Prokocki zakładał. To nieco komplikowało plan, zarazem jednak dostarczało mi pewnej satysfakcji.

Sprawiło też, że serce zabiło mi szybciej. Mogłam wyrzeć przez okno i zobaczyć Werna. Był kilkadziesiąt metrów ode mnie, niemal na wyciągnięcie ręki. Jednocześnie miałam świadomość, że dzieli nas o wiele, wiele więcej.

Kiedy funkcjonariusz wezwany przez Prokockiego przystąpił do działania, podkomisarz natychmiast dał znak Karolinie, że pora odjeżdżać. Wycofał, wcisnął mocno pedał gazu, a ona szybko pojechała za nami.

Zerknęłam jeszcze w tylne lusterko. Nie byłam przekonana, czy słusznie postępuję.

Na tym etapie niewiele już mogłam zmienić, ale może na początku podjęłam złą decyzję? Stałam właściwie przed prostym wyborem: albo oni, albo Wern. Mogłam wybrać tę drugą opcję i próbować wspólnie z nim jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

Może nawet udałoby nam się wszystko ułożyć.

I być razem? Nie, to była zwykła utopia. Po pierwsze, nie potrafiłam związać się z kimkolwiek, po drugie, byłam ostatnią osobą, do której Wern mógłby coś czuć. Prócz żalu i nienawiści.

W pewnym momencie Prokocki położył mi rękę na ramieniu. Wzdrygnęłam się, jakby ktoś przytknął mi rozgrzany metal do skóry.

Tyle wystarczyło, by natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Każdy, nawet najmniejszy dotyk powodował, że przypomiąłam sobie horror, który przeżywałam z Robertem. I to, co później spotkało mnie w więzieniu.

Zamknęłam oczy, ale szybko je otworzyłam, kiedy nudności się nasiliły.

Podkomisarz patrzył na mnie z obojętnością, a ja uświadomiłam sobie, że z punktu widzenia większości ludzi jestem tylko elementem w statystykach. Jedną z wielu zgwałconych lub wykorzystanych seksualnie kobiet.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego to właśnie na nas pada akcent w tych mrozących krew w żyłach zestawieniach. Dlaczego zamiast o nas nie mówi się o mężczyznach, którzy gwałcą? Mężczyznach, którzy wykorzystują seksualnie? Dlaczego statystycy podliczają ofiary, a nie sprawców?

– Brakuje ci go, co? – spytał Prokocki z przekąsem.

– Może.

– W takim razie...

– To nie ma znaczenia – przerwałam mu. – Żadnego. Zrobię to,

co postanowiłam.

Przez moment lustrował mnie uważnie, a ja poczułam, że podaje w wątpliwość moją determinację.

– Jesteś pewna? – odezwał się.

– Całkowicie.

Po powrocie do domu Electry nie musieliśmy dłużej się nad niczym zastanawiać. Fakt, że Werner tutaj dotarł, kazał nam wszystko przyspieszyć. Tym bardziej że jakiś czas później znów zjawili się z Klizą pod budynkiem. Zaparkowali w tym samym miejscu i czekali. Zapewne na to, aż zjawi się gospodarz.

My tymczasem przystąpiliśmy do dzieła.

3

Electra odczekała około półtorej godziny, zanim opuściła dom. Skorzystała z tylnego wyjścia, skierowała się na pobliski przystanek i ruszyła z powrotem, jakby właśnie wysiadła z autobusu. Kluczowe było, by dała Wernowi jasno do zrozumienia, że istnieje jakaś tajemnica z przeszłości, której nikt z Kappy nie może zdradzić. By naprowadziła go na trop, ale nie dawała mu zbyt wiele. Resztę musiał odkryć sam, by nasz plan wypalił.

Prokocki w tym czasie pojechał na Daszyńskiego z kasetą. Nie mieliśmy czasu odpowiednio jej przygotować, ale po pobieżnym sprawdzeniu zakłóceń on i Ewa uznali, że są wystarczające.

Podkomisarz nie miał klucza do piwnicy, ale z dostaniem się do niej nie było problemów. Odkręcił kilka śrubek, zdjął zatrzask, a po podłożeniu taśmy do pudła zostawił jedną ze śrub poluzowaną, by Damian i Kliza nie mieli problemu ze sforsowaniem zabezpieczenia.

Wiedzieliśmy, że udadzą się tam jakiś czas po rozmowie z Electrą. Miała im oznajmić, że Stefan Bronowicz był kościelnym w parafii ojca Antoniego. Była to oczywista bzdura, ale nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się to, że tym sposobem skierujemy Werna na odpowiedni trop.

Byłam zadowolona z faktu, że pozwolili mi opatrzyć kasety etykieta „7/15”. Oprócz niej Damian znajdzie w pudle kilkanaście innych i w pierwszej chwili z pewnością pomyśli, że to cała historia, którą Ewa dla niego nagrała.

Tyle że nie było żadnej historii, a mój napis na kasecie był tylko wskazówką. Nie wiedziałam, czy słusznie robię, umieszczając ją tam – ani tym bardziej, czy Werner ją zrozumie. Czułam jednak, że muszę podjąć jakieś kroki. Nawet jeśli działałam przeciwko samej sobie.

Po powrocie na Wojska Polskiego Prokocki polecił, bym skontaktowała się z Damianem.

– Zwariowałaś? – zaproponowała Ewa. – Już raz prawie nas tu znalazł, a ty chcesz ponownie ryzykować?

– To nie będzie wiązało się z żadnym ryzykiem.

– Tak się tylko wydaje.

– Nie – wtrąciłam. – Bo użyjemy RIC.

Podkomisarz pokiwał głową z zadowoleniem, a potem wskazał mi miejsce przed komputerem. Nalał mi kieliszek prosecco i ponaglił mnie ruchem ręki. Poczułam się osobliwie, jakbym zatoczyła koło i znów znalazła się na poddaszu willi w Rewalu.

Mimo to zrobiłam wszystko, co polecił Prokocki. Wypytałam Werna o to, skąd ma wszelkie informacje, udawałam, że sama nie wiem zbyt wiele, a na koniec zapewniłam go o tym, że robię wszystko jedynie po to, by mu pomóc.

Nie skłamałam. Może i nasz plan był skierowany przeciwko niemu, ale ostatecznie on także na nim korzystał. Tyle że nigdy nie będzie tego świadomy, bo nigdy nie pozna całego obrazu.

Chyba że zrozumie, co znaczy napis na kasecie. Uświadomi sobie, że nie ma ich piętnastu, a więc oznaczenie musi odnosić się do czegoś innego. Do ostrzeżenia przed fałszywymi apostołami.

Uważnie śledziliśmy, co robią Wern i Kliza. Spodziewaliśmy się, że po obejrzeniu taśmy przystąpią do działania, i mogliśmy

przewidzieć, do czego będzie się sprowadzało. Woleliśmy jednak nie spuszczać ich z oczu nawet na chwilę.

Wprawili nas w konsternację, kiedy postanowili wrócić na Wojska Polskiego. Zaparkowali tam, gdzie ostatnio, nieopodal wejścia do domu Electry, a potem opuścili felicię.

– Co oni tu robią? – spytała z niepokojem Ewa.

Skupiłyśmy wzrok na Procockim, przyzwyczajone, że to on ma wszystkie odpowiedzi. Tym razem wyglądał jednak na równie zbitego z tropu.

– Nie wiem – odparł, a potem zerknął na Electrę, nerwowo się zastanawiając. W końcu na coś wpadł. – Nadal masz dobre relacje z sąsiadem?

– Którym?

– Tym, co wygląda, jakby ktoś zostawił go w oknie życia na siłowni.

– Dość dobre.

– To poproś go, żeby pogonił tę dwójkę – polecił podkomisarz. – Powiedz, że nie chcą dać ci spokoju.

Mówił na tyle rozgorączkowanym tonem, że Electra nie zwlekała. Szybko zadzwoniła do sąsiada, a ten zapewnił, że wytłumaczy wszystko dobitnie dwójce namolniaków.

Przyglądaliśmy się sytuacji z okna na piętrze i zgodnie z zapewnieniami sąsiada Kliza i Damian szybko musieli zrezygnować z prób skontaktowania się z Electrą. Wrócili do samochodu, ale odjechali dopiero wtedy, kiedy sąsiad ruszył w ich stronę.

– To bez sensu – odezwałam się.

Ewa i Electra popatrzyły na mnie pytająco.

– Co oni tu robili? – dodałam, kręcąc głową. – Jeśli obejrze kasetę do końca, powinni...

– Może chcieli upewnić się, że to prawda – zauważyła Electra.

– Jeśli tak, to w następnej kolejności spróbują skontaktować się z Falkowską.

Znów popatrzyłyśmy na Procockiego, ten jednak stał bez słowa przy oknie i się zastanawiał.

– To może być problem – dodała Ewa. – Niewiele trzeba, żeby

coś chlapnęła.

– Więc co robimy? – spytała Electra.

Żadne z nas nie miało dobrej odpowiedzi, więc uznaliśmy, że najroztropniej będzie poczekać. Nie trwało to długo. Wern i Kliza rzeczywiście skierowali się prosto na Częstochowską, do McDonalda.

Karolina zrelacjonowała nam tę przepychankę zaraz po tym, jak wyszli z restauracji. I od razu zrozumieliśmy, że cały nasz plan wziął w łeb.

– Kasetą musiała być uszkodzona bardziej, niż sądziliśmy – odezwałam się. – Inaczej nie pomylili by Falkowa z Falkowskim.

Spojrzałam z pretensją na pozostałych, choć na dobrą sprawę nikt nie powinien od nich wymagać, żeby w tak krótkim czasie udało im się dokonać tego, za co zapłaciłam niemałe pieniądze specjaliście w Norymberdze.

– Sprawdzaliście w ogóle to nagranie? – spytałam.

– Tak – potwierdziła Ewa. – I było dość zniekształcone, ale dało się coś zrozumieć.

– Coś?

– Nie mieliśmy za wiele czasu, żeby sprawdzić całość... wybraliśmy tylko fragmenty.

– Na chybił trafił?

Skinęła lekko głową, a ja pomyślałam, że taśma być może przeskakiwała przez najbardziej zniszczone miejsca i zatrzymywała się tam, gdzie obraz i dźwięk były najlepsze. Nie pamiętałam już, czy taka prawidłowość zachodziła na starych VHS-ach, ale wydawało mi się to logiczne.

– Jeśli rzeczywiście nie odtworzyli całości nagrania, to mamy kłopot – odezwała się Ewa.

– Spokojnie – uciął Prokocki. – Wszystko da się uratować. Takie kasety także.

– Pytanie, czy uda im się w porę?

Policjant jeszcze przez moment nas uspokajał i wyglądało na to, że sam nie pozoruje swojego opanowania. Znikło jednak natychmiast, kiedy tylko otrzymał informację z komendy, że jakaś kobieta starała się dowiedzieć, czy Jonatan Falkow jest dziś

na służbie.

– A więc zrozumieli, że nie chodzi o żadnego Falkowskiego – mruknęła Electra.

– Tyle że wygląda na to, jakby nic więcej nie wiedzieli – skwitowała Ewa. – A to może być problematyczne.

– Bo?

– Bo pytali o Falkowa nie bez powodu. Zamierzają z nim porozmawiać.

Podeszła do Prokockiego i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Musisz ich powstrzymać – powiedziała. – Inaczej wszystko przekreślą.

– Wiem.

Spokój znów wrócił na jego oblicze.

– Masz jakiś pomysł?

– Całkiem prosty. Zatrzymam ich przed komendą.

– I?

– Ustalę, jak wiele udało im się odkryć, a resztę dopowiem.

– To nic nie da – włączyła się Electra. – Możesz gadać do woli, ale ostatecznie Damian ci nie uwierzy. Przez ostatni rok wmawiałeś mu, że Ewa nie żyje.

Główna zainteresowana zrobiła głęboki wdech.

– Zabierz ich pod most Pajęczy – zaproponowała. – Niech Antoni wszystko im wyjaśni.

– Jemu też mogą nie uwierzyć.

Electra miała rację i żadne z nas w najmniejszym stopniu w to nie wątpiło. Za moją sprawą Wern przejechał się już tak bardzo na słowach innych, że nie będzie gotów dać wiary historii przedstawianej przez księdza.

– Musisz sama to wszystko potwierdzić – rzuciłam.

Ewa popatrzyła na mnie niepewnie. Zaproponowała, sprzeczałyśmy się przez chwilę, ale ostatecznie przyznała, że faktycznie nie ma innego wyjścia. Prokocki zaakceptował plan, po czym pojechał do centrum, by powstrzymać Werna przed najgorszym błędem, jaki mógł w tej sytuacji popełnić.

Umówiliśmy się w miejscu, gdzie lata temu wpadł do wody Dawid Kałwak, mimo że Ewa wciąż zdawała się nieprzekonana,

czy to dobry pomysł. Miałyśmy wyjść zaraz po Prokockim, ale im więcej czasu mijało, tym mniej racjonalnie się zachowywała. Zaczęła panikować, twierdziła, że to błąd, że spotkanie z Damianem doprowadzi do tragedii i wszystko, na co pracowała przez te wszystkie lata, obróci się wniwecz.

Dostała ataku paniki, który znałam z autopsji zbyt dobrze.

– Zostaw nas – odezwałam się do Electry. – Jedź po Karolinę, a potem czekajcie na nas na Bolko.

– Ale...

– Zaczniście bez Ewy – uparłam się. – A ona potem do was dołączy.

Dostrzegałam w jej oczach wahanie i brak zaufania, ale w końcu udało mi się ją przekonać, że to jedyne sensowne rozwiązanie. Wyszła z domu, a ja i Ewa zostałyśmy same. Czułam się nieswojo, ona zapewne też.

Stopniowo udało mi się ją nieco uspokoić – głównie dzięki zaufaniu, jakim darzyła Prokockiego. Zapewniłam ją, że skoro on zaakceptował tę taktykę, to nie ma się czym przejmować. Potem przez kilkanaście minut tłumaczyłam jej, że jeśli tylko coś pójdzie nie tak, zabiorę ją stamtąd.

– Będę czekała z włączonym silnikiem tuż za mostem. Wystarczy, że wejdiesz po wale, i odjedziemy.

Kręciła się po kuchni, szukała czegoś w lodówce, potem otwierała szafki i szuflady. Nie wiedziałam, czy naprawdę próbuje coś znaleźć, czy poddaje się kompulsywnym, nieracjonalnym zachowaniom. W końcu przestała i odwróciła się w moją stronę.

Uspokoili się, ale nadal patrzyła na mnie w sposób, którego nie mogłam rozszyfrować. Coś pobłyskiwało w jej oczach. Złość? Niewypowiedziany wyrzut? Nie mogłam przesądzić.

– Na ile mogę ci ufać? – spytała.

– Na tyle, na ile robi to Prokocki.

Miałam nadzieję, że to wystarczy.

– Skąd mam wiedzieć, że nie odjedziesz, jak tylko się nas pozbędziesz? – dodała.

– Dobrze wiesz, że nie mogę.

– Możesz. Wyszłaś z aresztu, Tomek załatwił już wszystkie formalności. Jesteś wolna.

– Ale mój syn nie.

– Nikt ci go nie zabierze – zauważyła. – Możesz po prostu pójść do szpitala i go wypisać.

W teorii być może rzeczywiście nie było to skomplikowane. W praktyce oznaczało, że w oczach Prokockiego stałabym się wrogiem numer jeden. Nie, nie mogłam ryzykować. Musiałam doprowadzić tę sprawę do końca. Dla Wojtka. I dla Werna.

Wy tłumaczyłam jej to na tyle, na ile potrafiłam. I wyglądało na to, że koniec końców moje zapewnienia okazały się wystarczające.

Wsiadłyśmy do samochodu Electry, tego samego, którym Ewa przyjechała po mnie pod Zamtuz. Tym razem jednak ja prowadziłam.

Skierowałyśmy się na wyspę. Do kluczowego miejsca było stąd niedaleko i przypuszczałam, że na moście Pajęczym znajdziemy się za niecałe dziesięć minut.

Niewiele czasu. Przynajmniej w teorii.

W praktyce okazało się to niemal wiecznością. Dopóty, dopóki starałam się przemówić Ewie do rozsądku, żadna z nas nie była do końca świadoma, że zostałyśmy same. Na dobre uzmysłowiłyśmy to sobie dopiero w samochodzie.

Ona spojrzała na mnie bez słowa, ja zrobiłam to samo. Mimo że nasze twarze nie wyrażały absolutnie żadnych emocji, obie czułyśmy, że te w nas buzują.

Kiedy z głośników dobiegł dźwięk tej samej piosenki, którą słyszałyśmy podczas podróży z aresztu śledczego,

wzdrygnęłam się. Miałam wrażenie, że atmosfera stała się gęsta jak stopiony ołów.

– Powiesz mi jedną rzecz? – odezwała się Ewa.

– Jasne.

Mój lekki ton głosu wydał mi się niemal komiczny. Zdawałyśmy sobie doskonale sprawę z tego, że kiedy dotrzemy na Bolko, nasze relacje nie będą już takie same. W tym kontekście dziesięć minut rzeczywiście było wiecznością.

– Twój plan zawsze zakładał ucieczkę z Glazurem?

– Tak – odparłam bez wahania.

Pokręciła głową, jakbym źle ją zrozumiała.

– Wiem, że starannie ułożyłaś to wszystko na długo, zanim przystąpiłaś do realizacji... – powiedziała, wpatrując się przed siebie. – Ale mam na myśli to, czy później... no...

Zawiesiła głos, licząc na to, że dokończę.

– Nie zmieniłaś zdania? – wydusiła. – Nawet na moment?

– W jakim sensie?

– No wiesz...

– Nie.

– Uciekłaś z Damianem od męża, mieliście ze sobą Wojtkę, zabraliście pieniądze... – kontynuowała. – Nie przeszło ci przez myśl, żeby go ostrzec?

– Przed sobą?

Zaśmiała się, ale nie było w tym ani trochę wesołości.

– Przed tym, co miało go spotkać – powiedziała.

– Innymi słowy, pytasz, czy nie rozważałam, żeby wystawić Glazura i uciec z Wernem?

– Tak. Właśnie tak.

Czułam, że nawet najbardziej stanowcze zaprzeczenie jej nie przekona. Ułożyła już w głowie swoją własną interpretację tego, co się stało.

– Nie – odparłam po chwili. – Wtedy o tym nie myślałam.

– Ale później tak? – spytała i ożywiła się. – Żałowałaś tego, co zrobiłaś?

Brzmiało to, jakby to pytanie stawiała sobie, a nie mnie.

– Żałowałam wielu rzeczy – odparłam oględnie.

– Tego też, prawda? Z perspektywy czasu zrozumiałaś, że to był błąd?

Spojrzałam na nią badawczo.

– Dlaczego tak ci zależy na tym, żeby to wiedzieć? – zapytałam.

– Jestem po prostu ciekawa.

– Może nie powinnaś być.

Wrogość w moim głosie zaskoczyła nawet mnie. Owszem, nie pałałam do Ewy sympatią, ale potrafiłam przecież trzymać nerwy

na wodzy. Tym razem jednak niewiele było trzeba, bym straciła równowagę.

- Chyba trafiłam w czuły punkt – odezwała się.
- Wygląda na to, że tak.

Na moment zamilkłyśmy, oddając głos Dave'owi Grohlowi. Leciąca właśnie tytułowa piosenka z albumu Concrete and Gold. Psychodeliczna, przywodząca na myśl najlepsze numery Pink Floyd. Wielogłos wokalu wprowadzał zamęt w umyśle słuchacza, niemal jak mnogość myśli kłębiących się w mojej głowie. Sam kawałek w dodatku zaczynał się od przyznania się do utraty rozumu.

– Zmieniłabyś coś? – odezwała się Ewa. – Gdybyś mogła cofnąć czas?

- Zapytaj raczej, czy jest coś, czego bym nie zmieniła.
- Rozumiem.

– Przeceniłam swoją siłę – rzuciłam nagle, choć zupełnie nie planowałam się przed nią otwierać. – Wydawało mi się, że jakoś poradzę sobie z tym, co zrobił mi Robert.

Dlaczego jej o tym mówiłam? Może podświadomie chciałam wzbudzić w niej współczucie? Podjąć próbę przekonania jej, że nie jestem taka zła, jak sobie to wyobraża? Szukałam jej akceptacji?

Najpewniej wynikało to po części z każdej z tych rzeczy. Wprawdzie nie znałam prawdziwej Ewy, ale dogłębnie zaznajomiłam się z własnym wyobrażeniem o niej. Tak naprawdę przecież na jakiś czas stałam się właśnie tą wersją niej.

- Zespół stresu pourazowego? – zapytała wprost.
- Chyba tak. Choć niezdiagnozowany.

Nie musiałam dodawać, że nie szukałam nigdzie pomocy, bo byłam przekonana, że nikt nie będzie w stanie mi jej udzielić. Ewa doskonale o tym wiedziała. Z pewnością znała to z autopsji.

– Ilekroć Glazur choćby próbował się do mnie zbliżyć, dotykał mnie...

Urwałam i potrząsnęłam lekko głową, starając się skupić na drodze. Rozpadało się jeszcze bardziej i musiałam włączyć wycieraczki na najwyższy tryb. Ewa milczała, jakby uznała, że nie

powinna mnie ponaglać.

– Nie byłam w stanie tego znieść – dodałam. – Każdy dotyk był jak przypomnienie razów Roberta.

– Domyślam się.

– Długo próbowałam się z tym uporać, ale ilekroć się do mnie zbliżał, ilekroć choćby patrzył mi w oczy, miałam wrażenie, jakbym znów miała przed sobą Roberta. Udaję, że jest normalnym, kochającym mężem. Czekał tylko, by zapadł zmrok i by mógł pokazać swoją prawdziwą twarz.

Nabrałam tchu i uświadomiłam sobie, że oddycham nierówno. Potem zerknęłam na Ewę.

– Wiesz, jaką funkcję zdaniem wielu naukowców pełnią sny? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Mają odrzucić nasze wspomnienia z emocji. Sprawić, że nasz umysł będzie pamiętał o tym, co nam się przydarzyło, ale nie będzie tym obciążony.

– Sensowne.

– Bardzo, jeśli uświadomisz sobie, że ilekroć zasypiasz z jakimś problemem, raniem wydaje ci się on przynajmniej o połowę mniejszy – odparłam. – Przy zespole stresu pourazowego ta funkcja szwankuje.

– Coś o tym wiem.

– W normalnej sytuacji koszmar pełni więc rolę oczyszczającą – ciągnęłam. – W moim nie.

W naszym? Chyba tak powinnam to ująć.

– Mózg próbuje to jakoś naprawić, więc powtarza cały proces. Wyświetla koszmarne obrazy, które mają sprawić, że dojdzie do oczyszczenia, ale rezultat jest zupełnie odwrotny.

– Tak jakby system włączał się cały czas na nowo z nadzieją, że się zresetuje?

– Coś w tym stylu.

Ile nocy w trakcie ostatniego roku mogłam zaliczyć do udanych? Niewiele. Większość kończyła się albo tym, że nie spałam wcale, albo pobudką w mokrej od potu pościeli. Glazur również ciężko to znosił. Miałam wrażenie, że mój krzyk w nocy

wyrywał go nie tylko ze snu, ale także z marzeń. Ze złudnego przekonania, że możemy mieć normalne życie.

Nie mogłam znieść ani jego obecności, ani świadomości tego, co mu zabieram. Długo próbowałam poradzić sobie z jednym i drugim, ale ostatecznie dałam za wygraną. Skupiłam się wyłącznie na Wojtku, całą swoją egzystencję sprowadziłam do dbania o niego. I byłam przekonana, że tak będzie wyglądało moje życie – aż do momentu, kiedy porwano mojego syna.

– Kasandra?

Uświadomiłam sobie, że moje myśli zdryfowały w niepokojącym kierunku.

– Tak? – odezwałam się i odchrząknęłam. – Pytałaś o coś?

– Nie, ale minęłaś zjazd.

Spojrzałam w lusterko, zaklęłam, a potem zjechałam na pobocze. Zamierzałam od razu zawrócić, ale jadący z naprzeciwka samochód mi to uniemożliwił. W tej sytuacji powinnam pochwalić się za to, że w ogóle go dostrzegłam.

– Myślisz, że z Damianem byłoby inaczej? – odezwała się Ewa.

– Nie wiem.

Przyjrzałam jej się uważnie i odniosłam wrażenie, że powinnam zadać jej dokładnie to samo pytanie. Zmarszczyłam czoło, przegapiając moment, w którym mogłam włączyć się do ruchu.

– Sama się nad tym zastanawiasz, prawda? – odezwałam się. – Co by było, gdybyś z nim została?

– Czasem.

– Potrafisz znaleźć odpowiedź?

Ewa uśmiechnęła się lekko.

– Wydaje mi się, że obydwie ją znamy – odparła.

Teoretycznie mogło to znaczyć właściwie wszystko, ale nie dla nas. Wydawało mi się, że w tym momencie rozumialiśmy się lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Życie każdej

z nas legło w gruzach z innych przyczyn, ale rezultaty były podobne. Pogorzeliśko, na którym dogasała nasza przyszłość, było terenem dobrze nam znanym.

Uśmiechnęłam się przewrotnie w duchu na tę myśl. W końcu jakimś cudem znalazłyśmy wspólny język.

Zawróciłam, a potem skierowałam się w stronę mostu łączącego wyspę Bolko z Wójtową Wsią. Przejechałyśmy przez niego w milczeniu, a potem zgodnie z planem zatrzymałam się tuż za nim.

W okolicy nikogo nie było, pogoda nie nastrajała do spacerów. Nieliczni być może kręcili się po drugiej stronie wyspy, w okolicach zoo lub parku linowego.

– Odjedź może jeszcze kawałek – poradziła Ewa.

– Nie wolisz, żebym...

– Nie – ucięła. – Lepiej, żeby Damian cię przypadkowo nie zobaczył.

Zgodziłam się, a potem postawiłam samochód nieopodal małego parkingu na wałach przeciwpowodziowych. Ewa złapała za klamkę, ale nie otworzyła drzwi. Zawahała się i spojrzała na mnie.

– Będziesz czekać? – upewniła się.

– Tak – zapewniłam, a potem sięgnęłam do tyłu i podałam jej parasolkę.

– Dziękuję – rzuciła. – I to nie powinno długo potrwać.

– Prokocki z pewnością tego dopilnuje – odparłam, rozglądając się. – Gdyby ktoś was tutaj zobaczył, wszystko poszłoby w łeb.

Nie mieli wiele czasu, ale przypuszczałam, że Wern i Kliza poznali już wszystkie najważniejsze fakty. Teraz Ewie pozostało jedynie uzupełnić luki i potwierdzić to, co mówiła reszta.

Usłyszałam, jak otwiera drzwi, i obróciłam głowę w jej kierunku.

Wtedy zdarzyło się coś, czego się nie spodziewałam. Czego nie mogłam się spodziewać.

Zobaczyłam błyszczący, metalowy przedmiot w ręce Ewy. Zanim zrozumiałam, że to nóż, który musiała wyciągnąć z jednej z kuchennych szuflad przeglądanych przez nią przed wyjściem, było już za późno.

Wykonała szybki, zdecydowany ruch, a ostrze wsunęło mi się w brzuch. Obraz przed oczami zaszedł mi mgłą, ręce nagle zwiotczały, a z ust wydobył się zduszony krzyk.

Natychmiast ścisnęłam ranę i zobaczyłam krew przelewającą

mi się przez palce.

Ewa zadała drugi cios. Nóż wszedł tak samo gładko tuż obok moich dłoni. Widziałam, jak metaliczne ostrze niknie w moim ciele, a potem się z niego wysuwa.

– Sprawiedliwość w końcu cię osiągnęła, suko – odezwała się.
– Tak samo potraktowałaś męża, prawda?

Umysł przywołał obraz, kiedy wbijałam kawałek szkła w ciało Roberta.

Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam wydobyć głosu. Osunęłam się na fotelu kierowcy, głowa opadła mi bezwładnie na bok.

Przez głowę przemknęła mi niejasna myśl, że to wszystko stało się na moje życzenie. Ewa uspiła moją czujność, a potem to wykorzystała.

– Chciałaś być mną? – zapytała przez zęby, wycierając dłoń w chusteczkę. – To proszę bardzo. Zapomniałaś tylko, że ja nie żyję.

Zabrała moją komórkę i kluczyki ze stacyjki, otworzyła drzwi, a potem, jak gdyby nigdy nic, rozłożyła parasol i wyszła na zewnątrz. Nie zamknęła drzwi i patrzyła na mnie, napawając się widokiem tego, co zrobiła. Zmuszałam się, by również na nią spojrzeć i w jakiś sposób do niej dotrzeć. Przekonać, że popełniła błąd, że może mi pomóc, że nie jest jeszcze za późno.

Że wciąż może uratować mi życie.

Nie dostrzegałam jej twarzy. W padającym deszczu widziałam jedynie sylwetkę – i to tylko jak przez mgłę.

Krew wylewała mi się z brzucha, ostrze za jednym lub drugim razem musiało trafić w newralgiczne miejsce.

– Liczyłaś na to, że się nie domyślę? – dodała. – Za kogo ty mnie masz?

Próbowałam wyciągnąć rękę w jej kierunku, ale nie miałam siły. Zawisłam na pasie bezpieczeństwa.

– Naprawdę sądziłaś, że nie zobaczę związku między dwoma tak podobnymi do siebie słowami? – dodała. – Reimann i Kajman?

Trzasnęła drzwiami, zostawiając mnie w samochodzie na śmierć.

Czas zdawał się płynąć w zupełnie niezrozumiały sposób. Raz wydawało mi się, że od wyjścia Ewy minęło kilka sekund, zaraz potem byłam przekonana, że zostawiła mnie na pastwę losu parę godzin temu.

Uświadomiłam sobie, że na przemian tracę i odzyskuję świadomość. Wciąż wściekle lało, więc uznałam, że nie minęło zbyt dużo czasu. O tej porze roku tak intensywne deszcze nie mogły trwać długo.

Próbowałam odwrócić się i sięgnąć po torebkę, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Po chwili uprzytomniłam sobie, że Ewa zabrała mój telefon. Nie mogłam wezwać pomocy, zresztą nie wiedziałam, czy ktokolwiek byłby gotów mi jej udzielić.

Może to wszystko było zaplanowane?

Prokocki dostał ode mnie to, czego tak naprawdę potrzebował: nagranie i wyjaśnienia. Miałam jeszcze uwiarygodnić wszystko podczas rozmowy z Wernem, ale podkomisarz mógł uznać, że to nie jest konieczne.

Czy pozwoliłyby Ewie na zabójstwo?

A dlaczego nie? Jej ostatnie słowa dowodziły, że niczego nie pragnęła bardziej. Oficjalnie i urzędowo faktycznie już nie żyła – Prokocki zadbał o to, by z formalnego punktu widzenia ciało na Bolko naprawdę należało do niej.

Policja nigdy nie znajdzie sprawczyni, bo z punktu widzenia organów ścigania ta już nie istnieje. Odnajdą jedynie mnie, z dwiema ranami kłutymi, w samochodzie na uboczu. Czy uznają to za próbę samobójczą? Może. Niewiele trzeba, żeby dowiedzieli się, co spotkało mnie w Zamtuzie. Istniały lepsze sposoby, by odebrać sobie życie, ale ostatecznie mogą złożyć wszystko na karb szaleństwa.

Nóż. Gdzie jest nóż?

Rozejrzałam się, ale wciąż nie mogłam skupić wzroku. Dostrzegłam jednak zakrwawiony przedmiot na siedzeniu obok.

A więc taki był plan. Być może od samego początku.

Ewa nie panikowała przed wyjazdem. Chciała jedynie, byśmy zostały same i by mogła zrobić to, na co tak długo czekała.

Kaszlnęłam i poczułam, jak coś wypływa mi z ust. Zobaczyłam czerwień na desce rozdzielczej i uświadomiłam sobie, że to moja krew. Głowa znów mi opadła, jakby mięśnie karku odmówiły mi posłuszeństwa.

Robiłam wszystko, by odpiąć pas, ale nie miałam siły. Udało mi się jednak podnieść rękę, a potem złapać za kierownicę. Z wielkim wysiłkiem wcisnęłam klakson.

Jego dźwięk był jak zbawienie. Zdawał się obiecywać, że ktoś zwróci na mnie uwagę, zainteresuje się samotnym samochodem na niewielkim parkingu, z którego nikt już nie korzystał.

Nikt jednak nie nadchodził.

Zanim udało mi się zatrąbić po raz kolejny, minęło zdecydowanie zbyt wiele czasu. Czułam, że zostało mi jedynie kilka minut życia. Krew lała się z mojego brzucha niemal jak deszcz z nieba.

Wcisnęłam klakson jeszcze raz.

Nie słyszeli mnie? Czy uznali, że po prostu ich ponaglam?

Wiedziałam, że jeśli nie zwrócę na siebie uwagi, nie skierują się w moją stronę. Pójdą w przeciwną, ku dużemu placowi, na którym parkowała większość osób przyjeżdżających na wyspę.

Może już tam poszli?

Zatrąbiłam jeszcze jeden raz, odnosząc wrażenie, że tym razem pękają mi wszystkie wnętrzości. Jęknęłam z bólu. Był tak dotkliwy, że odebrało mi dech.

Nie, to nie skutek bólu, przemknęło mi jeszcze przez głowę. Umierałam. Mój organizm po prostu się wyłączał.

Silne opady wciąż nie ustawały i z trudem mogłem dostrzec cokolwiek zza ściany deszczu. Stałem pod mostem, odprowadzając wzrokiem Ewę. Chciałem się ruszyć, pobiec za

nią, zatrzymać ją i w jakiś sposób sprawić, że wszystko się zmieni.

Powstrzymałem się być może w ostatniej chwili, przemawiając sobie do rozsądku. To nie była osoba, z którą się związałem. Tamta dawno przestała istnieć.

A zatem w ten sposób zegnałem Ewę. Oglądając jej powidok niknący w kropłach deszczu.

Z zamyślenia wyrwało mnie szturchnięcie łokciem pod żebra. Obróciłem się do Klizy i zobaczyłem, że wyciąga w moim kierunku paczkę papierosów.

– Nie palę – oznajmiłem.

– Nie szkodzi.

Podła mi marlboro goldy, a ja zerknąłem na zdjęcie i ostrzeżenie ministerstwa. Trafiło mi się wyjątkowo nieadekwatne. Jeśli ustawodawca chciał przekonać mnie do tego, bym jednak nie sięgnął po papierosa, powinien bardziej się postarać.

Białe litery na czarnym tle wyglądały jak drwina. „Rzuć palenie – masz dla kogo żyć”.

Jola mi podpaliła, a ja zaniósłem się tak dotkliwym kaszlem, jakbym miał wypluć płuca. Usiedliśmy na nasypie i oboje wbiliśmy wzrok w mąconą kropłami deszczu rzekę.

Znów rozległ się dźwięk klaksonu. Przypuszczałem, że ktokolwiek czeka na Prokockiego i resztę, domaga się, by się pospieszyli.

– Nie zapytałeś jej o jedną rzecz, Wern – odezwała się w końcu Kliza.

– Tylko jedną? – odbąknąłem.

– Najważniejszą. O to, dlaczego uciekła.

Obróciłem dymiącego papierosa między palcami.

– Nie musiałem.

– Bo?

– Bo doskonale to rozumiem – odparłem ciężko, rozganiając obłoczek ręką. – Falkowowi jedenaście lat temu w końcu totalnie odbiło. Nasłał na nią tych ludzi pod Hajem i dał jej do zrozumienia, że to dopiero początek.

Jola wyciągnęła papierosa dla siebie, ale potem rozerwała go na pół i zaczęła wysypywać tytoń na ziemię.

– Zwróciła się do Prokockiego, a ten kazał jej uciekać, zapewniając, że wszystko załatwi.

– I zajął się tym tak, że zamiótł sprawę pod dywan.

– Nie on pierwszy i nie ostatni – rzuciłem, przyglądając się temu, co robiła Kliza. – Zresztą to nie ma znaczenia. On nigdy się do tego nie przyzna.

– Pewnie nie – zgodziła się. – Ale co stało się potem? Ulokował Ewę w bezpiecznej kryjówce w Obicach, odczekał trochę, Falkow w tym czasie się uspokoił i... i co?

Wzruszyłem ramionami, słysząc przejeżdżający mostem samochód.

– Dlaczego nie wróciła? – dodała Jola.

– Przez strach.

– Nie, to by nie wystarczyło.

Wiedziałem, do czego zmierza. Chciała żebym zamknął tę sprawę w umyśle raz na zawsze. A żeby to osiągnąć, musiałem spojrzeć prawdzie w oczy.

– Ona nie chciała wracać, Wern – kontynuowała. – W pewnym momencie musiała uznać, że to idealna okazja, żeby zacząć nowe życie. Nagrała dla ciebie te kasety jako pożegnanie, ale najwyraźniej wydarzyło się coś, przez co do ciebie nie trafiły.

– Coś? – spytałem przez zęby. – W jakiś sposób wpadła na ich trop Kasandra. I słuch po nich zaginął.

Jola skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Tak czy inaczej, to była jej decyzja – podkreśliła. – Nikt jej nie zmusił do ucieczki, wybrała ją z własnej nieprzymuszonej woli.

Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego miałyby to zrobić. Wszystko nam się układało, nie mogliśmy być ze sobą szczęśliwsi. Planowaliśmy przyszłość, snuliśmy dalekosiężne marzenia i mieliśmy wrażenie, że może być tylko lepiej.

Tak wtedy myślałem. Teraz miałem już świadomość, jak złudne to było.

– Wciąż mi w tym czegoś brakuje – odezwała się Jola.

– Czego?

– Mocniejszej motywacji. Czegoś, przez co Ewa ostatecznie się na to zdecydowała.

– Jak na przykład...

– Nie wiem – odparła Kliza, znęcając się nad kolejnym papierosem. – Ale odpowiedz sobie na pytanie: co jest najmocniejszym motorem napędowym ludzkiego zachowania?

– Chęć bogacenia się?

– Wern...

– Zazdrość? Nienawiść? Strach?

Pokręciła głową, pozorując współczucie.

– Chuć?

– Naprawdę nie podejrzewałam cię, że w takiej sytuacji będziesz próbował wykazać się humorem.

Uśmiechnęła się blado, a ja wyrzuciłem marlboro i otrzepałem rękę.

– Ale byłeś blisko, bo od pożądania seksualnego do miłości w sumie niedaleko – dodała.

– Myślisz, że Prokocki był dla niej kimś więcej?

– Nie.

Odpowiedziała bez wahania, ale nie wiedziałem, czy jej pewność siebie jest uzasadniona. W ciągu jedenastu lat rozegrało się tyle rzeczy, że właściwie każde wyjaśnienie mogło okazać się słuszne.

– Widziałam, jak na niego patrzy – dodała. – A wierz mi, wiem, jak kobieta zerka na kogoś, kogo kiedyś kochała. W tym wypadku nie może być o tym mowy.

– Więc spotkała kogoś innego?

– Nie – odparła z równie dużą stanowczością. – Myślę, że Blitz wiedział o jej ucieczce.

Uniosłem brwi, czekając, aż w jakiś sprytny sposób Kliza przekształci to w żart. Nie otwierała jednak ust, skupiając się na dalszym wysypywaniu tytoniu.

– Powiedz mi, jak często się z nim widywałeś po zaginięciu Ewy?

– Cóż...

– Rzadko, prawda?

– Przychodził dość często do knajp, w których pracowałem.

– Ale byłeś kiedyś u niego w domu? Chodziliście gdzieś razem? Spotkaliście się choć raz wtedy, kiedy ty to zaproponowałeś?

Odwiedziłem go zaledwie raz – igdybym tylko mógł, najchętniej bym o tym zapomniał. Nasze spotkania zawsze odbywały się w miejscach, w których pracowałem, to fakt. I bywały okresy, w których Blitzer się nie pojawiał.

– Wern?

– Nie – odparłem w końcu. – Widywaliśmy się wtedy, kiedy on postanowił przyjść.

– Dlaczego w ogóle to robił?

Dobre pytanie, uznałem w duchu. Zawsze zakładałem, że popycha go do tego resztką jakiejś dawnej sympatii i chęć wspierania starego kumpla, który stracił nie tylko dziewczynę, ale całą swoją przyszłość.

Ostatecznie jednak musiałem zadać sobie pytanie: czy to byłoby wystarczającą motywacją przez dekadę? Znacznie mocniejszą były przecież wyrzuty sumienia.

Kliza popatrzyła na mnie, szukając w moich oczach zrozumienia. Znalazła je. I nie musiała dodawać nic więcej. Wyjęła kolejnego papierosa i potraktowała go tak samo jak poprzednie.

– Po co to robisz? – spytałem. – To jakaś metoda, by powstrzymać się przed paleniem, czy...

– Nie.

Podniosła się, rzuciła marlboro na ziemię i z impetem zmiażdżyła całą paczkę.

– Po prostu chciałam zniszczyć coś, co należało do niego.

Jej słowa odbiły mi się echem w głowie. Wstałem, spojrzałem na zmiażdżony kartonik i rozsypany wokół tytoń, a potem skinąłem głową z wdzięcznością. Narzuciliśmy kaptury na głowę i ruszyliśmy przed siebie.

Dudnienie kropel deszczu o nieprzemakalny materiał właściwie uniemożliwiało prowadzenie rozmowy, więc szliśmy w stronę parkingu w milczeniu. Nie mogłem uwierzyć, że to koniec.

Dowiedziałem się wszystkiego, co starałem się odkryć

jedenaście lat temu. Zobaczyłem zarówno tamto zdarzenie nad Młynówką, jak i całe moje życie w zupełnie nowym świetle. Niepokojącym, ale prawdziwym.

I dzięki temu mogłem zacząć wszystko na nowo.

Wsiedliśmy do felicii, a ja odpaliłem silnik. Powiodłem wzrokiem po okolicy, jakbym jeszcze gdzieś tutaj mógł dostrzec Ewę. Przypuszczałem, że przynajmniej na jakiś czas będę musiał przywyknąć do takich irracjonalnych reakcji.

Z jednej strony była ostatnią osobą, którą chciałem widzieć. Z drugiej oddałbym wszystko jeszcze za moment rozmowy.

Parking był jednak pusty. Ci, którzy wybrali się na Bolko w taką pogodę, po oberwaniu chmury poszli po rozum do głowy. Byliśmy ostatnimi, którzy to zrobili.

Wyjechałem na asfaltową ścieżkę biegnącą wzdłuż wałów. W dobry dzień pędzili tędy rolnkarze i rowerzyści, a na nasypie towarzyszyli im biegacze, spacerowicze i ludzie z psami. Fakt, że teraz było tutaj całkowicie pusto, w jakiś sposób przynosił mi satysfakcję. Jakby była to tylko moja scena. Moje przedstawienie, które się tutaj rozegrało, niczyje inne. I mimo że inni w nim uczestniczyli, zagarnąłem całe to wspomnienie dla siebie.

Ewa, Prokocki i reszta być może będą wracać do niego przez kilka dni lub tygodni. Ja będę przeżywał je na nowo przez następne lata. Być może do końca życia.

Popatrzyłem na zejście z nasypu, kiedy wjeżdżaliśmy na most Pajęczy. Potem wbiłem wzrok przed siebie i wcisnąłem mocniej pedał gazu.

Wydawało mi się, że gdzieś za nami znów rozległ się dźwięk klaksonu.

Zignorowałem go.

– Spiesz ci się gdzieś, Wern? – spytała Kliza.

– Do nowego życia.

– W takim razie uspokój swojego wewnętrznego szybkiego i wściekłego, bo daleko nie zajedziemy.

Zdjąłem nogę z gazu. Miała rację, felicia była pozbawiona wszystkich tych zaawansowanych systemów kontroli trakcji, które pozwalałyby na szaleństwa w deszczu. Prawda była jednak

taka, że chciałem jak najszybciej oddalić się od wyspy.

Minęliśmy Kanał Ulgi i zejście na wały po drugiej stronie i skierowaliśmy się ku Wójtowej Wsi.

Coś jednak nie dawało mi spokoju. Zupełnie jakbym o czymś zapomniał, zostawił coś pod tym przekłętym mostem.

Zatrzymałem się przed skrzyżowaniem z główną drogą i spojrzałem kontrolnie w lewo. Żaden samochód nie jechał, mogłem spokojnie skręcać. Mimo to nie wrzuciłem nawet jedynki.

– Coś nie tak? – zapytała Jola.

– To trąbienie...

– Co z nim?

Włączyłem kierunkowskaz, a potem przesunąłem drążek skrzyni biegów.

– Nie miałaś wrażenia, że dochodzi od strony kamionki?

– Hę?

– Jak odjeżdżaliśmy...

Urwałem i upomniałem się, że rozmawiam z osobą, która nie miała pojęcia o topografii wyspy Bolko ani przylegających terenów.

– Nie wydawało ci się, że dźwięk klaksonu dochodził nie od strony parkingu?

– A ja wiem?

Jeszcze raz spojrzałem w lewo. Minął nas samochód dostawczy, za nim droga znów była wolna. Przeszło mi przez myśl, żeby zawrócić i sprawdzić to, co nie dawało mi spokoju. Nie stracilibyśmy wiele czasu.

Nie, przesadzałem. Dopatrywałem się komplikacji tam, gdzie ich nie było. Trąbienie dochodzące ze złej strony nie było wystarczającym powodem, by wracać na wyspę. Ewa dawno odjechała, nie miałem tam czego szukać.

– Jedziemy? – zapytała Kliza.

Skinąłem głową i w końcu wcisnąłem gaz. Tym razem spokojniej, widząc wodę w koleinach jezdnii. Przypuszczałem, że przy odpowiedniej prędkości zapewniłaby nam wrażenia jak na lodowisku.

Pojechałem w kierunku centrum. Nie mogłem opędzić się od wrażenia, że zostawiam za sobą znacznie więcej niż tylko przeszłość.

7

Ile mogłam mieć czasu?

Pięć, dziesięć minut? Krew wypływała mi z brzucha nie stróżką, ale strumieniem. Nie miało to nic wspólnego z tym, co widywałam w filmach i serialach. W nich ranny miał czas, by zrekapitulować życie, wygłosić jakiś górnolotny monolog czy postarać się wezwać pomoc.

Ja nie byłabym w stanie zrobić żadnej z tych rzeczy. Krew łała się jak pod ciśnieniem, a ja nie miałam już nawet siły odpiąć pasa. Próbowalam jednak uporczywie, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

W końcu mi się udało. Wcisnęłam blokadę, a taśma cofnęła się ze świstem. O otwarciu drzwi i wyjściu na zewnątrz nie było mowy, ale mogłam zmienić pozycję. Wydawało mi się, że jeśli nie będę siedziała zgięta, krwotok nie będzie tak intensywny.

Udało mi się osunąć nieco na fotelu, ale niczego to nie zmieniło. Nie byłam już w stanie nawet sięgnąć do klaksonu.

Trąbienie nie miało zresztą żadnego sensu. Werna dawno tu nie było, pozostałych także nie. Nikt nie mógł mi pomóc.

Przez jakiś czas walczyłam z opadającymi powiekami, ale w końcu się poddałam. Poczułam nadchodzącą błogość, jakby ktoś nagroził mnie za to, że zaprzestałam beznadziejnej walki.

Pomyślałam o Wojtku. Kto się nim zajmie?

Co będzie z Glazurem? Wypuszczą go, wychodząc z założenia, że tak naprawdę nic złego nie zrobił? Czy postawią mu zarzuty za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości?

A Wern? Uwierzy w to, co Ewa mu przedstawiła?

Chciałabym wszystko mu wyjaśnić. Zasługiwał na to, żeby poznać prawdę, od początku do końca. Za długo był oszukiwany właściwie przez wszystkich w swoim otoczeniu.

I wciąż będzie. Byłam jedyną osobą, która znała całą prawdę i była gotowa mu ją wyjawić.

Co teraz zrobi? Rozpocznie nowe życie? Zapomni o niej i o mnie?

Ta ostatnia myśl niespodziewanie uderzyła mnie najbardziej. Zdawała się dotkliwsza niż poniesione rany.

Nie chciałam umierać. Nie z tą świadomością.

8

Jechałem powoli, nie mając zamiaru ryzykować poślizgu. Zbliżaliśmy się już do stacji Orlenu przy rozwidleniu Krapkowickiej, a ruch od strony centrum nieco się nasilił. Wciąż zastanawiałem się nad tym, co nie dawało mi spokoju, ale te myśli zachowywałem dla siebie. Kliza też chciała jak najszybciej oddalić się od Bolko i zapomnieć o wszystkim, czego doświadczyliśmy w ostatnim czasie.

Poza tym mieliśmy trochę spraw do załatwienia. Po tym, jak dostaniemy naprawioną kasetę, będziemy mogli zająć się Falkowem. W głowie powoli układały mi się scenariusze tego, co zrobimy.

Przejechałem jeszcze kawałek, starając się skupić właśnie na tym, ale zanim skręciłem w stronę śródmieścia, ostatecznie dałem za wygraną. Wbiłem kierunkowskaz i zjechałem na stację benzynową.

Jola zerknęła na kontrolkę poziomu paliwa.

– Benzyny mamy sporo – zauważyła. – Więc przypuszczam, że problem nie leży w baku, ale w pęcherzu?

Nie słyszałem nawet, co mówiła. Starłem się przebiec w głowie wszystko, co nurtowało mnie, od kiedy opuściliśmy wyspę.

– Wern? – spytała z rozdrażnieniem Kliza.

Popatrzyłem na nią i zmrużyłem oczy.

– Ten dźwięk na pewno dochodził z przeciwnego kierunku – powiedziałem w końcu.

– Jezu... – jęknęła. – I co z tego?

– To, że Ewa i reszta wyszli spod mostu w stronę parkingu.

– I?

– Ten, kto trąbił, ewidentnie nie czekał na nich. To nie ich ponaglał.

– Więc może był entuzjastą klaksonów. Albo czekał na kogoś innego.

– Na kogo? – zapytałem, oglądając się w stronę, z której przyjechaliśmy. – Tam było pusto jak w Czarnobylu po osiemdziesiątym szóstym.

Jola machnęła ręką.

– Daj spokój – powiedziała, a potem wskazała wąską ulicę odchodzącą na prawo od stacji. – Wracajmy do centrum. Po tym wszystkim muszę wsunąć porządne uramaki.

Poprawiła się na fotelu i posłała mi ponaglające spojrzenie.

– Wern.

– Daj mi się zastanowić...

– Nie ma nad czym. Ktoś trąbił, wielka mi rzecz.

– Normalnie przyznałbym ci rację, ale w tej sytuacji...

Zawiesiłem głos i ściągnąłem brwi. Zrozumiałem już, co mi nie pasowało. Klakson klaksonem, ale było coś jeszcze, co się nie zgadzało. Gdyby nie to, że byłem nieco oszołomiony, z pewnością od razu zwróciłbym na to uwagę.

– Błagam cię... – jęknęła bezradnie Kliza.

Wrzuciłem wsteczny.

– Nie żartuj.

– Słyszeliśmy tylko jeden samochód – odparłem, czym prędzej wycofując. – Kiedy zostaliśmy we dwójkę pod mostem.

– Co?

– Zastanów się, Kliza. Tylko jedno auto przejeżdżało przez most, a przecież przyjechali dwoma. Słyszeliśmy samochód, kiedy wszyscy oprócz Ewy byli już na miejscu.

Obróciła do mnie głowę i już otwierała usta, by zaprotestować, ale w ostatniej chwili uświadomiła sobie to co ja.

– Masz rację – przyznała. – Ale może drugie auto odjechało w innym kierunku?

– To znaczy? Druga droga wzdłuż wałów jest zamknięta.

– W takim razie...

Nie dokończyła, wiedząc, że nie musi.

Tym razem nie zwracałem uwagi na to, że możemy wpaść w poślizg. Wcisnąłem gaz do dechy i skierowałem się z powrotem do miejsca, w które jeszcze przed momentem nigdy nie miałem zamiaru wracać.

Miałem wrażenie, że droga powrotna zajmuje więcej czasu. W końcu jednak minęliśmy most Pajęczy, a ja skręciłem w prawo.

Deszcz w końcu odpuścił, dzięki czemu już z daleka dostrzegłem samotny samochód postawiony tam, gdzie niegdyś mieścił się jedyny po tej stronie wyspy, prowizoryczny parking. Kiedy infrastrukturę rozbudowano, zaprojektowano przestronny plac na tyłach zoo, ale kiedyś to tutaj zatrzymywali się wszyscy ci, którzy dotarli na Bolko od strony podopolskich wsi.

Podjechaliśmy do auta i oboje dostrzeżliśmy kobietę bezwładnie osuniętą na fotelu kierowcy. Nie widać było twarzy, włosy całkowicie ją zasłaniały.

– Śpi? – zapytała Jola.

Obawiałem się, że nie w tym rzecz. I że kimkolwiek jest ta osoba, musi być zamieszana w sprawę.

Narzuciliśmy kaptury i opuściliśmy felcię. Ledwo podeszliśmy do stojącego samochodu, zobaczyliśmy plamę krwi rozlewającą się na ubraniu kobiety i na tapicerce. Natychmiast

doskoczyłem do auta i pociągnąłem za klamkę. Drzwiczki ani drgnęły.

Nie zastanawiając się ani chwili, rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym wybić szybę. Kiedy podbiegłem do sterty kamieni leżących na skarpie, Kliza zaczęła uderzać w okno od strony kierowcy.

– Halo! – krzyknęła. – Słyszysz mnie?

Wróciłem z największym kamieniem, jaki udało mi się znaleźć, a potem zrzuciłem z siebie kurtkę.

– Hej! – nie dawała za wygraną Jola. – Żyjesz?

Owinąłem dłoń i z całej siły przywaliłem kamieniem w tylną szybę. Szczęśliwie nie był to nowy samochód wysokiej klasy, bo w takich okna są niemal pancerne. Szkło ustąpiło od razu, a ja

natychmiast wybiłem sterczące z drzwiczek kawałki. Sięgnąłem do klamki, otworzyłem auto i wsunąłem się do środka. Odwróciłem delikatnie kobietę i zamarłem.

– Kas? – wyrwało mi się z ust.

Jej ciało było zwiotczone i wydawało mi się, że Kasandra nie oddycha.

Byłem jak sparaliżowany. Zgubiłem się w natłoku myśli, tak naprawdę nie rozumiejąc, co się dzieje. Wiedziałem, że została zaatakowana, najwyraźniej jakimś ostrym narzędziem. Nasunął mi się irracjonalny wniosek, że ludzie związani z Robertem w końcu ją dorwali i wymierzili sprawiedliwość. Oko za oko.

– Wern!

Uświadomiłem sobie, że Kliza próbuje dostać się do środka. Otrząsnąłem się i czym prędzej sięgnąłem do blokady przednich drzwi. Otworzyłem je, a Jola od razu wskoczyła

do auta. Nachyliła się nad Kasandrą, przyłożyła dwa palce do szyi i czekała.

Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał.

– Boże... – jęknęła.

– Nie żyje?

Mój głos zabrzmiał obco, jakby dochodził nie z ust kogoś innego, ale z innego świata.

– Nie, nie... jest słaby puls – powiedziała słabo Kliza.

Była całkowicie blada, niemal jak Kas. Żadne z nas nie potrafiło poradzić sobie z szokiem, w jaki wprowadził nas widok Kasandry. Przez to nie pomyśleliśmy nawet, by zadzwonić po karetkę, choć powinniśmy zrobić to natychmiast.

– Boże... – powtórzyła z niedowierzaniem Jola. – Ile krwi...

Czerwona kałuża zbierała się już na dywaniku – i być może właśnie ten druzgocący widok sprawił, że zacząłem racjonalnie myśleć. Natychmiast wyjąłem telefon i trzęsącymi się rękoma wybrałem numer alarmowy.

– Słucham, ratownictwo.

Spokojny, niemal znudzony głos dyspozytora sprawił, że poczułem się, jakbym znalazł się w jakiejś surrealistycznej rzeczywistości.

- Ratownictwo – burknął bez emocji mężczyzna.
- Potrzebuję.... – zacząłem i urwałem, czując, jakbym tracił głos.
- Halo?
- Potrzebna karetka – powiedziałem w końcu.
- Co się dzieje?

Gardło miałem tak suche i ściśnięte, że z trudem przełykałem ślinę. Nie łatwiej było cokolwiek z siebie wydusić.

- Rany kłute – rzuciłem hasłowo.
- Jest pan ranny?
- Nie, nie ja. Ona... się wykrwawia...
- Gdzie pan jest?

W duchu podziękowałem temu człowiekowi za to, że nie upewniał się, nie dopytywał o szczegóły, nie próbował zmusić mnie do jakiegokolwiek opisu sytuacji. Chciał najpierw załatwić to, co najważniejsze, by wiedzieć, gdzie wysłać pomoc – a dopiero potem zając się resztą.

– Wyspa Bolko – powiedziałem. – Obok... obok... od strony Winowa.

– Niedaleko mostu?

– Tak, tak – rzuciłem nerwowo, patrząc na Klizę. – Za mostem w prawo. Szybko, proszę przyjeżdżać, ona... ona długo nie wytrzyma.

Brzmiałem jak szaleniec, a przynajmniej tak mi się wydawało. Opadł mnie irracjonalny strach, że ostatecznie dyspozytor weźmie mnie za wariata i odmówi udzielenia pomocy.

– Szybko – powtórzyłem, patrząc na zamknięte oczy Kasandry.

– Ona długo nie wytrzyma...

– Karetka już jedzie – zapewnił rozmówca.

Jego głos stał się bardziej czujny, ostry i rzeczowy. Odniosłem wrażenie, że los Kas spoczywa w rękach kogoś, kto wie, co robi.

Po chwili dyspozytor zaczął wypytywać mnie o szczegóły, starając się ustalić jak najwięcej przed przybyciem ratowników. Niewiele mogłem mu powiedzieć. Nawet jeśli byłbym w stanie stosownie ocenić sytuację, miałbym problem z wyartykułowaniem tego.

Rozmówca próbował mnie uspokoić i wyciągnąć kolejne

informacje, ale bezskutecznie. Wciąż nie byłem w stanie zebrać myśli.

– Zna ją pan? – zapytał w końcu.

– T-tak...

– Jak się nazywa?

– Kasandra.

– Widzi pan ranę?

– Nie – odparłem niepewnie, patrząc na zakrwawione ubranie.

– Ale wygląda na to, że... nie wiem, może dostała w brzuch.

– Proszę podciągnąć Kasandrze bluzkę.

Nieznoszący sprzeciwu ton sprawił, że zrobiłem to, co polecił dyspozytor.

– Są dwie głębokie rany – wydukałem. – Od noża...

– Nóż jest wciąż w którejś z ran?

– Nie.

Mimowolnie przyglądałem się ciemnoczerwonym smugom na nagim brzuchu Kas, czując, że zaczyna mi się robić słabo.

– Jest pan w samochodzie, tak?

Potwierdziłem cichym mruknięciem.

– Proszę wyciągnąć apteczkę – polecił mężczyzna. – A potem założyć rękawiczki i spróbować gazą lub innym kawałkiem materiału zatamować krwawienie.

– Ale...

– Może być cokolwiek sterylnego. Proszę pamiętać o ryzyku infekcji.

Mówił tak spokojnie, jakby nie rozumiał powagi sytuacji.

– Słyszysz mnie pan?

– Tak.

– Proszę robić, co mówię.

– Ale ja...

– Niech pan po prostu zastosuje ucisk. Karetka już jedzie, zaraz tam będą, ale Kasandra może do tego czasu się wykrwawić. Jeśli ma więcej niż jedną ranę, proszę zająć się tą poważniejszą. Rozumie mnie pan?

Kurwa mać, powinienem sam o tym pomyśleć. Szybko oddałem telefon Klizie, a potem zacząłem szukać apteczki. Kiedy ją

znalazłem, nerwowo rozerwałem woreczek z opatrunkiem, umieściłem go tak, by obejmował obydwie rany, a potem przycisnąłem. Kas jęknęła półprzytomnie.

Kiedy Jola odbierała od rozmówcy kolejne instrukcje, ja robiłem wszystko, by ani na moment nie poluzować ucisku. Nie odrywałem wzroku od Kasandry, tak jakby choćby pobieżne rozejrzenie się za karetką mogło sprawić, że pogorszę jej sytuację.

Krwotok zdawał się nieco ustać, ale w apteczce nie było niczego, czym mógłbym na dobre go zatamować. Oddałbym wszystko za kawałek taśmy lub czegoś, co nie przepuszczałoby krwi.

- Gdzie oni są?! – krzyknąłem.
- Jadą, Wern.
- Powinni już tutaj być, do kurwy nędzy.
- Na pewno robią, co mogą.

Kasandra znów cicho, niemal niesłyszalnie jęknęła. Nie mogłem przestać myśleć o tym, że gdybym zawrócił wcześniej lub pomyślał przed opuszczeniem parkingu, zyskałaby cenne minuty.

Jeśli ich zabraknie, nigdy sobie tego nie wybaczę. Wiedziałem o tym równie dobrze jak Kliza, która wyszła z auta i zaczęła nerwowo wyglądać erki. Nie słyszeliśmy jednak jeszcze nawet sygnału.

– Zapytaj go, gdzie są! – rzuciłem, wciąż wpatrując się w opływające krwią ręce.

Jola zrobiła, co poleciłem, a potem uderzyła dłonią o dach. To nie mogło znaczyć nic dobrego.

W końcu oderwałem wzrok od Kasandry i spojrzałem na Klizę. Nachyliła się nad otwartym oknem.

- Za moment będą.
- Pytałem, gdzie są.
- Dyspozytor mówi, że przebijają się przez Niemodlińską.
- Kurwa... – syknąłem i przycisnąłem mocniej.
- To daleko stąd?

Na warunki opolskie nie było daleko. Tyle że teraz porównania

do wielkomiejskiego ruchu ulicznego nie miały żadnego znaczenia. Nawet odległość kilkuset metrów mogła okazać się dla Kas tragiczna.

Nagle znów jęknęła, a potem jej ciało zdawało się zwiotczeć jeszcze bardziej. Opadł mnie blady strach, bo odniosłem wrażenie, jakby z Kasandry właśnie uleciało życie.

- Kliza...
- Co jest?
- Sprawdź jej puls.
- Przed chwilą przecież...
- Sprawdź!

Wsiadła do środka, znów przyłożyła palce do tętnicy szyjnej i natychmiast posłała mi przerażone spojrzenie. Nie musiała nawet się odzywać.

Serce Kasandry się zatrzymało.

- Wyciągamy ją! – rzuciłem. – Już!
- Ale...
- Kliza!
- Ale co z krwotokiem?

Miała rację, na Boga, miała stuprocentową rację. Podziękowałem jej w duchu za to, że ma głowę na karku, i natychmiast użyłem kurtki, by przewiązać Kasandrę brzuch. Ścisnąłem najmocniej, jak potrafiłem, a potem gorączkowo skinąłem ręką na Jolę.

Wyciągnęliśmy Kas z samochodu i położyliśmy na pochyłym asfalcie, po którym spływały strugi wody. Momentalnie zrobiliśmy się cali mokrzy, ale deszcz był teraz moim najmniejszym zmartwieniem. Najważniejsze, by brudna woda nie dostawała się do rany.

– Sprawdź, czy oddycha – rzuciłem do Klizy, a sam natychmiast ułożyłem dłonie na klatce piersiowej Kasandry.

Jola przyłożyła policzek do jej ust, a potem pokręciła głową.

– Nic nie czuję – oznajmiła.

Zacząłem masaż serca, modląc się o to, bym tym samym nie spowodował większego krwawienia. Nie wiedziałem, co robię. Nie potrafiłem przypomnieć sobie nawet, ile wdechów i ile

uciśnięć powinienem wykonać.

Trzydzieści tych drugich. Tak mi się wydawało. Ale ile wdechów? Dwa? Trzy? Chyba dwa.

Robiłem, co mogłem, żeby utrzymać Kas przy życiu. Walczyłem o nią aż do momentu, kiedy rozległ się ogłuszający sygnał karetki, a ta zatrzymała się w strugach deszczu tuż obok.

Ratownicy zjawili się szybciej, niż się spodziewałem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że nadjechali od strony centrum, a więc skorzystali z zamkniętej drogi. Dzięki Bogu.

Jeden z nich przejął resuscytację, drugi otworzył tylne drzwi karetki i wyjął nosze. Po chwili dostrzegłem, że Kasandra sama nabiera tchu – płytko, nie jak osoba wyciągnięta z wody, która po metodzie usta-usta chwyta łapczywie haust powietrza.

Obserwowałem, jak układają ją na noszach, i wydało mi się, że patrzę na to wszystko przez mgłę – że widzę jakąś sztucznie wygenerowaną symulację zdarzeń, a nie prawdziwy świat.

Zamrugałem, ale obraz się nie wyostrzył. Deszcz znów na dobre się rozpadał.

Przyklęknąłem tuż przy noszach, otarłem czoło i spojrzałem na Kas. Wydawało mi się, że poruszyła ustami, ale równie dobrze mogło być to jedynie złudzenie. Mimo to machinalnie sięgnąłem do jej policzka. Przyłożyłem do niego dłoń, samemu nie rozumiejąc, co robię, a potem nachyliłem się jeszcze bardziej.

Miałem rację. Poruszała ustami, próbowała coś mi powiedzieć.

Coś, co miało dla mnie gigantyczne znaczenie.

– Pan z rodziny? – zapytał jeden z ratowników w czerwonej kurtce.

– N-nie...

Skinął głową, jakby odbębnił jakąś formalność, po czym obaj podnieśli nosze. Ruszyłem za nimi, ale natychmiast mnie powstrzymali. Umieścili Kasandrę w karetce, a jeden z nich coś do mnie powiedział. Nic nie rozumiałem i chciałem poprosić, by powtórzył, wtedy jednak drugi zamknął drzwi.

Nie miałem zamiaru ich zatrzymywać. Miałem świadomość, że każda sekunda może być na wagę złota.

Poza tym Kas powiedziała mi wszystko, co musiałem wiedzieć.

Czasem jedna sekunda wystarcza, by się zakochać, jeden nabój, by odebrać życie, a jeden uśmiech, by zrozumieć, czym jest szczęście. W moim przypadku jedna krótka, niewyraźna wypowiedź okazała się wystarczająca, żebym znów wziął sprawy w swoje ręce.

Nie rozumiałem do końca, co chciała przekazać mi Kasandra, ale nie musiałem. Wystarczyło mi oględne pojęcie. I mocne postanowienie, że tym razem nie odpuszczę.

Miałem dosyć.

Dosyć trwania w niewiedzy i dosyć bycia marionetką w przedstawieniach, które wystawiał ktoś inny. Nadeszła pora, żebym przejął inicjatywę. I żebym to ja w końcu był tym, który pociąga za sznurki.

Decyzję podjąłem tak naprawdę jeszcze w strugach deszczu na Bolko. Utwierdziłem się w niej jednak, kiedy wieczorem razem z Klizą usiedliśmy w miejscu, w którym tak naprawdę wszystko to się zaczęło. Moim nowym, niegdyś wymarzonym, a teraz przeklętym mieszkaniu na poddaszu.

Kiedy Jola próbowała dowiedzieć się, jaki jest stan Kasandry, ja wracałem myślami do tamtych chwil. Do znalezienia pierwszej kasety i do tego wszystkiego, co potem się stało.

Wydarzenia były jak rozrzucone na podłodze klocki, które dało się złożyć na kilka różnych sposobów. Każdy z nich jawił się jako właściwy, ale każdy prowadził też do zupełnie innego rozwiązania.

Projektant zdawał się nie przewidzieć jednego ostatecznego, obowiązującego kształtu. Tylko ode mnie zależało, co uznam za poprawną, a co za nieprawdziwą wersję.

Tyle że prawda nie występuje w wariantach. Musiał istnieć jeden właściwy sposób, w jaki powinienem złożyć te wszystkie elementy w całość.

I wydawało mi się, że go poznałem.

– Dobra – odezwała się Kliza, wyrrywając mnie z zamyślenia. – Ustaliłam co nieco.

Usiadła na kanapie obok mnie. Przed nami na stoliku telewizyjnym leżały plastikowe opakowania po sushi, zabrudzone pałeczki i resztką wasabi.

Spojrzałam na Jolę, zastanawiając się, w jaki sposób wyciągnęła od personelu szpitala informacje. A może to nie stamtąd czerpała wiedzę? Pamiętałam, że ma w opolskiej policji „osobowe źródło informacji”, które zwała niemal pieścizkownie OZI-m.

– Więc? – spytałam.

– Jest na chirurgii ogólnej.

– Domyślałam się, że nie na neonatologii – odparłam cicho. – Co z nią?

Już kiedy Kliza rzuciła „dobra”, wiedziałem, że nie jest źle. Nie znaliśmy się może jak łyse konie, ale miałem o niej wystarczająco dobre pojęcie, by wiedzieć, jak zachowałyby się, gdyby Kasandry nie udało się uratować.

– Doszło do perforacji żołądka – powiedziała Jola.

Nie brzmiało to najlepiej.

– To poważne?

– A jak ci się wydaje? – odparła, wrzucając do jednego z opakowań na stole nieotwarty sos sojowy. – Słyszałeś w ogóle kiedyś o... niepoważnym ciosie nożem w brzuch?

Nie odpowiedziałem.

– Ale mogło być o wiele gorzej – dodała po chwili. – Wprawdzie napastnik uszkodził jej tętnicę, ale nie ucierpiała aorta brzuszna. Mówili coś o którymś odgałęzieniu.

W tym względzie obawiałem się najgorszego. Wydawało mi się, że ilość straconej przez Kasandrę krwi była zatrważająca.

– Miała szczęście, że ją znaleźliśmy, Wern.

– Trudno w jej sytuacji mówić o szczęściu.

– Wykrwawiałaby się tam, gdyby nie my. Gdyby nie ty, bo ja chciałam przecież...

– Daj spokój – uciąłem.

Przez moment wpatrywała się beznamiętnie przed siebie, a potem skinęła lekko głową. Przypuszczałem, że tak łatwo nie

pozbędzie się wyrzutów sumienia, ale nie był to z pewnością dobry moment, by się nimi przejmować.

– Straciła prawie dwa litry – dodała Jola. – To już na granicy zapaści.

– Ale wyjdzie z tego. To jest najważniejsze – podkreśliłem. – Jest już po operacji?

– Tak, była na stole trzy godziny. Zrobili też tomografię jamy brzusznej, ale nic więcej nie wiem.

– Ile ma tam zostać?

– Co najmniej trzy, cztery tygodnie.

To powinno wystarczyć, uznałem w duchu. W tym czasie zrobię wszystko, co sobie zamierzyłem – i jeśli dobrze pójdzie, Kas ze szpitala wróci do całkowicie innego świata. Przynajmniej w pewnym sensie.

– Wiedzą cokolwiek o napastniku? – zapytałem.

– Nie. Znaleźli narzędzie zbrodni, ale nie ma żadnych odcisków palców.

– Jak to możliwe?

Kliza wzruszyła ramionami, a ja pomyślałem, że możliwych powodów właściwie jest dość sporo. Napastnik mógł mieć oczywiście rękawiczki, mógł wytrzeć uchwyt noża, a oprócz tego mógł mieć kogoś w policji. Kogoś, kto albo zatarł ślady, albo podmienił narzędzie zbrodni.

– Sprawdzili auto? – spytałem. – Wiadomo, do kogo należy?

– Pewnie tak, ale nie chcą mi niczego zdradzić.

Zasadniczo nie miało to większego znaczenia. Właściciel samochodu byłby ostatnią osobą, która zostawiałaby w nim ofiarę. Jeśli kogoś mogliśmy wyjąć z kręgu podejrzeń, to właśnie jego.

– Kto mógł to zrobić, Kliza?

– Przypuszczalnie ktoś z tych, którzy zabawiali nas pod mostem swoimi opowiastkami.

Spojrzelismy na siebie, nie chcąc wyartykułować tego, co wydawało się najbardziej oczywiste. Prawda była jednak taka, że to Ewa nasuwała się jako główna podejrzana. To ona zjawiała się jako ostatnia.

Nie, nie było żadnych dowodów na to, że to ona. A domyśli to za mało, żebym podejrzewał ją o próbę odebrania

Kasandrze życia. Być może zdolna była do gorszych rzeczy, niż dotychczas sądziłem, ale do zabójstwa? Nie, raczej nie.

– W końcu do tego dojdą – odezwała się Jola. – A jeśli nie, to Kasandra niebawem się obudzi i wskaże sprawcę.

– Tak sądzisz?

– Raczej nie znalazła się w tym samochodzie przypadkiem. I raczej nie napadł na nią człowiek bez twarzy.

– Nie to miałem na myśli...

– Wiem – odparła i westchnęła. – Miałeś na myśli to, że ktoś może próbować ją szantażować. I ostatecznie zmusić do milczenia.

– Albo gorzej.

Nieprecyzyjne słowa, eufemizmy, niejasne określenia. To wszystko zdawało się nam niezbędne, by zachować równowagę. W istocie jednak było dla nas jasne, że jeśli to rzeczywiście Ewa próbowała ją zabić, to tylko jedna osoba będzie ją chronić. Prokocki.

– Pomożemy jej – zadeklarowałem.

Jola popatrzyła na mnie, jakbym właśnie zobowiązał się do podpisania paktu z diabłem.

– Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

– Tak.

– Nawet jeśli to będzie wymagało wystąpienia przeciwko Ewie?

– Ewa nie żyje – odparłem, starając się, by mój głos zabrzmiał spokojnie. – Rok temu odnaleziono jej ciało na Bolko.

Wyraźnie dostrzegłem wahanie Klizy. Nie rozumiała, w jaki sposób zamierzam pomóc Kas, jednocześnie zakładając, że nie można pociągnąć Ewy do odpowiedzialności.

Nie musiała rozumieć.

– Nie jestem pewna, czy to wykonalne, Wern.

– Po prostu mi zaufaj – odparłem. – W tej i drugiej sprawie.

– Drugiej?

W końcu dotarliśmy do tego, co interesowało mnie najbardziej. Do przejęcia inicjatywy.

Podniosłem się z kanapy i podszedłem do lodówki. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby zrezygnować z piwa i zachować trzeźwy umysł. Potem stwierdziłem, że w tej chwili mi on niepotrzebny. Przyda się rano, teraz niekoniecznie.

– Chodzi mi o Falkowa – powiedziałem.

– Co z nim?

Usiadłem z powrotem obok Joli, otworzyłem dwie puszkę heinekena i jedną podałem jej.

– Przede wszystkim potrzebujemy kontaktu do kogoś z BSWP.

– Policyjnego Biura Spraw Wewnętrznych? – spytała, a potem pociągnęła pierwszy łyk.

– Znasz tam kogoś?

– Nie, ale mogę poznać.

– Świetnie – odparłem i skinąłem głową, jakby temat był zamknięty.

Jola przypatrywała mi się pytająco.

– Chcesz ugryźć to od tej strony? – spytała. – Nie lepiej dać kasetę prokuratorom i poczekać, aż zrobią swoje?

– Nikomu nie dam kasety.

– Co?

– Jak przyjdzie z naprawy, zamierzam wcisnąć ją do kartonu razem z pierwszą i zamknąć.

– O czym ty mówisz?

Odłożyłem puszkę i się uśmiechnąłem. Wiedziałem, co Kliza sobie myśli: odbiło mu. Oberwał od losu zbyt mocno i stracił kontakt z rzeczywistością.

– Nie zamierzam donosić na Falkowa – powiedziałem. – Ani do prokuratury, ani do Biura Spraw Wewnętrznych Policji.

– Ale...

– Planuję zrobić coś dokładnie odwrotnego. Zadbać o to, by został w policji tak długo, jak to możliwe.

Liczyła, że wszystko jej wyjaśnię, ale nie miałem zamiaru. Tym razem to ja miałem być jedyną osobą, która wiedziała, co tak naprawdę się dzieje.

Prognoza lekarzy była dobra. Dwa ciosy padły obok siebie, a nóż przebił jedynie żołądek. Gdyby Ewa trafiła w inne organy lub uszkodziła aortę brzuszną, z pewnością nie wytrzymałabym do przyjazdu karetki. Od razu stwierdzono by zgon.

Tymczasem jednak wystarczyła kilkugodzinna operacja, by ustabilizować mój stan. Po tygodniu spędzonym na drugim piętrze szpitala przy Witosa czułam się już znacznie lepiej. Właściwie byłabym gotowa opuścić oddział chirurgiczny, a najlepiej i budynek, ale lekarze twierdzili, że to niemożliwe.

Na obserwacji miałam zostać jeszcze minimum przez dwa tygodnie. Mój stan miał być ściśle monitorowany, co brzmiało dość niepokojąco, ale lekarze zapewniali mnie, że nie mam powodów do obaw – nie doszło do żadnej infekcji, nie miało miejsca zapalenie otrzewnej.

Wyglądało na to, że zatrzymują mnie tu dla bezpieczeństwa.

Przypuszczałam, że prędzej czy później ktoś mnie odwiedzi, ale nikt się nie zjawił. Ani Wern, ani Kliza, ani Prokocki. Wizyty tego ostatniego spodziewałam się najbardziej. Wydawało mi się oczywiste, że będzie chciał się przekonać, czy zamierzam milczeć.

Nie musiał jednak tego robić. Wystarczyła mi w zupełności świadomość, że dopóki trzymają tutaj Wojtka, tak naprawdę mają wszystkie mocne karty. Próbowalam namówić ordynatora, by pozwolił mi zobaczyć syna, ale był nieugięty. Zareczył mi jednak, że zapewniają mu najlepszą opiekę.

Nie rozumiałam, dlaczego Damian się nie pojawił. Ratownicy przekazali mi, że to właśnie dzięki niemu przeżyłam do ich przyjazdu. Robił resuscytację aż do momentu, gdy przejął ją jeden z nich. Wtedy miałam na moment się ocknąć, mamrotać coś. Nic z tego nie pamiętałam.

Spodziewałam się, że sam mi to prędzej czy później wyjaśni, ale minęło już siedem dni, a ja nie miałam od niego żadnej wiadomości. Może domyślił się, co zaszło w samochodzie? Jeśli tak, to należało uznać, że stanął murem za Ewą. Być może początkowo się wahał, ale ostatecznie to właśnie jej dobrem się

kierował.

Nietrudno byłoby jej po raz kolejny go zmanipulować. Wystarczyłoby, żeby przedstawiła mu zgrabną historyjkę o tym, że to ja ją zaatakowałam, a ona jedynie się broniła.

Nożem kuchennym, który zawczasu zabrała z domu Electry.

Tak, to zdecydowanie nie trzymałoby się kupy. Ale zdawałam sobie sprawę, że Wern nadal kocha byłą narzeczoną, a miłość to nic innego jak rozpuszczalnik – owszem, usuwa problemy, ale kiedy tylko bezpośrednio dotknie tego, kto go używa, powoduje szereg zagrożeń. W tym wypadku nie doprowadzi do podrażnień skóry, zatrucia organizmu czy stanów zapalnych, ale do porażenia racjonalności. Damian będzie gotów uwierzyć we wszystko, co powie Ewa.

Kiedy w końcu uznałam to za najbardziej prawdopodobny scenariusz, rozległ się dźwięk mojej komórki.

Znaleziono ją tuż po tym, jak przyjęto mnie do szpitala. Znajdowała się w sali, w której leżał Wojtek, a pracownicy uznali, że najwyraźniej musiałam ją tam zostawić podczas jednej z wizyt u syna.

Bzdura. W istocie było to dobitne przypomnienie mi, że Prokocki może zaszkodzić Wojtkowi. To podkomisarz zostawił ją w tym konkretnym miejscu. I w określonym celu.

Być może dlatego, kiedy tylko usłyszałam znajomy dźwięk, wzdrygnęłam się. Niechętnie sięgnęłam po telefon, ale przekonałam się, że to nie Prokocki stara się ze mną skontaktować. Zobaczyłam wiadomość od automatu, którego numer doskonale pamiętałam.

Kod dostępu na RIC. Mogła go wysłać tylko jedna osoba.

Wbiłam wzrok w otwarte drzwi na korytarz, myśląc o tym, że natychmiast potrzebuję laptopa. Nie miałam pojęcia, dlaczego Wern kontaktuje się przez RIC, ale musiał istnieć dobry powód. I z pewnością Damian nie miał wiele czasu.

Wypatrywałam nerwowo którejs z pielęgniarek, ale jak na złość na korytarzu nikogo nie było. Kiedy zaczęłam z bólem się podnosić, zobaczyłam, że ktoś wychyla się zza drzwi.

Otworzyłam usta, chcąc ściągnąć na siebie uwagę, ale ugryzłam

się w język. Jak zwrócić się do pielęgniarki? Siostró? Nie, tak chyba mówiły do nich tylko starsze osoby, a poza tym pamiętałam, że kiedyś pielęgniarki urządziły akcję, w której przekonywały, że w ten sposób powinni zwracać się do nich jedynie... ich bracia.

Wydawało mi się, że nie ma w tym nic dziwnego ani lekceważącego. Wręcz przeciwnie, było to podkreślenie zaufania, jakim cieszyła się wśród pacjentów ta część personelu medycznego.

Jezu, o czym ja w ogóle myślałam?

– Siostró – odezwałam się. – Czy byłaby możliwość, żebym skorzystała z komputera?

– Hmm... – rozległ się pomruk zza drzwi.

Głos należał do mężczyzny. I właściwie tyle wystarczyło, bym poczuła niepokój. Wstrzymałam oddech, czekając, aż nieproszony gość się pokaże, i jednocześnie byłam gotowa, by zerwać się z łóżka.

– Z tym może być problem – dodał przybysz.

Wbiłam wzrok w korytarz, niedowierzając. Rozpoznałam jego głos bez trudu, ale musiałam go zobaczyć, by mieć stuprocentową pewność.

W końcu ją zyskałam. Wern wyszedł zza progu i posłał mi lekki uśmiech, unosząc komórkę.

– Ale przypuszczam, że to przeżyjesz, skoro tak naprawdę nie musisz wchodzić na RIC, żeby ze mną pogadać – dodał, zbliżając się do łóżka.

Nie mogłam powstrzymać unoszących się kącików ust. Odpowiedziałam na jego powitanie uśmiechem zbyt szerokim jak na takie okoliczności. Poczułam jednak tak niespodziewaną i tak wielką ulgę, że było to silniejsze ode mnie.

On sprawiał wrażenie, jakby miał podobne odczucia, ale może tylko dostrzegałam to, co chciałam widzieć.

– Poza tym poradziłaś sobie ze znacznie większymi trudnościami – rzucił, wskazując na mój brzuch.

– Miałam niewielką pomoc.

Przysiadł na łóżku i na chwilę położył dłoń na mojej ręce, jakby

chciał się przywitać, ale nie do końca wiedział, w jaki sposób powinien to zrobić.

– Niewielką? – spytał, cofając rękę. – Najwyraźniej nikomu nigdy nie robiłaś RKO.

– Tak się złożyło, że nikt warty ocalenia nigdy nie umierał na moich rękach.

– Racja – przyznał. – Na moich za to tak.

– Ciekawe... – odparłam, mrużąc oczy. – Udało ci się tę osobę uratować?

– Na szczęście tak.

– Odwdzięczyła ci się jakoś?

– Nie miała jeszcze okazji – przyznał. – Ale cały czas mam nadzieję, że niebawem to zrobi.

Mruknęłam cicho, namyślając się.

– Masz jakiś pomysł na to, jak miałyby wyrazić swoją wdzięczność?

– Myślałam o kolacji gdzieś nad opolską Wenecją.

Uniosłam brwi.

– Niekoniecznie w Highlanderze – zastrzegł szybko. – Może raczej w którejś knajpie przy Szpitalnej. Rozciąga się tam całkiem niezły widok na Młynówkę. Nie sądzisz?

– Sądzę, że to intrygujący pomysł.

– Mam jeszcze jeden.

Położył rękę na szpitalnej pościeli, a potem nachylił się nade mną i spojrzał mi prosto w oczy.

– Jaki?

– Że ta uratowana osoba odwdzięczy się, mówiąc mi całą prawdę.

Jego twarz nagle stężała, a ja poczułam się, jakbym zderzyła się czołowo z twardą rzeczywistością. Zamrugałam nerwowo, a Wern się wyprostował. Wyraźnie się zmieszał i chyba uświadomił sobie, że to nie wyszło tak, jak powinno.

– Kas, nie chciałem...

– Nie ma o czym mówić – ucięłam szybko.

– Przepraszam.

Machnęłam lekko ręką, jakby rzeczywiście nic się nie stało.

Wern za to sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że wcześniejsza część tej rozmowy nie była z mojej strony zgrywaniem się.

– Słuchaj... – zaczął.

– Jestem jeszcze na lekach, lekko otumaniona – przerwałam mu.

– Nie jestem nawet pewna, czy naprawdę tu jesteś, Wern.

– Jestem.

– Bo chcesz odpowiedzi?

Skinął lekko głową, wciąż nieco skonfundowany.

– Ewa z pewnością wszystko ci wyjaśniła – powiedziałam, przyglądając się jego reakcji.

Wydawało mi się, że na samej jej podstawie będę potrafiła ustalić przynajmniej kilka istotnych faktów.

Po pierwsze, dlatego że wspomniałam o Ewie, a on dotychczas nie wiedział nic o naszych kontaktach.

Po drugie, dlatego że jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Damian powinien otrzymać spójną i wiarygodną wersję zdarzeń. Wersję, której także ja powinnam się trzymać.

– Tak, wyjaśniła – odparł. – Tyle że prawdy w tym wszystkim było jak na lekarstwo.

– To znaczy?

Westchnął i podniósł się z łóżka. Podeszedł do okna, a potem przez moment wyglądał na zewnątrz, obrócony do mnie plecami.

– Wiesz dobrze, co to znaczy – odezwał się. – Bo brałaś w tym wszystkim udział.

– W tym?

Obejrzał się i popatrzył na mnie z ukosa.

– Nie ma sensu, żebyś mnie dłużej okłamywała – powiedział stanowczo.

Uświadomiłam sobie, że zaszła w nim jakaś zmiana. Nierzucająca się w oczy, ale przy dłuższej rozmowie coraz lepiej widoczna. Wydawało mi się, że jest znacznie pewniejszy siebie, jakby to on wreszcie przejął kontrolę nad sytuacją.

Ale czy to w ogóle możliwe?

Prokocki i Ewa przygotowali wszystko dość precyzyjnie. Werner miał na tym etapie po prostu odpuścić. Tymczasem

wyglądał, jakby zamierzał postąpić dokładnie odwrotnie.

– Szczególnie że potrzebuję twojej pomocy – dodał.

– Jakiej?

– Musisz na jakiś czas przenieść się do innej sali.

Spodziewałam się wszystkiego, ale z pewnością nie tego.

– I w czym ma ci to pomóc?

– W ostatecznym zamknięciu kilku spraw.

Zbliżył się do łóżka i tym razem usiadł po drugiej stronie. Patrzył na mnie bez wyrazu, nie potrafiłam wyczytać niczego z jego oczu.

– To raczej nietypowa prośba – zauważyłam. – I właściwie nie do mnie powinienes ją kierować.

– Załatwię to bez problemu z ordynatorem. Chcę mieć tylko twoją zgodę.

– W porządku – odparłam bez namysłu, bo wydawało mi się to zupełnie trywialne.

Najwyraźniej jednak takie nie było, inaczej Wern nie przykładałby do tego tak dużej wagi. Już miałam zapytać go, dlaczego to istotne, ale to on odezwał się jako pierwszy.

– Wszystko ci wyjaśnię – zapewnił. – Ale najpierw ty musisz powiedzieć mi o kilku rzeczach.

– Jakich?

– Właściwie „kilku” to niedomówienie...

– Mhm – mruknęłam cicho, licząc na to, że mój głos nie zdradzi towarzyszącego mi zdenerwowania.

Jak wiele wiedział? Do czego dotarł? I dlaczego nie przyjął wersji Ewy?

– Zacznijmy od tego, dlaczego nagrałaś te kasety.

– Ja?

– Nie rób ze mnie idioty – odparł i na sekundę spuścił wzrok. – Wystarczająco długo tak mnie traktowałaś.

Nie było w tym wyrzutu ani pretensji, raczej głębokie rozczarowanie. I być może to ono sprawiło, że poczułam ukłucie prosto w serce.

Nie powinien zorientować się, że to ja jestem na obydwu nagraniach.

Były dostatecznie uszkodzone, by zmysł wzroku zawiódł oglądającego, a wszelkie wątpliwości wypełniła wyobraźnia. Przesunięcie obrazu sprawiło, że na dobrą sprawę nie było tam nawet widać mojej twarzy.

Wern czekał na odpowiedź, ale nie wiedziałam, jakiej powinnam mu udzielić. W jednej chwili mogłam przekreślić wszystko to, co starali się zrobić Ewa i Prokocki. I ja od pewnego czasu.

– Wiem, kto porwał twojego syna – odezwał się w końcu Damian. – I ty też zdawałaś sobie z tego sprawę od samego początku. Dlatego nagrałaś tę pierwszą kasetę.

Nabrałam głęboko tchu. Potem skinęłam powoli głową.

Nie było sensu dłużej ukrywać prawdy. Szczególnie że Werner najwyraźniej sam odkrył przynajmniej jej część.

11

W gruncie rzeczy nie przeszkadzały mi kłamstwa. Nie same w sobie. Problem stanowiło to, że ilekroć ktoś je wypowiadał, pokazywał, że nie jestem wart prawdy.

Wpatrywałem się w oczy kobiety, z ust której usłyszałem najwięcej nieprawdy w życiu, zastanawiając się, czy w końcu się to zmieni. Kasandra mogła brnąć w wersję, której dotychczas się trzymała, ale wiedziałem, że w głębi duszy nie chciała tego robić.

Udowodniła to, kiedy po resuscytacji z trudem przekazała mi krótką wiadomość. Byłem pewien, że tego nie pamięta, ale nie miało to żadnego znaczenia – liczyło się to, co nią kierowało.

– W porządku... – odezwała się wreszcie. – Co mam ci powiedzieć?

– Wszystko. Od momentu, kiedy zorientowałaś się, że Wojtek zaginął.

Przesunęła dłonią po włosach i zamknęła oczy. Mimo że miała na sobie szpitalne ciuchy, lusterka nie widziała od tygodnia i nie nosiła ani grama makijażu, wyglądała cudownie. Nie bałem się tego przed sobą przyznać. Wystarczyło, że okłamywali mnie

wszyscy inni – ja sam nie miałem zamiaru tego robić.

– Uznałaś, że to ja go porwałem, prawda? – spytałem.

Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie w milczeniu.

– Kiedy dowiedziałaś się, że znaleziono go w Opolu, właśnie tak założyłaś – dodałem. – Czy się mylę?

– Nie, nie mylisz się – przyznała. – Ale nie myślałam logicznie, Wern. Wydawało mi się, że przez ten rok złość czy nawet nienawiść powoli w tobie wzbierała, a w końcu...

– Zdecydowałem się porwać twoje dziecko w akcie zemsty?

Pokiwała lekko głową.

– Wiem, że to...

– Właściwie to całkiem racjonalne – uciałem. – Niejednemu porzuconemu facetowi w historii świata odbijało znacznie bardziej.

Zanim zorientowałem się, jak żałośnie to zabrzmiało, było już za późno. W oczach Kas pojawiło się współczucie, na które wcale nie liczyłem. Uznałem, że najlepiej szybko uciąć ten temat.

– Ale nie miałaś stuprocentowej pewności, że to ja.

– Nie, nie miałam.

– I to, co mówiłaś o Kajmanie, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, było prawdą.

Skinęła zdawkowo głową. Dobrze, była gotowa wszystko mi wyznać. Nie miała zamiaru dłużej zaprzeczać, tworzyć

nowych scenariuszy ani trzymać się tego, który stworzyli Ewa i Prokocki.

– Zanim przyjechałam do Opolu, brałam pod uwagę różne możliwości. Raz skłaniałam się ku tobie, raz ku ludziom Kajmana – podjęła. – Kiedy w końcu poszłam po rozum do głowy, uznałam, że to najprawdopodobniej oni porwali Wojtka.

Poczułem, że nie mówi mi całej prawdy. Tym razem robiła to jednak tylko po to, by mnie nie ranić. Tak naprawdę nawet po przyjeździe tutaj musiała przecież zakładać, że to ja jestem najbardziej prawdopodobnym kidnapierem.

– Więc nagrałaś tę pierwszą kasetę... – odezwałem się.

– Tak. Jeszcze w Niemczech.

– Po co?

Znów zamknęła oczy, jakby czuła wstyd z powodu tego, co zrobiła.

– Wiedziałam, że jeśli Kajman za tym stoi, to jest tylko jedna osoba, która może mi pomóc. Ty – odezwała się, nie podnosząc powiek. – Ale miałam też świadomość, że nie będziesz gotów tego zrobić.

– A zatem należało mnie zmanipulować. Znów.

– Tak – przyznała otwarcie. – Ta pierwsza taśma miała uświadomić ci tylko, że są inne. Zamierzałam je nagrać już tutaj, reagując na bieżąco na to, co się działo...

Miałem po raz kolejny stać się marionetką. A ona, na bieżąco analizując postępy naszego małego śledztwa, miała pociągać za odpowiednie sznurki.

Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak je zmienia. Jak tworzy kolejne nagrania, by zmusić mnie do takiego czy innego działania. Nie, nie zmusić. Robiłbym wszystko z własnej nieprzymuszonej woli, szukając kolejnych kaset.

Chciała powtórzyć to, co zrobiła z pendrive'ami.

Nie potrafiłem jej za to winić. Próbowwała znaleźć swojego syna i uznała, że wykorzysta do tego narzędzie, które już się sprawdziło. Każda matka na jej miejscu byłaby gotowa na podobny krok. Może nawet bardziej drastyczny.

– Chciałaś mną sterować – rzuciłem. – Po raz kolejny.

– Tak.

Starła się, by w jej głosie nie zadrgała nuta wstydu, ale bez powodzenia.

– Miałaś świadomość, że ludzie Kajmana mają mnie na oku.

– Zgadza się – powiedziała, a potem odetchnęła głęboko, jakby miała zamiar zrzucić ciężar, który zbyt długo nosiła na swoich barkach. – Trafili na mój trop w Niemczech i od razu zrozumieli, że dzięki temu mogą wreszcie zrobić to, na co czekali.

– Znaleźć Ewę.

– Tak. Dla Kajmana to nie tylko punkt honoru. To przez nią resztę życia spędzi w więzieniu, to ona zniszczyła swoimi zeznaniami jego organizację. Przypuszczam, że od kiedy je złożyła, zemsta stała się dla tego człowieka jedynym celem jego

egzystencji.

Trudno było temu zaprzeczyć. Choć Prokocki i Ewa robili wszystko, by przekonać mnie, że nic z tego nie jest prawdą, a zagrożenie ze strony Kajmana jest urojone.

– Szukali jej latami – ciągnęła Kas. – Ale bezskutecznie. Jediną osobą, której udało się kiedykolwiek wpaść na trop Ewy, byłam ja.

– Mówisz o kasetach w Obicach?

– W Obicach nie było żadnych taśm, Wern.

Potrząsnąłem nerwowo głową. Wydawało mi się, że wszystko zrozumiałem i że Kasandra wyjawia mi teraz całą prawdę. Ale jej ostatnia deklaracja z tym nie współgrała.

– W takim razie skąd wiedziałaś o tych wszystkich faktach z naszego życia?

– Z notatek Ewy.

– Notatek?

– Nie nagrała żadnych filmów, to ja wpadłam na pomysł, żeby to zrobić – wyznała. – Ale kiedy była w Obicach, spisywała swoją historię. Nie wiem dlaczego. Może chciała zabić czas, może uznała, że Prokocki przekaże to kiedyś tobie, a może po prostu potrzebowała podsumować poprzednie życie, zanim zacznie nowe...

Kiedy Kas zawiesiła głos, wyobraziłem sobie tę sytuację. Ewę siedzącą w jakimś starym, zapuszczonym domu w podkieleckiej wsi. Pełną obaw, walczącą z niepewnością jutra. Musiała mieć świadomość, że Kajman może w każdej chwili trafić na jej trop. Prokocki z pewnością zrobił wszystko, by tak się nie stało, ale nie mógł dać jej stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa.

– Wszystko, co ci powiedziałam o tamtym miejscu, było prawdą – dodała po chwili Kasandra.

– Tyle że nie było kaset, ale zapiski.

– Tak.

Wstałem z łóżka i przeszedłem się po sali. Miałem wreszcie prawdziwy początek tej historii, teraz potrzebowałem reszty.

– Jak wiesz, ludzie Kajmana w końcu odkryli, że jako jedyna trafiłam na trop Ewy – odezwała się Kas.

– Trudno było nie zauważyć, kiedy uciekałem przed nimi przez pół Polski.

Kasandra potwierdziła ruchem głowy.

– Od tamtej pory mnie szukali – odezwała się. – I kiedy udało im się mnie znaleźć, porwali Wojtka. Dzięki temu chcieli zmusić mnie, bym doprowadziła ich do Ewy.

Tyle że sama nie wiedziała, gdzie jej szukać. Miała jednak świadomość, że jakaś poszlaka może być w zapiskach z Obic. Nagrała je na kasetę, bym przyjrzał się oryginalnemu materiałowi i coś z niego wyłowił. I wyłowiłem.

Oparłem się plecami o ścianę obok łóżka.

– Porywacze się z tobą kontaktowali? – spytałem.

– Nie, wtedy nie. Zrobili to dopiero później, kiedy mieli świadomość, że rozumiem powagę sytuacji.

A zatem mimo tego, co mówiła, na początkowym etapie najpewniej zakładała jeszcze, że to ja jestem porywaczem. Nie chciałem sobie wyobrażać, co wtedy przechodziła. Miała świadomość, że może mną posterować, ale musiała wytrwać na tyle długo w swojej grze, by móc to zrobić.

– Dlaczego umieściłaś na kasecie nick Klizy?

– Uznałam, że to zbije cię z tropu, gdyby przyszło co do czego.

– Chciałaś upozorować jej udział?

– Gdyby zaszła taka potrzeba.

Oczywiście, gdyby tylko coś poszło nie po jej myśli, wciągnęłaby w to wszystko Klizę. Tyle że ona sama zjawiła się w Opolu, autentycznie zaniepokojona tym, co dzieje się z Kasandrą i Wojtkiem. Gotowa pomóc.

– Gdybyś odkrył zbyt wiele, planowałam...

– Co? – przerwałem jej. – Wrobić kogoś innego?

– Nie. Udać, że to Jola przysłała ci kasetę, bo przez ostatni rok zmaga się z wyrzutami sumienia – odparła spokojnie. – W kryzysowej sytuacji odezwałabym się do niej i poprosiła ją o...

– Wzięcie udziału w twojej kolejnej grze.

Skinęła lekko głową. Założenie było słuszne i przypuszczałem, że Kliza przystałaby na propozycję, wiedząc, jak wiele jest na szali.

– Ale Wojtek trafił do szpitala – zauważyłem. – A Jola sama się zjawiała.

– Ona i Glazur.

– No tak.

– Zabrali go ze szpitala, jak pamiętasz. Obawiali się, że coś mu zagraża, stąd ta decyzja.

– Czemu w ogóle tam trafił?

Widziałem, że nie chce o tym mówić. A może sama nie zna odpowiedzi.

– Nie wiem, Wern – powiedziała cicho. – Naprawdę nie wiem. Coś musiało pójść nie tak, kiedy porywacze go zabrali. Może doszło do jakiegoś wypadku, może próbował uciec, może stało się coś pechowego... Ostatecznie liczy się tylko to, że nie zostawili go tam, gdzie to się stało, ale umieścili w szpitalu.

– Z którego zabrał go Glazur, a potem zostawił notatkę w drzwiach mojego mieszkania, bo nie był pewien, czy może mi ufać. Dlatego chciał, żebyś sama spotkała się z nim na placu Wolności...

– Gdzie zatrzymała nas policja.

A chwilę później ja spotkałem czekającą na Glazura i zającącą sushi Klizę.

Wszystkie te zdarzenia tworzyły spójną układankę, której elementy widziałem od samego początku. Bez ostatecznego obrazu nie mogłem jednak umieścić ich w odpowiednich miejscach. Oderwane od siebie, tak naprawdę mogły prowadzić do zupełnie innych wniosków.

Złożone przez Kas, wreszcie miały sens.

– Krzyknęłaś wtedy, że bym zaopiekował się Wojtkiem – zauważyłem. – A zaraz potem, że jest więcej kaset. I że bym je znalazł.

Na jej twarzy zarysował się wyraźny żal. Nie rozumiałem, z czego wynika, dopóki nie przypomniałem sobie, że żadnych kaset wtedy nie było. Nie nagrała ich.

– Chciałam po prostu, żebyś nie przestawał szukać... – odezwała się.

– Tyle że nie nagrań, ale Ewy.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Wszystko, co nagrałam na pierwszej taśmie, było w jej notatkach, Wern – powiedziała, a ja znów odniosłem wrażenie, że zrzuca z siebie jakiś ciężar. – Oddałam to wszystko słowo w słowo. Wiesz dlaczego?

– Nie – odparłem, choć oczywiście doskonale wiedziałem.

– Bo liczyłam na to, że jest w tych zapiskach coś, czego ja nie widzę. Coś, co mi umknęło, ale co ty zobaczysz.

Było. Wspomnienie o kapliczce, które naprowadziło mnie na konkretny trop. Kapliczce, którą Ewa kojarzyła tylko dlatego, że przebywała w Kappie. Kas pominęła to w nagraniach na pendrive'ach i w internecie, bo w niczym jej to nie pomagało, ale ostatecznie okazało się kluczowe.

– Chciałam, żebyś dalej drążył... żebyś oglądał to nagranie do skutku, szukał jakichś wskazówek, grzebał w przeszłości i...

– I trafił na trop Ewy – dokończyłem za nią. – Bo miałaś świadomość, że ludzie Kajmana mnie obserwują. I że ich do niej doprowadzę.

Nie miała zamiaru zaprzeczać. Zakładała, że jeśli wspomni o pozostałych kasetach, których nie będę mógł znaleźć, zajmę się wyłącznie tą, którą posiadam. I będę oglądał ją na tyle długo, by znaleźć jakąś poszlakę. Ostatecznie się nie pomyliła. Właśnie tak się stało.

– Życie mojego dziecka było na szali – odezwała się z przekonaniem, że to wszystko tłumaczy i usprawiedliwia.

I może w istocie tak było. Oboje daliśmy sobie chwilę, by oswoić się z tą świadomością.

– Kiedy trafiłam do więzienia, zgłosili się do mnie ludzie Kajmana – podjęła.

Miałem wrażenie, że to gigantyczne niedomówienie. Nie wiedziałem, co działo się z nią w Zamtuzie, ale jeśli choćby połowa opowieści o tym miejscu była prawdziwa, nie mogło być to nic dobrego.

– Trafiłam do celi z trzema kobietami, które... cóż, były gotowe zrobić to, co Kajman im polecił czy za co im zapłacił... A ja...

Urwała, szukając odpowiednich słów. Mimowolnie położyłem

dłoń na jej ręce, ale natychmiast cofnęła swoją, jakby się oparzyła.

– Przepraszam – rzuciłem szybko.

– Nie, to... po prostu...

– Nie musisz o tym mówić.

Skinęła głową z wdzięcznością, a ja sam mogłem dopowiedzieć sobie resztę. Jeśli Kajman opłacił więźniarki, z którymi Kas była w celi, efekt mógł być tylko jeden. Zyskał przecież doskonałe narzędzia, by zmusić ją do współpracy.

– Dały ci jakieś ultimatum? – zapytałem.

Pokiwała głową, wlepiając puste spojrzenie w sufit.

– Te dziewczyny postawiły sprawę jasno – dodała. – Albo pomogę Kajmanowi, albo będzie o wiele gorzej.

– I? Zgodziłaś się?

– Byłam gotowa to zrobić...

– Ale?

– Ale w porę zgłosił się do mnie Prokocki z inną propozycją – odparła ciężko. – Pierwszy raz przyszedł tylko, by się czegoś dowiedzieć. Chciał ustalić, ile wiem, po co nagrałam tę pierwszą kasetę i co w ogóle robię w Opolu...

Mruknąłem potwierdzająco.

– Sprawdzał też okolice Kappy – odezwałem się. – Kiedy z Klizą znaleźliśmy kapliczkę, widzieliśmy, jak przejeżdża obok.

– Bał się, że ktoś trafił na trop Ewy. Sprawdzał wszystkie luźne końce.

– Na to wygląda – przyznałem. – Ale jaką propozycję ci złożył?

– Właściwie on jedynie zasugerował, że jakaś się pojawi, a w jego imieniu zrobił to później ojciec Antoni. Przyszedł do mnie po tym, jak zaczęłaś go szukać. On także starał się ustalić, ile wiem... i czy jestem gotowa pójść z nimi na współpracę.

– I zgodziłaś się.

– A miałam wyjście?

Nie, nie miała.

– Prokocki zapewnił mnie, że nie tylko wyjdę z Zamtuzi, ale że prokuratura umorzy postępowanie.

– Ot tak? Bez udziału sądu?

– Bez – potwierdziła. – Nic nie stoi na przeszkodzie, jeśli śledczy uznają, że nie została przekroczona granica obrony koniecznej.

W tym wypadku Prokocki nie musiał nawet uciekać się do manipulacji czy wykorzystywania przysług w prokuraturze. Sytuacja była jasna i właściwie jedynym problemem były moje zeznania, a także to, że Kas uciekła za granicę. Zrobiła to jednak z obawy nie przed odpowiedzialnością, ale zemstą środowiska jej męża.

– Dzwoniłam do ciebie jakiś czas później, kiedy wszystko było już załatwione i dogadane.

– I pytałaś o to, czy jestem pewien, że mogę ufać Klizie.

– Bo sama nie miałam pewności – przyznała. – Zresztą...

– Namieszanie mi w głowie działało na twoją korzyść.

Nie potwierdziła, ale nie musiała tego robić. Na tamtym etapie właściwie wszystkich musiała traktować jako potencjalnych przeciwników. I być może zaczęła podawać w wątpliwość powody, dla których Jola zjawiała się w Opolu. Z jej punktu widzenia Kajman mógł dotrzeć właściwie do wszystkich.

Podczas tamtej rozmowy poleciła mi złożyć zeznania, które ostatecznie doprowadziły do tego, że wyszła z aresztu. Zrobiłem to, a potem cały plan Prokockiego poszedł w ruch.

– Ewa odebrała mnie z Zamtuza – oznajmiła. – Wyobraź sobie moje zdziwienie.

– Wyobrażam sobie.

– Zaszliśmy się później u Electry, gdzie nagrałam drugą kasetę. Z nową wersją Ewy.

Zmrużyłem oczy, myśląc o tym, że albo się minęliśmy, albo obydwie były tam wtedy, kiedy z Klizą próbowaliśmy coś wyciągnąć z Electry. Odsunąłem ten wniosek i stwierdziłem, że najwyższa pora poruszyć to, co najważniejsze.

– Czemu to wszystko miało służyć? – zapytałem.

– Oszukaniu cię.

– Tak, to dobitnie do mnie dotarło – odparłem pod nosem. – Ale dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, Ewa i Prokocki uznali, że to jedyny sposób, żebyś w końcu przyjął wersję podkomisarza

i odpuścił. Chcieli przekonać cię, że cała ta sprawa z Kajmanem to wyłącznie mój wymysł.

– Ale...

– Zrozumieli, że to ty zawsze byłeś i wciąż jesteś dla niej największym zagrożeniem, Wern. Nigdy byś nie odpuścił, gdybyś był przekonany, że naprawdę przed kimś uciekła. Drażyłybyś do skutku, a im bliżej byłbyś Ewy, tym większe niebezpieczeństwo byś na nią sprowadzał.

Nie musiałem długo się nad tym zastanawiać, żeby pojąć, iż tak właśnie by się stało. Być może nawet działo się tak od samego początku. W tym sensie wszystko, co robiłem, tak naprawdę służyło Kajmanowi.

Co by było, gdybym kiedyś przypadkiem trafił na trop związany z Kappą? Sam, bez kontrolującego wszystko Prokockiego? Mogłoby skończyć się to tragedią.

– Potrzebowali wiarygodnej historyjki, którą całkowicie kupisz... Musieli mieć pewność, że raz na zawsze odpuścisz. A jak lepiej to osiągnąć, jeśli nie poprzez złamanie czyjegoś serca? Jeśli uznałbyś, że Ewa uciekła z własnej woli, a wcześniej zdradziła cię z twoim przyjacielem, szukałbyś jej dalej?

– Może i nie – przyznałem. – A ten romans z Blitzem...

– To naprawdę miało miejsce.

Nie chciałem dać po sobie poznać jakichkolwiek emocji, ale ponieważ zorientowałem się, że spuściłem wzrok. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli pociągnę ten wątek dalej i nie będę skupiał się na tym konkretnym aspekcie.

– Wypadek pod mostem Pajęczym zdarzył się naprawdę? – spytałem.

– Tak. Cała ta historia była prawdziwa. I to jest drugi powód, dla którego zdecydowali się na jej użycie.

– Bo była wiarygodna.

– Nie. Nie dlatego – odparła bez wahania Kasandra. – Bo chcieli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Z jednej strony przekonać cię, że nie warto szukać dalej Ewy, z drugiej sprawić, że Falkow wyleci z policji.

– Nie rozumiem.

Kas wpatrywała się we mnie z powątpiewaniem. Zdawała się sugerować, że tak naprawdę wszystko pojmuję, ale chcę zmusić ją, by pewne rzeczy powiedziała wprost.

– Druga kasetą wróciła już z naprawy? – spytała.

– Tak.

– W takim razie wiesz, że jest tam wszystko, co usłyszałeś pod mostem. Samo zdarzenie to prawda, ale wszystko to, co działo się później, nie.

– No tak... – przyznałem. – Bo nigdy nie doszło do żadnej zemsty Falkowa.

– Nie. Ale był i jest jednym z ludzi na usługach Kajmana. Rozumiesz? – Zrobiła pauzę, ale nie dała mi czasu na odpowiedź.

– To on go o wszystkim informował, być może to nawet on zabił Blitza. A z pewnością w mniejszym lub większym stopniu przyłożył do tego rękę. Zatarł jednak po sobie wszystkie ślady.

– I Prokocki o tym wiedział.

– Tak. Zdawał sobie sprawę, że nie dorwie go tradycyjnymi metodami – odparła, a ja zobaczyłem, że ma suche usta. Należało kończyć tę rozmowę. – Materiał na tej kasecie nie wystarczy na skazanie go w sądzie, ale Falkow z pewnością pożegna się z pracą w policji.

Zrozumiałem, że podkomisarz robił to wszystko z jednego powodu. By Ewa była bezpieczna. Chciał spacyfikować mnie i pozbyć się Falkowa, wychodząc z założenia, że tym samym usunie wszystkie zagrożenia.

I najgorsze było to, że miał rację. W jednym i drugim wypadku.

– To nagranie było kluczowe – dodała Kas. – Tylko wszystko stało pod znakiem zapytania, kiedy okazało się, że jest zbyt uszkodzone, byś je odtworzył.

I mogło prowadzić do całkowicie błędnej interpretacji, dodałem w duchu. Podobnie jak w przypadku wszystkich faktów, które mi podsuwano, także strzępki tego nagrania powodowały niebezpieczeństwo błędnej interpretacji.

Był tam nawet fragment „Iłam się dorei”, który Kliza błędnie odczytała z „m” na końcu i uznała, że chodzi o próbę skontaktowania się z Reimannem. W rzeczywistości był to

fragment frazy „zmusiłam się do reinkarnacji”, którą Kas wypowiadała, tłumacząc, dlaczego Ewa rzekomo miała zacząć zupełnie nowe życie.

Tak niewiele było trzeba, by ujrzeć rzeczywistość w błędnym świetle.

Prokocki i Ewa doskonale zdawali sobie z tego sprawę. I wykorzystali to przeciwko mnie.

– Bez tej kasety...

– Wszystko by przepadło – dokończyłem za Kasandrę. – Wpadli więc na pomysł ze spotkaniem pod mostem Pajęczym.

Kas wypuściła z ulgą powietrze, jakby właśnie skończyła długi, męczący maraton. W pewnym sensie tak było. Dotarliśmy do miejsca, w którym wszystko spinało się mocną klamrą. Tyle że dla mnie nie był to koniec. Dla niej też nie.

Przyniosłem jej wody, zostałem z nią jeszcze chwilę, a potem opuściłem szpital.

Kliza czekała na mnie przed głównym wejściem. Kiedy tylko zobaczyła, jak schodzę po schodach, wyjęła paczkę marlboro goldów.

– Przyznała się do wszystkiego? – zapytała.

– Tak.

Wyciągnąłem papierosa i obróciłem go między palcami.

– Więc możemy zacząć działać?

– Jak najbardziej – zapewniłem ją, a potem uśmiechnąłem się i złamałem marlboro w połowie. Wysypałem tytoń, po czym z satysfakcją wyrzuciłem papierosa do kosza. – Najwyższa pora – dodałem.

Stan pacjentki był stabilny, rany dobrze się goiły, ale lekarze nie mieli wątpliwości, że wymaga dalszej obserwacji. Za jej zgodą podjęto jednak decyzję, że nie musi przebywać na oddziale chirurgii ogólnej i może zostać bezpiecznie przewieziona do centrum medycznego kilkanaście kilometrów od Opola.

Mężczyzna śledzący informacje na ten temat ustalił, że karetka będzie poruszała się bez żadnej obstawy. Słuszna decyzja. Obecność policji ściągnęłaby na pacjentkę niepotrzebną uwagę, a na tym etapie służbom zależało na tym, by nikt nie znał jej tożsamości.

Tyle że mężczyźnie udało się dotrzeć także do innych informacji, których potrzebował. Wiedział, kto jest przewożony w erce, a także którądy przebiegać będzie jej trasa: opuści rogatki miasta Luboszycką, wjedzie na obwodnicę Opola, a potem skieruje się albo ku Dobrzeniowi, albo w stronę Krzanowic.

Kierowca srebrnego lanosa jechał za karetką, czekając na to, jaką decyzję podejmie prowadząca ją osoba. Wolałby wersję z Krzanowicami. Znajdowały się tam mniejsze, położone bardziej na uboczu drogi.

Uśmiechnął się, widząc, że wszystko idzie po jego myśli. Samochód pogotowia skręcił z obwodnicy w prawo, a potem nie przekraczając dozwolonej prędkości, skierował się ku Czarnowąsom.

Mężczyzna przez jakiś czas podążał za erką, a kiedy ta minęła parę wsi, zdecydował się ją wyprzedzić. Miał już pewność, że w drodze do centrum medycznego nie zboczy z trasy – i wiedział, gdzie na nią czekać.

Dziesięć minut po zjeździe z obwodnicy minął tabliczkę z polską nazwą Świerkle i niemiecką Horst. Wjechał na niewielką, popękaną drogę prowadzącą przez las, która była tak wąska, że właściwie powinna być jednokierunkowa.

Asfalt był stary, nie wymalowano na nim nawet linii, a o poboczu nikt chyba nawet nie pomyślał. Było to idealne miejsce, by zatrzymać karetkę.

Mężczyzna zahamował mniej więcej w połowie drogi między dwiema wsiami, po czym wyszedł z samochodu i zostawił otwarte drzwi. To, co zamierzał zrobić, nie było przesadnie skomplikowane.

Uśmiechnął się na myśl o tym. Wszystkim wydawało się, że mogą tak po prostu go oszukać. Werner łudził się, że kontroluje

sytuację, Ewa, że może się ukryć, a Kasandra, że to jedynie ją stać na prawdziwy makiawelizm.

Tak naprawdę nie mieli jednak pojęcia, jak osiągać swoje cele. Nie rozumieli, jak daleko trzeba się posunąć. Mężczyzna czekający na karetkę zdawał sobie z tego sprawę doskonale.

Kiedy zauważył, że samochód pogotowia opuszcza Świerkle i powoli zmierza w jego stronę, przygotował się. Broń była na swoim miejscu, jego auto stało tak, by uniemożliwić przejazd.

Nie miał zamiaru zatrzymywać kierowcy siłą, wręcz przeciwnie. Wystarczyło tylko przypomnieć jadącym w erce osobom, jakie są ich obowiązki.

Dostrzegając już ich twarze, złapał się jedną ręką za klatkę piersiową, a drugą uniósł w rozpaczliwym geście. Skrzywił się, jakby poczuł przemożny ból, a potem zatoczył się w kierunku swojego samochodu.

Kiedy oparł się o dach, karetka zatrzymała się tuż obok niego.

Usłyszał, jak kierowca gasi silnik, a potem otwierają się drzwi z obydwu stron. Nie mogło być inaczej. Ci ludzie działali jak zaprogramowani i z łatwością można było przewidzieć ich reakcje.

W okamgnieniu do niego podbiegną, ale zamiast potrzebującego pomocy mężczyzny zobaczą człowieka z bronią. Dwa strzały wystarczą.

Trzeci będzie przeznaczony dla pacjentki.

Wszystko się skończy. Po tylu latach, staraniach i ofiarach ostatecznie sprawa zostanie zamknięta. Życie ratowników będzie niewielką ceną, jaką przyjdzie za to zapłacić.

Mężczyzna słyszał, że zatrzymali się za jego plecami. Nabrał tchu, położył dłoń na rękojeści pistoletu, a potem na moment zamknął oczy. Czas działać.

Obrócił się, gotów wyciągnąć pistolet i od razu strzelić. Przypuszczał, że sam widok glocka sprawi, że reszta będzie jedynie czystą formalnością.

Zamarł jednak, widząc zupełnie nie to, czego się spodziewał.

Obaj ratownicy mierzyli do niego z broni. Mężczyzna od razu rozpoznał policyjny model, który sam posiadał. I którego nie

zdążył nawet wyciągnąć.

– Biuro Spraw Wewnętrznych Policji! – krzyknął jeden z nich. – Rzuć broń!

Zanim Jonatan Falkow zdążył zrozumieć, co się stało, drugi mężczyzna natychmiast znalazł się obok niego, a trzeci wyskoczył z karetki. Sprowadzili go na ziemię, krzycząc, by nie stawiał oporu.

Poczuł, jak jeden z nich wrywa mu broń z kabury. I wiedział, że razem z nią stracił także wszystko inne.

– Jak... – jęknął.

– Morda, skurwielu!

Próbował spojrzeć na tego, który krzyczał najgłośniej. Uniósł głowę, ale ktoś natychmiast złapał go za kark i przycisnął do ziemi.

Jonatan nie rozumiał, co się stało. Informacje, które dostał, pochodziły z pewnego źródła.

Sam Kajman zadbał o to, by znalazł się w tym konkretnym czasie i miejscu. I zapewniał, że dzięki temu raz na zawsze wszystko się skończy.

13

Leżałam na drugim piętrze opolskiego szpitala, czekając na Werna. Miałam wrażenie, że znam już każde zagłębienie łóżka, każdą niedoskonałość na suficie i każdy element widoku za oknem.

Kiedy Damian zapytał, czy zgodzę się na przenosiny, sądziłam, że naprawdę zamierza mnie stąd zabrać. Szybko okazało się jednak, że była to jedynie zasłona dymna. Miałam dopełnić wszystkich formalności, jakbym rzeczywiście opuszczała szpital, ale w rzeczywistości zostać dokładnie tam, gdzie byłam.

Nie wiedziałam, czemu ma to służyć. Obiecał, że zjawi się u mnie, kiedy wszystko będzie skończone. I wówczas wytłumaczy mi, w czym tak naprawdę wzięłam udział.

Czekałam na niego kilka dni, myśląc o tym, że już się nie zjawi.

Coś mogło przecież pójść nie tak, a oprócz tego istniało pewne prawdopodobieństwo, że Wern zmieni zdanie. Właściwie wystarczyło, by przypomniał sobie, co mu zrobiłam.

Po paru dniach od naszej rozmowy w końcu jednak przyszedł. Ledwo przekroczył próg, dostrzegłam w nim kolejną zmianę. Wyglądał na... pogodzonego z życiem? Nie, może nawet więcej. Na odprężonego.

– Zrobiłeś sobie kilkudniowy urlop, Wern? – spytałam.

Uśmiechnął się niemal beztrudnie.

– Wręcz przeciwnie. Harowałem jak wół.

– A sprawiasz wrażenie wyjątkowo wypoczętego.

– Bo wreszcie czuję, że mam do tego prawo.

Jedną rękę trzymał za plecami, a ja uświadomiłam sobie, że przyniósł mi kwiaty. Mina musiała mi zrzędnać, bo nagle nerwowo odchrząknął.

– Nie martw się, to nie są irysy – powiedział, wyciągając zza pleców niewielką czarną orchideę.

Postawił ją na szafce obok łóżka, a potem przysiadł na jego skraju.

– Storczyk tygrys – oznajmił, wskazując na kwiatek. – Od razu mi się spodobał, a nazwa też nie najgorsza.

Uniosłam lekko kąciki ust i potwierdziłam ruchem głowy. Popatrzyłam na Werna, ale on całą uwagę skupiał na orchidei. Podobała mi się, w jakiś sposób do mnie pasowała. Uznałam, że dobrze wybrał, nie tylko przez wzgląd na nazwę.

– Wszystko poszło po twojej myśli? – zapytałam.

– Tak – przyznał, a potem potrząsnął głową, jakby upomniał się, że przyszedł tutaj w określonym celu. – Na jakiś czas znów stałaś się Ewą.

– Co takiego?

Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. Tym razem jednak nie odpowiedziałam tym samym. Nie miałam nic przeciwko trzymaniu mnie w niewiedzy, jeśli tego wymagała sytuacja, ale ostatnim, czego chciałam, były kolejne manipulacje.

– I właściwie tylko dla jednej osoby – dodał.

– Możesz mi to wyjaśnić?

– Po to przyszedłem – przyznał, a ja wyczułam w jego głosie satysfakcję.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie złość, ale szybko upomniałam się w duchu, że to bodaj pierwszy raz, kiedy Wern ma przede mną jakieś tajemnice, a nie odwrotnie. Jeśli czerpał z tej sytuacji nieco przyjemności, trudno było się dziwić.

– W końcu komu, jak nie tobie, należą się wyjaśnienia? – spytał.
– To ty wprawiłaś wszystko w ruch, Kas.

– Ja?

– W momencie gdy po resuscytacji zdołałaś przekazać mi krótką wiadomość.

– Wiadomość?

– Właściwie tylko dwa słowa.

– Nie pamiętam tego.

Zadowolenie na jego twarzy było coraz wyraźniej dostrzegalne.

– Nie wiem, co ci powiedziałam – dodałam.

Nachylił się do mnie, a potem szepnął mi do ucha:

– Siedem. Piętnaście.

Kiedy się wyprostował, posłałam mu długie spojrzenie. Czy rzeczywiście właśnie to udało mi się wydusić, kiedy balansowałam na granicy ponownej utraty przytomności? Nie mogłam tego wykluczyć. W końcu sama w ten sposób podpisałam kasetę. Wiedziałam, jakie to dla mnie istotne. I może podświadomość kazała mi zrobić wszystko, by przekazać to Wernowi.

– Gdybyś tego nie zrobiła, z pewnością zapomniałbym o tym napisie na kasecie – podjął. – Ale uznałem, że skoro w sytuacji zagrożenia życia mi o tym przypominasz, coś jest na rzeczy. I że naprawdę ostrzegasz mnie przed fałszywymi prorokami.

Skinęłam głową w milczeniu.

– Zrozumiałem, że umieszczenie tego na kasecie było twoją ostatnią próbą wyciągnięcia do mnie ręki – kontynuował. – I że właściwie było to wyjątkowo przebiegłe. Prokocki ani nikt inny nie zorientował się, że dałaś mi jakąkolwiek wskazówkę. Wszyscy uznali, że to po prostu kolejne oznaczenie jednej z rzekomych piętnastu kaset.

Podciągnęłam się do wezgłowia, choć zmiana pozycji wciąż wiązała się z dotkliwym bólem. Miałam wrażenie, że im więcej czasu mija od operacji, tym dyskomfort jest większy. Nie bez znaczenia z pewnością było to, że stopniowo zmniejszano podawane mi dawki środka przeciwbólowego.

– W końcu na dobre z Klizą zrozumieliśmy, że w jedyny możliwy sposób ostrzegłaś mnie przed Prokockim, Ewą, Antonim i resztą. Przed fałszywymi prorokami. Dałaś mi do zrozumienia, żebym im nie wierzył.

Raczej zasygnalizowałam. I przeszłoby to bez echa, gdyby nie to, że wskazałam ten fragment o prorokach, niemal umierając. W przeciwnym wypadku Wern po prostu by o tym zapomniał lub zupełnie to zbagatelizował.

Nie połączyłby tego z informacją, którą napisałam mu na RIC w przypiływie... cóż, uczucia do niego. Poinformowałam go wtedy, że nie ma piętnastu kaset, ale bez dodatkowych wskazówek nie zrozumiałby, co to oznacza. Najprawdopodobniej uznałby, że zostały zniszczone.

Była jakaś sprawiedliwość w tym, że to Ewa doprowadziła do innego efektu. Gdyby nie dźgnęła mnie nożem, nie wyszeptałabym nic Damianowi, a on nigdy nie poszedłby drogą, którą ostatecznie wybrał.

– Więc co zrobiłeś? – spytałam.

– Uznałem, że mam dosyć bycia okłamywanym przez wszystkich.

– A potem?

– Zwróciłem się do jedynej osoby, która gotowa była przedstawić mi prawdę.

Czekałam, aż wyjaśni, o kogo chodzi. Miałam kilka typów, ale żaden z nich nie wydawał się dobry. Moi kandydaci albo nie wiedzieli wszystkiego, albo nie byliby gotowi podzielić się tym z Wernem.

Chyba że...

Poczułam ciarki na samą myśl, że mógłby wpaść na tak niebezpieczny pomysł. Ale był pod ścianą, zdesperowany i gotowy na wszystko.

– Spotkałeś się z Kajmanem? – zapytałam.

– Nie – odparł od razu. – Ale zrobiła to Kliza.

– Co?

– Już jakiś czas temu złożyła wniosek o widzenie, choć wtedy zrobiła to po to, byśmy spróbowali coś z niego wyciągnąć. Teraz cel był inny.

Otworzyłam usta, ale się nie odezwałam.

– W pierwszej chwili nie chciałem się zgodzić, ale przekonała mnie, że to dobry pomysł. W końcu nie musieliśmy przecież mówić Kajmanowi całej prawdy. I moglibyśmy przedstawić mu bardziej wiarygodną, choć mniej... rzeczywistą wersję zdarzeń.

– O czym ty mówisz?

– Kazaliśmy mu wierzyć, że Ewa wróciła, żeby pozamykać wszystkie niedokończone sprawy.

– To akurat w pewnym sensie prawda.

– Otóż to. I tym łatwiej udało nam się go przekonać – przyznał Wern. – A jego reakcja mówiła sama za siebie. Ewidentnie wciąż na nią polował, więc...

– Więc zrozumieliście, że Prokocki kłamał.

– Tak. Uzyskaliśmy ostateczne potwierdzenie, że twoje ostrzeżenie było zasadne. Że padliśmy ofiarami zмовy.

Spojrzałam na czarną orchideę, a potem na Damiana.

– W co kazaliście wierzyć Kajmanowi?

– W to, że Ewa próbuje się pozbyć Falkowa i mnie. Czyli w gruncie rzeczy w to, co miało miejsce – odparł, również przenosząc wzrok na kwiat. – Tyle że dodaliśmy do tego coś jeszcze.

– Co?

– To, że ucierpiała fizycznie w całej tej sytuacji, bo między tobą a nią doszło do... różnicy zdań.

W tym względzie właściwie też dalece nie rozminęli się z prawdą. Jak każde dobre kłamstwo, to także było na niej zbudowane.

– Poinformowaliśmy go, że trafiła na Witosa, oczywiście pod zmienionym nazwiskiem.

– Moim.

– Tak, w naszej wersji Prokocki miał o to zadbać. A także o to, żeby została przeniesiona do centrum medycznego niedaleko stąd. Dla bezpieczeństwa.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Nie wykorzystał kaset, by pogrążyć Falkowa. Użył znacznie większego kalibru. Zamiast ścierać na niego konsekwencje służbowe za to, co wydarzyło się lata temu, wpłatał go w intrygę, po której spadną na niego skutki prawnokarne.

– Kajman nie mógł przepuścić takiej okazji – ciągnął Wern. – A my wiedzieliśmy, że poleci komuś zasadzić się na karetkę.

– Nie komuś, tylko swojemu człowiekowi w opolskiej policji.

– Tak – przyznał.

– Więc co? Złożyłeś Prokockiemu propozycję nie do odrzucenia? Przekonałeś go, że załatwi dwa problemy za jednym zamachem?

– Nie, on nic o tym nie wiedział.

Na miejscu Damiana zwróciłabym się do podkomisarza. Może i ich interesy nie były do końca zbieżne, ale Prokocki najprawdopodobniej przystałby na tę propozycję. Wszak raz na zawsze pozbyłby się kreta w policji.

– Woleliśmy nie ryzykować – dodał Wern. – Poza tym wyobraź sobie, że nasz podkomisarz poszedł na dwutygodniowy urlop.

– Coś takiego...

– Najwyraźniej uznał, że musi sam zadbać o to, by Ewa po raz kolejny na dobre znikła. Ale nawet gdyby był na miejscu, nie mieliśmy z Klizą zamiaru się do niego zwracać. Zamiast tego zainteresowaliśmy sprawą BSWP.

Uniosłam pytająco brwi.

– Biuro Spraw Wewnętrznych Policji – wyjaśnił Damian. – I okazało się, że bardzo chętnie pomogą nam w przygotowaniu tej prowokacji.

Obrócił storczyk, jakby usytuowanie kwiatka pod odpowiednim kątem stawiało kropkę nad i.

– Umieścili w karetce trzech funkcjonariuszy, na wszelki wypadek w odwodzie był pełny oddział. Przepuszczaliśmy, że Kajman wyśle samego Falkowa, ale nie mieliśmy pewności.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Werner ostatecznie okazał się górą. Po tym wszystkim, co przeszedł, to on wymanewrował wszystkich pozostałych graczy. Mnie trzymał w niewiedzy, Prokockiego zupełnie odsunął, a Falkowa wysłał do więzienia.

– Ile dostanie? – spytałam.

– Dostatecznie dużo, żeby przegapił kilkanaście nowych modeli iPhone'a.

– Udowodnił mi zabójstwo Blitza?

– Nie wiem. Wszystko zależy od tego, czy Kajman pójdzie na układ z policją – odparł ciężko Wern. – A jest na to szansa, bo dość łatwo będzie udowodnić, że Falkow był jego człowiekiem i to na jego zlecenie miał usunąć Ewę w trakcie przewozu.

Skinęłam głową, zadowolona z tego, że tak się to skończyło.

– Zastanawiam się tylko, czy od początku robił to wszystko dla kasy, czy ze względu na to, co wydarzyło się pod mostem Pajęczym – dodał Damian, patrząc na mnie z oczekiwaniem.

– Mnie nie pytaj – odparłam. – Nie znam odpowiedzi.

– Ale gdybyś miała zgadywać, powiedziałaabyś, że...

– Że skorzystał z okazji, żeby zemścić się za to, co się wtedy stało.

Wydawało mi się to dość logiczne, przynajmniej po tym, czego dowiedzieliśmy się od Ewy i reszty. Tamten tragiczny wypadek rzeczywiście zniszczył Jonatanowi życie. Nigdy nie wrócił po tym do siebie, a kiedy pojawił się Kajman, Falkow zrozumiał, że mają wspólnego wroga.

Być może same pieniądze nie wystarczyłyby do przekupienia oficera policji. W tym wypadku Kajman miał jednak znacznie cenniejszą walutę.

– Co teraz będzie, Wern? – spytałam.

– Jeśli dobrze pójdzie, rozbiją siatkę przestępczą Kajmana. Falkow był w jego otoczeniu dostatecznie długo, by wiedzieć to i owo na temat konkretnych ludzi.

– Zgodzi się mówić?

– Jeśli nie, wyląduje w więzieniu z łatką skorumpowanego policjanta. A to do niczego dobrego nie doprowadzi.

Wzmianka o dotkliwej rzeczywistości za kratkami sprawiła, że

cały mój dobry nastrój znikł. Wern zauważył to bez trudu.

– Jest jeszcze coś – powiedział szybko, jakby to dostrzegł.

– Co takiego?

– Postawią też zarzuty Andrzejowi Kałwakowi – rzucił, a ja wstrzymałam oddech. – Ustalili, że Falkow z nim współdziałał. Utrzymywali sporadyczny kontakt, a Kałwak od dawna wiedział, co spotkało jego brata.

Zamknęłam oczy.

– I kiedy trafiłaś do Zamtuza, był gotów...

– Urządzić mi taki sam horror, jaki zgotowały mi Migota, Ciotka i Kamikaze – dopowiedziałam, nie podnosząc powiek. – Wszystko, bylebym poszła na układ i doprowadziła ich do Ewy.

Kajman winił ją za zeznania, a Jonatan i Kałwak za to, że sytuacja pod mostem wymknęła się spod kontroli. Wszystkim trzem zależało na tym, by ją dorwać.

– Szczęśliwie wybrałaś drugą opcję.

Otworzyłam oczy i zerknęłam na swój brzuch.

– Tak szczęśliwie, że Ewa próbowała mnie wypatroszyć.

Usiłowałam narzucić lekki ton, ale widziałam, że Wern albo tego nie wyłapał, albo nie chciał tego zrobić. Ktoś przeszedł korytarzem, a my w milczeniu odczekaliśmy chwilę, aż się oddali.

– Powinnaś się tym zająć – zauważył Damian.

– Lekarze radzą sobie całkiem nieźle.

– Nie mówię o ranach, tylko o tym, że ona próbowała cię zabić... I powinna za to odpowiedzieć.

– Nie – odparłam od razu.

Miałam nadzieję, że to zakończy temat, ale Wern nie zamierzał odpuszczać. Widziałam to w jego oczach, ale byłam pewna, że uda mi się go przekonać. W końcu to ode mnie zależało, czego dowie się policja. A ja po kilku dniach uspokoiłam się na tyle, by zrozumieć, że być może należało mi się to, co mnie spotkało.

– Ona jest w tej chwili bezpieczna, Kajman stracił swoją jedyną wtykę w policji, a mi zależy tylko na tym, żeby...

– Kałwak też trafi do więzienia – przerwał mi Werner, jakby chciał oszczędzić mi konieczności mówienia o tym.

Doceniłam to lekkim uśmiechem, choć każda myśl o strażniku

więziennym była jak kolejny cios nożem w brzuch.

– Nie to chciałam powiedzieć – odparłam.

– A co?

– Że w tej chwili zależy mi tylko na tym, żeby zająć się Wojtkiem.

Damian przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. A może nie nad nią, ale nad tym, czy naprawdę wszystko w tej chwili sprowadza się właśnie do tego.

– Rozumiem – przyznał w końcu. – I cokolwiek by się działo, możesz na mnie liczyć.

Miałam tego świadomość, ale nie spodziewałam się, że usłyszę od niego taką deklarację. Wydawało mi się, że zaskoczyła nawet jego. Zmieszał się nieco i odchrząknął.

– Dlaczego Ewa w ogóle cię zaatakowała? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami i westchnęłam.

– Ukradłam jej tożsamość, Wern. To niewystarczający powód?

– Może.

– W dodatku ubzdurała sobie, że... właściwie sama nie wiem co. W każdym razie tyle wystarczyło, żeby coś w niej pękło.

Damian nie odpowiadał.

– Ale czy mogę jej się dziwić? Z jej punktu widzenia byłam złem wcielonym – przyznałam. – Na dobrą sprawę z twojego też powinnam nim być.

– Jesteś – odparł cicho, a potem wskazał orchideę. – A mimo to przyniosłem ci kwiaty.

– Bo?

– Bo zło jest fascynujące, pociągające.

– To jeden z najgorszych komplementów, jakie kiedykolwiek usłyszałam, Wern.

Potarł kark i na powrót zobaczyłam tego samego Damiana, który pędził przez pół kraju w pogoni za okruciami informacji na temat swojej narzeczonej. Nieskażonego tym wszystkim, co go później spotkało.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zło tak się wszędzie wyróżnia? – odezwał się. – Dlaczego elektryzują nas bardziej nagłówki o brutalnych mordercach niż o wolontariuszach

w ubogich afrykańskich krajach?

Pokręciłam lekko głową, nie odrywając od niego spojrzenia.

– Bo dobro jest wszechobecne – wyjaśnił i się uśmiechnął. – Tkwi w nas i nas otacza. To banalne, ale tak jest. Zło natomiast stanowi odstępstwo od normy, wyjątek. I dlatego jest takie ciekawe.

Odpowiedziałam mu bladym uśmiechem.

– To wciąż niezbyt udany komplement.

– Dążę do tego, że jesteś wyjątkowa – odparł, patrząc mi prosto w oczy. – I doprawdy nieodgadniona.

Gdyby jego spojrzenie uciekło choć na chwilę, mogłabym sądzić, że w jego słowach jest drugie dno. Ukryty sens, który miał prowadzić do jakiegoś niezrozumiałego dla mnie celu.

Tak jednak nie było. Wern patrzył na mnie ze szczerością. I z wyczekiwaniem zupełnie nowej przyszłości.

Zaczynała się dla nas obojga właśnie teraz.

Bez względu na to, czy Damian dojdzie do takiego samego wniosku jak Ewa.

POSŁOWIE

Pisanie książek w narracji pierwszoosobowej ma tyle samo zalet, ile wad. Zazwyczaj pozwala wsiąknąć głębiej w psychikę postaci, ale zawęża też perspektywę opowieści. Sprawia, że łatwiej się ją snuje, ale tworzy niebezpieczeństwo zbytnej potoczności – wszak pisarz posługuje się wówczas tą formą wypowiedzi, której używa w codziennym życiu.

Największym atutem jest dla mnie jednak zawsze to, że sam narrator może okazać się niewiarygodny. Zawsze bowiem wiemy tylko tyle, ile osoba, z punktu widzenia której obserwujemy rozwój akcji. A przecież może ona kłamać.

Jak było w przypadku Kasandry? I czy podobieństwo słów „Kajman” i „Reimann” jest przypadkowe?

Na te pytania każdy musi odpowiedzieć sobie sam. Kasandra w obydwu książkach przedstawiła nam swoją historię. Mamy więc wszystkie fakty przed sobą i – tak w jak w życiu – na ich podstawie pozostaje nam podjąć decyzję: wierzymy jej czy nie?

Jej obawa, która pojawia się na końcu opowieści, może wynikać z tego, że coś rzeczywiście jest na rzeczy. Równie dobrze jednak może być zwyczajnym niepokojem o to, czy Wern sobie czegoś nie ubzdura.

Jeśli o mnie chodzi, nie mam wątpliwości, która wersja jest tą prawdziwą.

A Ty?

Jakakolwiek jest Twoja odpowiedź, w tym miejscu należą Ci się podziękowania za to, że wspólnie się nad nią zastanawiamy. Nad tą i wieloma innymi, od lat tworząc wspólnie kolejne światy, postacie i opowieści.

Podziękować chciałbym też wszystkim tym odważnym kobietom, które po lekturze Nieodnalezionej zdecydowały się zadzwonić pod podany na jej końcu numer. Wraz z organizatorami akcji „Kocham. Szanuję” nie spodziewaliśmy się

tak ogromnego odzewu – a każdy taki telefon to dla mnie potwierdzenie, że to, co robię, ma sens. Gdybyśmy żyli w idealnym świecie, nikt nigdy nie musiałby go wykonywać. Ale tak nie jest. Prawie milion kobiet rocznie w Polsce doznaje przemocy domowej, a co czterdzieści sekund dochodzi wobec nich do aktu przemocy.

Cokolwiek zrobicie, jakkolwiek decyzję podejmiecie, pamiętajcie, że nie jesteście same. Jeśli potrzebujecie pomocy, pod numerem 801 109 801 zawsze czeka ktoś, kto jest gotów wyciągnąć pomocną dłoń.

Jak zawsze dziękuję także moim Rodzicom, przyjaciom, znajomym i współpracownikom, którzy pomogli mi przy tworzeniu tej powieści. Mimo że pisanie to dość samotna robota, bo trzeba zamknąć się w gabinecie (i swoim świecie) na parę godzin każdego dnia, żaden autor nie tworzy w pustce. Sam akt przelewania myśli na papier jest tylko ostatnim elementem kreatywnego procesu, który w dużej mierze zachodzi poprzez interakcje z otoczeniem.

W wypadku historii Kasandry to nabrało dla mnie szczególnego znaczenia, bo interakcje te dotyczyły poznawania historii kobiet, które doświadczyły przemocy domowej. Dziękuję Wam za to, że zdecydowałyście się o nich opowiedzieć, i za to, że swoją odwagą wyznaczacie drogę innym.

Remigiusz Mróz
Opole, 23 lipca 2018

PS Większość miejsc opisanych w książce istnieje naprawdę. W Kaiseki i w Tulsi właściwie nie da się źle zjeść, a loft Wernera mieści się w kamienicy przy placu Daszyńskiego, w której mieszkałem przez całe dzieciństwo (o ile wiem, tamtejszy strych nie jest zaadaptowany). Kappa stanowi wytwór mojej wyobraźni, sama kapliczka zaś istnieje naprawdę – wygląda nieco inaczej i znajduje się kawałek dalej, ale związana z nią legenda jest prawdziwa.



Bestsellerowa seria

W KRĘGACH  WŁADZY

FILIA